Ursula K. LeGuin

LEWA RĘKA CIEMNOŚCI

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Na planetę Gethen (zwanej również Zimą) przybywa pierwszy reprezentant Ekumeny z wydaje się prostą misją - zjednania sobie wielkich tego świata i nakłonienia ich do wstąpienia w jej szeregi . Genly Ai - bo takie imię nosi czarnoskóry "mobil", przybywa samotnie, bez żadnego uzbrojenia - wyposażony jedynie w przedmiot do komunikacji z najbliższym ludzkim światem, odpowiednie umiejetności oraz dobre chęci. Niestety Zima jest światem niezwykle nieprzyjaznym, panuje na niej permanentna epoka lodowcowa a na dodatek jej mieszkańcy to androgeni (osobniki dwupłciowe) z diametralnie odmienną od głównego bohatera filozofią życiową.

Powieść otrzymała nagrodę Nebula w 1969, nagrodę Hugo w 1970.

- Ursula K. Le Guin
  - 1. Uroczystość w Erhenrangu
  - 2. Kraina w środku zamieci
  - 3. Szalony król
  - 4. Dzień dziewiętnasty
  - 5. Oswajanie przeczucia
  - 6. Jedna droga do Orgoreynu
  - 7. Kwestia płci
  - 8. Inna droga do Orgoreynu
  - 9. Estraven Zdrajca
  - 10. Rozmowy w Misznory
  - 11. Monologi w Misznory
  - 12. O czasie i ciemności
  - 13. W gospodarstwie
  - 14. Ucieczka
  - 15. Ku Lodowi
  - 16. Między Drumnerem a Dremegole
  - 17. Orgocki mit o stworzeniu świata
  - 18. Na Lodzie
  - 19. Powrót
  - 20. Daremna nadzieja

Ursula K. Le Guin
Lewa Ręka Ciemności

1. Uroczystość w Erhenrangu

Z archiwów Hain. Zapis astrogramu 01-01101-934-2-Gethen. Do Stabila na Ollul. Raport od Genly Ai, Pierwszego Mobila na Gethen (Zima) , cykl hainski 93, rok ekumenalny 1490–97.

Nadam mojemu raportowi formę opowieści, bo kiedy byłem jeszcze dzieckiem na mojej macierzystej planecie, nauczono mnie, że prawda to kwestia wyobraźni. Najbardziej niepodważalny fakt może zwrócić uwagę lub przepaść bez echa. W zależności od formy, w jakiej został podany: jak ten jedyny w swoim rodzaju organiczny klejnot naszych mórz, który błyszczy na jednej kobiecie, a na innej traci blask i rozsypuje się w proch. Fakty nie są wcale bardziej namacalne, spoiste i realne niż perły. I są równie delikatne.

Nie jest to opowieść tylko o mnie i nie tylko ja ją opowiadam. Prawdę mówiąc nie mam jasności, czyja to jest opowieść, osądzicie to sami. Ważne, że jest ona całością i jeżeli w pewnych miejscach fakty wydają się zmieniać w zależności od narratora, wybierzcie te fakty, które wam najbardziej odpowiadają, pamiętając jednak, że wszystkie są prawdziwe i że składają się na jedną opowieść.

Zaczyna się ona w dniu 44 roku 1491, który na planecie Zimie, w kraju o nazwie Karhid, był odharhahad tuwa, czyli dwudziestym drugim dniem trzeciego miesiąca wiosny roku pierwszego. Tutaj zawsze jest rok pierwszy. Za to w dniu Nowego Roku zmienia się numeracja wszystkich przeszłych i przyszłych lat liczonych wstecz lub w przód od podstawowego Teraz. Była więc wiosna roku pierwszego w stolicy Karhidu, Erhenrangu, i moje życie było w niebezpieczeństwie, o czym nie wiedziałem.

Uczestniczyłem w uroczystym pochodzie. Szedłem bezpośrednio za gossiworami i tuż przed królem. Padał deszcz.

Deszczowe chmury nad ciemnymi wieżycami, deszcz lejący w wąwozy ulic, wysmagane burzami kamienne miasto, przez które powoli wędruje pojedyncza żyła złota. Najpierw kupcy, potentaci i rzemieślnicy miasta Erhenrang, szereg za szeregiem, olśniewająco ubrani, posuwają się wśród deszczu ze swobodą ryb pływających w oceanie. Ich twarze są ożywione i spokojne. Nie idą w nogę. To nie jest defilada wojskowa ani żadna jej imitacja.

Następnie idą książęta, burmistrzowie i reprezentanci, jeden albo pięciu, czterdziestu pięciu albo czterystu z każdej domeny Karhidu, wielka ozdobna procesja, która kroczy pod głos metalowych rogów, instrumentów drążonych w kości i drewnie, pod czysty dźwięk elektrycznych fletów. Różnorakie sztandary domen pod strugami deszczu zlewają się w barwny chaos z żółtymi proporcami znaczącymi trasę, a muzyka poszczególnych grup zderza się i splata w wielość

rytmów odbijających się w głębokich kamiennych ulicach.

Dalej trupa żonglerów z polerowanymi złotymi kulami, które podrzucają wysoko po świecących torach, łapią i znów rzucają, tworząc złociste fontanny. Nagle, jakby dosłownie zapłonęły, złote kule rozbłyskują ogniem: to wyjrzało zza chmur słońce.

I zaraz czterdziestu ludzi w żółtych szatach dmie w gossiwory. Gossiwor, odzywający się wyłącznie w obecności króla, wydaje niesamowity, posępny odgłos. Czterdzieści grających razem mąci zmysły, wstrząsa wieżami Erhenrangu, strąca ze skłębionych chmur ostatnie krople deszczu. Jeżeli taka jest królewska muzyka, to nic dziwnego, że wszyscy królowie Karhidu są szaleni.

Dalej posuwa się orszak królewski, straż i oficjele, dygnitarze miejscy i nadworni, radni i senatorowie, kanclerz, ambasadorowie, książęta dworu. Nikt nie trzyma kroku ani nie przestrzega rangi, ale wszyscy kroczą z wielką godnością, a wśród nich król Argaven XV, w białej kurcie, koszuli i krótkich spodniach, w nogawicach z szafranowej skóry i szpiczastej żółtej czapie. Jego jedyną ozdobą i oznaką urzędu jest złoty pierścień. Za tą grupą ośmiu krzepkich pachołków niesie wysadzaną żółtymi szafirami królewską lektykę, w której żaden król nie siedział od stuleci, ceremonialny relikt zamierzchłych czasów. Obok lektyki kroczy ośmiu gwardzistów uzbrojonych w garłacze, również zabytki bardziej barbarzyńskiej przeszłości, ale tym razem nie puste, bo nabite kulami z miękkiego metalu. Za królem kroczy więc śmierć. Za śmiercią idą uczniowie szkół rzemiosł i kolegiów oraz dzieci Królewskiego Ogniska, długie szeregi dzieci i starszych chłopców w białych, czerwonych; złotych i zielonych strojach. Pochód zamyka kilka cichych, ciemnych, wolno jadących samochodów.

Orszak królewski, do którego i ja należałem, zgromadził się na podwyższeniu ze świeżych desek przy nie dokończonym łuku bramy Rzecznej. Parada odbywa się z okazji zbudowania tego łuku, kończącego Nowy Trakt i Port Rzeczny Erhenrangu, wielką operację pogłębiania rzeki i budowy dróg, która zajęła pięć lat i miała wyróżniać panowanie Argavena XV w annałach Karhidu. Stoimy na trybunie dość ciasno stłoczeni w naszym przemoczonym przepychu. Deszcz ustał, świeci na nas słońce, wspaniałe, olśniewające, zdradzieckie słońce Zimy.

— Gorąco. Naprawdę gorąco — mówię do sąsiada z lewej.

Sąsiad, przysadzisty ciemny Karhidyjczyk z gładkimi, mocnymi włosami; ubrany w grubą, wyszywaną złotem kurtę z zielonej skóry, grubą białą koszulę i grube spodnie, z łańcuchem z ciężkich srebrnych ogniw szerokości dłoni na szyi, pocąc się obficie odpowiada: — Oj, tak.

Wokół nas, stłoczonych na trybunie, masa zwróconych w górę

twarzy mieszkańców miasta, jak ławica brązowych, okrągłych kamyków, połyskująca niby drobinami miki tysiącem bacznych oczu.

Teraz król wkracza na pochylnię z surowego drewna, prowadzącą z trybuny na szczyt łuku, którego nie połączone jeszcze kolumny górują nad tłumem, nadbrzeżami i rzeką. Wywołuje to w tłumie poruszenie i potężny szept: Argaven! — Król nie odpowiada. Gossiwory odzywają się grzmiącym, niezgodnym rykiem i milkną. Cisza. Słońce świeci na miasto, rzekę, mrowie ludzi i na króla. Budowniczowie puścili w ruch elektryczną windę i podczas gdy król wchodzi coraz wyżej, ostatni, zwornikowy blok łuku wjeżdża na górę i zostaje ułożony na swoim miejscu prawie bezgłośnie, choć waży koło tony, i zapełnia lukę między dwiema kolumnami tworząc z nich jeden łuk. Murarz z kielnią i cebrzykiem czeka na rusztowaniu, wszyscy pozostali robotnicy schodzą po drabinach sznurowych jak chmara pcheł. Król i murarz klękają wysoko na rusztowaniu między rzeką a słońcem. Król bierze kielnię i zaczyna murować końce zwornika. Nie chlapie zaprawą byle jak i nie oddaje kielni murarzowi, ale na serio bierze się do roboty. Zaprawa, której używa, ma kolor różowawy, inny niż w całej budowli, więc po pięciu czy dziesięciu minutach obserwacji króla pszczół przy pracy pytam sąsiada z lewej, czy zworniki budowli zawsze osadza się w czerwonej zaprawie, bo ten sam kolor widzę wokół zworników każdego łuku Starego Mostu, który tak pięknie spina brzegi rzeki nie opodal.

Ocierając pot z ciemnego czoła mężczyzna — muszę go nazwać mężczyzną, skoro już go nazwałem sąsiadem — odpowiada:

— Bardzo dawno temu zworniki zawsze osadzano w zaprawie z tłuczonych kości i krwi. Ludzkich kości i ludzkiej krwi. Bez spoiwa krwi łuk mógłby się rozpaść. Teraz używamy krwi bydlęcej.

Często tak mówi, szczerze ale ostrożnie, ironicznie, jakby zawsze pamiętał, że patrzę i oceniam wszystko jako obcy: rzecz wyjątkowa jak na przedstawiciela tak izolowanej cywilizacji i tak wysokiej rangi. To jeden z najpotężniejszych ludzi w tym kraju. Nie jestem pewien dokładnie historycznego odpowiednika jego urzędu — wielki wezyr, premier czy kanclerz. Karhidyjski termin oznacza "ucho króla". Jest panem domeny i księciem dworu, sprawcą wielkich dzieł. Nazywa się Therem Harth rem ir Estraven.

Już się ucieszyłem, że król skończył swoją murarską robotę, ale on po pajęczynie rusztowań przechodzi pod łukiem i bierze się do roboty po drugiej stronie zwornika, który przecież ma dwa końce. W Karhidzie nie wolno się niecierpliwić. Ludzie nie są tu bynajmniej flegmatykami, ale są uparci, zawzięci i jak murują, to murują. Tłumy na nabrzeżu Sess są zadowolone z widoku króla przy pracy, ale ja się nudzę i jest mi gorąco. Nigdy dotąd nie było mi gorąco na Zimie i nigdy już nie będzie, ale wtedy nie potrafiłem tego docenić. Jestem

ubrany na epokę lodowcową, a nie na upał, w wiele warstw odzieży, tkane włókno roślinne, sztuczne włókno, futro, skóra, mam na sobie nieprzeniknioną zbroję przeciwko mrozowi, w której teraz więdnę jak liść pietruszki. Dla rozrywki przyglądam się tłumom widzów i uczestnikom procesji skupionym wokół trybuny, sztandarom domen i klanów wiszącym nieruchomo i jaskrawo błyszczącym w słońcu, i z nudów wypytuję Estravena, czyj jest który sztandar. Zna wszystkie, o które pytam, chociaż są ich setki, niektóre z odległych domen, ognisk i szczepów z Burzliwego Pogranicza Pering i z Kermu.

— Sam pochodzę z Kermu — mówi, kiedy wyrażam podziw dla jego wiedzy. — Zresztą moje stanowisko wymaga znajomości domen. Karhid to domeny. Rządzić tym krajem to znaczy rządzić jego książętami. Co nie znaczy, że ~o się kiedyś komuś udało. Czy zna pan powiedzenie: "Karbid to nie naród, to jedna wielka rodzinna kłótnia"? — Nie znałem tego powiedzenia i podejrzewam, że Estraven sam je wymyślił. Było w jego stylu.

W tym momencie przepycha się przez tłum inny członek kyorremy, wyższej izby parlamentu, na której czele stoi Estraven, i zaczyna coś do niego mówić. To królewski kuzyn Pemmer Harge rem ir Tibe. Mówi szeptem, jego postawa sugeruje brak szacunku, często się uśmiecha. Estraven, pocąc się jak lód na słońcu, odpowiada na szept Tibe'a głośno, tonem, którego zdawkowa uprzejmość ośmiesza rozmówcę. Słucham obserwując jednocześnie króla przy robocie, ale nic nie rozumiem poza tym, że Tibe'a i Estravena dzieli wrogość. Nie ma to bynajmniej nic wspólnego ze mną, ciekawi mnie po prostu zachowanie tych ludzi, którzy rządzą narodem w pradawnym sensie tego słowa, którzy trzymają w ręku losy dwudziestu milionów innych ludzi. W Ekumenie władza stała się czymś tak trudno uchwytnym i skomplikowanym, że tylko subtelne umysły mogą śledzić jej działania. Tutaj jest ona wciąż jeszcze ograniczona i namacalna. W Estravenie, na przykład, wyczuwa się władzę jako przedłużenie jego charakteru: on nie może zrobić pustego gestu ani powiedzieć słowa, które puszcza się mimo uszu. Wie o tym i ta wiedza przydaje mu szczególnej realności, jakiejś materialności, namacalności, ludzkiej wielkości. Sukces rodzi sukces. Nie mam zaufania do Estravena, którego pobudki są zawsze niejasne. Nie budzi we mnie sympatii, ale odczuwam jego autorytet w sposób równie nie pozostawiający wątpliwości, jak odczuwam ciepło słońca.

Ledwo zdążyłem to pomyśleć, kiedy słońce znika za ponownie zbierającymi się chmurami i wkrótce rzadki, ale mocny deszcz przesuwa się w górę rzeki skrapiając tłumy na nabrzeżu, zaciemniając niebo. Kiedy król schodzi z rusztowania, przebija się ostatni promień słońca i biała postać króla oraz wspaniały łuk widoczne są przez chwilę w całym blasku i wspaniałości na tle granatowo burzowego

nieba. Gromadzą się chmury. Zimny wiatr wdziera się w ulicę łączącą port z Pałacem, rzeka przybiera szarą barwę, drzewa na nabrzeżu drżą. Ceremonia skończona. W pół godziny później pada śnieg.

Kiedy królewski samochód odjechał w stronę Pałacu i tłum zaczął się poruszać jak nadmorskie kamyki popychane falą przypływu, Estraven odwrócił się znów w moją stronę i powiedział:

— Czy zechce pan dziś zjeść ze mną kolację, panie Ai? Przyjąłem zaproszenie, bardziej zdziwiony niż ucieszony. Estraven zrobił dla mnie bardzo dużo w ciągu ostatnich sześciu czy ośmiu miesięcy, ale ani nie spodziewałem się, ani nie pragnąłem takiej demonstracji osobistej sympatii jak zaproszenie do jego domu. Harge rem ir Tibe był nadal w pobliżu i musiał słyszeć, zresztą miałem uczucie, że o to chodziło. Zdegustowany tymi babskimi intrygami zszedłem z trybuny i wmieszałem się w tłum, garbiąc się nieco i idąc na ugiętych nogach. Nie jestem dużo wyższy od getheńskiej przeciętnej, ale w tłumie ta różnica bardziej rzuca się w oczy. "To on, patrzcie, wysłannik". Oczywiście było to częścią moich obowiązków służbowych, ale w miarę upływu czasu ta ich część stawała się coraz bardziej uciążliwa zamiast coraz łatwiejsza. Coraz częściej tęskniłem za anonimowością, chciałem być taki jak wszyscy.

Przeszedłem kawałek ulicą Browarną, skręciłem do swojego domu i nagle, gdy tłum już się przerzedził, stwierdziłem, że idzie obok mnie Tibe.

Piękna uroczystość — odezwał się królewski kuzyn, ukazując przy tym w uśmiechu długie, czyste, żółte zęby w żółtej twarzy całej pokrytej siecią drobnych zmarszczek, mimo że nie był starym człowiekiem.

Dobra wróżba dla nowego portu powiedziałem.

— To prawda. — Znów porcja zębów.

— Ceremonia wmurowania zwornika była rzeczywiście imponująca.

— To prawda. Ta ceremonia pochodzi z bardzo dawnych czasów. Ale zapewne książę Estraven wszystko to panu objaśnił.

— Książę Estraven jest niezwykle uprzejmy.

Starałem się mówić tonem obojętnym, ale wszystko, co się powiedziało do Tibe'a, zdawało się nabierać ukrytego znaczenia.

— Och, niewątpliwie — powiedział Tibe. — Książę Estraven jest znany ze swojej uprzejmości dla cudzoziemców. — Uśmiechnął się i każdy ząb wydawał się kryć jakieś znaczenie, podwójne, wielorakie, trzydzieści dwa różne znaczenia.

— Ze wszystkich cudzoziemców ja jestem najbardziej cudzoziemski, książę. Dlatego jestem szczególnie wdzięczny za wszelką uprzejmość.

— Tak, niewątpliwie, niewątpliwie. Wdzięczność jest

szlachetnym, rzadkim uczuciem opiewanym przez poetów. Rzadkim szczególnie tutaj, w Erhenrangu, zapewne z braku warunków do jego kultywowania. Przyszło nam żyć w ciężkich, niewdzięcznych czasach. Świat nie jest już taki jak za naszych dziadów, prawda?

— Niewiele o tym wiem, książę, ale słyszałem podobne skargi na innych światach.

Tibe przyglądał mi się przez chwilę, jakby oceniał stopień mojego szaleństwa, a potem obnażył długie żółte zęby.

— A, rzeczywiście, rzeczywiście. Stale zapominam, że pan przybył z innego świata. Ale oczywiście pan o tym nigdy nie zapomina. Choć bez wątpienia pańskie życie tutaj w Erhenrangu byłoby znacznie sensowniejsze, prostsze i bezpieczniejsze, gdyby potrafił pan o tym zapomnieć, co? Tak, tak. Ale oto i mój samochód, kazałem kierowcy tu zaczekać, w bocznej uliczce. Chętnie bym pana podwiózł na pańską wyspę , ale muszę sobie odmówić tej przyjemności, bo zaraz mam się stawić u króla, a biedni krewniacy, jak mówi przysłowie, muszą być punktualni. Tak, tak! — powiedział kuzyn króla wsiadając do małego czarnego elektrycznego pojazdu, jeszcze przez ramię obnażając zęby w moją stronę, kryjąc oczy w sieci zmarszczek.

Poszedłem na swoją wyspę. Teraz, kiedy stopniały resztki zimowych śniegów, ukazał się frontowy ogródek i zimowe drzwi, trzy metry nad poziomem gruntu, zostały zamknięte na okres kilku miesięcy aż do powrotu głębokich śniegów jesienią. Przy bocznej ścianie budynku wśród błota, lodu i pośpiesznej, miękkiej i bujnej wiosennej roślinności rozmawiało dwoje młodych ludzi. Stali trzymając się za ręce. Byli w pierwszej fazie kemmeru. Duże, miękkie płatki śniegu tańczyły wokół nich, a oni stali boso w lodowatym błocie, ze splecionymi dłońmi, zapatrzeni w siebie. Wiosna na Zimie.

Zjadłem obiad na mojej wyspie i kiedy gongi na wieży Remmy wybiły czwartą, byłem w Pałacu, gotów do kolacji. Karhidyjczycy spożywają dziennie cztery solidne posiłki: śniadanie, drugie śniadanie, obiad i kolację, nieustannie podjadając i przegryzając coś w przerwach. Na Zimie nie ma dużych zwierząt dostarczających mięsa lub produktów mlecznych. Jedyne bogate w białko i węglowodany pożywienie to różne jaja, ryby, orzechy i hainskie zboża. Niskokaloryczna dieta w surowym klimacie — więc trzeba często uzupełniać paliwo. Przyzwyczaiłem się dojadania, jak mi się wydawało, co kilka minut. Jeszcze przed końcem tego roku miałem się przekonać, że Getheńczycy doprowadzili do perfekcji nie tylko technikę ciągłego opychania się, lecz także długotrwałego życia na granicy śmierci głodowej.

Wciąż padał śnieg, łagodna wiosenna śnieżyca, znacznie przyjemniejsza niż bezlitosne deszcze niedawnej odwilży. Dotarłem do Pałacu w cichym i białym mroku tylko raz gubiąc drogę. Pałac w

Erhenrangu jest właściwie wewnętrznym miastem otoczonym murami, labiryntem pałaców, baszt, ogrodów, podworców, klasztorów, krużganków, podziemnych przejść i kazamatów, wytworem wielowiekowej paranoi na wielką skalę. Ponad tym wszystkim wznoszą się ponure, czerwone, wymyślne mury Królewskiego Domu, który chociaż jest stale zamieszkany, ta tylko przez jedną osobę, samego króla. Wszyscy inni, służba, kanceliści, książęta, ministrowie, posłowie, straż i kto tam jeszcze, mieszkają w innych pałacach, fortach, twierdzach, barakach czy domach w obrębie murów. Dom Estravena, oznaka szczególnej królewskiej łaski, to Narożny Czerwony Dom zbudowany przed czterystu czterdziestu laty dla Harmesa, ukochanego kemmeringa Emrana III, którego uroda przeszła do legendy i który został porwany, okaleczony i doprowadzony do utraty zmysłów przez najemników Partii Ojczyźnianej. Emran III zmarł w czterdzieści lat później wciąż jeszcze mszcząc się na swoim kraju Emran Nieszczęsny. Tragedia jest tak dawna, że jej okropności zatarły się pozostawiając pewną atmosferę podejrzliwości i melancholii czającą się w ścianach i mrokach tego domu. Ogród był mały i otoczony murem, nad skalną sadzawką pochylały się drzewa serem. W mętnych snopach światła z okien widziałem płatki śniegu i nitkowate torebki z zarodnikami drzew opadające razem z nimi do czarnej wody. Estraven czekał na mnie z gołą głową i bez płaszcza na tym mrozie, obserwując z zainteresowaniem tajną natną inwazję śniegu i zarodników. Przywitał mnie cichym głosem i zaprosił do środka. Nie było żadnych innych gości.

Zdziwiło mnie to nieco, ale zaraz zasiedliśmy do stołu, a przy jedzeniu nie rozmawia się o interesach. Zresztą moje zdziwienie przeniosło się na posiłek, który był wyśmienity, nawet wszechobecne chlebowe jabłka uległy cudownej przemianie w rękach kucharza, którego sztuki nie mogłem się nachwalić. Po kolacji piliśmy przy ogniu grzane piwo. Na planecie, gdzie jednym z najpotrzebniejszych sztućców jest przyrząd do rozbijania lodu, jaki tworzy się na powierzchni napoju w czasie posiłku, człowiek uczy się cenić grzane piwo.

Estraven prowadził przy stole uprzejmą rozmowę, teraz, siedząc naprzeciw mnie przy ogniu, zamilkł. Chociaż spędziłem na Zimie już prawie dwa lata, wciąż byłem daleki od możliwości spojrzenia na mieszkańców planety ich własnymi oczami. Próbowałem, ale moje wysiłki przybierały formę wyrozumowanego spojrzenia na Getheńczyka najpierw jako na mężczyznę, a potem jako na kobietę, przez co wciskałem go w te kategorie tak nieistotne dla jego natury, a tak ważne dla mojej. Tak więc pociągając dymne, wytrawne piwo myślałem sobie, że przy stole zachowanie Estravena było kobiece, sam wdzięk, takt i lekkość, zręczność i zwodniczość. Może to właśnie ta

miękka, elastyczna kobiecość budziła we mnie antypatię i podejrzliwość? Bo nie sposób było traktować jak kobietę tej ciemnej i ironicznej, emanującej siłą postaci siedzącej obok w rozświetlonym ogniem mroku, a jednocześnie, ilekroć pomyślałem o nim jako o mężczyźnie, wyczuwałem w tym jakiś fałsz: w nim, czy może w moim do niego stosunku? Głos miał łagodny, dość mocny ale nie głęboki, nie był to głos męski, ale i nie kobiecy… ale co on mówił?

Żałuję mówił że musiałem tak długo odkładać przyjemność goszczenia pana u siebie, ale jestem zadowolony, że nie będzie już między nami kwestii patronatu.

To mnie zastanowiło. Niewątpliwie aż do dzisiaj był moim patronem na dworze. Czy chciał dać mi do zrozumienia, że audiencja, jaką dla mnie wyjednał u króla na jutro, oznacza zrównanie z nim?

— Nie bardzo pana rozumiem — powiedziałem. Tym razem on był widocznie zdziwiony.

— Chodzi o to — odezwał się po chwili — że odtąd nie działam na rzecz pana wobec króla.

Mówił, jakby się wstydził za mnie, nie za siebie. Widocznie fakt, że on mnie zaprosił, a ja zaproszenie przyjąłem, miał jakieś znaczenie, z którego sobie nie zdawałem sprawy. Ale ja naruszałem jedynie etykietę, on — etykę. Początkowo myślałem tylko, że miałem rację od początku nie dowierzając Estravenowi. Był nie tylko zręczny i potężny, był także zdradliwy. Przez cały czas mojego pobytu w Erhenrangu to on mnie słuchał, odpowiadał na moje pytania, przysyłał lekarzy i inżynierów, żeby potwierdzili, że ja i mój statek pochodzimy z innego świata, przedstawiał mnie ludziom, których powinienem poznać, aż stopniowo doprowadził do tego, że awansowałem z roli dziwoląga z bujną wyobraźnią do mojej obecnej roli tajemniczego wysłannika, który ma być przyjęty przez króla. A teraz, wywindowawszy mnie na tę niebezpieczną wysokość, nagle z całym spokojem oświadcza, że wycofuje swoje poparcie.

— Przyzwyczaił mnie pan do tego, że mogę polegać…

— To niedobrze.

— Czy to znaczy, że aranżując to spotkanie nie przemówił pan do króla na rzecz mojej misji, tak jak pan… — zreflektowałem się i nie powiedziałem "obiecał".

— Nie mogłem.

Byłem wściekły, ale w nim nie dostrzegłem ani gniewu, ani chęci przeproszenia.

— Czy mogę wiedzieć dlaczego?

— Tak — odparł po chwili i znów zamilkł. A ja pomyślałem sobie, że niekompetentny i bezbronny przybysz z innego świata nie powinien domagać się wyjaśnień od kanclerza królestwa, zwłaszcza jeżeli nie rozumie i prawdopodobnie nigdy nie zrozumie korzeni władzy i zasad

jej funkcjonowania w tym królestwie. Niewątpliwie była to kwestia szifgrethoru — prestiżu, twarzy, miejsca, honoru. nieprzetłumaczalnej naczelnej zasady autorytetu społecznego w Karbidzie i wszystkich kulturach na Gethen. A jeżeli tak, to nigdy jej nie zrozumiem.

— Czy słyszał pan, co król powiedział do mnie podczas dzisiejszej ceremonii?

— Nie.

Estraven pochylił się nad paleniskiem, wyjął dzban z piwem z gorącego popiołu i napełnił mój kufel. Ponieważ się nie odzywał, dodałem:

— Nie słyszałem, żeby król coś do pana mówił.

— Ja też nie — powiedział.

Nareszcie zrozumiałem, że nie odebrałem innego sygnału. Machnąwszy ręką na jego babskie intryganctwo palnąłem:

— Czy książę chce mi dać do zrozumienia, że wypadł z łask u króla?

Myślę, że wyprowadziłem go z równowagi, ale niczym tego nie okazał i powiedział tylko:

— Nie chcę panu nic dawać do zrozumienia, panie Ai.

— To wielka szkoda!

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie.

— Cóż, ujmijmy to więc w ten sposób: Są na dworze osoby, które — używając pańskiego wyrażenia — są w łaskach u króla, i które nie patrzą łaskawym okiem na pańską obecność i misję tutaj.

I teraz spieszysz do nich dołączyć i opuszczasz mnie dla ratowania własnej skóry; pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Estraven był dworakiem i politykiem, a ja byłem głupcem, że mu zawierzyłem. Nawet w społeczeństwach rozdzielnopłciowych politykom zdarza się zmieniać front. Skoro zaprosił mnie na kolację, to widać spodziewał się, że tak łatwo przełknę jego zdradę, jak on ją popełnił. Zachowanie twarzy było wyraźnie ważniejsze niż szczerość, zmusiłem się więc do powiedzenia:

— Przykro mi, że pańska przychylność dla mnie ściągnęła na pana kłopoty.

Rozżarzone węgle. Odczułem radość z moralnej wyższości, ale tylko przez chwilę. Estraven był zbyt nieobliczalny.

Odchylił się na oparcie i czerwony odblask ognia padł na jego kolana, na ładne, silne, choć drobne dłonie i srebrny kufel, podczas gdy twarz pozostawała w cieniu: ciemna twarz zawsze przesłonięta gęstymi, nisko opadającymi włosami, gęstymi brwiami i rzęsami oraz zimną maską układności. Czy można odczytać wyraz pyska kota, foki albo wydry? Niektórzy Getheńczycy są jak te zwierzęta, myślałem, z głębokimi jasnymi oczami, które nie zmieniają wyrazu, kiedy ktoś mówi.

— Sam na siebie ściągnąłem kłopoty — odpowiedział działaniem nie mającym nic wspólnego z panem, panie Ai. Wie pan, że Karhid i Orgoreyn mają sporne terytorium w wysokiej części Wyżyny Północnej koło Sassinoth. Dziad Argavena zajął dolinę Sinoth dla Karhidu, ale autochtoni nigdy się z tym nie pogodzili. Dużo śniegu z małej chmury i coraz go więcej. Pomagałem karhidyjskim farmerom mieszkającym w dolinie w przesiedleniu się za starą granicę uważając, że cała sprawa upadnie, jeżeli dolinę pozostawi się Orgotom, którzy ją zamieszkują od tysięcy lat. Przed laty działałem w Zarządzie Wyżyny Północnej i poznałem niektórych z tych farmerów. Nie chciałbym, żeby ginęli w starciach granicznych lub byli zsyłani do ochotniczych gospodarstw rolnych w Orgoreynie. Dlaczego więc nie zlikwidować przyczyny sporu? Ale to nie był pomysł patriotyczny. Na odwrót, był to akt tchórzostwa rzucający cień na szifgrethor samego króla.

Jego ironiczne uwagi i szczegóły sporu granicznego z Orgoreynem nie interesowały mnie. Wróciłem do sprawy naszych stosunków. Z zaufaniem czy bez. wciąż jeszcze mogłem coś przy nim skorzystać.

— Przykro mi — powiedziałem — ale to wielka szkoda, że sprawa garstki farmerów może zniszczyć szanse mojej misji w oczach króla. W grę wchodzą sprawy dużo ważniejsze niż kilka mil granicy.

— Tak, dużo ważniejsze, ale może Ekumena, która ma sto lat świetlnych od granicy do granicy, okaże nam nieco cierpliwości.

— Stabile Ekumeny to ludzie bardzo cierpliwi. Będą czekać sto albo pięćset lat, aż Karhid i reszta Gethen przedyskutuje i rozważy sprawę przyłączenia się do reszty ludzkości. Ja wyrażam wyłącznie moją osobistą nadzieję. I osobiste rozczarowanie. Sądziłem, że przy poparciu księcia…

— Ja też tak sądziłem. Cóż, lodowce nie powstają w ciągu jednej nocy. — Miał jak zawsze na podorędziu stosowne powiedzonko, ale myślą był gdzie indziej. Wyobraziłem go sobie, jak przestawia mnie jako jeden z pionków w grze o władzę.

— Przybył pan do mojego kraju — odezwał się wreszcie — w dziwnym momencie. Zachodzą zmiany, przyjmujemy nowy kierunek. Nie, może raczej posuwamy się za daleko w kierunku, którym szliśmy. Sądziłem, że pańska obecność, pańska misja powstrzymają nas od błędów, dadzą nam całkowicie nową opcję. Ale we właściwym czasie i we właściwym miejscu. Wszystko to jest niezwykle delikatne, panie Ai.

Zniecierpliwiony ogólnikami spytałem wprost:

— Sugeruje pan, że to nie jest właściwy moment. Czy radziłby mi pan odwołać tę audiencję?

Moja gafa wypadła jeszcze gorzej w języku karhidzkim, ale Estraven nie uśmiechnął się ani nie skrzywił.

— Obawiam się, że wyłącznie król ma ten przywilej powiedział

spokojnie.

— O Boże, oczywiście. Nie to miałem na myśli. — Przez chwilę ukryłem twarz w dłoniach. Wychowany w otwartym, pozbawionym barier społeczeństwie Ziemi, nie mogłem nauczyć się protokołu ani powściągliwości tak cenionej przez Karhidyjczyków. Wiedziałem, kto to jest król, historia Ziemi jest ich pełna, ale nie miałem najmniejszego wyczucia przywileju ani taktu. Podniosłem kufel i pociągnąłem duży haust gorącego płynu. — Cóż, powiem królowi mniej, niż miałem zamiar powiedzieć, kiedy jeszcze liczyłem na pana.

— To dobrze.

— Dlaczego dobrze? — spytałem.

— Pan, panie Ai, nie jest szalony. I ja nie jestem szalony. Ale też żaden z nas nie jest królem. Sądzę, że miał pan zamiar przekonać Argavena argumentami racjonalnymi, że przybył pan tu, żeby doprowadzić do sojuszu między Gethen a Ekumeną. I z racjonalnego punktu widzenia on to już wie, bo mu to powiedziałem. Przedstawiałem mu pańską sprawę, usiłowałem wzbudzić w nim zainteresowanie pańską osobą. Robiłem to nieudolnie, źle wybrałem moment. Zapomniałem, sam będąc zbyt zaangażowany, że on jest królem i nie patrzy na sprawy racjonalnie, tylko jako król. Wszystko, co mu mówiłem, sprowadza się z jego punktu widzenia do tego, że jego panowanie jest zagrożone, że jego królestwo jest pyłkiem w przestrzeni, a jego majestat żartem w oczach kogoś, kto rządzi setką światów.

— Ale Ekumena nie rządzi, tylko koordynuje. Jej potęga jest potęgą poszczególnych państw i planet. W sojuszu z Ekumeną Karhid będzie znacznie bezpieczniejszy i ważniejszy niż kiedykolwiek dotąd.

Estraven przez chwilę nie odpowiadał. Siedział zapatrzony w ogień, którego płomienie błyskały odbite w jego kuflu i w szerokim srebrnym łańcuchu znamionującym jego urząd. W starym domu panowała cisza. Był służący, który podawał posiłek, ale że Karhidyjczycy nie znają instytucji niewolnictwa ani osobistego uzależnienia i nie kupują ludzi, tylko usługi, więc cała służba poszła już do swoich domów. Taki człowiek jak Estraven musiał mieć gdzieś w pobliżu ochronę osobistą, bo zamachy są w Karhidzie popularną instytucją, ale ja nikogo nie widziałem i nie słyszałem. Byliśmy sami.

Byłem sam na sam z obcym w murach mrocznego pałacu, w obcym, zasypanym śniegiem mieście, w samym sercu epoki lodowcowej na obcej planecie.

Wszystko, co powiedziałem tego wieczoru i w ogóle, odkąd przybyłem na Zimę, wydało mi się nagle głupie i niewiarygodne. Jak mogłem oczekiwać, że ten albo jakikolwiek inny człowiek uwierzy moim opowieściom o innych światach i innych rasach, o jakimś dobrodusznym superrządzie z nie sprecyzowanymi prerogatywami

istniejącym gdzieś tam, w kosmosie? Wszystko to było nonsensem. Przybyłem do Karhidu w dziwacznym pojeździe i pod pewnymi względami różniłem się fizycznie od Getheńczyków — i to wymagało wyjaśnień. Ale wyjaśnienia, jakich udzielałem, były niedorzeczne. W tej chwili sam im nie wierzyłem.

— Ja panu wierzę — powiedział mieszkaniec obcej planety, z którym byłem sam na sam, i tak głęboko pogrążyłem się w swoim wyobcowaniu, że spojrzałem na niego zdumiony. — Obawiam się, że Argaven również panu wierzy. Ale nie ma do pana zaufania. Częściowo dlatego, że stracił zaufanie do mnie. Popełniłem błędy, byłem nieostrożny. Nie mam również prawa do pańskiego zaufania, bo naraziłem pana na niebezpieczeństwo. Zapomniałem, kto to jest król, zapomniałem, że w oczach króla Karhid i on to jedno, zapomniałem, co to jest patriotyzm i że to on jest z definicji patriotą doskonałym. Niech mi pan powie, panie Ai, czy wie pan z własnego doświadczenia, co to jest patriotyzm?

— Nie — odpowiedziałem wstrząśnięty siłą tej intensywnej osobowości, która nagle cała skupiła się na mnie. — Nie sądzę, chyba że przez patriotyzm rozumie pan miłość do stron ojczystych, bo to znam.

— Nie, kiedy mówię o patriotyzmie, nie chodzi mi o miłość. Myślę o strachu. O strachu przed tym, co obce. Który wyraża się w polityce, nie w poezji. Nienawiść, rywalizacja, agresja. Ten strach rośnie w nas. Rozrasta się z roku na rok. Zaszliśmy naszą drogą za daleko. I pan, przybysz ze świata, co wzniósł się ponad pojęcie narodowości setki lat temu, który nie bardzo wie, o czym mówię, który ukazuje nam nową drogę… — Urwał i po chwili kontynuował, już znowu spokojny, opanowany i uprzejmy. — To z powodu strachu rezygnuję z popierania pańskiej sprawy przed królem. Ale nie ze strachu o siebie, panie Ai. Nie działam z pobudek. patriotycznych. Są przecież na Gethen i inne narody.

Nie wiedziałem, do czego zmierza, ale byłem pewien, że chodzi mu o coś innego, niżby to wynikało z jego słów. Ze wszystkich mrocznych, zagadkowych, skrytych dusz, jakie spotkałem w tym ponurym mieście, jego była najciemniejsza. Nie miałem zamiaru dać się wciągnąć w żadne labirynty i zmilczałem. Po chwili kontynuował z ostrożnością:

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, pańska Ekumena służy interesom całej ludzkości. Na przykład Orgotowie mają doświadczenie w podporządkowywaniu interesów lokalnych ogólnemu, a Karhidyjczycy prawie wcale. Autochtoni z Orgoreynu to przeważnie ludzie zdrowo myślący, choć mało błyskotliwi, podczas gdy król Karhidu jest nie tylko szalony, ale przy tym i dość tępy.

Było jasne, że Estraven nie wie, co to lojalność.

— W takim razie musi być niełatwo mu służyć powiedziałem czując przypływ wstrętu.

— Nie mam pewności, czy kiedykolwiek służyłem królowi — rzekł królewski pierwszy minister — albo czy miałem taki zamiar. Nie jestem niczyim sługą. Człowiek powinien rzucać swój własny cień…

Gongi na wieży Remmy wybiły szóstą, północ, co wykorzystałem jako pretekst do pożegnania. Kiedy wkładałem w holu futro, Estraven powiedział:

— Nie będę miał przez jakiś czasy takiej okazji, bo przypuszczam, że wyjedzie pan z Ertienrangu (skąd to przypuszczenie?), ale wierzę, że nadejdzie dzień, kiedy będę jeszcze mógł zadać panu wiele pytań. Tylu rzeczy chciałbym się dowiedzieć. Zwłaszcza o waszej "mowie myśli", zdążył mi pan o niej ledwo napomknąć.

Jego ciekawość wyglądała na zupełnie autentyczną. Miał w sobie bezczelność możnych. Jego obietnice pomocy też wyglądały na autentyczne. Powiedziałem, że tak, naturalnie, kiedy tylko zechce, i to był koniec wieczoru. Odprowadził mnie przez ogród przysypany cienką warstwą śniegu w blasku wielkiego, matowego, rudego księżyca. Przebiegł mnie dreszcz, kiedy wyszliśmy na zewnątrz, było dobrze poniżej zera.

— Zimno panu? — spytał z uprzejmym zdziwieniem. Dla niego była to oczywiście łagodna wiosenna noc. Zmęczony i przygnębiony odpowiedziałem:

— Jest mi zimno od dnia, kiedy wylądowałem na tej planecie.

— Jak ją nazywacie, tę planetę, w waszym języku?

— Gethen.

— Nie nadaliście jej swojej nazwy?

— Pierwsi zwiadowcy nazwali ją Zima. Zatrzymaliśmy się w bramie otoczonego murem ogrodu. Na zewnątrz budynki pałacowe piętrzyły się ciemną, zaśnieżoną masą rozświetlaną tu i ówdzie na różnych wysokościach złotawymi strzelnicami okien. Stojąc pod wąskim łukiem spojrzałem w górę i zadałem sobie pytanie, czy ten zwornik też był wmurowany kośćmi i krwią. Estraven pożegnał się i zawrócił. Nigdy nie był przesadnie wylewny przy powitaniach i pożegnaniach. Odszedłem przez ciche podworce i uliczki Pałacu skrzypiąc butami po świeżym, oświetlonym blaskiem księżyca śniegu, a potem głębokimi ulicami miasta wróciłem do domu. Było mi zimno, czułem się niepewnie, osaczony przez perfidię, samotność i lęk.

2. Kraina w środku zamieci

Z taśmoteki północnokarhidyjskich "opowieści ognisk" w archiwach Kolegium Historycznego w Erhenrangu Narrator anonimowy. Zapisane za panowania Argavena VIII.

Około dwustu lat temu w ognisku Szath na Burzliwym Pograniczu Pering żyli dwaj bracia, którzy ślubowali sobie kemmer. W tamtych czasach, tak jak i dzisiaj, rodzeni bracia mogli wiązać się w kemmerze, dopóki któryś z nich nie urodził dziecka, ale potem musieli się rozdzielić i dlatego nie wolno im było ślubować związku na całe życie. Tak się jednak stało. Kiedy jeden z nich zaszedł w ciążę, pan Szathu nakazał im odstąpić od ślubu i nigdy już nie spotykać się w czasie kemmeru. Usłyszawszy to polecenie jeden z nich, ten który nosił dziecko, wpadł w rozpacz i nie chcąc słuchać rad ani pocieszeń zdobył truciznę i popełnił samobójstwo. Wówczas mieszkańcy ogniska skierowali swój gniew przeciwko drugiemu bratu i wypędzili go z ogniska i z domeny, jego obarczając hańbą samobójstwa. A ponieważ został wygnany i wszędzie poprzedzała go jego historia, nikt nie chciał go przyjąć i po trzydniowej gościnie wyprawiano go dalej jako banitę. Tak wędrował od miejsca do miejsca, aż zrozumiał, że nie ma dla niego litości w jego własnym kraju i że jego zbrodnia nigdy nie zostanie mu wybaczona (Naruszenie kodu ograniczającego kazirodztwo stało się zbrodnią, kiedy zostało uznane za przyczynę samobójstwa.) Jako człowiek młody i niezahartowany nie przyjmował do wiadomości, że coś takiego może się zdarzyć. Kiedy się przekonał, że tak jest, wrócił do Szath, jako wygnaniec stanął w drzwiach zewnętrznego ogniska i zwrócił się do swoich byłych współmieszkańców z następującymi słowami: Zostałem pozbawiony twarzy. Nikt mnie nie widzi. Mówię i nikt mnie nie słyszy. Przychodzę i nikt mnie nie wita. Nie ma dla mnie miejsca przy ogniu ani jedzenia na stole, ani łóżka, w którym mógłbym się położyć. Ale wciąż jeszcze mam swoje imię, które brzmi Getheren. To imię rzucam na wasze ognisko jako przekleństwo, a z nim moją hańbę. Zachowajcie je dla mnie, a ja, bezimienny, pójdę szukać śmierci. Wówczas niektórzy poderwali się wśród okrzyków i chcieli go zabić, bo zabójstwo rzuca mniejszy cień na dom niż samobójstwo, ale on uciekł i pobiegł na północ w stronę Lodu szybciej niż ci, którzy go ścigali. Wrócili przygnębieni do Szath, a Getheren szedł dalej i po dwóch dniach dotarł do Lodu Pering .

Przez następne dwa dni szedł dalej na północ po Lodzie. Nie miał przy sobie żywności ani żadnego schronienia prócz swego futra. Na Lodzie nie ma żadnych roślin ani zwierząt. Był to miesiąc susmy i właśnie nadeszły pierwsze wielkie śniegi. Szedł sam przez zawieję.

Drugiego dnia poczuł, że słabnie. Drugiej nocy musiał położyć się i odpocząć. Rano odkrył, że ma odmrożone ręce i stopy też, choć nie mógł zdjąć butów, żeby je obejrzeć, bo nie władał rękami. Zaczął czołgać się na łokciach i kolanach. Nie miał żadnego powodu, żeby to robić, bo było mu wszystko jedno, czy umrze tu, czy trochę dalej, ale coś pchało go na północ.

Po jakimś czasie śnieg wokół niego przestał padać i ucichł wiatr. Zaświeciło słońce. Czołgając się nie widział drogi przed sobą, bo futrzany kaptur zsunął mu się na oczy. Nie czując już bólu w kończynach ani na twarzy myślał, że stracił czucie. Ale mógł się jeszcze poruszać. Śnieg pokrywający lodowiec wydał mu się dziwny, wyglądał jak biała trawa rosnąca na lodzie, która kładła się pod jego dotknięciem, a potem wstawała. Zatrzymał się i usiadł, zsuwając kaptur, żeby móc się rozejrzeć. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się połacie śnieżnej trawy, białe i błyszczące. Widział też kępy białych drzew, na których rosły białe liście. Świeciło słońce, nie było wiatru i wszystko było białe.

Getheren zdjął rękawice i spojrzał na swoje ręce. Były białe jak śnieg, ale odmrożenie znikło, odzyskał władzę w palcach i mógł stać na nogach. Nie czuł bólu, zimna ani głodu.

Wtedy zobaczył daleko na lodzie w kierunku północnym białą, jakby zamkową wieżę i postać, która szła z tego dalekiego miejsca w jego stronę. Po chwili Getheren zobaczył, że ten ktoś jest nagi, że ma białą skórę i białe włosy. Jeszcze chwila i zbliżył się na odległość głosu. Getheren spytał:

— Kim jesteś?

Biały człowiek odpowiedział: — Jestem twoim bratem i kemmeringiem Hode.

Jego brat, który się zabił, miał na imię Hode. I Getheren zobaczył, że biały człowiek ma rysy twarzy i ciało jego brata, ale w jego brzuchu nie ma życia, a jego głos brzmi jak trzask lodu.

Getheren spytał:

— Co to za miejsce'?

— To kraina w środku zamieci — odpowiedział Hode. — Tu mieszkają ci, którzy się sami zabili. Tutaj ty i ja dotrzymamy naszego ślubu.

Getheren przestraszył się i powiedział:

— Nie chcę tu zostać. Gdybyś uciekł ze mną na południe, moglibyśmy być razem i dotrzymać ślubu do końca życia. I nikt nie wiedziałby, że naruszyliśmy prawo. Ale ty złamałeś nasz ślub, zniszczyłeś go razem ze swoim życiem. A teraz nie możesz wymówić mojego imienia.

To była prawda. Hode poruszał białymi wargami, ale nie potrafił wymówić imienia swego brata.

Podbiegł do Getherena wyciągając ramiona, żeby go zatrzymać, i chwycił go za lewą rękę. Getheren wyrwał się i uciekł. Biegł na południe i w pewnej chwili zobaczył przed sobą białą ścianę padającego śniegu. Kiedy ją przekroczył, upadł znów na kolana i nie mógł biec, tylko musiał się czołgać.

Dziewiątego dnia od czasu wejścia na Lód został znaleziony przez ludzi z ogniska Orhoch, które leży na północny wschód od Szath. Nie wiedzieli, kim jest ani skąd przychodzi, bo znaleźli go, jak pełzł po śniegu umierający z głodu, oślepiony, z twarzą czarną od słońca i odmrożeń, niezdolny do powiedzenia choć słowa. Jednak nie doznał żadnych trwałych obrażeń poza utratą lewej ręki, która była tak odmrożona, że trzeba ją było odciąć. Niektórzy mówili, że to Getheren z Szath, o którym słyszeli opowieści, inni mówili, że to niemożliwe, bo Getheren poszedł na Lód w czasie pierwszej jesiennej zamieci i na pewno nie żyje. On sam zaprzeczył, że ńazywa się Getheren. Kiedy wydobrzał, opuścił Orhoch i Burzliwe Pogranicze i poszedł na południe mówiąc tam, że nazywa się Ennoch.

Kiedyś Ennoch, już jako starzec mieszkający na równinie Rer, spotkał człowieka ze swoich stron i spytał go, co słychać w Szath. Tamten odpowiedział mu, że źle słychać. Nic nie udawało się w domu ani na polu, wszystko było porażone chorobą, wiosenny zasiew zamarzał w ziemi, a dojrzałe zbiory gniły, i tak trwało już od wielu lat. Wówczas Ennoch powiedział mu, że jest Getherenem z Szath, i opisał mu, jak poszedł na Lód i co go tam spotkało. Swoją historię zakończył słowami: — Powiedz ludziom w Szath, że biorę z powrotem swoje imię i swój cień.

Wkrótce potem Getheren zachorował i umarł. Podróżny zawiózł jego słowa do Szath i powiadają, że od tego czasu ziemia Szath odżyła na nowo i wszystko szło jak należy w domu i na polu.

3. Szalony król

Wstałem późno i spędziłem resztę przedpołudnia przeglądając własne notatki na temat etykiety dworskiej oraz uwagi moich poprzedników, zwiadowców, o getheńskiej psychologii i zwyczajach. Nie docierało do mnie to, co czytałem, zresztą nie miało to znaczenia, bo znałem wszystko na pamięć i czytałem tylko, żeby zagłuszyć wewnętrzny głos, który powtarzał nieustannie: "Wszystko stracone". A kiedy nie chciał zamilknąć, kłóciłem się z nim twierdząc, że mogę sobie poradzić bez Estravena, może jeszcze lepiej niż z nim. Ostatecznie to, co miałem do załatwienia, było pracą dla jednego człowieka. Jest tylko jeden pierwszy mobil. Na każdym świecie pierwszą wieść o Ekumenie wypowiadają usta jednego człowieka, osobiście obecnego i samotnego. Może zostać zabity, jak Pellelge na Czwartej Taurusa, albo zamknięty w domu wariatów, jak pierwsi trzej mobile na Gao, jeden po drugim, ale taka praktyka jest zachowywana, ponieważ się sprawdza. Pojedynczy głos mówiący prawdę ma większą moc niż floty i armie, pod warunkiem że da mu się dość czasu, a czas to coś, czego Ekumena ma pod dostatkiem… "Ale ty nie" — powiedział wewnętrzny głos. Zmusiłem go do milczenia i poszedłem do Pałacu na audiencję u króla o drugiej godzinie, pełen spokoju i zdecydowania. Straciłem jedno i drugie w poczekalni, zanim jeszcze ujrzałem króla.

Strażnicy i oficjele prowadzili mnie do poczekalni przez długie korytarze Królewskiego Domu. Sekretarz poprosił mnie, żebym zaczekał, i zostawił mnie samego w wysokiej, pozbawionej okien sali. Sterczałem tam wystrojony od stóp do głów na wizytę u króla. Sprzedałem swój czwarty rubin (zwiadowcy donieśli, że Getheńczycy cenią drogie kamienie podobnie jak ziemianie, przybyłem więc na Zimę z garścią rubinów, żeby opłacić swój pobyt) i wydałem trzecią część uzyskanej sumy na stroje na wczorajszą paradę i dzisiejszą audiencję: wszystko nowe, bardzo ciężkie i dobrze uszyte, jak to odzież w Karhidzie: biała wełniana koszula, szare krótkie spodnie, długa luźna bluza hieb z niebieskozielonej skóry, nowa czapka, nowe rękawice zatknięte pod właściwym kątem za luźny pas hiebu, nowe wysokie buty… Przekonanie, że jestem odpowiednio ubrany, wzmacniało mój spokój i zdecydowanie. Rozglądałem się spokojnie i pewnie.

Jak wszystkie sale Królewskiego Domu ta też była wysoka, czerwona, stara, naga, z jakimś spleśniałym chłodem w powietrzu, jakby przeciągi wiały nie z innych sal, lecz z innych stuleci. Na kominku trzeszczał ogień, ale niewiele było z niego pożytku. Ogniska w Karhidzie mają rozgrzewać ducha, nie ciało. Era mechaniczno-przemysłowej wynalazczości trwa tu c najmniej od trzech tysięcy lat i

w czasie tych trzydziestu stuleci Karhidyjczycy stworzyli znakomite i ekonomiczne systemy centralnego ogrzewania wykorzystując parę, elektryczność i inne źródła, ale nigdy nie zakładają ich w swoich domach. Może gdyby to zrobili, straciliby swoją fizjologiczną odporność na zimno, jak arktyczne ptaki trzymane w ogrzewanych namiotach, które po wypuszczeniu odmrażają sobie nogi. Ja byłem ptakiem tropikalnym i marzłem. Inaczej marzłem na ulicy i inaczej marzłem w domu, ale byłem stale mniej lub bardziej zmarznięty. Chodziłem, żeby się rozgrzać. Oprócz mnie i ognia w długim przedpokoju nie było wiele: zydel i stół, na którym stało naczynie z "kamiennymi palcami" i zabytkowe radio pięknej roboty z rzeźbionego drzewa, wykładane kością i srebrem. Grało bardzo cicho, podkręciłem je więc nieco głośniej, akurat kiedy jakąś monotonną recytację przerwał Biuletyn Pałacowy. Karhidyjczycy z zasady nie lubią czytać, wolą wiadomości i literaturę odbierać słuchem niż wzrokiem. Książki i odbiorniki telewizyjne są mniej popularne niż radio, a gazety są nieznane. Przegapiłem poranny biuletyn w domu i teraz słuchałem jednym uchem myśląc o czymś innym, dopóki kilkakrotne powtórzenie nazwiska Estravena nie wyrwało mnie z zadumy. Co to było? Proklamację odczytano powtórnie.

"Therem Harth rem ir Estraven, pan na Estre w Ziemi Kermskiej, niniejszym zostaje pozbawiony tytułów i miejsca w Zgromadzeniu i rozkazuje mu się opuścić królestwo i wszystkie ziemie Karhidu w ciągu trzech dni. Jeżeli nie opuści Karhidu w tym terminie lub kiedykolwiek w życiu spróbuje tu wrócić, ma być zabity bez sądu przez każdego, kto go spotka. Żaden mieszkaniec Karbidu nie będzie z nim rozmawiał i nie udzieli mu schronienia pod swoim dachem ani na swojej ziemi pod karą więzienia, żaden mieszkaniec Karbidu nie da mu pieniędzy lub innych dóbr ani nie spłaci mu długów pod karą więzienia i grzywny. Niech wszyscy mieszkańcy Karbidu wiedzą i głoszą, że zbrodnia, za którą Harth rem ir Estraven zostaje wygnany, to zbrodnia zdrady, jako że prywatnie i publicznie, w Zgromadzeniu i Pałacu, pod pozorem lojalnej służby Królowi głosił, że lud Karbidu powinien zrezygnować z suwerenności i potęgi po to, by jako drugorzędny i podporządkowany naród wejść w skład tak zwanej Unii Narodów, w której to sprawie niech wszyscy wiedzą i głoszą, że taka unia nie istnieje, ale jest czystym wymysłem określonych zdrajców i spiskowców dążących do osłabienia autorytetu Króla i państwa Karbidu w interesie rzeczywistych wrogów naszego kraju. Odguyrny tuwa, godzina ósma, Pałac w Erhenrangu, Argaven Harge".

Rozkaz został wydrukowany i rozlepiony na bramach i słupach ogłoszeniowych, stąd tekst powyższy jest dosłownym tłumaczeniem.

Pierwszy odruch był bardzo prosty. Wyłączyłem radio, jak gdybym chciał przerwać tok obciążających mnie zeznań i

pośpieszyłem do drzwi. Tam się, oczywiście, zatrzymałem. Wróciłem do stołu przy kominku. Nie byłem już ani spokojny, ani zdecydowany. Korciło mnie, żeby otworzyć moją walizeczkę, uruchomić astrograf i nadać do Hain rozpaczliwe wezwanie o radę. Zdusiłem w sobie i ten impuls, jeszcze głupszy od pierwszego. Na szczęście nie dano mi czasu na dalsze pomysły. Otworzyły się podwójne drzwi na końcu poczekalni i stanął w nich sekretarz, bokiem, żeby mnie przepuścić. Zaanonsował mnie: — Genry Ai (moje imię brzmi Genly, ale Karhidyjczycy nie wymawiają "L") — i zostawił mnie w Czerwonej Sali sam na sam z królem Argavenem XV.

Cóż to za ogromne, wysokie i długie pomieszczenie, ta Czerwona Sala w Królewskim Domu! Pół kilometra do kominków. Pół kilometra w górę do belkowanego sufitu zawieszonego czerwonymi, zakurzonymi draperiami, a może zetlałymi ze starości sztandarami. Okna są tylko szczelinami w grubych ścianach, lampy nieliczne, słabe i wysoko umieszczone. Moje nowe buty stukają, kiedy odbywam półroczną chyba wędrówkę środkiem sali do króla.

Argaven stał na niewielkim podwyższeniu przed środkowym i największym z trzech kominków. W czerwonawym półmroku przysadzista postać z zarysowującym się brzuchem, bardzo prosta, ciemna i pozbawiona szczegółów poza rozbłyskiem pierścienia z pieczęcią królestwa na kciuku.

Zatrzymałem się przed podwyższeniem i, jak mnie instruowano, nie odzywałem się i nic nie robiłem.

— Niech pan podejdzie, panie Ai. Proszę siadać.

Posłusznie usiadłem w fotelu po prawej stronie głównego kominka. Wszystko to miałem przećwiczone. Argaven nie siadał. Stał o kilka kroków ode mnie mając za plecami huczące jaskrawe płomienie i wreszcie powiedział:

— Niech mi pan powie, co ma mi pan do powiedzenia, panie Ai. Podobno jest pan posłem.

Twarz, która zwróciła się ku mnie, czerwona w blasku ognia i z głębokimi cieniami, była płaska i okrutna jak tutejszy księżyc, matowordzawy satelita Zimy. Argaven był mniej królewski, mniej imponujący, niż wydawał się z odległości wśród swojego orszaku. Głos miał wysoki i swoją zawziętą głowę szaleńca trzymał w sposób znamionujący jakąś groteskową arogancję.

— Wasza Królewska Wysokość, to, co miałem do powiedzenia, uleciało mi z głowy, gdy przed chwilą dowiedziałem się, że pan Estraven popadł w niełaskę.

Argaven uśmiechnął się przeciągniętym uśmiechem wpatrując mi się w oczy. Potem zaśmiał się piskliwie jak wściekła kobieta udająca rozbawienie.

— Do diabła z nim — powiedział. — Pyszałkowaty krętacz i

zdrajca! Był pan u niego na kolacji wczoraj wieczorem, prawda? I pewnie opowiadał panu, co to on może, jak kręci królem i jak wszystko panu łatwo pójdzie, skoro on ze mną o panu porozmawia. Czy nie tak było, panie Ai?

Zawahałem się.

— Powiem panu, co on mówił o panu, jeżeli to pana interesuje. Radził mi, żebym panu odmówił audiencji, trzymał pana w niepewności, może odesłał pana do Orgoreynu albo na Wyspy. Powtarzał mi to od pół miesiąca z właściwą sobie bezczelnością. Tymczasem to jego wysłałem do Orgoreynu, cha cha cha! — Znów piskliwy, fałszywy śmiech, przy którym klasnął w dłonie. Między kotarami na końcu podwyższenia natychmiast pojawił się milczący strażnik. Argaven warknął coś do niego i strażnik zniknął. Wróciwszy do śmiechu Argaven podszedł do mnie świdrując mnie wzrokiem. W ciemnych źrenicach jego oczu migotały pomarańczowe ogniki. Budził we mnie znacznie większy lęk, niż przypuszczałem.

Wobec tych niekonsekwencji nie widziałem przed sobą innej drogi jak szczerość.

— Mogę tylko zapytać Waszą Wysokość — powiedziałem — czy mam uważać, że wiąże się moją osobę ze zbrodnią Estravena?

— Pana? Nie. — Przyjrzał mi się jeszcze baczniej. — Nie wiem, kim pan do diabła jest, panie Ai, dziwolągiem seksualnym, sztucznym potworem czy przybyszem z Królestwa Pustki, ale wiem, że nie jest pan zdrajcą, był pan tylko narzędziem w ręku zdrajcy. Nie karzę narzędzi. Szkodzą tylko w ręku złego rzemieślnika. Dam panu jedną radę. — Argaven powiedział to z dziwnym naciskiem i satysfakcją, i od razu wtedy pomyślałem sobie, że od dwóch lat nikt inny nie udzielił mi rady. Odpowiadano na moje pytania, ale nikt nigdy nie udzielił mi rady, nawet Estraven w okresie, gdy demonstrował największą przyjaźń. Musiało się to wiązać z pojęciem szifgrethoru. — Niech pan się nie pozwoli wykorzystywać, panie Ai — mówił król. — Niech pan się trzyma z dala od wszelkich frakcji. Niech pan głosi swoje własne kłamstwa, popełnia swoje własne czyny. I nigdy nikomu nie wierzy. Rozumie pan? Nikomu. Niech diabli porwą tego załganego, zimnego zdrajcę. Wierzyłem mu. Zawiesiłem srebrny łańcuch na jego przeklętej szyi. Powinienem go na nim powiesić. Nigdy mu nie dowierzałem. Nigdy. Niech pan nie wierzy nikomu. Niech zdechnie z głodu szukając resztek w kloakach Misznory, niech zgnije za życia, nigdy… — Król Argaven zatrząsł się, zakasłał, złapał powietrze z rzężącym odgłosem i odwrócił się do mnie plecami. Kopnął kłody w wielkim ognisku, aż iskry strzeliły mu w twarz, posypały się na jego włosy i czarną kurtę, i musiał je tłumić otwartą dłonią.

Nie odwracając się przemówił wysokim, przepojonym bólem

głosem:

— Niech pan mówi, co pan ma do powiedzenia, panie Ai.

— Czy mogę zadać jedno pytanie, Wasza Wysokość?

— Tak. — Kołysał się na nogach stojąc twarzą do ognia. Musiałem mówić do jego pleców.

— Czy Wasza Wysokość wierzy, że jestem tym, kim mówię, że jestem?

— Estraven kazał mi przysyłać całe góry taśm od lekarzy, którzy pana badali, a także od mechaników z warsztatów, którzy mają pański pojazd. Wszyscy oni mówią, że nie jest pan istotą ludzką, a wszyscy nie mogą kłamać. I cóż z tego?

— To, Wasza Wysokość, że są inni tacy jak ja. I że jestem reprezentantem…

— Tej tam unii, tej władzy, bardzo dobrze. Po co pana tutaj przysłali, chce pan pewnie, żebym o to zapytał? Możliwe, że Argaven nie był zdrowy na umyśle ani szczególnie inteligentny, ale miał długoletnie doświadczenie w unikach, wyzwaniach, retorycznych subtelnościach stosowanych w rozmowach przez tych wszystkich, dla których głównym celem w życiu jest osiągnięcie lub utrzymanie szifgrethoru na najwyższym poziomie. Całe strefy tego świata były dla mnie nadal białymi plamami, ale mogłem zrozumieć atmosferę współzawodnictwa i szukania prestiżu oraz rodzące się z niej nieustanne pojedynki słowne. To, że nie toczyłem z Argavenem pojedynku, a usiłowałem się z nim porozumieć, było samo przez się niezrozumiałe.

— Nigdy nie robiłem z tego tajemnicy, Wasza Wysokość. Ekumena pragnie sojuszu z narodami Gethen.

— Po co?

— Korzyści materialne. Rozszerzenie wiedzy. Wzrost intensywności i złożoności pola rozumnego życia. Wzbogacenie harmonii i przysporzenie chwały Bogu. Ciekawość. Przygoda. Przyjemność.

Nie mówiłem językiem tych, którzy rządzą ludźmi, królów, zdobywców, dyktatorów, generałów. W tym języku na jego pytanie nie było odpowiedzi. Ponury i nie przekonany, Argaven wpatrywał się w ogień kołysząc się z nogi na nogę.

— Jak wielkie jest to królestwo w pustce, ta Ekumena?

— W zasięgu Ekumeny znajdują się osiemdziesiąt trzy zamieszkane planety, a na nich około trzech tysięcy narodów, czyli grup antropotypicznych…

— Trzy tysiące? Rozumiem. I niech mi pan teraz powie, dlaczego my, jeden naród przeciwko trzem tysiącom, mielibyśmy zadawać się ze wszystkimi tymi narodami potworów mieszkającymi w pustce? — Odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, bo nadal prowadził pojedynek i

zadał retoryczne pytanie, właściwie zakpił. Ale ten żartobliwy ton był powierzchowny. Król, jak mnie ostrzegł Estraven, był zaniepokojony, przestraszony.

— Trzy tysiące narodów na osiemdziesięciu trzech planetach, Wasza Wysokość, ale najbliższa oddalona jest od Gethen o siedemnaście lat podróży statkiem, który leci prawie z prędkością światła. Jeżeli Wasza Wysokość obawia się, że Gethen mogą zagrażać najazdy i inne kłopoty ze strony sąsiadów, to proszę pomyśleć o odległościach wchodzących w grę. W kosmosie najazdy nie są warte zachodu. Nie wspomniałem o wojnie i nie bez kozery, bo w języku karhidzkim nie ma takiego słowa. — Wymiana natomiast jest opłacalna. Wymiana myśli i technik dokonywana za pomocą astrografu. Wymiana towarów i produktów za pomocą załogowych i bezzałogowych statków. Wymiana ambasadorów, uczonych i kupców, niektórzy z nich mogliby przybyć tutaj, niektórzy wasi mogliby udać się na inne światy. Ekumena nie jest królestwem, lecz tylko, koordynatorem, giełdą wymiany towarów i wiedzy. Gdyby nie ona, komunikacja między światami człowieka byłaby przypadkowa, a handel wielce ryzykowny. Życie człowieka jest za krótkie w stosunku do podróży między światami, gdyby nie było scentralizowanej sieci, kontroli, ciągłości. Dlatego światy przystępują do Ekumeny… Wszyscy jesteśmy ludźmi, Wasza Wysokość. Wszyscy. Wszystkie zamieszkane światy zostały zasiedlone niezliczone wieki temu przybyszami z jednej planety, Hain. Różnimy się od siebie, ale wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego ogniska.

Nic z tego, co mówiłem, nie wzbudziło ciekawości króla ani go nie przekonało. Mówiłem jeszcze, usiłując zasugerować, że jego i Karhidu szifgrethor uległby wzmocnieniu, a nie osłabieniu przez związek z Ekumeną, ale bez rezultatu. Argaven stał ponury jak stara wydra w klatce, przestępując z nogi na nogę i obnażając zęby w bolesnym uśmiechu. Przestałem mówić.

— Czy wszyscy są czarni tak jak pan?

Getheńczycy są z reguły żółtobrązowi albo czerwonobrązowi, ale widziałem wielu równie ciemnoskórych jak ja.

— Są i ciemniejsi — powiedziałem. — Mamy różne kolory skóry — i otworzyłem walizeczkę (czterokrotnie zrewidowaną przez straż pałacową, zanim dotarłem do Czerwonej Sali); mieściła mój astrograf i nieco materiału ilustracyjnego. Filmy, fotografie, reprodukcje i trochę kostek holograficznych składało się na małą galerię człowieka: mieszkańcy Hain, Chiffewaru, Ceteńczycy, ludzie z S, Terry i Alterry, z Kapteyn, Ollul, Czwartej Taurusa, Rokanan, Ensbo, Cime, Gde i Sziszel… Niektóre zwróciły uwagę króla.

— Co to jest?

— Osoba z planety Cime, kobieta. — Musiałem użyć słowa,

którym Getheńczycy określają tylko osobę w kulminacyjnej fazie kemmeru, bo do wyboru miałem jeszcze słowo oznaczające samicę zwierzęcia.

— Na stałe?

— Tak.

Wypuścił z ręki kostkę i stał przestępując z nogi na nogę, patrząc na mnie albo tuż nad moją głową, odblask ognia igrał na jego twarzy.

— Czy oni wszyscy są tacy… tacy jak pan?

To była bariera, której wie mogłem dla nich obniżyć. Muszą w końcu nauczyć się ją przekraczać.

— Tak. Z tego, co wiemy, fizjologia seksualna Getheńczyków jest unikalna wśród istot ludzkich.

— Zatem wszyscy oni na tych wszystkich planetach są w nieustannym kemmerze? Społeczeństwo zboczeńców? Pan Tibe tak twierdził, ale myślałem, że to żarty. Cóż, może to i prawda, ale to odrażające, panie Ai, i nie rozumiem, dlaczego ludzie tej ziemi mieliby sobie życzyć albo dopuszczać jakiekolwiek kontakty z takimi odmieńcami. Ale pan zapewne chce mi powiedzieć, że nie mam w tej sprawie żadnego wyboru.

— Wybór w imieniu Karbidu należy do Waszej Wysokości.

— A jeżeli panu też każę się stąd zabierać?

— Cóż, to wyjadę. Może spróbuję jeszcze raz w następnym pokoleniu.

To go ruszyło.

— Czy jest pan nieśmiertelny? — rzucił.

— Nie, Wasza Wysokość. Ale przeskoki czasowe mają swoje działania uboczne. Gdybym wyruszył teraz z Gethen na najbliższy świat, Ollul, spędziłbym siedemnaście lat czasu planetarnego w drodze. Przeskoki czasowe są funkcją podróżowania z prędkością podświetlną. Gdybym natychmiast wsiadł na statek i wrócił, kilka godzin spędzonych na pokładzie oznaczałoby tutaj trzydzieści cztery lata i mógłbym próbować od nowa. — Ale idea przeskoku czasowego sugerującego pseudonieśmiertelność, która fascynowała każdego, kto o niej usłyszał, od rybaka z wyspy Horden do kanclerza, na nim nie zrobiła wrażenia.

— Co to jest? — spytał ostrym, przenikliwym głosem.

— Astrograf, Wasza Wysokość.

Radio?

— Astrograf nie wykorzystuje fal radiowych ani żadnej innej formy energii. Zasada, na jakiej działa, stała równoczesności, jest pod wieloma względami analogiczna do grawitacji… — Znów zapomniałem, że nie rozmawiam z Estravenem, który przeczytał wszystkie raporty na mój temat i słuchał wnikliwie i inteligentnie wszystkich moich wyjaśnień, ale ze znudzonym królem. — Astrograf

przekazuje wiadomość w tym samym momencie, w którym została nadana. Niezależnie od odległości. Jeden punkt musi być umiejscowiony na planecie o określonej masie, ale drugi jest ruchomy. To jest właśnie końcówka. Nastawiłem koordynaty na macierzysty świat, Hain. Statek kosmiczny leci z Gethen do Hain sześćdziesiąt siedem lat, ale jeżeli wystukam na tej klawiaturze wiadomość do Hain, zostanie odebrana w tym samym momencie, w którym ją nadaję. Czy jest coś, co Wasza Wysokość chciałby przekazać stabilom na Hain?

— Nie znam języka pustki — odparł król z tępym, złośliwym uśmiechem.

— Uprzedziłem ich i mają w pogotowiu człowieka znającego karhidyjski.

— Jak? W jaki sposób?

— Jak Wasza Wysokość wie, nie jestem pierwszym obcym przybyszem na Gethen. Poprzedził mnie zespół zwiadowców, którzy nie ogłaszali swojej obecności, ale udając Getheńczyków wędrowali przez rok po Karhidzie, Orgoreynie i Archipelagu. Potem odlecieli i złożyli sprawozdanie Radzie Ekumeny przeszło czterdzieści lat temu, za panowania dziada Waszej Wysokości. Ich sprawozdanie było wyjątkowo przychylne. Potem przestudiowałem zebrane przez nich informacje i zapisane przez nich języki i przyleciałem. Czy Wasza Wysokość chciałby zobaczyć, jak to urządzenie działa?

— Nie lubię sztuczek, panie Ai.

— To nie jest sztuczka, Wasza Wysokość. Uczeni Waszej Wysokości przebadali…

— Nie jestem uczonym.

— Wasza Wysokość jest monarchą. Ludzie równi rangą Waszej Wysokości na macierzystym świecie Ekumeny czekają na wiadomość od Waszej Wysokości.

Spojrzał na mnie z wściekłością. Usiłując pochlebić mu i wzbudzić jego zainteresowanie wpędziłem go w pułapkę prestiżową. Wszystko wychodziło nie tak.

— Bardzo dobrze. Proszę spytać swojej maszyny, co czyni człowieka zdrajcą.

Powoli stukałem po klawiszach przerobionych na karhidyjskie znaki. "Król Karhidu Argaven zapytuje stabilów na Hain, co czyni człowieka zdrajcą". Litery zapłonęły na małym ekranie i zgasły. Argaven zapatrzył się i przez chwilę przestał kołysać się na nogach.

Nastąpiła przerwa, długa przerwa. W odległości siedemdziesięciu dwóch lat świetlnych ktoś bez wątpienia gorączkowo zasypywał komputer pytaniami w kwestii języka karhidyjskiego, a może i filozofii. Wreszcie ekran zapłonął jasnymi literami, które trwały na nim przez chwilę i powoli zgasły. "Dla króla Karhidu na Gethen Argavena pozdrowienia. Nie wiem, co czyni człowieka zdrajcą.

Trudno to stwierdzić, bo nikt nie uważa się za zdrajcę. Z szacunkiem G.F. Spimolle za stabilów w mieście Sair na Hain, 93/1491/45".

Wręczyłem królowi taśmę z wydrukowanym tekstem. Rzucił ją na stół, podszedł znów do środkowego kominka, prawie wszedł do niego i kopnął płonące kłody, a potem gasił dłonią iskry na ubraniu.

— Równie użyteczną odpowiedź mógłbym otrzymać od pierwszego lepszego wieszcza. Odpowiedzi to za mało, panie Ai. Pańskie pudełko, ta machina, też. Pański statek też. Kilka sztuczek i jeden magik. Chce pan, żebym panu uwierzył, żebym uwierzył pańskim opowieściom i posłaniom. Tylko dlaczego miałbym wierzyć i słuchać? Jeżeli tam, wśród gwiazd, jest osiemdziesiąt tysięcy światów zaludnionych zwyrodnialcami, to co z tego? Nie chcemy mieć z nimi nic wspólnego. Wybraliśmy własną drogę i szliśmy nią przez długie wieki. Karhid stoi w przededniu nowej epoki, nowego okresu świetności. Pójdziemy dalej naszą drogą. — Zawahał się, jakby stracił wątek swojego wykładu, zapewne zresztą nie swojego. Jeżeli Estraven nie był już Królewskim Uchem, był nim ktoś inny. — I jeżeli ci Ekumeńczycy chcieliby czegoś od nas naprawdę, to nie wysłaliby pana w pojedynkę. To jakiś żart, oszustwo. Obcy nadciągnęliby tu tysiącami.

— Nie potrzeba tysiąca ludzi, żeby otworzyć drzwi, Wasza Wysokość.

— Mogą być potrzebni, żeby nie pozwolić ich zamknąć.

— Ekumena będzie czekać, aż Wasza Wysokość otworzy je sam. Nie będzie niczego wymuszać. Wysłano mnie samego i pozostanę tutaj sam, żeby uniemożliwić powstanie jakichkolwiek obaw.

— Obaw? — powiedział król odwracając uśmiechniętą, pokrytą szramami cienia twarz. Mówił głosem podniesionym i zaskakująco wysokim. — Ależ ja się pana i tak boję, panie wysłanniku. Boję się tych, którzy pana przysłali. Boję się kłamców, boję się magików, a nade wszystko boję się gorzkiej prawdy. 1 dzięki temu rządzę moim krajem dobrze. Bo tylko strach rządu ludźmi. Nic innego się nie sprawdza. Nic innego nie działa wystarczająco długo. Pan jest tym, za kogo się pan podaje, a jednak jest pan żartem, oszustwem. Wśród gwiazd nie ma nic, tylko pustka, strach i ciemność, a pan przybył stamtąd w pojedynkę, żeby mnie nastraszyć. Ale ja jestem już przestraszony i jestem królem. Strach jest królem! A teraz niech pan zabiera swoje sztuczki i pułapki i idzie sobie. To wszystko. Wydałem rozkazy zezwalające panu na pobyt w Karbidzie.

Tak rozstałem się z królewskim majestatem. Szedłem stukając obcasami po nieskończonej czerwonej posadzce w czerwonym półmroku sali audiencyjnej, aż oddzieliły mnie od niego ostatnie podwójne drzwi.

Zawiodłem. Zawiodłem całkowicie. Jednak tym, co mnie

niepokoiło, kiedy opuszczałem Dom Królewski i szedłem przez dziedziniec Pałacu, była nie tyle moja klęska, ile udział w niej Estravena. Dlaczego król wypędził go za działanie na rzecz Ekumeny (to jakby wynikało z tekstu proklamacji), jeżeli według słów samego króla robił coś wręcz przeciwnego? Kiedy zaczął doradzać królowi, żeby nie dawał mi posłuchu, i dlaczego`? Dlaczego on został wygnany, a mnie zostawiono w spokoju? Który z nich kłamał bardziej i po co, u diabła, kłamali?

Estraven, żeby ratować własną skórę, uznałem, a król, żeby ratować twarz. Wyjaśnienie było gładkie, ale czy Estraven kiedyś rzeczywiście mnie okłamał? Stwierdziłem, że nie wiem.

Mijałem Narożny Czerwony Dom. Brama do ogrodu stała otworem. Spojrzałem na białe drzewa serem pochylone nad ciemną sadzawką, na ścieżki z różowej cegły, puste w łagodnym, szarym świetle popołudnia. Resztki śniegu leżały jeszcze w cieniu głazów przy sadzawce. Pomyślałem o Estravenie, który czekał tu na mnie zeszłego wieczoru w padającym śniegu, i poczułem przypływ zwykłej litości dla człowieka, którego jeszcze wczoraj oglądałem w całej wspaniałości, spoconego pod ciężarem paradnego stroju i władzy, człowieka u szczytu kariery, potężnego i wspaniałego, a teraz strąconego, zdegradowanego, przegranego. Śpieszącego ku granicy, ze śmiercią ścigającą go w odstępie trzech dni, bez możliwości odezwania się do kogokolwiek. Kara śmierci jest bardzo rzadka w Karhidzie. Życie na Zimie jest ciężkie i ludzie tutaj na ogół pozostawiają śmierć naturze i gniewowi, nie prawu. Zastanawiałem się, jak Estraven, z tym wyrokiem za plecami, podróżuje. Nie w samochodzie, bo wszystkie są tu własnością Pałacu. Czy statek albo łódź lądowa wzięłyby go na pokład? Karhidyjczycy podróżują zazwyczaj pieszo, nie mają zwierząt pociągowych ani pojazdów latających, pogoda utrudnia poruszanie się pojazdów z napędem mechanicznym przez większość roku, a oni nie są ludźmi, którym się śpieszy. Wyobraziłem sobie tego dumnego człowieka idącego na wygnanie krok za krokiem, małą postać na długiej drodze prowadzącej na zachód, ku zatoce. Wszystko to kłębiło mi się w głowie, kiedy mijałem bramę Narożnego Czerwonego Domu, a jednocześnie snułem gorączkowe spekulacje na temat czynów i motywów Estravena i króla. Moje sprawy z nimi były skończone. Poniosłem klęskę. Co dalej?

Powinienem udać się do Orgoreynu, sąsiada i rywala Karhidu. Tylko skoro raz tam pojadę, mogę mieć trudności z powrotem do Karhidu, a nie skończyłem tu swoich spraw. Musiałem pamiętać, że całe moje życie może być i najprawdopodobniej będzie poświęcone dopełnieniu mojej misji dla Ekumeny. Nie ma pośpiechu. Nie ma powodu, żeby śpieszyć sil do Orgoreynu, póki nie dowiem się czegoś więcej na temat Karhidu, zwłaszcza na temat stanic. Przez dwa lata

odpowiadałem na pytania, teraz będę je zadawał. Ale nie w Erhenrangu. Zrozumiałem wreszcie, że Estraven mnie ostrzegał i chociaż mogłem jego ostrzeżeniom nie dowierzać, to nie mogłem ich lekceważyć. Wprawdzie nie wprost, ale dawał mi do zrozumienia, że powinienem trzymać się z dala od miasta i od dworu. Ni z tego, ni z owego przypomniały mi się zęby pana Tibe… Król pozwolił mi poruszać się po kraju, skorzystam więc z tego. Jak uczą w szkole Ekumeny: "kiedy działanie nie daje korzyści, zbieraj informacje; kiedy informacje nie dają korzyści, kładź się spać". Nie chciało mi się jeszcze spać. Odwiedzę chyba stanice na wschodzie i zbiorę trochę informacji od wieszczów.

4. Dzień dziewiętnasty

Wschodnioarhidyjska opowieść zapisana w ognisku Gorinhering ze słów Toborda Chorhawa przez G.A., 93/1492.

Pan Berosty rem in Ipe przybył do stanicy Thangering, żeby zaofiarować czterdzieści beryli i połowę rocznego zbioru ze swoich sadów jako cenę za przepowiednię, i cena została zaakceptowana. Zadał wówczas Tkaczowi Odrenowi pytanie o dzień swojej śmierci.

Wieszczowie zebrali się i wszyscy razem pogrążyli się w ciemność. Kiedy wyszli z ciemności, Odren ogłosił odpowiedź: "Umrzesz w dniu odstreth" (tj. w dziewiętnastym dniu miesiąca).

— W jakim miesiącu? Za ile lat? — krzyknął Berosty, ale kontakt został już zerwany i nie uzyskał odpowiedzi. Wbiegł wówczas do środka kręgu, chwycił Tkacza Odrena za gardło i krzyknął, że jeżeli nie dostanie odpowiedzi, skręci mu kark. Odciągnięto go i przytrzymano, choć był bardzo silny. Wyrywał się i krzyczał: — Dajcie mi odpowiedź!

Odren rzekł:

— Otrzymałeś odpowiedź, zapłaciłeś cenę, idź!

Wściekły Berosty rem ir Ipe wrócił do Czaruthe, trzeciej domeny swojego rodu, ubogiej posiadłości w północnym Osnorinerze, którą jeszcze zubożył, żeby opłacić wyrocznię. Tam zamknął się w zamku, na najwyższym piętrze wieży, której nie opuszczał ani na siewy, ani na żniwa, ani na kemmer, ani na bitwę, i tak minął miesiąc, sześć, dziesięć miesięcy, a on czekał w swojej wieży jak skazaniec i czekał. W dniach onnetherhad i odstreth (osiemnasty i dziewiętnasty dzień każdego miesiąca) nie jadł, nie pił i nie spał.

Jego kemmeringiem z miłości i przez śluby był Herbor z klanu Gegannerów. Tenże Herbor przybył w miesiącu grende do stanicy Thangering i powiedział Tkaczowi:

— Chcę zadać wyroczni pytanie.

— Czym chcesz zapłacić? — spytał Odren, bo zobaczył, że pytający jest ubogo odziany, jego sanie są stare i wszystko, co ma, wymaga naprawy.

— Daję swoje życie — odparł Herbor.

— Czy nie masz nic innego, panie? — spytał go Odren zwracając się do niego tym razem jak do wielkiego pana. Nic, co mógłbyś zaofiarować?

— Nie mam nic innego — odpowiedział Herbor — i nie wiem, czy moje życie ma tu dla was jakąś wartość.

— Nie — powiedział Odreon — nie ma żadnej wartości.

Wówczas Herbor targany wstydem i miłością padł na kolana i zawołał do Odrena:

— Błagam o tę odpowiedź. Nie chcę jej dla siebie!

— Dla kogo więc! — spytał Tkacz.

— Dla mojego pana i kemmeringa Ashe Berosty odpowiedział Herbor i zalał się łzami. — Odkąd przybył tutaj i dostał odpowiedź, która nie była odpowiedzią, nie wie, co to miłość ani radość, nie cieszy się panowaniem. On od tego umrze.

— To umrze. Na co ma człowiek umrzeć, jak nie na swoją śmierć? — powiedział Tkacz Odren. Ale cierpienie Herbora wzruszyło go i po chwili dodał: — Poszukam odpowiedzi, o którą ci chodzi, panie, nie żądając zapłaty. Ale pamiętaj, że wszystko ma swoją cenę. Pytający zawsze płaci tyle, ile ma zapłacić.

Wówczas Herbor przyłożył dłonie Odrena do swoich oczu na znak wdzięczności i przystąpiono do wróżby. Wieszczowie zebrali się i zeszli w ciemność. Herbor wszedł między nich i zadał pytanie: — Jak długo będzie żył Asze Berosty nem ir Ipe? — Herbor myślał, że uzyska ilość dni lub lat i w ten sposób uspokoi serce swojego ukochanego. Wieszczowie szukali w ciemności i wreszcie Odren krzyknął w wielkim bólu, jakby go przypiekano ogniem: — Dłużej niż Herbor z Gegannerów!

Nie była to odpowiedź, na jaką Herbor liczył, ale była to odpowiedź, jaką dostał, i mając cierpliwe serce wrócił z nią przez śniegi grende do domu w Czaruthe. Przybył do domeny, potem do zamku i wbiegł na wieżę, gdzie nastał swojego kemmeringa Berosty siedzącego bez ruchu i bez wyrazu przy dogasającym ogniu, z rękami opartymi na stole z czerwonego kamienia i z nisko zwieszoną głową.

— Asze — powiedział Herbor — byłem w stanicy Thangering i otrzymałem od wieszczów odpowiedź. Spytałem, jak długo będziesz żył, i odpowiedzieli: "Berosty będzie żył dłużej niż Herbor".

Berosty podniósł wolno głowę, jakby mu zardzewiały zawiasy w karku i odezwał się:

— Czy spytałeś ich, kiedy umrę?

— Spytałem, jak długo będziesz żył.

— Jak długo? Głupcze! Miałeś prawo zadać wyroczni pytanie i nie spytałeś, kiedy umrę, którego dnia, miesiąca, roku, ile mi zostało dni, tylko spytałeś, jak długo? Ty głupcze, ty skończony głupcze, dłużej niż ty, tak, dłużej niż ty!

Berosty porwał duży stół z czerwonego kamienia, jakby to był kawałek blachy, i spuścił go na głowę Herbom. Herbor upadł przywalony ciężarem. Berosty stał przez chwilę oniemiały. Potem uniósł stół i zobaczył, że roztrzaskał Herborowi czaszkę. Wtedy odstawił kamienny stół na miejsce, a sam położył się obok zabitego i otoczył go ramieniem, jakby byli w kemmerze i nic się nie stało. Tak znaleźli ich ludzie z Czaruthe, kiedy wreszcie wyważyli drzwi do pokoju w wieży. Berosty oszalał i trzeba go było trzymać w

zamknięciu, bo stale szukał Herbora uważając, że ten jest gdzieś w domenie. Tak żył przez miesiąc, aż powiesił się w dniu odstreth, dziewiętnastym dniu miesiąca thern.

5. Oswajanie przeczucia

Moja gospodyni, osoba usłużna, zorganizowała mi podróż na wschód.

— Jeżeli ktoś chce odwiedzić stanice, musi przebyć góry Kargav i udać się do Starego Karhidu, do Rer, dawnej stolicy. Tak się składa, że mój brat z ogniska, który prowadzi karawany łodzi lądowych przez przełęcz Eskar, nie dalej jak wczoraj mówił mi przy kubku orszu, że tego lata wyruszą na pierwszą wyprawę w dniu getheny osme, bo wiosna jest wyjątkowo ciepła, droga jest już przyjezdna do Engohar i za kilka dni pługi utorują drogę przez przełęcz. Ja tam za nic nie wybrałbym się przez Kargav, wolę Erhenrang i dach nad głową. Ale ja jestem jomesztą, niech będzie pochwalonych dziewięciuset strażników tronu i niech będzie błogosławione mleko Mesze, a jomesztą można być wszędzie. My jesteśmy ludzie nowi, nasz Pan Mesze narodził się dwa tysiące dwieście dwa lata temu, a Stara Droga, handdara, jest o dziesięć tysięcy lat starsza. Kto szuka Starej Drogi, musi iść do Starego Kraju. Niech pan posłucha, panie Ai, będę zawsze mieć dla pana pokój na tej wyspie, ale myślę, że mądrze pan robi wyjeżdżając na jakiś czas z Erhenrangu, bo wszyscy wiedzą, że ten zdrajca bardzo się obnosił z pańską przyjaźnią. Teraz, kiedy Królewskim Uchem jest stary Tibe, wszystko znów pójdzie dobrze. Tego mojego brata znajdzie pan w Nowym Porcie i jak mu pan powie, że ja pana przysyłam…

I tak dalej. Był, jak wspomniałem, usłużny i od kiedy odkrył, że nie mam szifgrethoru, przy każdej okazji zasypywał mnie radami, choć maskował je różnymi "jeżeli" i "gdyby". Był administratorem mojej wyspy. Myślałem o nim zawsze jako o gospodyni z powodu pokaźnego zadka, którym kręcił chodząc, a także z powodu miękkiej nalanej twarzy i wścibskiego, nieznośnego, ale dobrego charakteru. Był dla mnie dobry i jednocześnie podczas mojej nieobecności pokazywał mój pokój za niewielką opłatą poszukiwaczom sensacji: Zobaczcie pokój tajemniczego wysłannika! Był tak kobiecy w wyglądzie i zachowaniu, że kiedyś spytałem go, ile ma dzieci, tak jakbym pytał matkę. Spochmurniał. Okazało się, że nie urodził ani jednego, za to spłodził sporo. Był to jeden z tych małych wstrząsów, jakich doznawałem na każdym kroku. Szok kulturowy był niczym w porównaniu z szokiem biologicznym, którego doznawałem jako osobnik płci męskiej wśród istot ludzkich, będących przez pięć szóstych czasu hermafrodytycznymi eunuchami.

Biuletyny radiowe pełne były wiadomości na temat nowego premiera, Pemmera Harge rem ir Tibe'a. Wiele tych wiadomości dotyczyło spraw doliny Sinoth na północy kraju. Tibe widocznie zamierzał nasilić roszczenia Karhidu w tym regionie: typowa akcja,

która na każdej innej planecie w tym stadium rozwoju prowadziłaby do wojny. Ale na Gethen nic nie prowadziło do wojny. Spory, morderstwa, walki feudalne, zajazdy, wendety, zamachy, tortury i nienawiść — wszystko to mieściło się w repertuarze ich ludzkich dokonań, ale wojen nie :prowadzili. Brakowało im jakby zdolności do mobilizowania się. Zachowywali się pod tym względem jak zwierzęta. Albo jak kobiety. Nie tak jak mężczyźni albo mrówki. W każdym razie nigdy dotąd tego nie zrobili. To, co wiedziałem na temat Orgoreynu, sugerowało kształtowanie się od pięciu lub sześciu stuleci społeczeństwa coraz bardziej zdolnego do mobilizacji, prawdziwego państwa narodowego. Współzawodnictwo prestiżowe, jak na razie głównie ekonomiczne, mogło zmusić Karhid do pójścia w ślady większego sąsiada, do stania się narodem, a nie kłótnią rodzinną, jak powiedział Estraven, do odkrycia, jak to również ujął Estraven, patriotyzmu. Gdyby tak się stało, Getheńczycy mieliby wielką szansę na osiągnięcie stanu niezbędnego do wojny.

Miałem zamiar udać się do Orgoreynu, żeby się przekonać, czy moje podejrzenia co do tego kraju są słuszne, ale przedtem chciałem skończyć z Karhidem, sprzedałem więc na ulicy Eng następny rubin jubilerowi ze szramą na twarzy — i bez bagażu, ale z pieniędzmi, astrografem, kilkoma przyrządami i ubraniem na zmianę wyruszyłem w pierwszym dniu pierwszego letniego miesiąca jako pasażer z karawaną handlową.

Łodzie lądowe wyruszyły o świcie ze smaganych wichrem doków załadunkowych Nowego Portu. Przejechawszy pod Łukiem skręciły na wschód, dwadzieścia wielkich, cichych pojazdów przypominających barki na gąsienicach posuwało się jeden za drugim głębokimi ulicami Erhenrangu w porannym półmroku. Wiozły skrzynie soczewek, szpule taśm dźwiękowych, drutu miedzianego i platynowego, bele materiałów tkanych z włókna roślinnego zbieranego na Wyżynie Zachodniej, worki suszonych płatków rybnych znad zatoki, skrzynki łożysk tocznych i innych części zamiennych do maszyn, a dziesięć łodzi było załadowanych ziarnem kadik z Orgoreynu. Wszystko przeznaczone do Burzliwego Pogranicza Pering, północno — wschodniego krańca kraju. Cały transport na Wielkim Kontynencie odbywa się za pomocą tych elektrycznych pojazdów, które tam, gdzie to jest tylko możliwe, przewożone są rzecznymi barkami. W miesiącach głębokich śniegów jedynym środkiem transportu poza nartami i ciągnionymi przez ludzi sankami są powolne pługi śnieżne, sanie elektryczne i niepewne łodzie lodowe na zamarzniętych rzekach. Podczas odwilży nie można polegać na żadnych środkach transportu i dlatego większość towarów przewozi się pospiesznie w miesiącach letnich. Na drogach wówczas roi się od karawan. Ruch podlega kontroli, każdy pojazd lub karawana ma obowiązek utrzymywać stały

kontakt radiowy z posterunkach drogach. Wszystko to, choć w tłoku, posuwa się ze średnią prędkością trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Getheńczycy mogliby budować szybsze pojazdy, ale tego nie robią. Zapytani dlaczego, odpowiadają: "Po co?" Tak jak ziemianie zapytani, dlaczego ich pojazdy muszą jeździć tak szybko, odpowiedzieliby: "A dlaczego nie?" Co kto lubi. Ziemianie uważają, że należy stale posuwać się do przodu, działać na rzecz postępu. Dla ludzi Zimy, którzy zawsze żyją w roku pierwszym, postęp jest mniej ważny niż teraźniejszość. Ja byłem ziemianinem i przy wyjeździe z Erhenrangu denerwowało mnie leniwe tempo karawany. Miałem ochotę wysiąść i biec przed siebie. Cieszyło mnie to, że wydostałem się z tych długich kamiennych ulic przytłoczonych czarnymi, stromymi dachami i niezliczonymi wieżami, z tego ponurego miasta, w którym strach i zdrada przekreśliły moje nadzieje.

Wspinając się na podgórze Kargavu karawana robiła krótkie, ale częste postoje na posiłki w przydrożnych zajazdach. Po południu po raz pierwszy ujrzeliśmy ze szczytu wzgórza pełną panoramę gór. Zobaczyliśmy Kostor, który ma siedem i pół kilometra od stóp do szczytu. Olbrzymi masyw jego zachodniego zbocza krył położone na północ od niego szczyty, a niektóre z nich sięgały dziesięciu tysięcy metrów. Na południe od Kostoru na tle bezbarwnego nieba wznosił się szczyt za szczytem. Naliczyłem trzynaście, ostatni był nieokreślonym błyskiem we mgle daleko na południu. Kierowca wymienił mi ich nazwy i opowiedział mi o lawinach, o łodziach lądowych zmiatanych z dróg przez górskie wichry, o załogach pługów śnieżnych uwięzionych tygodniami na niedostępnych wysokościach, i tak dalej, wszystko z czystej przyjaźni, żeby mnie przestraszyć. Opisał mi, jak jadący przed nim pojazd wpadł w poślizg i stoczył się w przepaść głębokości przeszło trzystu metrów. Najdziwniejsze było to, mówił, jak powoli spadał. Zdawało się, że płynął w powietrzu przez całe popołudnie i kierowca, jak twierdził, odczuł ulgę, kiedy wreszcie zniknął bez dźwięku w kilkunastometrowym śniegu na dnie.

O trzeciej godzinie zatrzymaliśmy się na obiad w dużym, bogatym zajeździe z wielkimi, huczącymi ogniem kominkami i z rozległym belkowanym sufitem, ze stołami zastawionymi dobrym jedzeniem, ale nie zatrzymaliśmy się tam na noc. Nasza karawana śpieszyła (w karhidyjskim tego słowa znaczeniu) dzień i noc, żeby przed innymi przybyć do Pering i zgarnąć śmietankę z tamtejszego rynku. Wymieniono akumulatory łodzi, nastąpiła zmiana kierowców i ruszyliśmy dalej. Jeden z pojazdów w karawanie służył za wagon sypialny, ale tylko dla kierowców. Dla pasażerów nie było łóżek. Spędziłem tę noc w zimnej kabinie na twardym siedzeniu z jedną tylko przerwą, koło północy, na kolację w małym zajeździe wysoko w górach. Karhid nie jest krajem dla ludzi rozmiłowanych w wygodach.

O świcie przekonałem się, że zostawiliśmy za sobą wszystko prócz skał, lodu, światła i wąskiej drogi pod naszymi gąsienicami, prowadzącej cały czas pod górę. Trzęsąc się z zimna pomyślałem, że są rzeczy ważniejsze niż wygody, chyba że się jest starą kobietą albo kotem.

Wśród tych budzących grozę śnieżno — granitowych zboczy nie było już zajazdów. W porach posiłków łodzie lądowe zatrzymywały się cicho jedna za drugą na trzydziestostopniowej śnieżnej pochyłości, wszyscy wysiadali z kabin i zbierali się wokół wozu sypialnego, z którego wydawano talerze gorącej zupy, kostki suszonych chlebowych jabłek i gorzkie piwo w kubkach. Staliśmy przytupując na śniegu, jedząc i pijąc łapczywie, zwróceni plecami do przenikliwego wiatru niosącego połyskliwy śnieżny pył. Potem z powrotem' do łodzi i dalej w górę. W południe na przełęczy Wehoth na wysokości około czterech i pół kilometra było przeszło czterdzieści stopni ciepła w słońcu i grubo poniżej zera w cieniu. Silniki elektryczne pracowały tak cicho, że słyszało się lawiny schodzące z potężnych granitowych zboczy odległych o trzydzieści kilometrów.

Późnym popołudniem pokonaliśmy najwyższy szczyt podróży. Spojrzawszy w górę na południowe zbocze Kostoru, po którym pełzliśmy jak mrówki przez cały dzień, ujrzałem kilkaset metrów powyżej drogi dziwną grupę skał, coś na kształt zamku.

— Widzi pan stanicę? — spytał kierowca.

— Czy to budynek?

— To stanica Ariskostor.

— Przecież tutaj nie można żyć.

— O, Starzy Ludzie mogą. Jeździłem kiedyś w karawanie, która im dowoziła żywność z Erhenrangu późnym latem. Oczywiście nie wychodzą na zewnątrz przez dziesięć czy jedenaście miesięcy w roku, ale im to nie przeszkadza. Jest ich tam siedmiu albo ośmiu.

Spojrzałem na skarpy litej skały, tak samotne w bezmiernej samotności gór, i nie mogłem uwierzyć kierowcy, ale zawiesiłem swoje niedowierzanie. Jeżeli jakieś istoty ludzkie mogły w ogóle przeżyć w takim lodowym gnieździe, to tylko Karhidyjczycy.

Droga w dół wiła się szerokimi zakosami z północy na południe nad skrajami przepaści, bo wschodni stok Kargavu jest bardziej stromy niż zachodni i schodzi ku równinie wielkimi uskokami. O zachodzie zobaczyliśmy sznur małych kropek pełznących przez ogromny biały cień przeszło dwa kilometry pod nami. Była to karawana, która opuściła Erhenrang dzień wcześniej. Pod koniec następnego dnia osiągnęliśmy to samo miejsce i pełzliśmy po śnieżnym zboczu ostrożnie, bojąc się kichnąć, żeby nie spowodować lawiny. Stamtąd ujrzeliśmy na chwilę, daleko w dole i na wschód od nas, niewyraźne zarysy rozległej krainy przesłoniętej chmurami i cieniami chmur,

poprzecinanej srebrem rzek — Równiny Rer.

O zmierzchu czwartego dnia, licząc od wyjazdu z Erhenrangu, dotarliśmy do Rer. Te dwa miasta dzieli prawie tysiąc pięćset kilometrów, ściana wysokości kilku kilometrów i dwa do trzech tysięcy lat. Karawana zatrzymała się przed bramą Zachodnią, gdzie musiała przenieść się na barki i popłynąć kanałem. Żadna łódź lądowa kani samochód nie mogą wjechać do Rer, gdyż zostało ono zbudowane, kiedy Karhidyjczycy nie używali jeszcze pojazdów mechanicznych, a przecież używają ich od przeszło dwudziestu stuleci. W Rer nie ma ulic. Są kryte przejścia — tunele, którymi w lecie można chodzić górą lub dołem, zależnie od upodobania. Domy, wyspy i ogniska wznoszą się bez ładu i składu tworząc chaotyczny, oszałamiający labirynt, który nagle wieńczy (jak często zdarza się z anarchią w Karhidzie) coś wspaniałego: krwawoczerwone, pozbawione okien wielkie wieże pałacu Un. Wieże te, wzniesione przed siedemnastoma stuleciami, stanowiły siedzibę królów Karbidu przez tysiąclecie, póki Argaven Harge, pierwszy ze swojej dynastii, nie przekroczył Kargavu i nie zasiedlił wielkiej doliny na Zachodniej Wyżynie. Wszystkie budynki w Rer są fantastycznie masywne, głęboko osadzone w gruncie, zabezpieczone przed mrozem i wodą. Zimą wiatry z równin mogą nie dopuszczać do gromadzenia się śniegu, ale kiedy przychodzą zamiecie, ulic się nie oczyszcza, bo ulic nie ma. Korzysta się z kamiennych przejść albo przekopuje się tymczasowe tunele w zaspach. Wówczas tylko dachy wznoszą się ze śniegu, a drzwi zimowe umieszczone są pod okapami albo w samych dachach, jak facjaty. Odwilż jest najcięższą porą na tej równinie wielu rzek. Tunele zmieniają się wówczas w kanały burzowe, a przestrzenie między domami — w kanały i jeziora, po których mieszkańcy miasta pływają łodziami odpychając drobne kry wiosłami. ł zawsze ponad kurzem lata, labiryntem zaśnieżonych dachów w zimie i wiosennym potopem wznoszą się czerwone wieże, puste, niezniszczalne serce miasta.

Zamieszkałem w ponurym i drogim zajeździe, który przycupnął w cieniu wież. Wstałem o świcie po źle przespanej nocy, zapłaciłem zdziercy za łóżko, śniadanie oraz mętne wskazówki co do drogi i wyruszyłem pieszo w poszukiwaniu Otherhordu, pradawnej stanicy w pobliżu Rer. Zabłądziłem po przejściu pięćdziesięciu metrów. Uważając, żeby mieć wieże za plecami i ogromny biały masyw Kargavu po prawej, wydostałem się z miasta w kierunku południowym, a spotkane na drodze chłopskie dziecko powiedziało mi, gdzie mam skręcić do Otherhordu.

Dotarłem tam w południe. To znaczy dotarłem dokądś w południe, ale nie byłem pewien, gdzie jestem. Był to w zasadzie las, ale jeszcze staranniej utrzymany niż większość lasów w tym kraju

troskliwych leśników. Ścieżka prowadziła stokiem wzgórza prosto między drzewa. Po chwili dostrzegłem na prawo od ścieżki drewnianą chatę, a zaraz potem spory drewniany budynek, nieco dalej w lewo od ścieżki, i doleciał mnie smakowity zapach smażonej świeżej ryby.

Zwolniłem kroku nie wiedząc, jak wyznawcy handdary odnoszą się do turystów. Wiedziałem o nich, prawdę mówiąc, bardzo mało. Handlara jest religią bez instytucji, bez kapłanów, bez hierarchii, bez ślubów, bez dogmatów. Dotąd nie umiem powiedzieć, czy jest w niej Bóg. Jest nieuchwytna, jest zawsze czymś innym. Jej jedynym materialnym przejawem są stanice, w których można się schronić na jedną noc albo na całe życie. Nie goniłbym za tym dziwnie ulotnym kultem po jego trudno dostępnych sanktuariach, gdyby nie intrygowało mnie pytanie, na które nie znaleźli odpowiedzi zwiadowcy. Kim są wieszczowie i co oni właściwie robią'? Przebywałem już w Karhidzie dłużej niż zwiadowcy i wątpiłem, żeby w opowieściach o wieszczach i o ich przepowiedniach rzeczywiście kryła się jakaś prawda. Legendy o przepowiedniach są wspólne wszystkim światom zamieszkanym przez człowieka. Mówią bogowie, mówią duchy, mówią komputery. Wieloznaczność wyroczni i statystyczne prawdopodobieństwo umożliwiają wiarę, a wiara pozwala przymknąć oko na nieścisłości. Mimo to legendy zasługiwały na zbadanie. Nie zdołałem jak dotąd przekonać ani jednego Karhidyjczyka o istnieniu telepatii. Nie chcieli wierzyć, dopóki tego nie "zobaczą": zupełnie tak jak ja w sprawie wieszczów.

Posuwając się ścieżką uświadomiłem sobie, że w lesie na stoku rozrzucone jest całe miasteczko, równie chaotyczne jak Rer, ale ciche, ukryte, spokojne. Nad wszystkimi dachami i ścieżkami zwieszały się gałęzie hemmenów, najpopularniejszych na planecie rozłożystych drzew iglastych o grubych jasnofioletowych igłach. Igły te pokrywały rozwidlające się ścieżki, wiatr niósł zapach pyłku hemmenów i wszystkie domy zbudowane były z ich ciemnego drewna. Długo zastanawiałem się, do których drzwi zapukać, kiedy jakiś człowiek wyszedł mi naprzeciw z cienia drzew i powitał mnie uprzejmie.

— Czy szukasz może schronienia?

— Przychodzę z pytaniem do wieszczów. — Postanowiłem, na początku przynajmniej, uchodzić za Karhidyjczyka. Podobnie jak zwiadowcy, nigdy nie miałem z tym kłopotów, jeżeli tylko chciałem. Wśród licznych karhidyjskich dialektów mój akcent przechodził nie zauważony, a moje anomalie seksualne były ukryte pod grubą odzieżą. Nie miałem bujnej strzechy włosów ani opuszczonych kącików oczu typowego Getheńczyka, byłem też ciemniejszy i wyższy niż większość z nich, ale nie wykraczałem poza granice spotykanych odmian. Mój zarost został na stałe zlikwidowany przed wyjazdem z Ollul (wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze o "pokrytych sierścią" plemionach z

Perunteru, owłosionych nie tylko na twarzy, ale na całym ciele, jak biali ziemianie). Czasami pytano mnie, kiedy sobie złamałem nos. Mój nos jest płaski, podczas gdy Getheńczycy mają nosy wydatne i wąskie, z długimi kanałami dostosowanymi do oddychania mroźnym powietrzem. Człowiek, który powitał mnie na ścieżce w Otherhordzie, spojrzał na mój nos z umiarkowanym zainteresowaniem i powiedział:

— Wobec tego pewnie zechcesz porozmawiać z Tkaczem? Jest na tamtej polanie, jeżeli nie poszedł już z saniami. A może wolisz najpierw pomówić z którymś z celibantów?

— Sam nie wiem. Jestem wyjątkowym ignorantem… Młody człowiek roześmiał się i skłonił.

— To dla mnie zaszczyt! — powiedział. — Mieszkam tu od trzech lat, ale nie zgromadziłem jeszcze tyle ignorancji, żeby było o czym wspominać. — Był wielce rozbawiony, ale zachowywał się uprzejmie, przywoławszy więc na pamięć różne przypadkowe fragmenty nauki handdary uświadomiłem sobie, że zaprezentowałem się jako samochwał, zupełnie tak, jakbym. przyszedł do niego i powiedział, że jestem wyjątkowo piękny…

— Chciałem powiedzieć, że nie wiem nic na temat wieszczów…

— Godne zazdrości — powiedział młody mnich. Żeby dokądś dojść, musimy zbrukać czysty śnieg śladami stóp. Czy mogę wskazać ci drogę do polany? Nazywam się Goss.

Było to imię.

— Genry — powiedziałem rezygnując ze swojego "1". Wszedłem za Gossem w chłodny cień lasu. Wąska ścieżka często zmieniała kierunek, wspinając się na zbocze i znów schodząc w dół. Co jakiś czas przy ścieżce albo głębiej wśród potężnych pni hemmenów stały małe chatki w kolorze lasu. Wszystko było czerwone i brązowe, wilgotne, nieruchome, żywiczne, mroczne. Z jednej chatki dobiegał nas cichy, słodki świergot karhidyjskiego fletu. Goss szedł kilka metrów przede mną lekkim, szybkim krokiem, z jakimś dziewczęcym wdziękiem. Nagle jego biała koszula zalśniła i wyszedłem w ślad za nim z cienia w pełne słońce na rozległej zielonej polanie.

Dwadzieścia metrów od nas stała jakaś postać, prosta, nieruchoma, wyraźnie odcinająca się od tła, jej czerwony hieb i biała koszula były jak intarsja w jaskrawej emalii na tle zieleni wysokiej trawy. Jakieś sto metrów za nią druga figura, granatowo — biała. Ta druga ani razu nie drgnęła ani nie spojrzała w naszą stronę podczas całej naszej rozmowy z pierwszą. Były pogrążone w handdarskiej praktyce obecności, która jest rodzajem transu (handdarata, wyznawcy handdary, lubujący się w przeczeniach, nazywają to nietransem) prowadzącym do zatraty poczucia własnego ja (do odnalezienia prawdziwego ja?) przez skrajne wyostrzenie zmysłów i świadomości. Chociaż technika ta stanowi dokładne przeciwieństwo

większości technik mistycznych, jest zapewne dyscypliną mistyczną, zmierzającą do doświadczenia immanencji — ale klasyfikacja jakichkolwiek praktyk handdary przekracza moje możliwości. Goss przemówił do osobnika w czerwieni. Kiedy ten wyzwolił się ze swojego intensywnego bezruchu, spojrzał na nas i zbliżył się wolnym krokiem, odczułem jakiś nabożny lęk. W tym południowym słońcu świecił swoim własnym blaskiem.

Był mojego wzrostu, szczupły, miał jasną, otwartą i piękną twarz. Kiedy nasze oczy zetknęły się, odczułem nagły impuls do nawiązania kontaktu telepatycznego, zastosowania myślomowy, której nie używałem od dnia lądowania na Zimie i której na razie używać nie powinienem. Ale impuls był silniejszy niż hamulce. Przemówiłem. Odpowiedzi nie było. Kontakt nie nastąpił. Przyglądał mi się. Po chwili uśmiechnął się i powiedział łagodnym, dość wysokim głosem:

— Jesteś wysłannikiem, prawda?

Zająknąwszy się przyznałem, że tak.

— Nazywam się Faxe. Gościć cię to dla nas zaszczyt. Czy zatrzymasz się w Otherhordzie na jakiś czas?

— Bardzo chętnie. Pragnę dowiedzieć się czegoś o waszej sztuce wieszczenia. I jeżeli jest coś, co wam mogę w zamian powiedzieć o tym, kim jestem i skąd przybywam…

— Cokolwiek zechcesz — powiedział Faxe z pogodnym uśmiechem. — To bardzo miło, że pokonałeś Ocean Kosmosu, a potem jeszcze odbyłeś drogę przez Kargav, żeby nas tu odwiedzić.

— Chciałem odwiedzić Otherhord dla sławy waszych przepowiedni.

— Pewnie zatem chcesz zobaczyć, jak to robimy. A może masz własne pytanie?

Jego czyste spojrzenie zmusiło mnie do powiedzenia prawdy.

— Sam nie wiem — przyznałem.

— Nusuth — powiedział. — Nieważne. Może kiedy pobędziesz tu trochę, dowiesz się, czy masz pytanie, czy nie… Musisz wiedzieć, że wieszczowie mogą się spotykać tylko w określone dni, tak więc musisz u nas trochę pomieszkać.

Zrobiłem tak i były to bardzo przyjemne dni. Panowała tu pełna swoboda poza pracami gospodarskimi, jak roboty w polu i ogrodzie, rąbanie drzewa i naprawy, do których goście tacy jak ja byli przyzywani przez grupę najbardziej potrzebującą rąk do pracy. Gdyby nie to, cały dzień można by spędzić bez jednego słowa. Rozmawiałem prawie wyłącznie z młodym Gossem i Tkaczem Faxe, którego niezwykły charakter, kryształowy i niezgłębiony niczym studnia pełna czystej wody, był kwintesencją tego miejsca. Czasem wieczorami odbywały się spotkania wokół ognia w jednej z niskich, ukrytych wśród drzew chat. Była rozmowa, piwo, nieraz i muzyka, pełna

wigoru karhidyjska muzyka, prosta melodycznie, ale skomplikowana rytmicznie, zawsze grana ex tempore. Któregoś wieczoru tańczyli dwaj mieszkańcy stanicy, tak starzy, że włosy ich pobielały, ciała wychudły, a skośne fałdy skóry do połowy zasłaniały ich ciemne oczy. Ich taniec był powolny, precyzyjny, kontrolowany, fascynujący dla oka i umysłu. Zaczęli tańczyć w trzeciej godzinie po kolacji. Muzykanci włączali się do gry i wychodzili według uznania, wszyscy z wyjątkiem bębnisty, który ani na chwilę nie przestawał wybijać subtelnego, zmiennego rytmu. Dwaj starcy tańczyli nadal o szóstej godzinie, czyli o północy, po pięciu ziemskich godzinach. Po raz pierwszy byłem świadkiem fenomenu dothe — świadomego wykorzystania tego, co my nazywamy "histeryczną siłą" — i odtąd byłem bardziej skłonny wierzyć w opowieści o Starych Ludziach handdary.

Było to życie zwrócone do wewnątrz, samowystarczalne, nieruchome, pogrążone w tej szczególnej "ignorancji" tak cenionej przez wyznawców handdary i podporządkowane zasadzie niedziałania i nieinterwencji. Zasada ta (wyrażona w słowie nusuth, które muszę przetłumaczyć jako "nieważne") stanowi serce kultu i nie mam zamiaru udawać, że ją rozumiem. Ale spędziwszy pół miesiąca w Otherhordzie, zacząłem rozumieć Karhid lepiej. Za fasadą polityki, parad i pasji tego kraju kryje się pradawny mrok, bierny, anarchistyczny, cichy i płodny mrok handdary.

A z tej ciszy i ciemności w nie wyjaśniony sposób rozlega się głos wyroczni.

Młody Goss, którego bawiła rola mojego przewodnika, powiedział mi, że moje pytanie do wieszczów może dotyczyć wszystkiego i być dowolnie sformułowane.

— Im ściślej sformułowane pytanie, tym dokładniejsza odpowiedź — mówił. Niejasność rodzi niejasność. A na niektóre pytania nie ma, oczywiście, odpowiedzi.

— Co by się stało, gdybym zadał właśnie takie? spytałem. Podobne zastrzeżenia, choć brzmiały mądrze, nie były przecież niczym nowym. Jednak otrzymałem odpowiedź, jakiej nie przewidziałem.

— Tkacz nie przyjmie pytania. Pytanie bez odpowiedzi może zniszczyć krąg wieszczów.

— Zniszczyć?

— Czy znasz historię pana z Szorth, który zmusił wieszczów ze stanicy Asen do odpowiedzi na pytanie: "Jaki jest sens życia?" Zdarzyło się to dwa tysiące lat temu. Wieszczowie pozostawali w ciemności przez sześć dni i nocy. W końcu wszyscy celibanci zapadli w katatonię, nawiedzeni umarli, zboczeniec zabił pana z Szorth kamieniem, a Tkacz… Tkacz nazywał się Mesze.

— Twórca nowej religii?

— Tak — powiedział Goss i roześmiał się, jakby to było bardzo

śmieszne, ale nie wiedziałem, czy śmieje się z wyznawców jomeszu, czy ze mnie.

Postanowiłem zadać pytanie typu tak — nie, które pozwoliłoby przynajmniej stwierdzić stopień mętności i dwuznaczności odpowiedzi. Faxe potwierdził to, co powiedział Goss, że pytanie może dotyczyć spraw, o których wieszczowie nie mają pojęcia. Mogłem spytać, jakie .będą zbiory hoolmu na północnej półkuli S, i daliby mi odpowiedź nie wiedząc wcześniej nawet o istnieniu planety S. To zdawało się przesuwać sprawę na płaszczyznę czysto losową, jak wróżenie z łodyg krwawnika albo z rzucanych monet, ale Faxe powiedział, że nie, że przypadek nie wchodzi tu w grę. Cały proces jest w istocie przeciwieństwem losowości.

— W takim razie odczytujecie umysł pytającego?

— Nie — odparł Faxe z pogodnym i szczerym uśmiechem.

— Może więc czytacie z jego umysłu nie zdając sobie z tego sprawy?

— Cóż by to dało? Gdyby pytający znał odpowiedź, nie płaciłby za nią.

Wybrałem pytanie, na które z całą pewnością nie znałem odpowiedzi. Tylko czas mógł dowieść, czy przepowiednia była słuszna, chyba że, jak podejrzewałem, będzie to jedna z tych godnych podziwu profesjonalnych przepowiedni pasujących do każdego biegu zdarzeń. Pytanie nie było błahe. Porzuciłem pomysł, żeby spytać, kiedy przestanie padać albo coś podobnego, kiedy dowiedziałem się, że przedsięwzięcie jest trudne i niebezpieczne dla dziewięciu wieszczów z Otherhordu. Pytający płacił wysoką cenę — dwa moje rubiny powędrowały do skarbca stanicy — ale ci, którzy odpowiadali, płacili jeszcze drożej. Poza tyra, odkąd poznałem Faxe'a, trudno mi było uwierzyć, że jest zawodowym oszustem, a jeszcze trudniej, że jest człowiekiem naiwnym, oszukującym samego siebie. Jego umysł był tak twardy, niezmącony i wypolerowany jak moje rubiny. Nie ośmieliłbym się zastawiać na niego pułapki. Spytałem o to, co najbardziej chciałem wiedzieć.

W dniu onnetherhad, czyli w osiemnastym dniu miesiąca, dziewiątka wieszczów zebrała się w dużym budynku, który zwykle stał zamknięty. Było tam jedno wysokie pomieszczenie z kamienną podłogą, zimne, słabo oświetlone dwoma wąskimi oknami i ogniem w głębokim kominku w końcu sali. Usiedli kołem na gołym kamieniu, wszyscy w habitach z kapturami, z gruba ciosane nieruchome bryły jak krąg dolmenów w słabym blasku odległego ognia. Goss z dwoma jeszcze młodymi adeptami oraz lekarz z najbliższego dworzyszcza przyglądali się w milczeniu z miejsc przy ogniu, jak wkroczyłem do sali i stanąłem wewnątrz kręgu. Nie było w tym nic ceremonialnego, ale czuło się wielkie napięcie. Jedna z zakapturzonych postaci

podniosła na mnie wzrok i ujrzałem dziwną twarz, o grubych rysach, ciężką, z zuchwałymi oczami.

Faxe siedział ze skrzyżowanymi nogami, nieruchomy, ale jakby naładowany, pełen wzbierającej siły, która sprawiała, że jego cichy głos potrzaskiwał elektrycznością.

— Pytaj — powiedział.

Stałem pośrodku kręgu i zadałem pytanie:

— Czy ta planeta, Gethen, zostanie członkiem Ekumeny Znanych Światów w ciągu najbliższych pięciu lat?

Cisza. Stałem zawieszony w środku pajęczyny utkanej z ciszy.

— Odpowiedź jest możliwa — powiedział cicho Tkacz. Atmosfera zelżała. Zakapturzone posągi rozpłynęły się w ruchu. Ten, który spojrzał na mnie tak dziwnie, mówił coś szeptem do sąsiada. Wyszedłem z kręgu i przyłączyłem się do obserwatorów przy ogniu.

Dwóch wieszczów nie odzywało się, trwali w bezruchu. Jeden z nich co jakiś czas unosił lewą rękę i uderzał nią o podłogę lekko i szybko od dziesięciu do dwudziestu razy i znów zamierał w bezruchu. Żadnego z nich nie widziałem wcześniej, byli nawiedzeni, jak powiedział mi Goss. Byli szaleni. Goss nazywał ich tymi, którzy dzielą czas, co mogło oznaczać schizofreników. Karhidyjscy psychologowie, choć pozbawieni zdolności telepatycznych i działający jak ślepi chirurdzy, znakomicie operowali środkami chemicznymi, hipnozą, wstrząsami miejscowymi, lokalnym stosowaniem superniskich temperatur i różnymi terapiami mentalnymi. Spytałem, czy tych dwóch psychopatów nie można wyleczyć.

— Wyleczyć? — zdziwił się Goss. — Czy leczyłbyś śpiewaka z jego śpiewu? Pięciu pozostałych uczestników kręgu było mieszkańcami Otherhordu, adeptami handdarskiej sztuki obecności, którzy — jak wyjaśnił Goss — póki byli wieszczami, zachowywali celibat w okresie aktywności płciowej. Jeden z nich musiał przechodzić kemmer właśnie teraz. Mogłem go rozpoznać, gdyż nauczyłem się zauważać subtelne fizyczne wyostrzenie czy rozświetlenie znamionujące pierwszą fazę kemmeru.

Obok kemmerera siedział zboczeniec.

— Przybył ze Spreve z lekarzem — powiedział Goss. — Niektóre grupy wieszczów sztucznie wywołują zboczenia u ludzi normalnych, wstrzykując im męskie albo żeńskie hormony w dniach poprzedzających spotkanie, ale lepiej mieć autentycznego zboczeńca. Godzi się chętnie, bo pochlebia mu związana z tym sława.

Goss użył zaimka oznaczającego samca zwierzęcia, nie zaimka na oznaczenie człowieka ujawniającego cechy męskie w kemmerze i trochę się jakby zawstydził. Karhidyjczycy mówią o sprawach seksu bez zahamowań i rozprawiają o kemmerze z szacunkiem i lubością, ale bardzo niechętnie mówili o zboczeniach, w każdym razie w mojej

obecności. Nadmierne przedłużenie okresu kemmeru z trwałym naruszeniem równowagi hormonalnej w stronę męską lub żeńską Karhidyjczycy nazywają zboczeniem. Nie jest to czymś rzadkim — trzy do czterech procent dorosłych osobników jest zboczeńcami, czyli z naszego punktu widzenia ludźmi normalnymi. Nie są usuwani poza nawias społeczeństwa, ale toleruje się ich z pewną pogardą, jak homoseksualistów w wielu społeczeństwach heteroseksualnych. Popularne ich określenie to "półtrupy", jako że są bezpłodni.

Zboczeniec w kręgu wieszczów, po tamtym pierwszym długim i dziwnym spojrzeniu na mnie, nie zwracał już uwagi na nikogo poza swoim sąsiadem w kemmerze, którego narastająca seksualność zostanie jeszcze bardziej pobudzona, aż pod wpływem agresywnej, przesadnej męskości zboczeńca osiągnie pełnię kobiecości. Zboczeniec mówił coś cichym głosem pochylając się w stronę kemmerera, który odpowiadał z rzadka i jakby niechętnie. Nikt inny nie odzywał się już od dłuższej chwili i jedynym dźwiękiem był szept zboczeńca. Faxe uporczywie wpatrywał się w jednego z nawiedzonych. Zboczeniec szybkim ruchem dotknął dłoni kemmerera, który żachnął się z przestrachu lub odrazy i spojrzał na Faxe'a jakby w poszukiwaniu pomocy. Faxe nie zareagował. Kemmerer pozostał na swoim miejscu i już się nie poruszył, kiedy zboczeniec dotknął go powtórnie. Jeden z nawiedzonych uniósł twarz i zaniósł się długim, nienaturalnym, zawodzącym śmiechem.

Faxe podniósł rękę. Natychmiast wszystkie twarze w kręgu zwróciły się w jego stronę, jakby splótł ich spojrzenia w jedną linę.

Kiedy wchodziliśmy tutaj, było popołudnie i padał deszcz. Wkrótce szare światło zgasło w szczelinach okien wysoko pod powałą. Teraz białawe pasma światła rozciągnęły się jak skośne widmowe żagle, długie, wąskie trójkąty, od ściany do podłogi, przez twarze dziewięciu ludzi: matowe strzępy blasku księżyca wschodzącego ponad lasem. Ogień na kominku wypalił się już dawno i jedynym światłem były te pasy i trójkąty półmroku przesuwające się z wolna po kręgu, wydobywające twarz, dłoń, nieruchome plecy. Przez chwilę widziałem w rozproszonym świetlnym pyle profil Faxe'a jak wykuty w bladym kamieniu. Smuga księżycowego blasku pełzła dalej i doszła do czarnego wzgórka. Był to kemmerer z głową opuszczoną na kolana, z dłońmi przywartymi do podłogi, a jego ciałem wstrząsały dreszcze w tym samym rytmie, który wybijały dłonie szaleńca w ciemnej części kręgu. Wszyscy byli połączeni, jakby stanowili punkty zawieszenia niewidzialnej pajęczyny. Ja też, chcąc nie chcąc, czułem tę więź, nici porozumienia bez słów biegnące do Faxe'a, który starał się opanować je i uporządkować, bo to on był środkiem, Tkaczem. Smuga światła rozpadła się i odeszła na wschodnią ścianę. Splot siły, napięcia i milczenia narastał.

Usiłowałem nie nawiązywać kontaktu z umysłami wieszczów. Czułem się nieswojo wśród tego milczącego elektrycznego napięcia, czując, że coś mnie wciąga, że staję się punktem lub figurą, elementem jakiegoś obrazu. Ale kiedy zastosowałem osłonę, było jeszcze gorzej; czułem się odcięty, skulony w swoim własnym umyśle pod ciężarem wzrokowych i dotykowych halucynacji, mieszaniny szalonych obrazów i myśli, nagłych wizji i odczuć groteskowo gwałtownych i zawsze związanych z seksem, czerwono — czarnej kipieli erotycznej pasji. Otaczały mnie wielkie ziejące jamy wśród falistych warg, pochwy, rany, jakieś wrota piekieł, zakręciło mi się w głowie, padałem… Czułem, że jeżeli nie potrafię odizolować się od tego chaosu, to naprawdę upadnę i oszaleję, a odizolować się nie mogłem. Empatyczne i niewyrażalne słowami siły, nieprawdopodobnie potężne i nieokiełznane, zrodzone ze skrzywionego lub zahamowanego popędu płciowego, z szaleństwa, które odkształca czas, i z budzącej lęk sztuki całkowitej koncentracji i bezpośredniego kontaktu z rzeczywistością, były dla mnie nie do opanowania. A jednak ktoś nad nimi panował — środkiem tego wszystkiego był wciąż Tkacz Faxe, kobieta, kobieta odziana w światło. Światło było srebrem, srebro było zbroją, kobieta w zbroi z mieczem. Światło rozbłysło nieznośnym blaskiem, przebiegło ogniem po jej członkach, aż krzyknęła głośno z bólu i przerażenia:

— Tak, tak, tak!

Rozległ się zawodzący śmiech jednego z nawiedzonych, wznosił się coraz wyżej przechodząc w pulsujący skowyt, który trwał znacznie dłużej, niż to było fizycznie możliwe, poza czasem. W ciemnościach zrodził się ruch, jakieś szuranie, szamotanina, jakieś przemieszczanie odległych stuleci, ucieczka widziadeł. — Światło, światło — zawołał potężny głos, raz, a może niezliczoną ilość razy.

— Światło. Drewno do ognia. Trochę światła.

Był to lekarz ze Spreve, który wkroczył do już rozbitego kręgu. Klęczał przy jednym z szaleńców, tym wątlejszym, który stanowił najsłabsze ogniwo. Obaj zresztą leżeli skuleni na podłodze. Kemmerer leżał z głową na kolanach Faxe'a ciężko dysząc i drżąc na całym ciele. Dłoń Faxe'a z automatyczną czułością gładziła jego włosy. Zboczeniec siedział osobno, ponury i odrzucony. Sesja była skończona, czas biegł jak zwykle, sieć mocy rozpadła się pozostawiając upokorzenie i zmęczenie. Gdzie jest moja odpowiedź, zagadka wyroczni, wieloznaczna fraza albo proroctwo?

Ukląkłem obok Faxe'a. Spojrzał na mnie jasnym wzrokiem. Przez chwilę ujrzałem go takim, jakim widziałem go w ciemności, jako kobietę w świetlistej zbroi, płonącą w ogniu i wołającą: "Tak…"

Cichy głos Faxe'a przerwał wizję. — Czy otrzymałeś odpowiedź?
— Tak, otrzymałem, Tkaczu.

Rzeczywiście, uzyskałem odpowiedź. Za pięć lat Gethen będzie członkiem Ekumeny, tak. Żadnych zagadek i wykrętów. Już wtedy zdawałem sobie sprawę z jakości tej odpowiedzi, nie tyle proroctwa, ile stwierdzenia faktu. Nie mogłem pozbyć się głębokiego przekonania, że odpowiedź jest prawdziwa. Miała autorytet bezbłędnego przeczucia.

Mieliśmy statki szybsze od światła, natychmiastową transmisję i telepatię, ale nie oswoiliśmy przeczucia tak, żeby biegło w zaprzęgu. Tej sztuki musimy się nauczyć od Getheńczyków.

— Jestem jak włókno w żarówce — powiedział mi Faxe w kilka dni po sesji. — Energia narasta w nas i krąży między nami wracając za każdym razem podwojona, aż się wyzwala i światło jest wtedy we mnie, wokół mnie, ja sam jestem światłem… Najstarszy ze stanicy Arbin powiedział kiedyś, że gdyby Tkacza w chwili odpowiedzi umieścić w próżni, świeciłby przez lata. Jomeszta wierzą, że tak właśnie stało się z Mesze, że ujrzał jasno przeszłość i przyszłość nie tylko przez chwilę, ale że od pytania Szortha widział już stale. Trudno w to uwierzyć. Wątpię, żeby człowiek mógł to wytrzymać. Ale to nieważne…

Nusuth, wszechobecne i wieloznaczne słówko wyznawców handdary.

Szliśmy obok siebie i w pewnej chwili Faxe spojrzał na mnie. Jego twarz, najpiękniejsza ludzka twarz, jaką kiedykolwiek widziałem, wydawała się twarda i delikatna zarazem, jak rzeźba w kamieniu.

— W ciemności — powiedział — było nas dziesięciu, nie dziewięciu. Był ktoś z zewnątrz.

— Tak, to prawda. Moja osłona nie działa przeciwko tobie. Jesteś "słuchaczem", Faxe, masz wrodzony dar empatii i zapewne jesteś również potężnym naturalnym telepatą. Dlatego jesteś Tkaczem, tym który porządkuje napięcia i impulsy grupy w samowzmacniającym się układzie, aż energia rozrywa ten układ i wtedy sięgasz po odpowiedź. Słuchał mnie w skupieniu.

— Dziwnie jest spojrzeć na tajniki swojej sztuki z zewnątrz, twoimi oczami. Dotąd zawsze patrzyłem na nie od wewnątrz, jako adept.

— Jeżeli pozwolisz, jeżeli zechcesz, chciałbym porozumieć się z tobą w mowie myśli.

Byłem teraz już pewien, że Faxe jest naturalnym telepatą. Jego zgoda i kilka ćwiczeń powinny zlikwidować jego podświadomą barierę.

— Czy będę potem słyszał myśli innych ludzi?

— Nie. Nie bardziej niż dotychczas. Mowa myśli jest sposobem porozumiewania się, wymaga dobrowolnego nadawania i odbioru.

— Czym się to różni od rozmowy?

— W rozmowie można skłamać. — A w mowie myśli nie?

— Świadomie nie.

Faxe zastanowił się przez chwilę.

— Ta sztuka musi budzić zainteresowanie królów, polityków i ludzi interesu.

— Ludzie interesu walczyli przeciwko stosowaniu mowy myśli, kiedy po raz pierwszy stwierdzono, że jest to umiejętność, której można się nauczyć. Doprowadzili do jej zdelegalizowania na całe dziesięciolecia.

Faxe uśmiechnął się.

— A królowie?

— U nas nie ma już królów.

— Tak. Widzę to… Dziękuję ci, Genry, ale ja nie mam się uczyć, tylko oduczać się. I wolałbym na razie nie uczyć się sztuki, która całkowicie zmienia świat.

— Według twojej własnej przepowiedni ten świat zmieni się w ciągu pięciu lat.

— I ja zmienię się razem z nim, ale nie czuję potrzeby zmieniania go.

Padał deszcz, długotrwały drobny deszcz getheńskiego lata. Przechadzaliśmy się pod drzewami hemmen na zboczu nad stanicą, gdzie nie było ścieżek. Szare światło przeciskało się między ciemnymi gałęziami, przezroczyste krople kapały z fioletowych igieł. Powietrze było chłodne, ale przyjemne, pełne odgłosów deszczu.

— Faxe, powiedz mi jedną rzecz. Wy, handdarata, posiadacie dar, o którym marzyli ludzie na wszystkich światach. Wyto macie. Potraficie przepowiadać przyszłość. A mimo to żyjecie tak jak my wszyscy. Jakby to było nieważne…

— A w jaki sposób miałoby to być ważne?

— Hm. Weźmy choćby tę rywalizację między Karhidem a Orgoreynem, ten spór o dolinę Sinoth. Karhid, jak rozumiem, stracił wiele na prestiżu w ostatnich tygodniach. Dlaczego więc król Argaven nie poradził się wieszczów i nie spytał ich, jak postąpić alba kogo z członków kyorremy wybrać na premiera lub coś w tym rodzaju.

— Niełatwo jest zadać pytanie.

— Nie rozumiem dlaczego. Mógłby zwyczajnie spytać: "Kto będzie mi najlepiej służył jako premier?"

— Mógłby. Ale nie wie, co znaczy: "służyć mu najlepiej". Mogłoby to znaczyć, że wybrany kandydat oddałby dolinę Orgoreynowi albo udał się na wygnanie, albo dokonał zamachu na króla. Mogłoby to znaczyć wiele rzeczy, których się nie spodziewał i na które nigdy by się nie zgodził.

— Mógłby sformułować swoje pytanie bardzo precyzyjnie.

— Tak, tylko wtedy byłoby tych pytań więcej. A nawet król musi

płacić.

— Czy zażądalibyście od niego wysokiej ceny?

— Bardzo wysokiej — stwierdził Faxe spokojnie. Wiesz, że pytający płaci tyle, na ile go stać. Rzeczywiście, królowie korzystali. z wyroczni, ale bardzo rzadko.

— A jeżeli jeden z wieszczów sam jest kimś, kto ma dużą władzę?

— Mieszkańcy stanicy nie mają stanowisk ani pozycji. Gdybym na przykład został wybrany do kyorremy w Erhenrangu i gdybym tam pojechał, odebrałbym swoją rangę i swój cień, ale nie byłbym już wieszczem. Gdybym podczas swojej służby w kyorremie szukał odpowiedzi na pytanie, udałbym się do stanicy Orgny i zapłacił wyznaczoną cenę. Ale my, ludzie handdary, nie chcemy znać odpowiedzi i staramy się ich unikać, choć to czasem trudne.

— Chyba nie rozumiem.

— My przybywamy do stanic głównie po to, żeby nauczyć się, jakich pytań nie zadawać.

— Ale przecież jesteście tymi, którzy odpowiadają!

— Czy nie rozumiesz jeszcze, Genry, w jakim celu rozwinęliśmy sztukę przepowiedni?

— Nie…

— Żeby wykazać całkowitą bezużyteczność odpowiedzi na niewłaściwe pytania.

Zastanawiałem się nad tym przez dłuższą chwilę, kiedy szliśmy w deszczu obok siebie pod gałęziami ciemnego lasu. Pod białym kapturem twarz Faxe'a była zmęczona i spokojna, jakby przygaszona. Nadal jednak budził we mnie podziw zmieszany z lękiem. Kiedy spojrzał na mnie swoimi czystymi, dobrymi, szczerymi oczami, była w tym spojrzeniu tradycja trzynastu tysięcy lat — sposób myślenia i styl życia tak stare, tak ugruntowane, tak logiczne i spójne, że dawały człowiekowi swobodę, autorytet, perfekcję dzikiego zwierzęcia, wielkiego i dziwnego stworzenia, które przygląda się człowiekowi ze swojej wiecznej teraźniejszości…

— To co nieznane — powiedział Faxe łagodnym tonem tam w lesie — nieprzewidziane, nie udowodnione jest istotą życia. Niewiedza rodzi myśl. Brak dowodu rodzi działanie. Gdyby udowodniono, że Boga nie ma, nie byłoby religii. Ani handdary, ani jomeszu, ani bogów ogniska, nic. Ale gdyby udowodniono, że Bóg jest, religii nie byłoby również… Powiedz mi, Genry, co my wiemy? Co jest pewne, łatwe do przewidzenia, nieuniknione, co jest jedyną rzeczą, co do której masz pewność, że nas czeka?

— Śmierć.

— Tak. Naprawdę jest tylko jedno pytanie, Genry, na które możemy otrzymać odpowiedź i tę odpowiedź już znamy… Jedyną rzeczą, która umożliwia życie, jest ciągła i nieznośna niepewność,

niewiedza, co zdarzy się dalej.

6. Jedna droga do Orgoreynu

Obudził mnie kucharz, który zawsze przychodził bardzo wcześnie, a że sypiam twardo, musiał mną potrząsnąć i powiedzieć mi prosto w ucho:

— Niech się pan obudzi, niech się pan obudzi, książę, przybył goniec z Domu Króla!

Wreszcie go zrozumiałem i jeszcze nieprzytomny ze snu i z pośpiechu wstałem i wyszedłem na próg sypialni, gdzie czekał goniec. I w ten sposób, nagi i głupi jak nowo narodzone dziecko, wkroczyłem w swoje wygnanie.

Czytając dokument, który wręczył mi goniec, powiedziałem sobie w myśli, że spodziewałem się tego, ale jeszcze nie teraz. Jednak kiedy musiałem przyglądać się, jak goniec przybija ten przeklęty papier na drzwiach domu, poczułem się tak, jakby wbijał mi te gwoździe w oczy. Odwróciłem się od niego i stałem osłupiały i pogrążony w smutku, przytłoczony bólem, którego nie oczekiwałem.

Po tym pierwszym szoku zająłem się tym, co niezbędne, i z wybiciem godziny dziewiątej opuściłem Pałac. Nie miałem żadnych powodów do zwłoki. Zabrałem to, co mogłem. Nie mogłem nic sprzedać ani podjąć pieniędzy z banku nie narażając ludzi, z którymi bym to załatwiał. a im bliższymi byliby przyjaciółmi, tym bardziej bym ich naraził. Napisałem do mojego dawnego kemmeringa Asze, jak może korzystnie spieniężyć pewne wartościowe rzeczy dla zabezpieczenia naszych synów. Zapowiedziałem mu też, żeby nie próbował przesyłać mi żadnych pieniędzy, bo Tibe będzie pilnował granicy. Nie mogłem podpisać tego listu. Zatelefonowanie do kogoś oznaczałoby posłanie go do więzienia, śpieszyłem się też, żeby odejść, zanim ktoś z przyjaciół zajrzy do mnie w nieświadomości i w nagrodę za swoją przyjaźń straci majątek i wolność.

Wyruszyłem przez miasto na zachód. Na skrzyżowaniu ulic zatrzymałem się i pomyślałem, dlaczego nie pójść na wschód, przez góry i równiny do Kermu, pieszo jak biedak, i tak dojść do Estre, gdzie się urodziłem, do tego kamiennego domostwa na smaganym wichrami zboczu góry. Dlaczego nie iść do domu? Trzy albo cztery razy przystawałem i oglądałem się za siebie. Za każdym razem wśród obojętnych twarzy przechodniów dostrzegałem jedną, która mogła należeć do szpiega mającego śledzić moje wyjście z Erhenrangu, i za każdym uświadamiałem sobie szaleństwo myśli o powrocie do domu. Równie dobrze mógłbym popełnić samobójstwo. Widocznie urodziłem się, żeby żyć na wygnaniu, i jedynym dla mnie sposobem na powrót do domu była śmierć. Poszedłem więc na zachód i więcej się nie oglądałem.

Trzydniowe odroczenie pozwoli mi dojść w najlepszym wypadku do Kuseben nad zatoką, sto trzydzieści kilometrów. Większość wygnańców dostaje ostrzeżenie o wyroku wieczorem, dzięki czemu mają szansę wykupienia miejsca na statku płynącym w dół rzeki Sess, zanim kapitanowie zaczną podlegać karze za udzielanie pomocy. Taka uprzejmość nie była jednak w stylu Tibe'a. Żaden kapitan nie odważyłby się wziąć mnie na pokład teraz; wszyscy znali mnie w porcie, bo to ja zbudowałem go dla Argavena. Nie weźmie mnie też żadna łódź lądowa, a do granicy jest z Erhenrangu sześćset kilometrów. Nie miałem innego wyjścia, jak iść pieszo do Kuseben.

Kucharz to rozumiał. Odesłałem go natychmiast, ale na odchodne zapakował mi całe gotowe jedzenie, jakie było w domu, żebym miał paliwo na trzydniowy wyścig. Jego dobroć uratowała mi życie, a także dodawała mi odwagi, bo ilekroć w drodze jadłem te owoce i chleb, myślałem sobie: Jest ktoś, kto nie uważa mnie za zdrajcę, bo dał mi to wszystko.

Przekonałem się, że ciężko jest nosić miano zdrajcy. Dziwne, jak ciężko, kiedy tak łatwo jest obdarzyć innego tym mianem, które się przykleja, przylega, przekonuje. Sam byłem na pół przekonany.

Przyszedłem do Kuseben o świcie trzeciego dnia, zdenerwowany i z obolałymi nogami, bo przez ostatnie lata w Erhenrangu obrosłem w tłuszcz i luksusy, a straciłem kondycję marszową; i tam w bramie miasteczka czekał na mnie Asze.

Byliśmy kemmeringami przez siedem lat i mieliśmy dwoje dzieci. Jako dzieci jego łona nosiły jego imię Foreth rem ir Osboth i chowały się w ognisku jego klanu. Przed trzema laty poszedł do stanicy Orgny i teraz nosił złoty łańcuch celibanta. Nie widzieliśmy się przez te trzy lata, a jednak, kiedy zobaczyłem jego twarz w cieniu pod kamiennym łukiem, poczułem przypływ naszej dawnej miłości, jakbyśmy rozstali się zaledwie wczoraj, i doceniłem jego wierność, która sprawiła, że gotów był podzielić mój upadek. Czując znów na sobie te daremne więzy rozgniewałem się, bo miłość Asze zawsze zmuszała mnie do działania wbrew moim chęciom.

Minąłem go. Jeżeli muszę być okrutny, nie ma potrzeby ukrywania tego, udawania dobroci. — Therem — zawołał i ruszył za mną. Poszedłem szybko stromymi uliczkami Kuseben w stronę przystani. Od morza wiał południowy wiatr szeleszcząc listowiem czarnych drzew w ogrodach i przez ten ciepły, przedburzowy letni świt uciekałem przed nim jak przed mordercą. Dogonił mnie, bo miałem zbyt obolałe nogi, żeby utrzymać tempo.

— Therem, pójdę z tobą — powiedział.

Nie odpowiedziałem.

— Dziesięć lat temu, w tym samym miesiącu suwa złożyliśmy przysięgę…

— A trzy lata temu ty ją złamałeś porzucając mnie, co było mądrą decyzją.

— Nigdy nie złamałem ślubu, Therem.

— To prawda. Bo nie było czego łamać. To był fałszywy ślub, drugi ślub. Wiesz o tym i wiedziałeś wtedy. Jedyna prawdziwa przysięga na wierność, jaką kiedykolwiek złożyłem, nie została nigdy wypowiedziana, bo nie mogła być, a człowiek, któremu przysięgałem, nie żyje; przysięga została złamana dawno temu. Ani ty nie jesteś mi nic winien, ani ja tobie. Pozwól mi odejść.

Kiedy mówiłem, mój gniew i rozżalenie zwróciły się od Asze ku mnie i mojemu własnemu życiu, które leżało za moimi plecami jak nie dotrzymana obietnica. Ale Asze tego nie wiedział i łzy napłynęły mu do oczu.

— Czy weźmiesz to, Therem? — spytał. — Nie jestem ci nic winien, ale bardzo cię kocham. — I podał mi małą paczuszkę.

— Nie. Mam pieniądze, Asze. Zostaw mnie. Muszę iść sam. Poszedłem, a on został. Ale poszedł za mną cień mojego brata. Źle zrobiłem, że o nim wspomniałem. Wszystko zrobiłem źle. /Okazało się, że na przystani nie czeka na mnie dobry los. Nie stał tam żaden statek z Orgoreynu, na który mógłbym wsiąść i w ten sposób opuścić ziemię Karhidu przed północą, jak musiałem. Na nadbrzeżach było niewielu ludzi i wszyscy oni śpieszyli do domu; jedyny, do którego udało mi się zagadać, rybak naprawiający motor swojej łodzi, spojrzał na mnie raz i odwrócił się bez słowa plecami. To mnie przestraszyło. Ten człowiek wiedział, kim jestem. Nie wiedziałby, gdyby go nie ostrzeżono. Tibe wysłał widocznie swoich pachołków, żeby mi utrudnić opuszczenie Karhidu przed upływem mojego terminu. Czułem ból i wściekłość, ale aż do tej chwili nie czułem strachu; nie przypuszczałem, że akt banicji może być tylko pretekstem dla egzekucji. Z chwilą wybicia szóstej godziny stawałem się legalnie zwierzyną łowną dla ludzi Tibe'a i nikt nie mógł nazwać tego morderstwem, tylko aktem sprawiedliwości.

Usiadłem na worku z balastem w wietrznym i ciemnym porcie. Morze uderzało i cmokało o słupy pomostu, łodzie rybackie kołysały się na cumach, na końcu długiego pomostu płonęła latarnia. Siedziałem zapatrzony w światło i jeszcze dalej, w kryjącą morze ciemność. Niektórzy ludzie natychmiast stawiają czoło nowemu niebezpieczeństwu, ja nie. Moim darem jest przewidywanie. Wobec bezpośredniego zagrożenia głupieję i siadam na worku z piaskiem zastanawiając się, czy człowiek mógłby dopłynąć wpław do Orgoreynu. Lód ustąpił z zatoki Czarisune miesiąc albo i dwa miesiące temu, można przez pewien czas utrzymać się przy życiu w takiej wodzie. Do orgockiego brzegu jest przeszło dwieście kilometrów. Nie umiem pływać. Kiedy odwróciłem wzrok od morza ku ulicom

Kuseben, stwierdziłem, że rozglądam się za Asze. W nadziei, że może jeszcze za mną idzie. Wstyd wyrwał mnie z otępienia i znów mogłem myśleć.

Miałem do wyboru przekupstwo albo przemoc, jeżeli chciałem coś załatwić z rybakiem nadal majstrującym przy łodzi w wewnętrznym doku. Zepsuty silnik nie był chyba wart ani jednego, ani drugiego. Zatem kradzież. Ale silniki łodzi rybackich są zabezpieczone. Obejść wyłączony obwód, uruchomić silnik, wyprowadzić łódź z doku w świetle latarni z pomostu i płynąć do Orgoreynu, jeżeli się nigdy nie prowadziło łodzi motorowej, wydawało się głupio rozpaczliwym przedsięwzięciem. Nigdy nie prowadziłem łodzi motorowej, wiosłowałem tylko po jeziorze Lodowa Noga w Kermie. A łódź wiosłowa stała przywiązana w zewnętrznym doku między dwoma kutrami. Ledwo ją zobaczyłem, już była moja. Pobiegłem oświetlonym pomostem, wskoczyłem do łodzi, odwiązałem cumkę, osadziłem wiosła i wypłynąłem na rozfalowane wody zatoki, gdzie światła ślizgały się i połyskiwały na czarnej wodzie. Kiedy byłem już dość daleko, przestałem wiosłować, żeby poprawić jedną dulkę, która nie chodziła gładko, a czekało mnie dużo wiosłowania (choć miałem nadzieję, że następnego dnia weźmie mnie na pokład orgocka łódź patrolowa albo rybacka). Schylając się nad dulką poczułem słabość w całym ciele. Myślałem, że zemdleję, i osunąłem się bezwładnie na ławkę. Owładnął mną przypływ tchórzostwa. Nie wiedziałem tylko, że tchórzostwo kładzie się takim ciężarem na brzuchu. Podniosłem wzrok i zobaczyłem dwie postacie na końcu pomostu jak dwa podskakujące czarne patyczki w dalekim elektrycznym świetle za wodą i wtedy zacząłem podejrzewać, że mój paraliż nie był wynikiem strachu, lecz użycia broni dźwiękowej na dużą odległość.

Widziałem; że jeden z ludzi trzyma garłacz i gdyby było po północy, na pewno by go użył i zabił mnie, ale garłacz robi wielki huk, a to wymagałoby wyjaśnień. Użyli więc strzelby poddźwiękowej. Nastawiona na strzał paraliżujący może umiejscowić swoje pole rezonansowe nie dalej niż w odległości około trzydziestu metrów. Nie wiem, jaki jest jej zasięg w nastawieniu na strzał śmiertelny, ale widać jeszcze się w nim mieściłem, bo leżałem skulony jak niemowlę z kolką. Trudno mi było oddychać, osłabione pole musiało mnie trafić w pierś. Ponieważ w każdej chwili mogli wypłynąć w motorówce, żeby mnie wykończyć, nie miałem ani chwili czasu więcej do kulenia się nad wiosłami i łapania powietrza. Za moimi plecami, przed dziobem łodzi, rozciągała się ciemność i w tę ciemność musiałem płynąć. Wiosłowałem słabymi ramionami patrząc na dłonie, żeby się upewnić, że trzymam wiosła, bo nie czułem swojego uchwytu Tak wypłynąłem na niespokojną wodę i w ciemność, na otwartą zatokę. Tu musiałem przestać wiosłować. Z każdym pociągnięciem traciłem czucie w

rękach. Serce gubiło rytm, a płuca zapomniały, jak wciągać powietrze. Próbowałem wiosłować, ale nie miałem pewności, czy moje ręce się .ruszają. Próbowałem wciągnąć wiosła do łodzi, ale nie potrafiłem. Kiedy reflektor patrolowej łodzi wyłowił mnie z nocy jak płatek śniegu na sadzy, nie mogłem nawet odwrócić spojrzenia od jego blasku.

Rozwarli moje dłonie zaciśnięte na wiosłach, wyciągnęli mnie z łodzi i złożyli jak wypatroszoną czarną rybę na pokładzie łodzi patrolowej. Czułem, że na mnie patrzą, ale nie bardzo rozumiałem, co mówią, poza jednym, sądząc z tonu kapitanem statku:

— Nie ma jeszcze szóstej godziny — powiedział. I odpowiadając widocznie komuś: — A co mnie to obchodzi? Król go wygnał i będę wykonywał rozkazy króla, a nie czyjeś tam.

I tak wbrew radiowym poleceniom od ludzi Tibe'a na brzegu i wbrew zdaniu swojego mata, który obawiał się konsekwencji, dowódca łodzi patrolowej z Kuseben przewiózł mnie przez zatokę Czarisune i wysadził bezpiecznie na brzeg w orgockim porcie Szelt. Czy zrobił tak ze względu na szifgrethor, na przekór ludziom Tibe'a, którzy chcieli zabić kogoś bezbronnego, czy z dobroci, nie wiem. Nusuth. To, co godne podziwu, nie daje się wyjaśnić.

Wstałem na nogi, kiedy z porannej mgły wyłonił się szary brzeg Orgoreynu, zmusiłem się do stawiania kroków i zszedłem z pokładu do portowej dzielnicy Szeltu, gdzie znów upadłem. Ocknąłem się w czymś, co się nazywało Szpital Wspólnoty, 4 Dystrykt Nadmorski Czarisune, 24 Okręg Sennethy. Nie miałem co do tego wątpliwości, bo było to wygrawerowane i wyhaftowane orgockim pismem na wezgłowiu łóżka, na lampce przy łóżku, na stoliku nocnym, na metalowym kubku stojącym na stoliku nocnym, na hiebach pielęgniarzy, pościeli i mojej koszuli nocnej. Przyszedł lekarz i powiedział do mnie:

— Dlaczego stawiał pan opór dothe?

— To nie było dothe — odpowiedziałem. — To było pole ultradźwiękowe.

— Miał pan objawy kogoś, kto przeciwstawiał się fazie wypoczynkowej dothe. — Był to nie znoszący sprzeciwu stary lekarz i musiałem w końcu zgodzić się z nim, że mogłem użyć siły dothe na łódce dla przezwyciężenia paraliżu nie bardzo wiedząc, co robię. Później, rano, w fazie thangen, kiedy należy zachować bezruch, wstałem i chodziłem, co mnie omal nie zabiło. Kiedy wszystko to zostało ustalone ku jego zadowoleniu, powiedział mi, że za dzień, dwa będę mógł wyjść i przeszedł do następnego łóżka. Za nim szedł inspektor.

W Orgoreynie na każdego człowieka przypada jeden inspektor.

— Nazwisko?

Nie spytałem go o jego nazwisko. Muszę nauczyć się żyć bez

cienia, jak oni tutaj w Orgoreynie. Nie obrażać się, nie obrażać innych bez potrzeby. Ale nie podałem mu nazwiska klanowego, bo to nie jest interes żadnego Orgoty.

— Therem Harth? To nie jest orgockie nazwisko. Który okręg?

— Karhid.

— Nie ma takiego okręgu we Wspólnocie Orgoreynu. Gdzie jest pański dowód osobisty i przepustka?

Gdzie są moje dokumenty?

Poniewierałem się widocznie jakiś czas po ulicach Szelt, zanim ktoś odwiózł mnie do szpitala, gdzie przybyłem bez dokumentów, rzeczy, płaszcza, butów i pieniędzy. Kiedy to usłyszałem, opuścił mnie gniew i roześmiałem się; na dnie nie ma miejsca na gniew. Inspektor poczuł się urażony moim śmiechem.

— Czy nie rozumie pan, że jest pan nielegalnym i pozbawionym środków cudzoziemcem? Jak pan sobie wyobraża swój powrót do Karhidu?

— W trumnie.

— Nie wolno udzielać niewłaściwych odpowiedzi na urzędowe pytania. Jeżeli nie chce pan wracać do swojego kraju, zostanie pan odesłany do gospodarstwa ochotniczego, gdzie jest miejsce dla elementu kryminalnego, obcokrajowców i osób .bez dokumentów. W Orgoreynie nie ma innego miejsca dla wywrotowców i włóczęgów. Niech pan lepiej zgłosi swoją chęć powrotu do Karhidu w ciągu trzech dni, bo będę…

— Zostałem wygnany z Karhidu.

Lekarz, który odwrócił się od następnego łóżka na dźwięk mojego nazwiska, teraz odwołał inspektora na bok i coś mu przez chwilę szeptał. Inspektor zrobił minę kwaśną jak stare piwo i kiedy wrócił do mnie, powiedział cedząc słowa i nie ukrywając niechęci:

— W takim razie zadeklaruje pan zapewne wobec mnie chęć złożenia prośby o pozwolenie na stały pobyt w Wielkiej Wspólnocie Orgoreynu, pod warunkiem uzyskania i wykonywania użytecznej pracy jako członek wspólnoty miejskiej lub wiejskiej.

— Tak — powiedziałem. Przestało to być śmieszne, kiedy padło słowo "stały", słowo, od którego powiało grozą. Po pięciu dniach otrzymałem zgodę na pobyt stały, wymagający rejestracji na członka Wspólnoty Miejskiej Misznory (którą sobie wybrałem), i wydano mi tymczasowy dokument osobisty na drogę do tego miasta. Przymierałbym głodem przez te pięć dni, gdyby stary lekarz nie przetrzymał mnie w szpitalu. Podobało mu się, że ma na swoim oddziale premiera Karbidu, a i premier był bardzo z tego zadowolony.

Dojechałem do Misznory pracując jako tragarz na łodzi lądowej w karawanie wiozącej ryby z Szelt. Szybka i cuchnąca podróż zakończona na wielkim targu Południowego Misznory, gdzie wkrótce

znalazłem pracę w chłodni. Latem zawsze jest praca w takich miejscach przy wyładunku, pakowaniu, magazynowaniu i wysyłce łatwo psujących się towarów. Miałem do czynienia głównie z rybami i mieszkałem na wyspie przy targu razem z innymi pracownikami chłodni. Nazywano ten dom Rybią Wyspą, bo tak od nas śmierdziało. Ale podobała mi się praca, przy której większość dnia spędzałem w chłodzonym magazynie. Misznory w lecie to istna łaźnia parowa. Drzwi pozamykane, woda w rzece wrze, ludzie ociekają potem. W miesiącu ockre było dziesięć dni i nocy, kiedy temperatura nie spadła poniżej piętnastu stopni, a był dzień, kiedy upał doszedł do dwudziestu sześciu stopni. Wypędzony po pracy z mojego chłodnego rybiego azylu do tego pieca ognistego, szedłem kilka kilometrów na bulwar nad Kunderer, gdzie rosną drzewa i skąd można popatrzeć na wielką rzekę, choć nie ma do niej dostępu. Tam kręciłem się do późna i wreszcie wracałem po nocy na Rybią Wyspę. W mojej dzielnicy Misznory tłucze się latarnie, żeby ukryć swoje sprawki w mroku. Ale samochody inspektorów nieustannie kręciły się i świeciły reflektorami po tych ciemnych ulicach, odbierając biedakom jedyną szansę na trochę prywatności, noc.

Nowe prawo o rejestracji obcokrajowców wprowadzone w miesiącu kus jako krok w wojnie podjazdowej z Karhidem unieważniło moją rejestrację, pozbawiło mnie pracy i zmusiło do spędzenia pół miesiąca w poczekalniach niezliczonych inspektorów. Koledzy z pracy pożyczali mi pieniądze i kradli dla mnie ryby, żebym mógł się na nowo zarejestrować, zanim umrę z głodu, ale była to dla mnie dobra lekcja. Polubiłem tych twardych i lojalnych ludzi, ale byli oni w pułapce bez wyjścia, a ja miałem do wykonania pracę wśród ludzi mniej sympatycznych. Załatwiłem telefony, z którymi zwlekałem przez trzy miesiące.

Następnego dnia prałem sobie koszulę w pralni Rybiej Wyspy wraz z kilkoma innymi, wszyscy nadzy albo półnadzy, kiedy przez kłęby pary, szum wody, zaduch brudu i ryb usłyszałem, jak ktoś woła mnie moim nazwiskiem klanowym. I oto w pralni znalazł się reprezentant Yegey, wyglądający zupełnie tak samo jak na przyjęciu u ambasadora Archipelagu w Sali Paradnej pałacu w Erhenrangu przed siedmioma miesiącami.

— Estraven, niech pan stamtąd wyjdzie — powiedział wysokim, przenikliwym, nosowym głosem górnych warstw Misznory. — I niech pan zostawi tę przeklętą koszulę.

— Nie mam innej.

— To niech pan ją wyłowi z tej zupy i idzie ze mną. Strasznie tu gorąco.

Ludzie przyglądali mu się z ponurą ciekawością, wiedząc, że to ktoś bogaty, ale nie podejrzewając, że to reprezentant. Nie podobało

mi się, że tu przyszedł, powinien był kogoś przysłać po mnie. Bardzo nieliczni Orgotowie mają jakie takie poczucie taktu. Chciałem jak najszybciej wyprowadzić go stąd. Mokra koszula była mi na nic, powiedziałem więc bezdomnemu chłopakowi, który kręcił się po podwórku, żeby ponosił ją do mojego powrotu. Długów nie miałem, komorne zapłaciłem, papiery miałem w kieszeni hiebu; bez koszuli opuściłem wyspę przy targu i poszedłem za Yegeyem z powrotem między możnych tego świata.

Jako jego "sekretarz" zostałem ponownie wpisany w rejestry Orgoreynu, tym razem nie jako członek wspólnoty, ale jako "człowiek zależny". Nazwiska tu nie wystarczają, oni muszą mieć etykietki, żeby wiedzieć, z kim mają do czynienia, zanim go zobaczą. Tym razem jednak etykietka pasowała. Byłem "człowiekiem zależnym" i wkrótce miałem przeklinać cel, który sprowadził mnie tutaj i zmusił do jedzenia cudzego chleba, bo przez miesiąc nie miałem żadnego znaku, że jestem bliżej celu, niż byłem na Rybiej Wyspie.

W deszczowy wieczór ostatniego dnia lata Yegey przez służącego zaprosił mnie do swojego gabinetu, gdzie zastałem go przy rozmowie z Obsle'em, reprezentantem okręgu Sekeve, którego poznałem, kiedy stał na czele Orgockiej Komisji Handlu Morskiego w Erhenrangu. Niski i przygarbiony, z małymi, trójkątnymi oczkami w tłustej, płaskiej twarzy kontrastował z Yegeyem, suchym i delikatnym. Wyglądali jak para ze starej komedii, ale byli czymś więcej. Byli dwoma z Trzydziestu Trzech, którzy rządzą Orgoreynem, nie, byli kimś więcej jeszcze.

Po wymianie uprzejmości i wypiciu miarki sithijskiej wody życia Obsle westchnął i powiedział do mnie:

— A teraz, Estraven, niech mi pan powie, dlaczego pan zrobił to, co pan zrobił w Sassinoth, bo uważałem, że jeżeli istnieje ktoś niezdolny do popełnienia błędu w wyborze chwili działania albo wagi szifgrethoru, to tylko pan.

— Strach wziął u mnie górę nad ostrożnością.

— Strach przed czym, u licha? Czego się pan boi, Estraven?

— Tego, co się dzieje teraz. Przedłużania się sporów prestiżowych o dolinę Sinoth, upokorzenia Karhidu, gniewu, który zrodzi się z upokorzenia, wykorzystania tego gniewu przez rząd Karbidu.

— Wykorzystania? Do jakich celów?

Obsle nie miał za grosz manier. Yegey, delikatny i ironiczny, musiał interweniować.

— Panie reprezentancie, książę Estraven nie jest na przesłuchaniu, tylko u mnie w gościach…

— Książę Estraven odpowie na te pytania, na które zechce, i wtedy, kiedy uzna za stosowne, tak jak robił zawsze — powiedział Obsle obnażywszy zęby w uśmiechu, igła ukryta w kulce tłuszczu. —

Wie, że jest tu wśród przyjaciół.

— Biorę takich przyjaciół, jakich znajduję, panie reprezentancie, ale nie liczę już na to, że zachowam ich na długo.

— Rozumiem. Ale przecież możemy wspólnie ciągnąć sanki nie będąc kemmeringami, jak mówimy w Eskeve, co? Do diabła, wiem, za co został pan wygnany, mój drogi: za to, że bardziej kocha pan Karhid niż jego króla.

— Może raczej za to, że bardziej kocham króla niż jego kuzyna.

— Albo za to, że kocha pan Karhid bardziej niż Orgoreyn — wtrącił Yegey. — Czy nie mam racji, książę?

— Nie, panie reprezentancie.

— Uważa pan zatem — powiedział Obsle — że Tibe chce rządzić Karhidem tak jak my Orgoreynem, to znaczy sprawnie?

— Tak myślę. Sądzę, że Tibe, używając sporu o dolinę Sinoth i zaostrzając go w razie potrzeby, może w ciągu roku wprowadzić w Karhidzie większe zmiany niż te, które dokonały się tam w ciągu ostatniego tysiąclecia. Rozporządza modelem, na którym może się wzorować, Sarfem. I umie wygrywać lęki Argavena. Jest to łatwiejsze niż próby wzbudzenia w Argavenie odwagi, co ja usiłowałem robić. Jeżeli Tibe dopnie swego, znajdziecie w nim, panowie, godnego przeciwnika.

Obsle kiwnął głową.

— Odrzucam szifgrethor — powiedział Yegey. — Do czego pan zmierza, książę?

— Do tego: czy na Wielkim Kontynencie jest miejsce dla dwóch Orgoreynów?

— To, to, to, ta sama myśl — powiedział Obsle — ta sama myśl. Zasiał ją pan w moim umyśle dawno temu i od tego czasu nie mogę się jej pozbyć. Nasz cień za bardzo się rozszerzył i padnie też na Karbid. Walka między dwoma klanami, tak; awantury między dwoma miastami, tak; spór graniczny z paroma morderstwami i spalonymi stodołami, tak; ale walka między dwoma narodami? Bijatyka z udziałem pięćdziesięciu milionów ludzi? Na słodkie mleko Mesze, to jest obraz, który sprawia, że moje sny buchają ogniem i budzę się zlany potem… Nie jesteśmy bezpieczni, nie jesteśmy bezpieczni. Ty to wiesz, Yegey, sam to nieraz mówiłeś na swój sposób.

— Trzynaście razy głosowałem przeciwko wdawaniu się w spór o dolinę Sinoth. I co z tego? Frakcja hegemonistów ma do dyspozycji dwadzieścia głosów i każde posunięcie Tibe'a umacnia kontrolę Sarfu nad tymi dwudziestoma. Buduje płot przez dolinę i ustawia wzdłuż niego strażników z garłaczami. Z garłaczami! Myślałem, że od dawna są w muzeum. Daje hegemonistom pretekst, ilekroć oni go potrzebują.

— I w ten sposób wzmacnia Orgoreyn. Ale Karbid też. Każda wasza odpowiedź na jego prowokacje, każde upokorzenie Karbidu

przez was, każde umocnienie waszego prestiżu będzie służyć zwiększeniu siły Karbidu, aż wam dorówna, cały kierowany z jednego centrum jak Orgoreyn. I w Karbidzie nie trzyma się garłaczy w muzeum. Nosi je Straż Królewska.

Yegey nalał po następnej miarce wody życia. Orgoccy notable piją ten drogocenny ogień sprowadzony przez prawie osiem tysięcy kilometrów zasnutych mgłami mórz z Sithu, jakby to było piwo. Obsle otarł usta i zamrugał.

— Cóż — powiedział — wszystko to zgadza się z tym, co myślałem i co myślę. I sądzę, że mamy sanie, które musimy wspólnie ciągnąć. Zanim jednak założymy uprząż, mam do pana jedno pytanie, książę. W tej sprawie mam kaptur na oczach. Proszę mi powiedzieć, co to za kombinacje, wykrętasy i figle — migle z tym wysłannikiem z odwrotnej strony księżyca?

A więc Genly Ai wystąpił o zezwolenie na wejście do Orgoreynu.

— Wysłannik? Jest tym, kim mówi.

— To znaczy?

— Wysłannikiem z innego świata.

— Tylko proszę bez tych waszych przeklętych, mętnych karhidyjskich metafor, książę. Odrzućmy całkowicie szifgrethor. Czy pan mi odpowie?

— Już to zrobiłem.

— Jest więc istotą z innego świata? — spytał Obsle, a Yegey dodał:

— I był na audiencji u króla Argavena?

Odpowiedziałem twierdząco na oba pytania. Zamilkli na chwilę, a potem obaj zaczęli mówić naraz, nie starając się ukryć ciekawości. Yegey mówił ogródkami, ale Obsle walił prosto z mostu.

— Jakie było zatem jego miejsce w pańskich planach? Zdaje się, że postawił pan na niego i przegrał. Dlaczego?

— Bo Tibe podstawił mi nogę. Zapatrzyłem się w gwiazdy i nie widziałem błota, po którym szedłem.

— Książę zajął się astronomią?

— Wszyscy będziemy musieli zająć się astronomią, panie Obsle.

— Czy on stanowi dla nas groźbę, ten wysłannik?

— Myślę, że nie. Przynosi od swoich propozycje komunikacji, handlu, umów i sojuszu, nic ponadto. Przybył sam, bez broni, mając tylko swój środek łączności i statek, który oddał nam do zbadania. Myślę, że nie należy się go obawiać. A jednak w swoich pustych rękach przynosi koniec i Królestwa, i Wspólnoty.

— Dlaczego?

— A jak będziemy rozmawiać z obcymi, jeżeli nie jako bracia? Jak Gethen będzie pertraktować z unią osiemdziesięciu światów, jeżeli nie jako jeden świat?

— Osiemdziesiąt światów? — powtórzył Yegey i zaśmiał się nerwowo. Obsle spojrzał na mnie z ukosa i powiedział:

— Ja wolę myśleć, że spędził pan zbyt wiele czasu z szaleńcem w jego pałacu i sam oszalał… Na imię Mesze! Co ma znaczyć ta gadanina o sojuszach ze słońcami i o traktatach z księżycami? Jak on się tu dostał? Na komecie? Jadąc okrakiem na meteorze? Statek, jaki statek lata w powietrzu? Albo w kosmicznej pustce? A jednak nie jest pan bardziej szalony niż zwykle, książę, to znaczy chytrze szalony, mądrze szalony. Wszyscy Karhidyjczycy są pomyleni. Książę, prowadź! Idę za tobą. Naprzód!

— Ja nigdzie nie idę, panie Obsle. Dokąd mam iść? Ale pan może do czegoś dojść. Jeżeli zrobi pan mały krok w stronę wysłannika, on może wskazać panu drogę wyjścia z doliny Sinoth, z fałszywego kursu, na jakim się znaleźliśmy.

— Bardzo dobrze, zajmę się na starość astronomią. Dokąd mnie on zaprowadzi?

— Do wielkości, jeżeli będzie pan szedł mądrzej niż ja. Panowie, rozmawiałem z wysłannikiem, widziałem jego statek, który przebył pustkę, i wiem, że jest on rzeczywiście, ponad wszelką wątpliwość, posłańcem skądś spoza naszej planety. Co do szczerości jego słów i prawdziwości jego opisów tego innego świata, to nie ma żadnej pewności. Można go tylko oceniać tak, jak by się oceniało każdego innego człowieka. Gdyby był jednym z nas, nazwałbym go człowiekiem uczciwym. Zapewne zresztą będziecie to mogli ocenić sami. Ale jedno jest pewne: w jego obecności linie narysowane na ziemi przestają być granicami, nie stanowią żadnej obrony. Orgoreyn stoi wobec większego wyzwania niż Karhid. Ludzie, którzy pierwsi stawią czoło temu wyzwaniu, którzy pierwsi otworzą drzwi naszego świata, zostaną przywódcami nas wszystkich. Wszystkich trzech kontynentów, całej planety. Nasza granica teraz to nie linia między dwoma wzgórzami, ale linia, jaką zakreśla nasza planeta okrążając słońce. Wiązać swój szifgrethor z czymś mniejszym byłoby teraz głupotą.

Miałem Yegeya, ale Obsle zapadł się w swój tłuszcz i przyglądał mi się małymi oczkami.

— Miesiąca nie starczy, żeby w to uwierzyć — powiedział. — Z gdybym to usłyszał z jakichkolwiek innych ust, książę, uznałbym to za czyste oszustwo, sieć na naszą pychę utkaną z gwiezdnych promieni. Ale znam pański sztywny kark. Zbyt sztywny, żeby dla zmylenia nas ugiąć się w udanej hańbie. Nie mogę uwierzyć, że mówi pan prawdę, a jednocześnie wiem, że kłamstwo stanęłoby panu w gardle… No, cóż. Czy on będzie chciał z nami rozmawiać tak, jak, zdaje się, rozmawiał z panem?

— To jest jego cel: mówić i być słyszanym. Tam lub tutaj. Gdyby

chciał znów być słyszanym w Karbidzie, Tibe go uciszy. Boję się o niego, bo chyba nie rozumie niebezpieczeństwa.

— Czy powie nam pan wszystko, co pan wie?

— Chętnie, ale czy jest powód, dla którego on nie mógłby tu przyjść i opowiedzieć wam wszystkiego osobiście?

— Myślę, że nie — powiedział Yegey delikatnie gryząc paznokieć. — Złożył podanie o wejście do Wspólnoty. Karbid nie stawia przeszkód. Jego podanie jest rozpatrywane…

7. Kwestia płci

Z notatek polowych Ong Tot Oppong, zwiadowcy z pierwszego desantu badawczego Ekumeny na Gethen (Zima), cykl 93 r. e. 1448.

1448, dzień 81. Wydaje się prawdopodobne, że oni są rezultatem eksperymentu. Myśl niezbyt przyjemna. Ale teraz, kiedy są dowody, że Ziemska Kolonia była eksperymentem, osadzeniem grupy ludności hainskiej normalnej na świecie mającym własnych protohominidalnych autochtonów, takiej możliwości nie można wykluczyć. Manipulacje genetyczne na ludziach były niewątpliwie uprawiane przez kolonizatorów; nic innego nie wyjaśnia istnienia hilfów z S ani zdegenerowanych hominidów z Rokanon. Czy coś innego wyjaśnia getheńską fizjologię płci? Przypadek, może; dobór naturalny, prawie na pewno nie. Ich obupłciowość ma niewielką albo żadną wartość adaptacyjną.

Dlaczego wybrano na eksperyment tak surowy świat? Nie ma na to odpowiedzi. Tinibossol uważa, że kolonię założono w wielkim okresie międzylodowcowym. Warunki mogły być wówczas dość sprzyjające przez pierwsze 40 czy 50 tysięcy lat. Do czasu, kiedy lód zaczął znów następować, Hainowie wycofali się całkowicie i koloniści byli zdani wyłącznie na własne siły, eksperyment został zarzucony.

Teoretyzuję tutaj na temat pochodzenia getheńskiej fizjologii seksu, a co właściwie wiemy na ten temat? Doniesienia Otie Nima z regionu Orgoreynu pomogły mi uwolnić się od niektórych wcześniejszych błędnych koncepcji. Najpierw ustalę wszystko, co wiem, a potem wyłożę swoje teorie. Po kolei.

Cykl płciowy obejmuje od 26 do 28 dni (mówią tu zwykle o 26 dniach, dostosowując się do cyklu księżycowego). Przez 21 lub 22 dni osobnik jest "somer", seksualnie nieczynny, uśpiony. Około 18 dnia przysadka inicjuje zmiany hormonalne i 22 albo 23 dnia osobnik wkracza w kemmer, czyli ruję. W pierwszej fazie kemmeru (karh. seczer) pozostaje w pełni hermafrodytą. Płeć i potencja nie ujawniają się w izolacji. Getheńczyk w pierwszej fazie kemmeru przebywający w samotności albo wśród osobników nie przechodzących kemmeru pozostaje niezdolny do stosunku. Jednak popęd płciowy jest w tej fazie ogromnie silny i dominuje nad całą osobowością podporządkowując sobie wszystkie inne instynkty. Kiedy osobnik znajduje sobie partnera w kemmerze, wydzielanie hormonów zostaje dalej przyśpieszone (przez dotyk, zapach?), aż u jednego z partnerów ustali się męska albo żeńska dominacja hormonalna. Stosownie do tego genitalia nabrzmiewają albo kurczą się, zaloty nasilają się i partner, pod wpływem tej zmiany, przyjmuje odmienną rolę seksualną (bez wyjątku? Jeżeli są wyjątki w postaci kemmer-partnerów tej samej

płci, to tak rzadkie, że można je pominąć). Ta druga faza kemmeru (karh. thorharmen) to proces wzajemnego określania się płci i potencji, co, jak się wydaje, następuje w ciągu od dwóch do dwudziestu godzin. Jeżeli jeden z partnerów jest już w pełnym kemmerze, to u nowego partnera faza ta trwa bardzo krótko; jeżeli partnerzy wkraczają w kemmer jednocześnie, zazwyczaj jest dłuższa. Normalny osobnik nie wykazuje predyspozycji do określonej roli seksualnej w kemmerze; nie wie, czy będzie mężczyzną, czy kobietą, i nie ma w tej sprawie wyboru. (Otie Nim pisał, że w Orgoreynie dość powszechne jest stosowanie środków hormonalnych dla ustalenia preferowanej płci; nie spotkałem się z tym na wsi karhidyjskiej). Z chwilą kiedy płeć jest ustalona, nie ulega już ona zmianie w całym okresie kemmeru. Kulminacyjna faza kemmeru (karh. thokemmer) trwa od dwóch do pięciu dni, w czasie których popęd i potencja płciowa osiągają maksimum. Faza ta kończy się dość gwałtownie i jeżeli nie doszło do zapłodnienia, osobnik wraca do fazy somer w ciągu kilku godzin (uwaga: Otie Nim uważa, że ta "czwarta faza" jest odpowiednikiem menstruacji) i cykl zaczyna się od nowa. Jeżeli osobnik występował w roli kobiecej i został zapłodniony, działalność hormonalna trwa oczywiście nadal i przez okres ciąży (8,4 miesiąca) i laktacji (6-8miesięcy) osobnik taki pozostaje kobietą. Męskie organy płciowe pozostają wciągnięte (jak w somerze), piersi ulegają powiększeniu, miednica się rozszerza. Po zakończeniu laktacji kobieta wraca do fazy somer i staje się na powrót idealnym hermafrodytą. Nie następuje fizjologiczny nawyk i matka kilkorga dzieci może zostać ojcem jeszcze kilkorga.

Obserwacja socjologiczna — bardzo prowizoryczna jak na razie, bo zbyt często przenosiłam się z miejsca na miejsce, żeby poczynić znaczące obserwacje tego typu.

Kemmer nie zawsze rozgrywany jest w parach. Dobieranie się w pary wydaje się najczęstszym zwyczajem, ale w "domach kemmeru" w większych i mniejszych miastach mogą powstawać grupy praktykujące rozwiązłość płciową między męskimi i żeńskimi członkami grupy. Najdalszym przeciwieństwem tej praktyki jest zwyczaj ślubowania kemmeringowi (karh. oskyommer), co jest właściwie równoznaczne z małżeństwem monogamicznym. Nie ma ono statusu prawnego, ale społecznie i etycznie stanowi pradawną i żywą instytucję. Niewątpliwie cała struktura karhidyjskich klanów-ognisk i domen opiera się na tej instytucji monogamicznego małżeństwa. Nie jestem pewna, czy są jakieś ogólne zasady co do rozwodów: tutaj w Osnorinerze rozwody są, ale nie ma powtórnego małżeństwa po rozwodzie lub śmierci partnera. Ślubować kemmeringowi można tylko raz.

Pochodzenie jest ustalone na całej Gethen oczywiście po matce,

czyli "rodzicu cielesnym" (karh. amha).

Kazirodztwo jest dopuszczalne z różnymi ograniczeniami nawet między pełnym rodzeństwem z pary, która ślubowała. Rodzeństwo jednak nie może ślubować ani utrzymywać związku po urodzeniu dziecka przez jedno z pary. Kazirodztwo międzypokoleniowe jest surowo zabronione w Karbidzie i Orgoreynie, ale podobno dozwolone wśród plemion Perunteru, czyli kontynentu antarktycznego. Może to tylko złośliwe oszczerstwo.

Czego jeszcze dowiedziałam się na pewno? Wydaje się, że to wszystko.

Jest jedna cecha tej anomalnej sytuacji, która może mieć wartość adaptacyjną. Ponieważ kopulacja możliwa jest tylko w okresie płodności, szansa poczęcia jest duża, jak u wszystkich ssaków przechodzących okres rui. W surowych warunkach, przy dużej śmiertelności niemowląt, może to mieć pozytywną wartość dla przetrwania rasy. Obecnie w cywilizowanych okolicach Gethen ani śmiertelność niemowląt, ani przyrost naturalny nie są wysokie. Tinibossol ocenia, że ludność na wszystkich trzech kontynentach nie przekracza 100 milionów, i uważa, że utrzymuje się na tym poziomie przynajmniej od tysiąclecia. Dużą rolę w utrzymaniu tej stabilności wydaje się odgrywać rytualna i etyczna abstynencja oraz stosowanie hormonalnych środków antykoncepcyjnych.

Są aspekty dwuseksualności, których zaledwie się domyślamy i których może nigdy w pełni nie będziemy w stanie pojąć. Fenomen kemmeru fascynuje oczywiście wszystkich nas, zwiadowców. Nas fascynuje, ale Getheńczykami rządzi, panuje nad nimi. Struktura ich społeczeństw, organizacja przemysłu, rolnictwa, handlu, rozmiary ich osiedli, tematy ich ustnej literatury, wszystko jest dopasowane do cyklu somer-kemmer. Każdy ma wolne raz w miesiącu. Nikt, niezależnie od stanowiska, nie ma obowiązku pracy, kiedy przechodzi kemmer. Nikt, ani biedny, ani obcy, nie jest odpędzany od drzwi "domu kemmeru". Wszystko ustępuje z drogi cyklicznej radości i miłosnemu cierpieniu. Jest to rzecz łatwa dla nas do zrozumienia. Bardzo trudne do zrozumienia jest to, że przez cztery piąte czasu ci ludzie są pozbawieni motywacji seksualnej. Jest tu miejsce na seks, dużo miejsca, ale jest to jakby miejsce osobne. Społeczność getheńska w swoim codziennym funkcjonowaniu, w swojej ciągłości, jest aseksualna.

Uwaga: każdy może objąć każdą rolę. Brzmi to bardzo prosto, ale efekty psychologiczne tego są nie do przewidzenia. Fakt, że każdy w wieku między siedemnastym a trzydziestym piątym mniej więcej rokiem życia może być (jak to ujął Nim) "skazany na macierzyństwo", decyduje o tym, że nikt tu nie jest całkowicie "przywiązany" pod względem psychologicznym i fizycznym, jak jest to z kobietami gdzie

indziej. Ciężary i przywileje są dzielone po równo; każdy podejmuje to samo ryzyko i dokonuje podobnego wyboru. Dlatego też nikt nie jest tu tak wolny, jak wolny mężczyzna gdzie indziej.

Uwaga: Dziecko nie ma psychoseksualnego stosunku do rodziców. Na Zimie nie funkcjonuje mit o Edypie. Uwaga: Nie ma tu stosunku bez zgody partnera, nie ma gwałtu. Jak u większości ssaków poza człowiekiem coitus może się odbyć tylko przy obopólnej chęci, inaczej nie jest możliwy. Uwiedzenie jest niewątpliwie możliwe, ale musi być ogromnie precyzyjnie wyliczone w czasie.

Uwaga: Nie istnieje podział ludzkości na silną i słabą połowę, obrońców i wymagających obrony, dominujących i podporządkowanych, właścicieli i sługi, czynnych i biernych. Właściwie cała skłonność do dualizmu, którą przepojone jest ludzkie myślenie, może się okazać na Zimie osłabiona lub zmieniona.

Następujące rzeczy powinny się znaleźć w końcowych zaleceniach: Przy spotkaniu z Getheńczykiem nie należy i nie wolno robić tego, co rozdzielnopłciowiec ma we krwi, to znaczy osadzać go w roli mężczyzny lub kobiety i ustawiać się w stosunku do niego pod wpływem własnych oczekiwań co do przyjętych lub możliwych zachowań między osobnikami tej samej lub przeciwnej płci. Wszystkie nasze wzorce społeczno-seksualnych zachowań są tu nieprzydatne. Oni nie znają tej gry. Oni nie patrzą na siebie jak na mężczyznę lub kobietę, co prawie przekracza możliwości naszej wyobraźni. Jakie jest pierwsze pytanie, które zadajemy na temat noworodka?

Jednocześnie nie wolno myśleć o Getheńczyku "ono". Oni nie są eunuchami. Są potencjalni, całościowi. Nie mają karhidyjskiego "ludzkiego" zaimka na oznaczenie osoby w somerze, używam zaimka "on" z tych samych powodów, z których używamy męskiego zaimka, kiedy mówimy o transcendentalnym bogu — jest mniej określony, mniej specyficzny niż żeński lub nijaki. Ale przez samo używanie tego zaimka w myślach stale zapominam, że Karhidyjczyk, z którym rozmawiam, nie jest mężczyzną, lecz mężczyzno-kobietą.

Pierwszy mobil, jeżeli zostanie tu przysłany, musi być ostrzeżony, że jeżeli nie jest bardzo pewny siebie albo bardzo stary, jego duma będzie narażona na szwank. Mężczyzna pragnie szacunku dla swojej męskości, kobieta pragnie, by jej kobiecość była doceniona, niezależnie od tego, jak pośrednie lub subtelne byłyby te oznaki szacunku i doceniania. Na Zimie tego nie będzie. Tu jest się ocenianym i szanowanym wyłącznie jako istota ludzka. Jest to zaskakujące przeżycie.

Wracając do mojej teorii. Rozważając motywy podobnego eksperymentu, jeżeli to był eksperyment, i może usiłując uwolnić hainskich przodków od zarzutu barbarzyństwa, poczyniłam pewne przypuszczenia co do jego możliwego celu.

Cykl someru-kemmeru jest w naszych oczach czymś poniżającym, powrotem do zwierzęcości, podporządkowaniem istot ludzkich mechanicznemu imperatywowi rui. Możliwe, że eksperymentatorzy chcieli sprawdzić, czy istoty ludzkie pozbawione ciągłej potencji płciowej pozostaną rozumne i zdolne do tworzenia kultury.

Z drugiej strony ograniczenie pociągu płciowego do nieciągłych odcinków czasu i jego hermafrodytyczne "zrównoważenie" musi ograniczać w znacznym stopniu jego wykorzystanie i eliminować związane z nim frustracje. Frustracje seksualne muszą istnieć (chociaż społeczeństwo stara się im zapobiegać najlepiej jak może; póki grupa społeczna jest wystarczająco duża, żeby więcej niż jeden osobnik przechodził w danym czasie kemmer, zaspokojenie seksualne jest prawie pewne), ale przynajmniej nie narastają, bo kończą się wraz z kemmerem. W porządku, w ten sposób zaoszczędzono im wielu niepotrzebnych zachodów i szaleństwa, tylko co pozostaje w somerze? Co ma podlegać sublimacji? Co osiągnie społeczeństwo eunuchów? Ale oni nie są, oczywiście, eunuchami w somerze, można ich raczej porównać do ludzi przed okresem dojrzewania, nie do kastratów, ale do ludzi oczekujących na przebudzenie.

Inny domysł co do celu hipotetycznego eksperymentu eliminacja wojen. Czyżby starożytni Hainowie zakładali, że ciągła potencja seksualna i zorganizowana agresja społeczna, które nie występują u żadnych ssaków prócz człowieka, są przyczyną i skutkiem? Albo czyżby, jak Tumass Song Angot, uważali wojnę za czysto męską działalność zastępczą, jeden wielki gwałt, i dlatego w swoim eksperymencie wyeliminowali męskość, która gwałci, i kobiecość, która jest gwałcona? Bóg jeden wie. Faktem jest, że Getheńczycy, chociaż bardzo skłonni do współzawodnictwa (czego dowodem skomplikowane kanały społeczne umożliwiające współzawodniczenie o prestiż itp.), nie są zbyt agresywni; przynajmniej nie mieli jeszcze dotąd, jak się wydaje, czegoś, co można by nazwać wojną. Zabijają się bez oporów pojedynczo i dwójkami, rzadko dziesiątkami i dwudziestkami, nigdy setkami i tysiącami. Dlaczego?

Może się okazać, że nie ma to nic wspólnego z ich hermafrodytyczną psychologią. Ostatecznie nie jest ich zbyt wielu. Jest też klimat. Pogoda na Zimie jest tak bezlitosna, tak bliska granic ludzkiej wytrzymałości, nawet przy całym ich przystosowaniu do chłodu, że, co możliwe, zużywają całego ducha bojowego w walce z zimnem. Ludy marginalne, rasy egzystujące na granicy przetrwania, rzadko bywają wojownikami. 1 wreszcie, dominującym czynnikiem w życiu Getheńczyków nie jest seks ani żadna inna rzecz związana z człowiekiem. Jest nim ich otoczenie, ich mroźny świat. Człowiek ma tutaj okrutniejszego wroga niż on sam.

Jako kobieta z pokojowego świata Cziffewar nie jestem specjalistą

od uroków agresywności i od spraw wojny. Będzie to musiał przemyśleć kto inny. Ale naprawdę nie wierzę, żeby ktoś, kto przeżył zimę na Zimie i stanął oko w oko z Lodem, mógł przywiązywać większą wagę do zwycięstwa i wojennej chwały.

8. Inna droga do Orgoreynu

Spędziłem to lato bardziej jak zwiadowca niż jak mobil, wędrując po Karhidzie od wioski do wioski, z domeny do domeny, przyglądając się i słuchając: coś, na co mobil nie może sobie pozwolić w pierwszym okresie, kiedy jeszcze jest dla ludzi nowością i dziwolągiem, kiedy musi być stale na pokaz i gotów do występów. Mówiłem swoim gospodarzom w ogniskach i wioskach, kim jestem. Większość z nich słyszała coś na mój temat przez radio i miała o mnie jakie takie pojęcie. Zdradzali zainteresowanie, jedni większe, inni mniejsze. Niektórzy obawiali się mnie lub okazywali ksenofobiczną odrazę. Wróg w Karhidzie to nie jest obcy, najeźdźca. Nieznajomy przybywający do ogniska jest gościem. Wrogiem jest sąsiad.

W miesiącu kus mieszkałem na wschodnim wybrzeżu jako gość klanu Gorinhering, w rozbudowanym domu — twierdzy na wzgórzu wznoszącym się nad wiecznymi mgłami oceanu Hodomin. Mieszkało tam około pięciuset osób. Cztery tysiące lat temu zastałbym ich przodków mieszkających w tym samym miejscu, w podobnym domu. W ciągu tych czterech tysiącleci wynaleziono elektryczność, zaczęto używać radia, mechanicznych warsztatów tkackich, pojazdów i maszyn rolniczych. Wiek techniki nadszedł stopniowo, bez rewolucji technicznej ani żadnej innej. Zima nie osiągnęła w ciągu trzydziestu stuleci tego, co Ziemia osiągnęła kiedyś w ciągu trzydziestu dziesięcioleci, ale też nie zapłaciła za to ceny, jaką zapłaciła Ziemia.

Zima jest okrutnym światem. Kara za przestępstwo jest nieunikniona i szybka: śmierć z zimna albo śmierć z głodu. Żadnej kaucji, żadnego zawieszenia. Człowiek może zawierzyć swojemu szczęściu, społeczeństwo nie, bo przemiany kulturowe, jak przypadkowe mutacje, mogą nasilić element ryzyka. W dowolnie wybranym punkcie ich historii powierzchowny obserwator mógłby powiedzieć, że wszelki postęp technologiczny i dyfuzja kulturowa uległy tu zahamowaniu. Ale nigdy tak nie było. Porównajmy tropikalną ulewę i lodowiec. Po swojemu każde dochodzi tam, dokąd zmierza.

Dużo rozmawiałem ze starymi ludźmi z Gorinhering, także z dziećmi. Po raz pierwszy miałem okazję zetknąć się bliżej z getheńskimi dziećmi, bo w Erhenrangu wszystkie przebywały w prywatnych lub publicznych ogniskach i szkołach. Jedna czwarta do jednej trzeciej całej dorosłej populacji miast jest zatrudniona przy karmieniu i kształceniu dzieci. Tutaj klan sam zajmował się swoją młodzieżą. Odpowiedzialność spadała na wszystkich i na nikogo. Była to rozhukana gromada biegająca po zasnutych mgłą wzgórzach i plażach. Kiedy udawało mi się zatrzymać któreś wystarczająco długo,

żeby porozmawiać, okazywało się, że są nieśmiałe, dumne i jednocześnie ogromnie ufne.

Instynkt rodzicielski wyraża się na Gethen bardzo różnie, tak jak wszędzie. Nie matu żadnych reguł. Nigdy nie widziałem, żeby jakiś Karhidyjczyk uderzył dziecko. Raz widziałem, jak ktoś mówił do dziecka ze złością. Ich czułość w stosunku do dzieci wydała mi się głęboka, racjonalna i niemal całkowicie pozbawiona instynktu władczego. Tylko pod tym ostatnim względem różniła się od tego, co u nas nazywa się instynktem "macierzyńskim". Podejrzewam, że rozróżnienie między instynktem macierzyńskim a ojcowskim nie ma uzasadnienia, że instynkt rodzicielski, gotowość do obrony i pomocy, nie jest cechą przywiązaną do płci…

Na początku miesiąca hakunna wyłowiliśmy w Gorinhering spośród trzasków radia Biuletyn Pałacowy ogłaszający, że król Argaven spodziewa się potomka. Nie jeszcze jednego syna z kemmeringa, których już miał siedmiu, ale syna z własnego łona. Król był w ciąży.

Uznałem, że to zabawne, i mieszkańcy Gorinhering również, ale z innego powodu. Mówili, że król jest za stary, żeby rodzić dzieci, i zaśmiewali się robiąc nieprzyzwoite aluzje. Starzy ludzie mieli powód do śmiechu na wiele dni. Śmiali się z króla, ale poza tym nie bardzo się nim interesowali. "Karhid to domeny", powiedział kiedyś Estraven i jak wiele z tego, co powiedział, słowa te stawały przede mną, w miarę jak się uczyłem coraz to czegoś nowego. Ten pozorny naród, zjednoczony od stuleci, stanowił konglomerat domen, miast, wiosek, "pseudofeudalnych plemiennych jednostek gospodarczych", pstrokaciznę energicznych, kompetentnych, kłótliwych indywidualności, poddanych tylko bardzo powierzchownie rygorom władzy. Pomyślałem sobie, że nic nie potrafi zjednoczyć Karhidu jako narodu. Pełne rozpowszechnienie środków masowego przekazu, które, jak się uważa, w sposób niemal nieunikniony prowadzi do nacjonalizmu, nie dokonało tego. Ekumena nie może zwracać się do tych ludzi jako do społeczności, jako do pewnej posiadającej zdolność mobilizacji całości. Musi raczej zwracać się do ich silnego, choć nie w pełni rozwiniętego poczucia humanizmu, poczucia ludzkiej jedności. Myśl o tym bardzo mnie poruszyła. Myliłem się, oczywiście, a jednak dowiedziałem się o Getheńczykach czegoś, co na dłuższą metę okazało się pożyteczne.

O ile nie chciałem spędzić całego roku w Starym Karbidzie, musiałem wracać na Zachodnią Równinę, póki przełęcze Kargavu były jeszcze przejezdne. Nawet tutaj, na wybrzeżu, dwukrotnie spadł mały śnieg w ostatnim miesiącu lata. Dość niechętnie wyruszyłem z powrotem na zachód i przybyłem do Erhenrangu na początku gor, pierwszego miesiąca jesieni. Argaven żył teraz w odosobnieniu w

letnim pałacu w Warrever i mianował Pemmera Harge rem ir Tibe'a regentem na czas swojej nieobecności. Tibe w pełni wykorzystywał okres swojej władzy. Już po paru godzinach od przyjazdu zacząłem dostrzegać błędy w swojej analizie Karbidu i poczułem wokół siebie atmosferę obcości, może nawet zagrożenia.

Argaven nie był człowiekiem normalnym. Złowieszcza niezborność jego umysłu ciążyła na nastroju jego stolicy, król żywił się strachem. Wszystko, co dobre za jego panowania, było dziełem jego ministrów i kyorremy, ale nie wyrządził też wiele zła. Jego szarpanina z trapiącymi go zmorami nie szkodziła królestwu. Co innego jego kuzyn Tibe, którego szaleństwo miało logikę. Tibe wiedział, kiedy i jak działać. Nie wiedział tylko, gdzie się zatrzymać.

Często przemawiał przez radio. Estraven, kiedy był u władzy, nigdy tego nie robił i nie należało to do karhidyjskiego stylu. Sprawowanie władzy nie było tutaj publicznym przedstawieniem, było tajne i pośrednie. Tibe tymczasem tokował. Słysząc jego głos przez radio widziałem długozęby uśmiech i twarz pod maską sieci. drobnych zmarszczek. Jego przemówienia były długie i głośne: pochwały Karbidu, obelgi pod adresem Orgoreynu, oskarżenia "nielojalnych frakcji", rozważania na temat "nienaruszalności granic królestwa", wykłady z historii, etyki i ekonomii, a wszystko w pełnym frazesów, napuszonym stylu, w którym histerycznie pobrzmiewały obelgi i pochlebstwa. Mówił dużo o honorze kraju i miłości ojczyzny, ale niewiele o szifgrethorze, osobistej dumie lub prestiżu. Czyżby Karbid utracił tak wiele prestiżu w sprawie doliny Sinoth, że lepiej było o tym nie wspominać? Nie, bo często poruszał sprawę doliny Sinoth. Uznałem, że rozmyślnie unika tematu szifgrethoru, bo pragnie wzniecić żywiołowe emocje niższego rzędu. Chciał poruszyć coś, z czego wyrosła idea szifgrethoru, czego była udoskonaleniem i sublimacją. Chciał wzbudzić w swoich słuchaczach strach i gniew. Nie mówił wcale o dumie i miłości, choć bez przerwy używał tych słów. W jego ustach znaczyły one tyle co zarozumialstwo i nienawiść. Rozwodził się też na temat prawdy, bo, jak powiedział, "sięgał do niej pod maskę cywilizacji".

Jest to ponadczasowa, wszechobecna, pozornie słuszna metafora — o masce, lakierze, farbie czy czymś tam jeszcze kryjącym szlachetniejszą rzeczywistość. Potrafi ukryć za jednym zamachem dziesiątek fałszerstw. Jednym z najbardziej niebezpiecznych jest sugestia, że cywilizacja jest tworem sztucznym, a więc nienaturalnym, że jej przeciwieństwem jest prymitywizm… Oczywiście nie ma żadnej maski ani lakieru, jest proces wzrostu, a prymitywizm i cywilizacja są różnymi stadiami tej samej rzeczy. Jeżeli cywilizacja ma przeciwieństwo, to jest nim wojna. Z tych dwóch rzeczy można mieć albo jedną, albo drugą. Nigdy obie naraz. Słuchając nudnych,

napastliwych tyrad Tibe'a miałem uczucie, że strachem i perswazją chciał wymusić na swoim narodzie zmianę wyboru, którego ten dokonał, zanim zaczęła się historia, wyboru między wojną a cywilizacją.

Możliwe, że czas do tego dojrzał. Choć ich postęp materialny i technologiczny był powolny, choć niewiele sobie cenili samą ideę "postępu", w ostatnich pięciu, dziesięciu czy piętnastu stuleciach wreszcie wyprzedzili nieco Naturę. Nie byli już bezwzględnie zdani na łaskę i niełaskę swojego okrutnego klimatu, nieurodzaj nie prowadził do śmierci głodowej całej prowincji, a szczególnie ostra zima nie oznaczała izolacji miast. Na podstawie tej materialnej stabilizacji Orgoreyn stopniowo zbudował zjednoczone i coraz sprawniejsze scentralizowane państwo. Teraz Karhid miał zmobilizować się i zrobić to samo. A sposobem na to nie było rozwijanie dumy narodowej, rozwijanie handlu, ulepszanie dróg, gospodarstw, uczelni, nic z tego, to wszystko cywilizacja, maska, którą Tibe z pogardą odrzucał. Jemu chodziło o coś pewniejszego, o niezawodny, szybki i długo działający sposób na utworzenie z ludzi narodu, o wojnę. Jego pomysły w tej kwestii nie mogły być zbyt precyzyjne, ale były całkiem sensowne. Jedynym innym sposobem na szybką i pełną mobilizację ludzi jest nowa religia, a że religii nie było na podorędziu, pozostawała wojna.

Przesłałem regentowi notę, w której cytowałem pytanie, jakie zadałem wieszczom z Otherhordu, i otrzymaną odpowiedź. Tibe nie odpowiedział. Wówczas poszedłem do ambasady orgockiej i poprosiłem o zezwolenie na wyjazd do Orgoreynu.

Personel biur Ekumeny na Hain jest mniej liczny niż tutaj personel ambasady jednego małego kraju w drugim małym kraju, a wszyscy oni są uzbrojeni w dziesiątki metrów taśmy i formularze. Byli powolni i dokładni, żadnej niedbałej arogancji i nagłej śliskości, tak charakterystycznych dla urzędników karhidyjskich. Czekałem, podczas gdy oni wypełniali swoje formularze.

To czekanie stawało się dość denerwujące. Ilość gwardzistów i policjantów miejskich na ulicach Erhenrangu zdawała się wzrastać z dnia na dzień. Byli uzbrojeni, a ich ubiór jakby się ujednolicał. Nastrój w mieście był ponury, chociaż interesy szły dobrze, dobrobyt był powszechny, a pogoda dobra. Wszyscy trzymali się ode mnie z daleka. Moja "gospodyni" nie pokazywała już ciekawskim mojego pokoju, natomiast skarżyła się, że nachodzą ją "ci z Pałacu", i traktowała mnie już nie jako szacowne dziwowisko, lecz jako osobnika podejrzanego politycznie. Tibe miał przemówienie o starciu granicznym w dolinie Sinoth: "dzielni karhidyjscy rolnicy, prawdziwi patrioci" zaatakowali na południu od Sassinoth orgocką wieś, spalili ją, zabili dziewięciu mieszkańców, a następnie wlekli ich ciała aż do rzeki Ey, gdzie je wrzucili. "Taki koniec — powiedział regent — czeka wszystkich

wrogów naszego narodu!" Słuchałem tej audycji w sali jadalnej swojej wyspy. Niektórzy słuchacze mieli miny ponure, inni znudzone. jeszcze inni zadowolone, ale we wszystkich tych różnych twarzach był jeden element wspólny, drobny tik albo skurcz, którego nie było wcześniej, wyraz niepokoju.

Tego wieczoru miałem gościa, pierwszego od mojego powrotu do Erhenrangu. Był szczupły, nieśmiały, miał gładką skórę i nosił złoty łańcuch wieszcza, jednego z czystych.

— Jestem przyjacielem kogoś, kto był twoim przyjacielem — powiedział z bezpośredniością właściwą ludziom nieśmiałym. — Przyszedłem prosić cię o przysługę w jego imieniu.

— Faxe?

— Nie, Estraven.

Mój życzliwy wyraz twarzy musiał ulec zmianie, bo po krótkiej przerwie nieznajomy dodał:

— Estraven Zdrajca. Pamiętasz takiego?

Miejsce nieśmiałości zajął gniew i teraz przybysz rozpoczął grę w szifgrethor. Gdybym chciał ją podjąć, mój ruch wymagał, żebym powiedział coś w rodzaju: "nie jestem pewien, powiedz mi coś o nim". Ale ja nie miałem ochoty na grę i zdążyłem już poznać wybuchowy temperament Karhidyjczyków. Zlekceważyłem jego gniew i powiedziałem:

— Pamiętam go, oczywiście.

— Ale nie z przyjaźnią. — Jego ciemne oczy o opuszczonych kącikach wpatrywały się we mnie intensywnie.

— Raczej z wdzięcznością i rozczarowaniem. Czy przysłał cię do mnie?

— Nie.

Czekałem, aż powie coś więcej.

— Wybacz — powiedział. — Wysuwałem nieuzasadnione przypuszczenia. Akceptuję fakty.

Powstrzymałem małego obrażonego człowieka już w drzwiach.

— Proszę cię, nie wiem, kim jesteś ani czego chcesz. Nie zgodziłem się jeszcze, ale to nie znaczy, że ci odmówiłem. Musisz przyznać mi prawo do ostrożności. Estraven został wygnany za to, że popierał moją misję…

— Czy nie uważasz, że jesteś w związku z tym jego dłużnikiem?

— W pewnym sensie. Jednak moja misja tutaj jest ważniejsza niż wszystkie osobiste zobowiązania i lojalności. — Skoro tak — powiedział mój gość bez cienia wątpliwości — to twoja misja jest niemoralna.

To mnie zastanowiło. Powiedział to jak adwokat Ekumeny i nie znalazłem odpowiedzi.

— Nie sądzę — odezwałem się wreszcie. — Ułomny jest

misjonarz, nie sama misja. Ale powiedz, proszę, co chciałeś, żebym zrobił.

— Mam nieco pieniędzy z opłat i długów, które udało mi się uratować z resztek majątku mojego przyjaciela. Słysząc, że wybierasz się do Orgoreynu, postanowiłem prosić cię, żebyś przekazał mu te pieniądze, jeżeli go odnajdziesz. Jak wiesz, byłoby to przestępstwem. Może się też okazać niepotrzebne. On może być w Misznory albo w którymś z ich przeklętych gospodarstw, albo może już nie żyje. Nie mam sposobu, żeby się tego dowiedzieć. Nie znam nikogo w Orgoreynie, a tu nie odważyłbym się pytać. Pomyślałem o tobie, jako o kimś stojącym ponad polityką, kto nie ma związanych rąk. Nie przyszło mi do głowy, że masz, oczywiście, swoją własną politykę. Proszę o wybaczenie mi mojej głupoty.

— Dobrze, wezmę dla niego pieniądze. Ale jeżeli nie żyje albo nie będę mógł go odnaleźć, to komu mam je oddać? Patrzył na mnie, jego twarz przebiegł jakiś skurcz, w gardle odezwał się stłumiony szloch. Większość Karhidyjczyków płacze łatwo, nie wstydząc się łez bardziej niż śmiechu. Powiedział:

— Dziękuję ci. Nazywam się Foreth. Jestem ze stanicy Orgny.

— Czy należysz do klanu Estravena?

— Nie. Jestem Foreth rem ir Osboth. Byłem jego kemmeringiem.

Estraven nie miał kemmeringa, kiedy go znałem, ale nie potrafiłem wzbudzić w sobie podejrzenia do tego człowieka. Mógł być czyimś nieświadomym narzędziem, ale on sam był na pewno szczery. I czegoś się od niego nauczyłem: że grę o szifgrethor można toczyć też na poziomie etyki i że lepszy gracz wygrywa. Dostałem mata w dwóch ruchach.

Przekazał mi pieniądze, które miał przy sobie: pokaźną sumę w królewskich karhidyjskich, które nie stanowiły żadnego śladu i które, co za tym idzie, mógłbym sobie po prostu przywłaszczyć.

— Jeżeli go znajdziesz… — zająknął się. — Coś przekazać?

— Nie. Chciałbym tylko wiedzieć…

— Jeżeli go znajdę, postaram się przesłać ci wiadomość. — Dziękuję — powiedział i wyciągnął obie ręce w geście przyjaźni, który Karhidyjczykom nie przychodzi lekko. Życzę ci powodzenia w twojej misji. On, Estraven, wierzył, że przybyłeś tu w dobrej sprawie. Wiem, że wierzył w to bardzo mocno.

Ten człowiek nie widział świata poza Estravenem. Był jednym z tych skazanych na to, żeby kochać tylko raz.

— Czy chciałbyś mu coś przekazać? — spytałem ponownie. — Powiedz mu, że dzieci są zdrowe — powiedział, potem zawahał się, mruknął cicho: — Nusuth — i odszedł. W dwa dni później wyruszyłem z Erhenrangu pieszo, tym razem drogą północno — zachodnią. Moje zezwolenie na przekroczenie granic Orgoreynu nadeszło szybciej, niż

zapowiadali urzędnicy z ambasady, i szybciej, niż sami się spodziewali. Kiedy przyszedłem odebrać papiery, traktowali mnie ze zjadliwym szacunkiem, niezadowoleni, że protokół i przepisy zostały na mój użytek zlekceważone. Ponieważ w Karbidzie nie obowiązywały żadne przepisy co do opuszczania kraju, wyruszyłem natychmiast. W ciągu lata nauczyłem się, jak przyjemnie jest podróżować po Karbidzie pieszo. Drogi i zajazdy są dostosowane do ruchu pieszego równie jak do pojazdów mechanicznych, a tam, gdzie zabraknie zajazdu, można niezawodnie polegać na kodeksie gościnności. Mieszkańcy miast, wiosek, pojedynczych zagród lub panowie domen zgodnie z kodeksem zapewniają podróżnemu schronienie i pożywienie przez trzy dni, a w praktyce znacznie dłużej, najważniejsze zaś, że jest się zawsze przyjmowanym bez kwasów, serdecznie, jakby się było oczekiwanym gościem.

Wędrowałem przez wspaniałą, schodzącą w dół krainę między Sess i Ey nie śpiesząc się, zarabiając czasem na utrzymanie pracą na polach wielkich latyfundiów, gdyż właśnie była pora żniw i każda para rąk, każde narzędzie i maszyna trudziły się, żeby zebrać plon przed zmianą pogody. Wszystko było złote i pogodne podczas tej tygodniowej wędrówki, i co noc przed zaśnięciem wychodziłem z ciemnego domu rolnika albo z rozświetlonej sali kominkowej, w zależności od tego, gdzie mieszkałem, stawałem na ściernisku i patrzyłem na gwiazdy, rozjarzone jak odległe miasta, wśród wietrznych jesiennych ciemności.

Prawdę mówiąc niechętnie rozstawałem się z tym krajem tak obojętnie przyjmującym posła z gwiazd, ale tak życzliwym nieznajomemu. Czułem niechęć do zaczynania wszystkiego od początku, do powtarzania swojego posłania w nowym języku nowym słuchaczom i może znów na próżno. Wędrowałem bardziej na północ niż na zachód, powodowany ciekawością ujrzenia regionu doliny Sinoth, kości niezgody między Karbidem a Orgoreynem. Nadal było pogodnie, ale zaczęło się ochładzać, i wreszcie skręciłem na zachód nie dochodząc do Sassinoth, bo przypomniałem sobie, że zbudowano tam płot wzdłuż granicy i mogę mieć trudności z opuszczeniem Karbidu. Tutaj granicę stanowiła Ey, wąska, ale rwąca rzeka zasilana lodowcem jak wszystkie rzeki Wielkiego Kontynentu. Zawróciłem kilka kilometrów na południe szukając przejścia i trafiłem na most łączący dwie wioski, Passerer po stronie karhidyjskiej i Siuwensin w Orgoreynie, przyglądające się sobie leniwie z przeciwnych brzegów rwącej Ey.

Karhidyjski strażnik spytał mnie tylko, czy zamierzam wracać jeszcze tego wieczoru, i machnął mi ręką. Po stronie orgockiej przywołano inspektora, żeby dokonał kontroli mojego paszportu i papierów, co robił przez godzinę, w dodatku karhidyjską. Zatrzymał

paszport mówiąc mi, że mam się po niego zgłosić następnego dnia rano, i dał mi zamiast niego zlecenie na posiłki i nocleg w Granicznym Domu Podróżnych Wspólnoty w Siuwensin. Spędziłem następną godzinę w biurze kierownika domu, który wertował moje papiery i sprawdzał autentyczność mojego zlecenia telefonując do inspektora Punktu Granicznego Wspólnoty, z którego dopiero co przyszedłem.

Nie potrafię odpowiednio zdefiniować orgockiego słowa, które tłumaczę tu jako "wspólnota". Jego rdzeń stanowi słowo oznaczające wspólne spożywanie posiłku. Jego użycie obejmuje wszystkie narodowe i państwowe instytucje Orgoreynu, od państwa jako całości, przez trzydzieści trzy okręgi do mniejszych jednostek, miast, komunalnych gospodarstw, kopalń, fabryk itp. Jako przymiotnik stosuje się do wszystkich powyższych przypadków. W formie "wspólnota" chodzi zwykle o rządzące ciało Wielkiej Wspólnoty Orgoreynu z władzą wykonawczą i ustawodawczą, złożone z trzydziestu trzech naczelników okręgów, ale może to także oznaczać ogół obywateli. sam naród. W tym dziwnym braku rozróżnienia między ogólnym a specyficznym użyciem słowa, w stosowaniu go na oznaczenie zarówno części jak całości, w tym braku precyzji kryje się jego najbardziej precyzyjny sens.

Moje papiery, a wraz z nimi i moja obecność zostały wreszcie zaaprobowane i o czwartej godzinie otrzymałem mój pierwszy tego dnia od wczesnego śniadania posiłek, kolację złożoną z gotowanego kadiku i plastrów zimnego jabłka chlebowego. Przy całym nagromadzeniu urzędników Siuwensin było małą, zapadłą dziurą, głęboko pogrążoną w prowincjonalnej apatii. Dom Podróżnych Wspólnoty Orgoreynu okazał się mniejszy niż jego nazwa. Sala jadalna, bez kominka, składała się ze stołu i pięciu krzeseł, jedzenie przynoszono ze wsi. W drugim pomieszczeniu była sypialnia — sześć łóżek, dużo kurzu, trochę wilgoci. Miałem ją całą dla siebie. Ponieważ wyglądało na to, że w Siuwensin wszyscy idą do łóżek prosto po kolacji, zrobiłem to samo. Zasnąłem w tej przejmującej wiejskiej ciszy, która dźwięczy w uszach. Spałem przez godzinę i obudziłem się duszony koszmarem o wybuchach, inwazji, mordach i pożarach.

Był to szczególnie męczący sen, z tych, w których biegnie się w ciemnościach nieznaną ulicą wśród tłumu ludzi bez twarzy, a za plecami domy stają w płomieniach i słychać krzyk dzieci.

Zatrzymałem się na ściernistym polu przy czarnym żywopłocie. Przez chmury przeświecał matowoczerwony półksiężyc i kilka gwiazd. Wiał przenikliwy zimny wiatr. W pobliżu majaczyła w ciemności wielka stodoła albo spichlerz, a w tle za nią tryskały w niebo miotane wiatrem snopy iskier.

Byłem boso, bez spodni, Niebu i płaszcza, tylko w koszuli, ale miałem swój plecak, którego używałem jako poduszki w swoich

podróżach, a w nim nie tylko zapasowe ubranie, lecz także moje rubiny, pieniądze, dokumenty, papiery i astrograf. Widocznie pilnowałem go nawet w złych snach. Wyjąłem buty, spodnie, podbity futrem zimowy hieb i ubrałem się w tej mroźnej, ciemnej ciszy, mając za plecami płonące Siuwensin. Zacząłem szukać drogi, którą wkrótce znalazłem, a na niej innych ludzi. Byli uciekinierami, podobnie jak ja, ale wiedzieli, dokąd idą. Poszedłem za nimi nie mając żadnego własnego planu, poza tym, żeby znaleźć się jak najdalej od Siuwensin, które — jak się domyślałem zostało napadnięte z Passerer po drugiej stronie mostu.

Tamci napadli, podłożyli ogień i wycofali się — walki nie było. Nagle w ciemnościach przed nami zapłonęły reflektory i zbici w gromadkę na poboczu ujrzeliśmy sznur ciężkich pojazdów, które na pełnej szybkości nadjechały z zachodu w stronę Siuwensin, minęły nas z błyskiem świateł i odgłosem kół powtórzonym dwadzieścia razy, a potem znów cisza i ciemność.

Wkrótce dotarliśmy do komunalnego gospodarstwa rolnego, gdzie nas zatrzymano i przesłuchano. Usiłowałem trzymać się grupy, z którą przybyłem, ale nie udało mi się. Im też, jeżeli nie mieli przy sobie dokumentów osobistych. Zarówno oni jak i ja, cudzoziemiec bez paszportu, zostaliśmy odłączeni od reszty i umieszczeni na noc w magazynie, rozległej kamiennej półpiwnicy bez okien i z jedynym wejściem zamkniętym od zewnątrz. Co jakiś czas drzwi się otwierały i miejscowy policjant uzbrojony w getheńską akustyczną "strzelbę" wpychał następnego uciekiniera. Po zamknięciu drzwi ciemność była absolutna, żadnego światła. Przed oczami pozbawionymi jakiegokolwiek widoku wirowały gwiazdy i ogniste plamy na czarnym tle. Zimne powietrze przesycone było kurzem i zapachem ziarna. Nikt nie miał latarki, ci ludzie, podobnie jak ja, zostali wyrwani ze snu, dwoje z nich było dosłownie jak ich Pan Bóg stworzył i po drodze dostali od innych koce. Nie mieli nic. Gdyby zdołali wziąć cokolwiek, byłyby to ich papiery. W Orgoreynii lepiej być gołym niż nie mieć papierów.

Siedzieli rozproszeni w tej pustce, wielkiej, zakurzonej ciemności. Czasem ktoś odzywał się do kogoś szeptem. Ani śladu solidarności współwięźniów, żadnej skargi.

Z lewej strony usłyszałem szept:

— Widziałem go na ulicy, tuż koło moich drzwi. Urwało mu głowę.

— Używają strzelb z metalowymi kulami. To broń szturmowa.

— Tiena mówił, że oni nie byli z Passerer, tylko z Ovordu i przyjechali ciężarówką.

— Ale przecież między Ovordem a Siuwensin nie ma żadnych sporów…

Nie rozumieli i nie skarżyli się. Nie protestowali przeciwko temu, że zostali zamknięci w piwnicy przez swoich rodaków po tym, jak do nich strzelano i spalono im domy. Nie szukali wyjaśnienia tego, co im się przydarzyło. Rzadkie i ciche głosy w ciemności, w melodyjnym języku orgockim, przy którym karhidyjski brzmiał, jakby ktoś potrząsał kamykami w puszce, stopniowo ucichły całkowicie. Ludnie zasnęli. Przez chwilę gdzieś w odległych ciemnościach kwiliło dziecko, płaczące na dźwięk echa własnego płaczu.

Potem skrzypnęły drzwi i był jasny dzień, blask słońca jak nożem po oczach, ostry i przerażający. Potykając się wyszedłem za wszystkimi i szedłem z nimi automatycznie, kiedy usłyszałem swoje nazwisko. Nie poznałem go początkowo, bo Orgotowie wymawiają "I". Ktoś wywoływał mnie od chwili otwarcia drzwi.

— Proszę za mną, panie Ai — powiedziała zaaferowana osoba w czerwonym stroju i już nie byłem uciekinierem. Zostałem oddzielony od tych bezimiennych, z którymi uciekałem w ciemnościach i z którymi byłem złączony bezimiennością przez całą noc spędzoną w ciemnicy. Teraz miałem imię, byłem znany, urzędowo potwierdzony istniałem. Co za ulga! Chętnie udałem się za moim przewodnikiem.

W biurze Lokalnego Zarządu Gospodarstw Rolnych Wspólnoty panował ruch i zamieszanie, ale znaleziona czas, żeby mnie odnaleźć i przeprosić za przykrości ubiegłej nocy.

— Jaka szkoda, że postanowił pan przybyć do Wspólnoty akurat przez Siuwensin! — biadolił gruby inspektor. Że też nie skorzystał pan z normalnej trasy!

Nie wiedzieli, kim jestem ani dlaczego jestem tak przyjmowany, ich niewiedza była oczywista, ale nie robiło to najmniejszej różnicy. Genly Ai, wysłannik, miał być traktowany jak ktoś ważny. I był. Wczesnym popołudniem byłem już w drodze do Misznory, w samochodzie przydzielonym do mojej dyspozycji przez Zarząd Gospodarstw Rolnych Wspólnoty Wschodniego Homsvaszom, Okręg Ósmy. Miałem nowy paszport i kartę wstępu do wszystkich domów podróżnych po drodze oraz telegraficzne zaproszenie do rezydencji pierwszego komisarza Wspólnoty do spraw punktów granicznych i portów, pana Utha Szusgisa.

Radio w małym samochodzie włączało się razem z silnikiem i grało przez cały czas jego pracy; w ten sposób całe popołudnie jadąc przez rozległe płaskie tereny uprawne wschodniego Orgoreynu, bez płotów (bo nie ma tu bydła), pocięte tylko strumieniami, słuchałem radia. Powiedziało mi o pogodzie, zbiorach, warunkach na drogach, ostrzegło mnie, żebym jechał ostrożnie, przekazało mi różne wiadomości ze wszystkich trzydziestu trzech okręgów, wyniki produkcyjne różnych fabryk, sprawozdanie z przeładunków w różnych rzecznych i morskich portach, odśpiewało kilka pieśni kultu jomesz i

znów opowiedziało o pogodzie. Wszystko to było bardzo spokojne w porównaniu z tyradami, jakie słyszałem w radio w Erhenrangu. O napadzie na Siuwensin ani słowa. Widocznie rząd orgocki chciał uspokajać, a nie podburzać. Krótkie oficjalne wiadomości powtarzane dość często stwierdzały tylko. że porządek wzdłuż wschodniej granicy jest i będzie utrzymany. Podobało mi się to. Budziło zaufanie nie prowokując przeciwnika i miało w sobie tę spokojną twardość. którą tak podziwiałem u Getheńczyków: porządek będzie utrzymany… Byłem teraz zadowolony. że wydostałem się z Karhidu, rozwichrzonego kraju popychanego w stronę wojny przez szalonego króla w ciąży i opętanego manią wielkości regenta. Byłem zadowolony, że jadę spokojnie z prędkością trzydziestu paru kilometrów na godzinę przez rozległą. równo zaoraną równinę pod jednostajnym szarym niebem ku stolicy, której władze wierzyły w porządek.

Droga była gęsto oznakowana (nie tak jak w Karhidzie, gdzie trzeba pytać lub zdać się na los szczęścia), z napisami uprzedzającymi, że należy zatrzymać się w punktach kontrolnych takiego to a takiego okręgu lub regionu Wspólnoty. Na tych wewnętrznych punktach celnych sprawdzane są dokumenty i przejazd zostaje odnotowany. Moje dokumenty były wszędzie respektowane i po krótkiej kontroli uprzejmie przepuszczano mnie i równie uprzejmie informowano o odległości do najbliższego domu podróżnych, gdybym chciał coś zjeść albo odpocząć. Przy tej szybkości podróż z Północnej Wyżyny do Misznory była całą wyprawą i spędziłem w drodze dwie noce. Posiłki w domach podróżnych były jednostajne, ale obfite, a noclegi przyzwoite, choć zawsze w salach zbiorowych. Rekompensowała to w pewnej mierze powściągliwość współtowarzyszy podróży. Nie nawiązałem żadnej znajomości ani nie odbyłem prawdziwej rozmowy na żadnym z postojów, mimo że kilkakrotnie próbowałem.

Mieszkańcy Orgoreynu nie okazywali wrogości, raczej brak zainteresowania. Byli obojętni, bezbarwni, przygaszeni. Podobali mi się. Miałem za sobą dwa lata koloru, temperamentu i pasji w Karhidzie. Zmiana była mile widziana.

Jadąc wzdłuż wschodniego brzegu wielkiej rzeki Kunderer, na trzeci dzień rano od przekroczenia granic Orgoreynu dotarłem do Misznory, największego miasta na tej planecie.

W słabym słońcu między dwiema jesiennymi ulewami miasto wyglądało dziwnie — same kamienne mury z nielicznymi wąskimi oknami umieszczonymi za wysoko, szerokie ulice przytłaczające przechodniów, latarnie o śmiesznie wysokich słupach, dachy strome jak ręce złożone do modlitwy, daszki ganków wystające ze ścian domów na wysokości wielu metrów niczym jakieś bezsensowne wielkie półki na książki — nieproporcjonalne, groteskowe miasto w

blasku słońca. Ale też nie było ono zbudowane dla słońca. Było zbudowane na zimę. W zimie, kiedy ulice pokrywała kilkumetrowa warstwa ubitego śniegu, strome dachy były obwieszone frędzlami sopli, pod daszkami ganków stały sanie, a wąskie szczeliny okien płonęły żółtym blaskiem w zacinającym mokrym śniegu, ujawniała się logika i piękno tego miasta. Misznory było czystsze, większe, jaśniejsze niż Erhenrang, przestronniejsze i bardziej imponujące. Dominowały w nim wielkie budynki z żółtawobiałego kamienia, proste, proporcjonalne bryły zbudowane według wspólnego wzorca, w których mieściły się biura i urzędy władz Wspólnoty oraz większe świątynie kultu jomesz, popieranego przez władze. Nie było tu hałasu i tłoku, uczucia, że jest się zawsze w cieniu czegoś wysokiego i ponurego jak w Erhenrangu. Wszystko tu było proste, świetnie zaplanowane i uporządkowane. Czułem się, jakbym wyrwał się z mroków średniowiecza, i żałowałem dwóch lat zmarnotrawionych w Karbidzie. To tutaj wyglądało na kraj dojrzały do wkroczenia w Wiek Ekumenalny.

Pojeździłem trochę po mieście, potem zwróciłem samochód do właściwego biura regionalnego i udałem się pieszo do rezydencji pierwszego komisarza Wspólnoty do spraw punktów granicznych i portów. Właściwie nigdy nie byłem pewien, czy to jest zaproszenie, czy uprzejme polecenie. Nusuth. Przybyłem do Orgoreynu, żeby mówić o Ekumenie, i mogę zacząć równie dobrze tu jak gdzie indziej.

Moje wyobrażenia o flegmie i opanowaniu Orgotów zostały podważone przez komisarza Szusgisa, który podbiegł do mnie z okrzykiem radości, chwycił obie moje ręce gestem w Karbidzie zarezerwowanym na okazje demonstracji głęboko osobistych emocji, potrząsnął moimi rękami z taką energią, jakby zapuszczał silnik, i wykrzyczał powitanie ambasadora Ekumeny Znanych Światów na Gethen.

Byłem zaskoczony, bo ani jeden z dwunastu, a może czternastu inspektorów, którzy studiowali moje papiery, nie okazał, że mówi mu coś moje nazwisko albo terminy Ekumena czy wysłannik, co z grubsza wiedzieli wszyscy napotkani przeze mnie mieszkańcy Karbidu.

— Nie jestem ambasadorem, panie Szusgis — poprawiłem. — Tylko wysłannikiem.

— A więc przyszłym ambasadorem. Tak, na Mesze! — Szusgis, krzepki, jowialny człowiek, obejrzał mnie od stóp do głów i znów się roześmiał. — Jest pan inny, niż się spodziewałem, panie Ai. Zupełnie inny. Wysoki jak latarnia, mówili, cienki jak płoza sań, czarny jak sadza i skośnooki. Spodziewałem się jakiegoś śnieżnego trolla, potwora! A tu nić z tych rzeczy. Jest pan tylko ciemniejszy niż większość z nas. — Ziemista cera — powiedziałem.

— I był pan w Siuwensin w noc napadu? Na piersi Mesze, w

jakim my świecie żyjemy! Po takich odległościach, jakie pan przebył, żeby tu dotrzeć, mógł pan zostać zabity przechodząc przez most na Ey. No, ale jest pan tutaj i wiele osób chce pana zobaczyć, usłyszeć i powitać wreszcie w Orgoreynie.

Bez żadnych dyskusji zainstalował mnie natychmiast w swoim domu. Jaki wysoki urzędnik i człowiek bogaty mieszkał w stylu nie spotykanym w Karhidzie, nawet wśród wielkich panów. Dom Slusgisa był całą wyspą z przeszło setką pracowników, służbą domową, urzędnikami, doradcami technicznymi i tak dalej, ale bez żadnych krewniaków. System rozbudowanych klanów rodzinnych, ognisk i domen, którego resztki można było dostrzec jeszcze w strukturze Wspólnoty, został tutaj ,.znacjonalizowany" przed kilkuset laty. Żadne dziecko powyżej jednego roku życia nie mieszka z rodzicem lub rodzicami, wszystkie są wychowywane w ogniskach Wspólnoty. Nie ma stanowisk dziedzicznych. Prywatne testamenty są nielegalne: umierając człowiek pozostawia swój majątek państwu. Wszyscy mają równy start, ale widocznie nie pozostają równi. Szusgis był bogaty i hojny. W moich pokojach znajdowały się luksusy, których istnienia na Zimie nie podejrzewałem — na przykład prysznic. Był tu również elektryczny grzejnik i kominek z dużym zapasem drewna.

— Powiedziano mi — roześmiał się Szusgis — żebym trzymał wysłannika w cieple, bo pochodzi on z gorącego jak piec świata i nie wytrzymuje naszych chłodów. Traktuj go, powiedziano mi, jakby był w ciąży, daj mu futrzane przykrycie do łóżka, grzejniki do pokoju, podgrzewaj mu wodę do mycia i szczelnie zamknij okna! Czy jest pan zadowolony? Czy będzie panu wygodnie" Proszę powiedzieć, co jeszcze chciałby pan tu mieć?

Wygodnie! W Karhidzie nikt nigdy w żadnej sytuacji nie spytał mnie, czy jest mi wygodnie.

— Panie Szusgis powiedziałem szczerze — czuję się tu jak w domu.

Nie uspokoił się, póki nie dał mi jeszcze jednego okrycia z futra pesthry na łóżko i jeszcze więcej polan do kominka. — Wiem, jak to jest powiedział. — Kiedy byłem w ciąży, stale mi było zimno, nogi miałem jak lód i całą zimę przesiedziałem przy ogniu. Dawno temu, oczywiście, ale dobrze pamiętam!

Getheńczycy zazwyczaj mają dzieci w młodym wieku. Większość z nich po przekroczeniu dwudziestu czterech lat używa środków antykoncepcyjnych, a w swojej fazie kobiecej traci płodność po przekroczeniu czterdziestki. Szusgis przekroczył pięćdziesiątkę, stąd to: "dawno temu, oczywiście". Faktycznie, trudno go sobie było wyobrazić jako młodą matkę. Był twardym, przebiegłym, jowialnym politykiem, który uprzejmością posługiwał się dla swoich celów, a jego celem był on sam. Typ wspólny dla całej ludzkości. Spotykałem

go na Ziemi, na Hain i na Ollul. Spodziewam się spotkać go w piekle.

— Jest pan doskonale poinformowany co do mojego wyglądu i moich upodobań, panie Szusgis. To mi pochlebia, nie przypuszczałem, że moja sława mnie wyprzedza.

— Nie — powiedział, rozumiejąc mnie doskonale. Na pewno woleliby trzymać pana pod śniegiem tam w Erhenrangu, co? Ale puścili pana, puścili i wtedy zrozumieliśmy tutaj, że nie jest pan jednym więcej karhidyjskim szaleńcem, ale jest pan autentyczny.

— Obawiam się, że nie rozumiem.

— Argaven i jego zausznicy bali się pana, panie Ai, bali się i byli zadowoleni widząc pana plecy. Bali się, że jeżeli panu coś zrobią albo uciszą pana, spotka ich kara. Najazd z kosmosu! I dlatego bali się pana tknąć. I próbowali utrzymać pańską misję w tajemnicy. Bo bali się pana i tego, co pan przynosi naszemu światu.

Była to przesada. Nie można powiedzieć, że przemilczano mnie w karhidyjskich wiadomościach, w każdym razie dopóki Estraven był u władzy. Ale miałem wrażenie, że z jakiegoś powodu w Orgoreynie wiadomości na mój temat były bardzo skąpe i Szusgis potwierdził moje podejrzenia.

Więc wy nie boicie się tego, co ja przynoszę waszemu światu'?

Nie, proszę pana, ani trochę. — Czasami ja sam się boję.

Postanowił roześmiać się jowialnie w odpowiedzi. Nie złagodziłem swoich słów. Nie jestem komiwojażerem, który sprzedaje postęp dzikusom. Żeby moja misja mogła się w ogóle rozpocząć, musimy spotkać się jak równy z równym, z pewną dozą wzajemnego zrozumienia i szczerości.

— Panie Ai, wiele osób chce się z panem spotkać. Są wśród nich grube ryby i płotki, także osoby, z którymi powinien pan rozmawiać, bo wiele od nich zależy. Poprosiłem o zaszczyt goszczenia pana, ponieważ mam duży dom i jestem znany jako człowiek neutralny. ani hegemonista, ani wolnohandlowiec, po prostu zwykły komisarz, który wykonuje swoją pracę i nie narazi pana na plotki wynikające z tego, że zatrzymał się pan w tym, a nie innym domu. Roześmiał się. — Ale to oznacza, że będzie pan musiał dużo jeść. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu.

— Jestem do pańskiej dyspozycji, panie Szusgis.

— Zatem dzisiaj będzie kolacyjka z Vanakiem Slose.

— Reprezentantem z Kuwery, Trzeciego Okręgu, prawda? Oczywiście zanim tu przybyłem, odrobiłem pracę domową. Komisarz rozwodził się nad tym, że łaskawie zechciałem dowiedzieć się czegoś o jego kraju. Tutejsze maniery niewątpliwie różniły się od karhidyjskich. Tam jego zdziwienie pomniejszyłoby jego własny szifgrethor albo obraziło mój, nie jestem pewien, jak by to było, ale prawie wszystko obrażało tam czyjś szifgrethor.

Potrzebowałem jakiegoś ubrania odpowiedniego na wieczór, bo swój wyjściowy strój z Erhenrangu straciłem w napadzie na Siuwensin, pojechałem więc państwową taksówką do śródmieścia i sprawiłem sobie szaty orgockiego eleganta. Hieb i koszula były bardzo podobne do karhidyjskich, ale zamiast letnich krótkich spodni noszono tu przez cały rok wypchane na kolanach i niezgrabne nogawice. Dominującymi kolorami były jaskrawy niebieski i czerwony, a materiał i krój pozostawiały nieco do życzenia. Typowa produkcja masowa. Ta odzież unaoczniła mi, czego brak temu imponującemu, wielkiemu miastu — elegancji. Elegancja jest niewielką ceną za oświecenie i chętnie godziłem się ją zapłacić. Wróciłem do domu Szusgisa i rozkoszowałem się gorącym prysznicem, tryskającym naraz ze wszystkich stron kłującą mgłą. Myślałem o zimnych blaszanych wannach, w których szczękałem zębami i trząsłem się zeszłego lata we wschodnim Karhidzie, o oblodzonych miednicach w moim pokoju w Erhenrangu. Czy to była elegancja`? Niech żyje wygoda! Wystroiłem się w moje nowe jaskrawe czerwienie i wraz z Szusgisem zostałem odwieziony jego prywatnym samochodem na wieczorne przyjęcie. W Orgoreynie jest więcej służących i więcej obsługi niż w Karbidzie. Wynika to stąd, że wszyscy Orgotowie są zatrudnieni przez państwo. Państwo ma obowiązek zapewnienia pracy wszystkim obywatelom i robi to. Takie jest przynajmniej ogólnie akceptowane wyjaśnienie, chociaż jak większość wyjaśnień w sprawach ekonomicznych przy bliższym badaniu wydaje się gubić to, co najważniejsze.

Jaskrawo oświetlony, wysoki, biały salon reprezentanta Slose'a mieścił dwudziestu, może trzydziestu gości. Trzech z nich było reprezentantami, a reszta też notablami różnego rodzaju. Stanowili coś więcej niż grupę Orgotów chcących obejrzeć "obcego". Nie byłem tu ciekawostką, jak przez cały rok w Karbidzie, nie byłem odmieńcem ani zagadką. Byłem, jak się zdawało, kluczem.

Jakie drzwi miałem otworzyć? Niektórzy z tych witających mnie mężów stanu i urzędników wiedzieli, ja nie. Nie było mi sądzone dowiedzieć się tego podczas kolacji. Na całej Zimie, nawet w skutym lodem barbarzyńskim Perunterze, mówienie o interesach przy jedzeniu uważa się za coś nieopisanie wulgarnego. A że kolację podano prawie natychmiast, odłożyłem pytania i zająłem się gęstą zupą rybną oraz moim gospodarzem i współbiesiadnikiem. Slose był delikatną młodą osobą z niezwykle jasnymi, żywymi oczami i stłumionym, wyrazistym głosem. Sprawiał wrażenie człowieka oddanego jakiejś idei. Podobało mi się to, ale zastanawiałem się, czemu jest oddany. Po mojej prawej siedział inny reprezentant, osobnik z płaską twarzą imieniem Obsle. Był gruby, jowialny i dociekliwy. Przy trzeciej łyżce zupy spytał mnie, czy to u licha

prawda, że pochodzę z jakiegoś innego świata i jak tam jest — wszyscy mówią, że cieplej niż na Gethen — jak ciepło?

— Cóż, na tej samej szerokości geograficznej na Ziemi nigdy nie pada śnieg.

— Nigdy nie pada śnieg. Nigdy nie pada śnieg? roześmiał się z autentyczną radością, jak dziecko śmieje się z dobrego kłamstwa zachęcając do dalszych.

— Wasza strefa zamieszkana przypomina naszą strefę subarktyczną. Oddaliliśmy się bardziej niż wy od ostatniej epoki lodowcowej, ale nie odeszliśmy od niej jeszcze całkiem. Zasadniczo Ziemia i Gethen są bardzo podobne. Jak wszystkie zamieszkane światy. Człowiek może żyć tylko w dość wąskim przedziale warunków i Gethen wyznacza jedną ich granicę…

— Są więc światy gorętsze niż pański?

— Większość jest cieplejsza, niektóre są gorące. Gde, na przykład, to głównie piaszczysta i skalna pustynia. Planeta była ciepła od początku, a potem bezmyślna eksploatacja zniszczyła pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt tysięcy lat temu naturalną równowagę, lasy wycięto na opał. Nadal mieszkają tam ludzie, ale przypomina to — jeżeli dobrze rozumiem tekst kultu jomesz — miejsce, gdzie idą po śmierć złodzieje.

Ta uwaga wywołała uśmiech na twarzy Obsle'a, spokojny, aprobujący uśmiech, który nagle skłonił mnie do zmiany spojrzenia na tego człowieka.

— Pewni sekciarze twierdzą, że te przejściowe światy pośmiertne znajdują się faktycznie i fizycznie na innych planetach rzeczywistego wszechświata. Czy zetknął się pan z tym poglądem, panie Ai"

— Nie. Różnie mnie już opisywano, ale nikt jeszcze nie uznał mnie za ducha. W tym momencie spojrzałem w prawo i mówiąc o duchu zobaczyłem ducha. Ciemny, w ciemnym stroju, nieruchomy i nie rzucający się w oczy, siedział przy mnie jak upiór na uczcie.

Uwagę Obsle'a zajął jego sąsiad z drugiej strony, 'a większość gości słuchała Slose'a siedzącego u szczytu stołu. Odezwałem się cicho:

Nie spodziewałem się zobaczyć pana tutaj, książę. Niespodzianki sprawiają, że życie jest możliwe odpowiedział.

— Powierzono mi posłanie do pana. Spojrzał pytająco.

— Ma ono formę pieniędzy, częściowo pańskich własnych. Przesyła je Foreth rem ir Osboth. Mam je w domu pana Szusgisa. Zajmę się tym, żeby do pana dotarły.

— Jest pan bardzo dobry, panie Ai.

Był cichy, przygaszony, pomniejszony, wygnaniec szukający dla siebie miejsca w obcym kraju. Nie okazywał zbytniej chęci do rozmowy ze mną i byłem z tego zadowolony. Jednak podczas tej długiej, męczącej, wypełnionej rozmowami kolacji, mimo iż cała moja uwaga była skupiona na możnych i przemyślnych Orgotach, którzy

chcieli zaprzyjaźnić się ze mną albo mnie wykorzystać, odczuwałem co pewien czas dotkliwie jego obecność, jego milczenie, jego ciemną, odwróconą twarz. I choć odrzuciłem tę myśl jako bezpodstawną, przyszło mi do głowy, że nie z własnej woli przybyłem do Misznory, żeby jeść smażoną czarny rybę w towarzystwie reprezentantów, i że to nie oni mnie tu ściągnęli. Że on to zrobił.

9. Estraven Zdrajca

Wschodniokarhidyjska opowieść zapisana w Gorinhering ze słów Toborda Czarchawy przez G. A. Opowieść jest szeroko znana w różnych wersjach, a oparta na niej sztuka "habben" znajduje się w reperuarze wędrownych teatrów na wschód od Kargavu.

Dawno temu, przed czasami króla Argavena I, który zjednoczył Karhid w jedno królestwo, trwała waśń rodowa między domenami Stok i Estre w ziemi kermskiej. Najazdy i pułapki urządzano od trzech pokoleń, a waśni nie było końca, bo spór szedł o ziemię. Dobrej ziemi w Kermie jest mało, każda domena szczyci się długością swoich granic, a panowie w Kermie są ludźmi dumnymi i krewkimi, którzy rzucają czarne cienie.

Zdarzyło się, że potomek z łona pana na Estre, młodzieniec, ścigając na nartach pesthry na jeziorze Lodowa Noga w miesiącu irrem wjechał na cienki lód i wpadł do jeziora. Chociaż wydostał się z wody używając jednej narty do oparcia się o twardszy lód, nie na wiele poprawił swoją sytuację, bo był przemoczony do nitki, powietrze było kurem i zbliżała się noc. Nie widział szans na pokonanie kilkunastu kilometrów pod górę do Estre, wyruszył więc ku wsi Ebos na północnym brzegu jeziora. Z nastaniem nocy z lodowca przyszła mgła i zasnuła całe jezioro, tak że nie widział drogi przed sobą. Szedł powoli z obawy przed słabym lodem, ale i w pośpiechu, bo mróz przenikał go do kości, i wiedział, że niedługo zamarznie. Wreszcie przez noc i mgłę dojrzał światło. Odrzucił narty. bo brzeg jeziora był skalisty i w wielu miejscach nie pokryty śniegiem, i ledwo trzymając się na nogach ostatkiem sił wlókł się do światła. Zabłądził daleko od Ebos. Była to mała samotna chata w lesie drzew thore, jedynych, jakie rosną w Kermie, i drzewa otaczały ją ze wszystkich stron nie sięgając wyżej niż jej dach. Młodzieniec uderzył w drzwi pięścią i głośno zawołał; ktoś otworzył mu drzwi i zaprowadził go do kominka.

W chacie nie było nikogo więcej, tylko ten jeden człowiek. Zdjął z Estravena odzież, która zamarzła i była jak blaszana, nagiego przykrył futrami i ciepłem własnego ciała wypędzał mróz z rąk, nóg i twarzy Estravena, a potem napoił go grzanym piwem. W końcu młodzieniec doszedł do siebie i przyjrzał się temu, który go pielęgnował.

Był to nieznajomy równie młody jak on sam. Popatrzyli na siebie. Obaj byli przystojni, mieli silne ciała i szlachetne rysy, byli prości i smagli. Estraven ujrzał, że w twarzy drugiego płonie ogień kemmeru.

— Jestem Arek z Estre — powiedział.

— Jestem Therem ze Stok — odpowiedział drugi. Wtedy Estraven roześmiał się, bo był wciąż jeszcze słaby, i rzekł:

— Czy przywróciłeś mnie do życia po to, żeby mnie zabić, Stokven?

— Nie — odparł drugi. Wyciągnął rękę i dotknął dłoni Estravena, jakby chciał się upewnić, czy już odtajał. Pod tym dotknięciem Estraven poczuł, że budzi się w nim ogień, mimo że jeszcze dzień lub dwa dzieliły go od jego kemmeru. Przez chwilę siedzieli bez ruchu dotykając się dłońmi.

— Są takie same — powiedział Stokven i na potwierdzenie położył swoją dłoń na dłoni Estravena. Miały tę samą długość i kształt, pasowały palec w palec jak złożone dłonie jednego człowieka.

— Nigdy dotąd cię nie widziałem przemówił Stokven.

— Jesteśmy wrogami na śmierć i życie. — Wstał, dołożył do ognia i z powrotem usiadł obok Estravena.

— Jesteśmy wrogami na śmierć i życie — powiedział Estraven. — Chętnie ślubowałbym ci kemmer.

— I ja tobie — odpowiedział tamten. Wtedy złożyli sobie przysięgę kemmeringową, która w Kermie, tak wtedy jak i teraz, nie może być złamana ani odwołana. Tę noc, następny dzień i jeszcze jedną noc spędzili w leśnej chacie nad zamarzniętym jeziorem. Następnego ranka przybyła do chaty grupa ludzi ze Stok. Jeden z nich znał z widzenia młodego Estravena. Bez słowa ostrzeżenia wydobył nóż i na oczach Stokvena pchnął Estravena w pierś i w gardło, i młody człowiek padł zalany krwią na wystygłe ognisko, martwy.

— Był dziedzicem Estre — powiedział morderca.

— Połóżcie go na swoje sanki i odwieźcie do Estre rozkazał Stokven. Sam wrócił do Stok. Jego ludzie odjechali z ciałem Estravena, ale zostawili je daleko w lesie thore dzikim zwierzętom na pożarcie i wrócili w nocy do Stok.

Therem stanął przed swoim rodzicem, panem Hariszem rem ir Stokvenem, i spytał swoich ludzi:

— Czy zrobiliście tak, jak wam kazałem?

Odpowiedzieli: — Tak.

— Kłamiecie — powiedział Therem — bo nigdy byście nie wrócili żywi z Estre. Ci ludzie złamali mój rozkaz i skłamali, żeby ukryć swoje nieposłuszeństwo. Żądam ich wygnania.

Pan Harisz zgodził się na żądanie syna i ludzie ci zostali wygnani z ogniska i wyjęci spod prawa.

Wkrótce potem Therem opuścił swoją domenę mówiąc, że pragnie spędzić pewien czas w stanicy Rotherer, i nie wrócił przed upływem roku.

Tymczasem w domenie Estre poszukiwano Areka w górach i na równinach. a potem go opłakano. Opłakiwano go przez całe lato i jesień, bo był jedynym dzieckiem z łona księcia. A pod koniec miesiąca thern, kiedy sroga zima objęła kraj w swoje władanie,

przybył do Estre wędrowiec na nartach i wręczył strażnikowi przy bramie coś zawiniętego w futro mówiąc: — To jest Therem, syn syna Estre. — Po tych słowach pomknął na nartach w dół stoku jak kamyk odbijający się od powierzchni wody i znikł, zanim komuś przyszło do głowy, żeby go zatrzymać.

W zawiniątku z futra leżało płacząc nowo narodzone dziecko. Przyniesiono dziecko przed oblicze pana Sorve'a i przekazano mu słowa nieznajomego, a stary pan, pogrążony w smutku, ujrzał w dziecku swojego zaginionego syna Areka. Rozkazał, żeby dziecko wychowywano jako syna wewnętrznego ogniska i żeby nazywano go Therem, chociaż klan Estre nie używał tego imienia.

Dziecko wyrosło na dorodnego, silnego młodzieńca, poważnego ~ natury i milkliwego, w którym wszyscy dostrzegali podobieństwo do zaginionego Areka. Kiedy dorósł, pan Sorve w geście starczej samowoli wyznaczył go dziedzicem Estre. Wywołało to zawiść wśród synów kemmeringów Sorve'a, silnych i w kwiecie wieku, którzy długo czekali na tę godność. Urządzili oni zasadzkę na młodego Therema, kiedy wyruszył samotnie polować na pesthry w miesiącu irrem, ale on był uzbrojony i nie dał się zaskoczyć. Dwóch braci z ogniska zastrzelił w gęstej mgle, która zaścielała jezioro podczas odwilży, a z trzecim walczył na noże i zabił go wreszcie, choć sam został zraniony głęboko w szyję i w pierś. Stanął nad ciałem brata we mgle nad lodem i zobaczył, że zapada noc. Był osłabiony z upływu krwi i pomyślał, żeby udać się do wsi Ebos po pomoc. Jednak w gęstniejących ciemnościach zabłądził i doszedł do lasu thore na wschodnim brzegu jeziora. Tam zobaczył opuszczoną chatę, wszedł do środka i zbyt osłabiony, żeby rozpali; ogień, upadł na zimne kamienie ogniska i leżał tak brocząc krwią.

Ktoś wyłonił się z ciemności, samotny człowiek. Stanął w drzwiach i zamarł na chwilę patrząc na człowieka leżącego we krwi na kamieniach ogniska. Potem wszedł w pośpiechu, przygotował łoże z futer, które wyjął ze starej skrzyni, rozpalił ogień, obmył i przewiązał rany Therema. Kiedy zobaczył, że młody człowiek patrzy na niego, powiedział: Jestem Therem ze Stok.

— Ja jestem Therem z Estre.

Zapadła między nimi cisza. Po chwili młody człowiek uśmiechnął się i powiedział:

Czy opatrzyłeś moje rany, żeby mnie zabić, Stokven? Nie odpowiedział starszy.

Wtedy Estraven spytał:

— Jak to się dzieje, że ty, pan ze Stok, jesteś sam tutaj, na spornej ziemi?

Przychodzę tu często — odparł Stokven.

Potem zbadał puls młodzieńca i na moment przyłożył dłoń płasko

do dłoni Estravena. Pasowały palec w palec, jak dwie dłonie jednego człowieka.

— Jesteśmy wrogami na śmierć i życie — powiedział Stokven.

Estraven odpowiedział:

— Jesteśmy wrogami na śmierć i życie, ale nigdy dotąd cię nie widziałem.

Stokven odwrócił twarz.

— Ja cię raz widziałem, dawno temu — powiedział. Chciałbym, żeby między naszymi domami zapanował pokój.

— Ja ci przysięgnę pokój — rzekł Estraven.

Złożyli sobie przysięgę i więcej nie rozmawiali, i ranny zasnął. Rano Stokvena już nie było, ale przyszli ludzie ze wsi Ebos i odnieśli Estravena do domu, do Estre. Tam nikt już nie ośmielał się przeciwstawiać woli starego księcia, odkąd jej słuszność została zapisana krwią trzech ludzi na lodzie jeziora, i po śmierci Sorve'a Therem został księciem Estre. W ciągu roku zakończył starą waśń oddając połowę spornej ziemi domenie Stok. Za to i za zabicie trzech braci z ogniska nazywano go Estravenem Zdrajcą. Ale jego imię, Therem, jest nadal nadawane dzieciom w tej domenie.

10. Rozmowy w Misznory

Następnego ranka, kiedy w swoich apartamentach w domu Szusgisa kończyłem późne śniadanie, rozległ się dyskretny brzęczyk telefonu. Włączyłem go i usłyszałem po karhidyjsku:

— Tu Therem Harth. Czy mógłbym przyjść?

— Bardzo proszę.

Byłem zadowolony, że załatwię tę sprawę od ręki. Nie ulegało wątpliwości, że między mną a Estravenem nie może być mowy o żadnych bliższych stosunkach. Mimo że przynajmniej nominalnie popadł w niełaskę i został wygnany z mojego powodu, nie mogłem przyjąć za to na siebie odpowiedzialności i poczuć się w uzasadniony sposób winnym. W Erhenrangu nie ujawnił przede mną ani swojego postępowania, ani swoich motywów i nie miałem powodów, żeby mu ufać. Wolałbym, żeby nie był związany z tymi Orgotami, którzy mnie jakby adoptowali. Jego obecność wprowadzała komplikacje i niezręczność.

Został wprowadzony do pokoju przez jednego z wielu służących. Zaprosiłem go, żeby usiadł w jednym z wielkich wyścielanych foteli, i zaproponowałem mu poranny napój. Odmówił. Nie było po nim widać skrępowania — dawno odrzucił wstydliwość, jeżeli ją kiedykolwiek posiadał — ale był pełen rezerwy, trzymał się na dystans.

— Pierwszy prawdziwy śnieg — powiedział i widząc moje spojrzenie na zasłonięte ciężką kotarą okno dodał: — Nie wyglądał pan jeszcze?

Wyjrzałem i zobaczyłem śnieg wirujący na lekkim wietrze, pokrywający bielą ulice i dachy. Przez noc spadło już kilka centymetrów. Był odarhad gor, siedemnasty dzień pierwszego miesiąca jesieni.

— Wcześnie — powiedziałem zafascynowany przez chwilę.

— Przepowiadają ostrą zimę tego roku.

Zostawiłem kotary odsłonięte. Szare, rozproszone światło zza okna padło na jego ciemną twarz. Postarzał się. Przeżył ciężkie chwile od czasu, kiedy go po raz ostatni widziałem w Erhenrangu, przy jego własnym kominku w Czerwonym Narożnym Domu.

— Tu jest to, co miałem panu przekazać — powiedziałem podając mu owiniętą w folię paczkę pieniędzy, którą położyłem na stole po jego telefonie. Wziął ją i podziękował mi z powagą. Ponieważ nie usiadłem, po chwili, wciąż jeszcze trzymając pakiet w ręku, on również się podniósł.

Czułem lekkie ukłucia sumienia, ale nic nie zrobiłem, żeby je uspokoić. Chciałem go zniechęcić do dalszych wizyt i niestety wymagało to poniżenia go.

Spojrzał mi prosto w twarz. Był, oczywiście, niższy ode mnie, krótkonogi i krępy, niższy nawet niż większość kobiet mojej rasy. A jednak, kiedy na mnie patrzył, nie miałem uczucia, że patrzy na mnie z dołu. Nie odwzajemniłem mu się spojrzeniem przyglądając się z abstrakcyjnym zainteresowaniem stojącemu na stole radioodbiornikowi.

— Nie należy wierzyć wszystkiemu, co się tutaj słyszy przez radio — powiedział miłym głosem. — Tymczasem wydaje mi się, że tu, w Misznory, będzie panu potrzebna informacja i rada.

— Odnoszę wrażenie, że jest tu dużo osób gotowych z nimi pośpieszyć.

— A dużo to dobrze, co? Dziesięciu budzi większe zaufanie niż jeden. Przepraszam, zapomniałem, że nie powinienem używać języka karhidyjskiego. — I dalej mówił już po orgocku. — Banici nie powinni nigdy używać swojego ojczystego języka, brzmi on w ich ustach gorzko. Poza tym myślę, że ten język bardziej przystoi zdrajcy, bo spływa z warg jak syrop. Panie Ai, mam prawo wyrazić panu wdzięczność. Oddał pan przysługę zarówno mnie, jak i mojemu staremu przyjacielowi i kemmeringowi Asze Forethowi, dlatego we własnym i jego imieniu skorzystam z tego prawa. Moje podziękowanie będzie miało formę rady. — Zamilkł i ja też się nie odezwałem. Nigdy nie słyszałem z jego ust tego rodzaju cierpkiej, wyszukanej uprzejmości i nie miałem pojęcia, co to oznacza. — Jest pan w Misznory kimś ciągnął dalej — kim nie był pan w Erhenrangu. Tam mówiono, że pan jest, tutaj będą mówić, że pana nie ma. Jest pan narzędziem w rękach określonej frakcji. Powinien pan uważać na to, w jaki sposób pozwoli się pan wykorzystywać. Radzę panu dowiedzieć się, kto jest w przeciwnej frakcji, i nigdy nie dać się wykorzystać przez nich, bo nie zrobią tego w dobrym celu.

Umilkł. Chciałem zażądać, żeby sprecyzował swoje słowa, ale on powiedział tylko: — Do widzenia, panie Ai odwrócił się i wyszedł. Stałem osłupiały. Ten człowiek był jak porażenie prądem elektrycznym: nie wiadomo było, co się stało i co robić.

Niewątpliwie zepsuł mi nastrój pogodnego samozadowolenia, w jakim jadłem śniadanie. Podszedłem do wąskiego okna i wyjrzałem. Śnieg padał teraz jakby mniej gęsto. Przepływał białymi obłokami i wirował jak płatki kwiatów wiśni z sadów mojej ojczyzny, kiedy wiosenny wiatr wieje wzdłuż zielonych zboczy Borlandu, gdzie się urodziłem. Na Ziemi, ciepłej Ziemi, gdzie drzewa okrywają się na wiosnę kwiatami. W jednej chwili opadło mnie przygnębienie i tęsknota za domem. Dwa lata spędziłem na tej przeklętej planecie, i teraz zaczęła się trzecia zima, zanim jeszcze odeszła jesień. Długie miesiące nieustannego zimna, lodu, wiatru, deszczu, śniegu, śniegu z deszczem, zimna w środku, zimna na zewnątrz, zimna przenikającego

do kości i do szpiku kości. I cały czas zdany tylko na siebie, obcy i izolowany, bez jednego choćby człowieka, któremu mógłbym ufać. Biedny Genly, może się rozpłakać? Zobaczyłem, jak tam, w dole, Estraven wychodzi z domu na ulicę, ciemna, skrócona perspektywą postać w jednostajnej, zacierającej kontury szarobiałości śniegu. Rozejrzał się, poprawił pas swojego hiebu (był bez płaszcza) i ruszył ulicą krokiem zdecydowanym, pełnym zręczności i wdzięku, z energią, która sprawiała, że w tej chwili zdawał się jedyną żywą istotą w całym Misznory.

Odwróciłem się od okna do ciepłego pokoju. Jego luksusy wydały mi się zatęchłe i gnuśne, grzejnik, miękkie fotele, łóżko zarzucone futrami, dywany, draperie, narzuty.

Włożyłem zimowy płaszcz i wyszedłem na spacer, w ponurym nastroju, w ponury świat.

Miałem tego dnia jeść obiad z reprezentantami Obsle'em, Yegeyem i innymi poznanymi poprzedniego wieczoru, a także miałem poznać kilku nowych. Wczesny obiad jest zwykle spożywany przy bufecie na stojąco, może żeby człowiek nie miał uczucia, że spędził cały dzień siedząc za stołem. Tym razem jednak uroczyście nakryto stół, bufet zaś był oszałamiający, osiemnaście lub dwadzieścia dań zimnych i gorących, głównie z jaj sube i chlebowych jabłek. Przy bufecie, zanim zaczęło obowiązywać tabu co do rozmów, Obsle nakładając sobie na talerz górę jajecznicy powiedział:

— Ten gość nazwiskiem Mersen jest szpiegiem z Erhenrangu, a ten tam, Gaum, jest jawnym agentem Sarfu. Powiedział to tonem swobodnym, roześmiał się, jakbym zrobił dowcipną uwagę, i przesunął się do półmiska z marynowaną rybą.

Nie miałem pojęcia, co to jest Sarf.

Kiedy zaczęto siadać do stołu, wszedł jakiś młody człowiek i szepnął coś gospodarzowi przyjęcia Yegeyowi, który zaraz odwrócił się do nas.

— Nowości z Karhidu — powiedział. — Król Argaven urodził dziś rano dziecko, które zmarło po godzinie. Zapanowała cisza, potem podniósł się gwar i przystojny młody człowiek nazwiskiem Gaum podniósł w górę kufel. — Oby wszyscy królowie Karhidu żyli tak długo! zawołał.

Niektórzy wypili z nim, większość nie.

— Na imię Mesze, śmiać się ze śmierci dziecka powiedział tłusty starzec w purpurze siadając ciężko obok mnie z wyrazem potępienia na twarzy.

Rozgorzała dyskusja, którego ze swoich synów od kemmeringów Argaven może mianować następcą tronu, bo będąc już dobrze po czterdziestce nie mógł liczyć na potomka z własnego łona, i jak długo pozostawi Tibe'a na stanowisku regenta. Jedni uważali, że regencja

skończy się natychmiast, inni wyrażali co do tego wątpliwości.

— A co pan sądzi, panie Ai — spytał człowiek nazwiskiem Mersen, którego Obsle zidentyfikował jako agenta karhidyjskiego, a więc zapewne jednego z ludzi Tibe'a. Przybywa pan świeżo z Erhenrangu, co się tam mówi w związku z plotkami, że Argaven właściwie abdykował bez ogłaszania tego faktu i przekazał sanie kuzynowi?

— Tak, dotarły do mnie te plotki.

— Czy sądzi pan, że mają one jakieś podstawy?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziałem i w tym momencie wkroczył gospodarz z uwagą o pogodzie, bo zaczęto już jeść.

Kiedy wreszcie służba sprzątnęła talerze oraz górę resztek pieczeni i marynat z bufetu, zasiedliśmy wszyscy za długim stołem i podano w małych naczyńkach palący płyn zwany, podobnie jak w wielu innych miejscach, wodą życia, po czym zaczęto zadawać mi pytania.

Od czasu badań przez lekarzy i uczonych w Erhenrangu nie znajdowałem się przed grupą ludzi, którzy chcieli, żebym odpowiadał na ich pytania. Niewielu Karhidyjczyków, nawet spośród rybaków i rolników, wśród których spędziłem pierwsze miesiące, śpieszyło zaspokoić swoją, często palącą, ciekawość przez proste zadawanie pytań. Byli zamknięci w sobie, pełni rezerwy, nie lubili pytań i odpowiedzi. Pomyślałem o stanicy Otherhord, o tym, co Tkacz Faxe powiedział mi na temat odpowiedzi… Nawet eksperci ograniczali swoje pytania do problemów ściśle fizjologicznych, takich jak funkcjonowanie gruczołów i układu krążenia różniące mnie najbardziej od getheńskiej normy. Nigdy nie przyszło im do głowy spytać na przykład, jak nieprzerwana seksualność mojej rasy wpływa na nasze instytucje społeczne, jak sobie radzimy z naszym "permanentnym kemmerem". Słuchali, jeżeli im mówiłem, psychologowie słuchali, kiedy opowiadałem o myślomowie, ale nikt nie zdecydował się na postawienie ogólnych pytań pozwalających na wytworzenie sobie pełniejszego obrazu społeczeństwa Ziemi lub Ekumeny — może z wyjątkiem Estravena.

Tutaj ludzie nie byli tak skrępowani względami prestiżu i honoru, a pytania nie obrażały ani pytających, ani pytanego. Wkrótce jednak zorientowałem się, że niektóre pytania miały za cel przyłapanie mnie na kłamstwie i wykazanie, że jestem oszustem. To mnie na chwilę zbiło z tropu. W Karhidzie spotykałem się oczywiście r niedowiarstwem, ale rzadko ze złą wolą. Tibe urządził wprawdzie wymyślny pokaz pod tytułem "udaję, że wierzę w tę komedię" w dniu parady w Erhenrangu, ale, jak teraz wiedziałem, była to część jego gry mającej na celu dyskredytację Estravena i, jak sądzę, Tibe w głębi duszy wierzył mi. Widział przecież mój statek, mały lądownik, który

sprowadził mnie na powierzchnię planety, miał też podobnie jak wszyscy dostęp do raportów inżynierów z badania statku i astrografu. W Orgoreynie nikt nie widział statku. Mógłbym pokazać im astrograf, ale nie stanowił on zbyt przekonywającego "dzieła obcych", gdyż był tak niezrozumiały, że mógł równie dobrze potwierdzać teorię oszustwa. Stare prawo kulturalnego embarga zabraniało przywozu na tym etapie urządzeń zrozumiałych i nadających się do kopiowania, nie miałem więc przy sobie nic poza statkiem i astrografem, pudełkiem ze zdjęciami, niewątpliwą osobliwością mojego ciała i niemożliwą do udowodnienia osobliwością mojego umysłu. Zdjęcia, które puściłem w obieg, były oglądane z obojętnym wyrazem twarzy, z jakim ogląda się cudze fotografie rodzinne. Pytaniom nie było końca. Obsle spytał, co to jest Ekumena — świat, liga światów, jakieś miejsce czy rząd?

— Hm, każda z tych rzeczy i żadna. Ekumena to ziemskie słowo, w języku powszechnym nazywa się ją Wspólnym Gospodarstwem. karhidyjskim odpowiednikiem byłoby ognisko. Co do orgockiego, to nie jestem pewien, za słabo jeszcze znam wasz język. Wspólnota chyba nie, choć niewątpliwie istnieją podobieństwa między rządem Wspólnoty a Ekumeną. Ale Ekumena w zasadzie nie jest wcale rządem. Była to próba połączenia mistyki z polityką i jako taka musiała być skazana na niepowodzenia. Ale ta klęska przyniosła ludzkości więcej dobra niż powodzenie jej poprzednich prób. Jest to społeczeństwo i ma, przynajmniej potencjalnie, własną kulturę. Jest to forma kształcenia, z pewnego punktu widzenia jest to jedna wielka szkoła, rzeczywiście bardzo wielka. Jej podstawą są dążenia do wymiany informacji i współpracy, i dlatego z innego punktu widzenia jest to liga czy też unia światów, posiadająca pewne cechy konwencjonalnej, scentralizowanej organizacji. I ten właśnie ostatni aspekt Ekumeny reprezentuję. Ekumena jako organizm polityczny działa poprzez koordynację, a nie przez nakazy, nie wymusza praw, do decyzji dochodzi drogą kompromisów i porozumień. Jako organizm ekonomiczny Ekumena jest niezwykle aktywna, nadzorując wymianę międzyświatową, utrzymując równowagę handlową między osiemdziesięcioma światami. Osiemdziesięcioma czterema ściśle mówiąc, jeżeli Gethen dołączy do Ekumeny…

— Co to znaczy, że Ekumena nie wymusza praw? spytał Slose.

— Bo nie ma żadnych praw. Państwa członkowskie mają swoje własne prawa, a kiedy zachodzi między nimi konflikt, Ekumena pośredniczy, stara się przeprowadzić prawną lub etyczną zmianę przez uzgodnienie stanowisk lub wybór jednego. Oczywiście, jeżeli Ekumena jako eksperymentalny nadorganizm zawiedzie całkowicie, to będzie musiała narzucać pokój siłą, stworzyć jakąś policję i tak dalej. Na razie jednak nie ma takiej potrzeby. Światy centralne nadal dochodzą do siebie po niszczycielskiej epoce sprzed kilku stuleci, odtwarzają

utracone umiejętności i wiedzę, uczą się na nowo rozmawiać… — Jak miałem wytłumaczyć Wiek Wrogości i jego skutki ludziom, którzy nie mają słowa na oznaczenie wojny?

— To niezwykle fascynujące, panie Ai — powiedział gospodarz, reprezentant Yegey, drobny, zgrabny, cedzący słowa osobnik o bystrych oczach. — Ale nie widzę, czego oni mogą chcieć od nas. Chodzi o to, że cóż takiego dobrego może im dać osiemdziesiąty czwarty świat? 1 to, powiedzmy sobie, niezbyt rozwinięty, bo przecież nie mamy gwiezdnych statków jak wszyscy inni.

— Nikt ich nie miał do czasu przybycia ludzi z Hain i Cetiańczyków. A niektórym światom zabraniano ich budowy przez całe stulecia, póki Ekumena nie ustaliła zasad tego, co u was, jak sądzę, nazywa się wolnym handlem. — Tu wszyscy się roześmiali, bo była to nazwa partii czy też frakcji Yegeya. — Wolny handel to jest właśnie to, co próbuję tu zapoczątkować. Handel nie tylko towarami, lecz także wiedzą, technologią, myślą, filozofią, sztuką, medycyną, nauką, teorią… Wątpię, czy Gethen kiedykolwiek będzie utrzymywać jakieś żywsze kontakty fizyczne z innymi światami. Dzieli nas tu siedemnaście lat świetlnych od najbliższego świata Ekumeny, Ollul, na planecie gwiazdy, którą wy nazywacie Asyomse. Do najdalszego jest dwieście pięćdziesiąt lat świetlnych i nawet nie widać stąd jego gwiazdy. Za pomocą astrografu moglibyście rozmawiać z tym światem jak przez radio z sąsiednim miastem, ale nie sądzę, żebyście kiedyś spotkali się z jego mieszkańcami… Ten rodzaj handlu, o którym mówię, może być bardzo zyskowny, ale polega on głównie na porozumiewaniu się, nie zaś na transporcie dóbr. Moje zadanie tutaj polega w gruncie rzeczy na tym, żeby dowiedzieć się, czy pragniecie porozumiewać się z resztą ludzkości.

— "Pragniecie" — powtórzył Slose pochylając się z napięciem. — Czy to znaczy Orgoreyn, czy też Gethen jako całość?

Zawahałem się przez chwilę, bo nie było to pytanie, któregó oczekiwałem.

— Tutaj i teraz znaczy to Orgoreyn. Ale umowa nie może nikogo wykluczać. Jeżeli Sith albo Narody Wyspowe, albo Karhid zechcą przystąpić do Ekumeny, to mają drogę otwartą. Jest to za każdym razem sprawa indywidualnego wyboru. Później z reguły na planetach równie wysoko rozwiniętych jak Gethen różne rasy, regiony albo narody dochodzą do wyłonienia wspólnego przedstawicielstwa, które koordynuje sprawy planetarne i stosunki z innymi światami, co nazywa się w naszej terminologii "lokalną stabilnością". W ten sposób oszczędza się masę czasu i pieniędzy, bo dzieli się wydatki. Gdybyście postanowili na przykład zbudować własny gwiazdolot…

— Na mleko Mesze! — wykrzyknął gruby Humery obok mnie. — Chce pan, żebyśmy wystrzelili się w pustkę? Fuj! — Na dowód

rozbawienia i obrzydzenia wydał z siebie dźwięk jak wysoka nuta akordeonu.

— A gdzie jest pański statek, panie Ai? — spytał Gaum. Powiedział to cicho, z półuśmiechem, jakby było to coś niezwykle podchwytliwego i chciał, żeby to zostało zauważone. Był niezwykle pięknym okazem istoty ludzkiej według każdych kryteriów dla obu płci, tak że nie mogłem nie gapić się na niego, kiedy odpowiadałem, zastanawiając się jednocześnie, co to jest ten Sarf.

— Cóż, to żadna tajemnica. Mówiono o tym sporo w karhidyjskim radio. Rakieta, w której wylądowałem na wyspie Horden, znajduje się obecnie w Królewskich Warsztatach Metalurgicznych w Szkole Rzemiosł. W każdym razie większa jej część, bo zdaje się, że różni eksperci zabrali sobie po kawałku.

— Rakieta? — zdziwił się Humery, bo użyłem orgockiego określenia na fajerwerk.

— To zwięźle oddaje rodzaj napędu łodzi lądującej. Humery znów wydał dziwny odgłos. Gaum uśmiechnął się tylko i zauważył:

— Zatem nie ma pan drogi powrotu na… no, tam skąd pan przybył?

— Mam. Mógłbym porozumieć się przez astrograf z Ollul i poprosić, żeby przysłali po mnie statek. Przybyłby tutaj za siedemnaście lat. Mogę też połączyć się ze statkiem, którym przyleciałem do waszego układu. Jest teraz na orbicie okołosłonecznej. Byłby tutaj za parę dni.

Sensacja była widoczna i słyszalna, i nawet Gaum nie potrafił ukryć zdumienia. Coś się tutaj nie zgadzało. Był to jeden istotny fakt, z którym się nie zdradziłem w Karhidzie, nawet przed Estravenem. Jeżeli, tak jak mi to przedstawiono, Orgotowie wiedzieli o mnie tylko to, co postanowili im przekazać Karhidyjczycy, wówczas powinna to być tylko jedna z wielu niespodzianek. Okazało się, że to była jedyna niespodzianka, za to wielka.

— Gdzie jest teraz ten statek? — spytał Yegey.

— Krąży wokół słońca, gdzieś między Gethen a Kuhurnem.

— Jak się pan z niego tu dostał?

— Na fajerwerku — wtrącił stary Humery.

— Dokładnie tak. Nie lądujemy gwiazdolotem na zaludnionej planecie, dopóki nie ma ustalonych kontaktów lub nie został zawarty sojusz. Dlatego przybyłem na małej łodzi i wylądowałem na wyspie Horden.

— Czy może się pan porozumieć z tym… z tym wielkim statkiem przez zwykłe radio, panie Ai? To był Obsle.

— Tak. — Nie wspomniałem na razie o małym satelicie przekaźnikowym, którego umieściłem na orbicie. Nie chciałem, żeby odnieśli wrażenie, że ich niebo jest pełne mojego żelastwa. —

Potrzebny byłby dość mocny nadajnik; ale przecież macie ich pod dostatkiem.

— Zatem moglibyśmy skontaktować się drogą radiową z pańskim statkiem.

— Tak, gdybyście znali właściwy sygnał. Ludzie na pokładzie znajdują się w stanie stasis lub, inaczej mówiąc, hibernacji, żeby nie marnowali życia w oczekiwaniu, aż załatwię tutaj swoje sprawy. Właściwy sygnał na właściwej długości fali uruchomi aparaturę, która wyprowadzi ich ze stasis. Wówczas skontaktują się ze mną za pomocą radia albo astrografu, wykorzystując Ollul jako stację przekaźnikową.

— Ilu ich jest? — spytał ktoś z niepokojem.

— Jedenastu.

To wywołało westchnienie ulgi, lekki śmiech. Napięcie nieco zelżało.

— A co się stanie, jeżeli pan nigdy nie wyśle sygnału? spytał Obsle.

— Zostaną obudzeni automatycznie za około cztery lata.

— Czy wówczas przybyliby tu po pana?

— Tylko na moje wezwanie. Porozumieliby się za pomocą astrografu ze stabilami na Ollul i na Hain. Najprawdopodobniej postanowiliby spróbować jeszcze raz i skierowaliby tu nowego wysłannika. Drugiemu wysłannikowi często jest łatwiej niż pierwszemu. Mniej musi wyjaśniać i ludzie chętniej mu wierzą…

Obsle uśmiechnął się szeroko. Większość gości nadal była zamyślona i pełna rezerwy. Gaum kiwnął nieznacznie głową w roją stronę, jakby gratulował mi szybkości odpowiedzi: gest konspiratora. Slose pełen napięcia zapatrzył się jasnym wzrokiem w jakąś wewnętrzną wizję, od której wrócił do mnie.

— Dlaczego, panie Ai, nigdy nie wspomniał pan o tym drugim statku podczas swego dwuletniego pobytu w Karbidzie?

— Skąd możemy wiedzieć, że nie wspomniał? — wtrącił Gaum z uśmiechem.

— Doskonale wiemy, że nie, panie Gaum — odparł Yegey również z uśmiechem.

— Nie mówiłem o tym — powiedziałem. — A dlaczego? Myśl o statku czekającym tam w górze może budzić niepokój. Sądzę, że niejeden z was może to potwierdzić. W Karbidzie nigdy nie doszedłem do takiego stopnia wzajemnego zaufania z moimi rozmówcami, żebym mógł zaryzykować poruszenie sprawy statku. Wy mieliście więcej czasu do namysłu, jesteście gotowi słuchać mnie otwarcie, w większym gronie, nie jesteście tak spętani strachem. Zdecydowałem się powiedzieć o statku, bo myślę, że nadeszła po temu chwila, że Orgoreyn jest odpowiednim do tego miejscem.

— Racja, panie Ai, racja! — powiedział Slose gwałtownie. — W

ciągu tego miesiąca pośle pan po ten statek i powitamy go w Orgoreynie jako widomy znak i pieczęć nowej epoki. Otworzą się oczy tych, którzy nie chcą widzieć teraz!

Tak się to ciągnęło do chwili, kiedy podano nam kolację. Zjedliśmy, wypiliśmy i rozeszliśmy się po domach. Nie wiem jak inni, ale ja, choć zmęczony, wyszedłem ogólnie rzecz biorąc zadowolony. Były, oczywiście, pewne znaki ostrzegawcze i niejasności. Slose chciał zrobić ze mnie religię. Gaum chciał zrobić ze mnie oszusta. Mersen chciał chyba udowodnić, że nie jest agentem Karhidu, sugerując, że to ja nim jestem. Ale Obsle, Yegey i kilku innych działało na wyższym poziomie. Chcieli porozumieć się ze stabilami i doprowadzić do lądowania gwiazdolotu w Orgoreynie, żeby przekonać albo zmusić Wspólnotę Orgoreynu do związania się z Ekumeną. Wierzyli, że w ten sposób Orgoreyn osiągnie wielkie, długotrwałe w skutkach zwycięstwo prestiżowe nad Karbidem i że ci reprezentanci, którzy będą ojcami tego zwycięstwa, zdobędą odpowiedni prestiż i wpływy w swoim rządzie. Ich frakcja Wolnego Handlu, mniejszość w łonie Wspólnoty Trzydziestu Trzech, przeciwstawiała się kontynuacji sporu o dolinę Sinoth, reprezentując politykę konserwatywną, nieagresywną i nienacjonalistyczną. Od długiego już czasu byli odsunięci od władzy i liczyli na to, że przy pewnym ryzyku mogą ją odzyskać na drodze wskazanej przeze mnie. Dalej ich wzrok nie sięgał, ale w fakcie, że moja misja dla nich stanowiła środek, a nie cel, nie było nic złego. Gdy raz znajdą się na tej drodze, zaczną się może orientować, dokąd można nią dojść. Na razie pomimo krótkowzroczności byli przynajmniej realistami.

Obsle chcąc przekonać pozostałych powiedział:

— Karbid albo będzie się bał siły, jaką nam da ten związek, a pamiętajmy, że Karbid zawsze boi się wszystkiego co nowe, i pozostanie na uboczu, albo rząd w Erhenrangu zbierze się na odwagę i przyłączy się jako drugi, po nas. W każdym przypadku szifgrethor Karhidu ucierpi i w każdym przypadku my będziemy prowadzić sanie. Jeżeli starczy nam mądrości, żeby wykorzystać tę przewagę teraz, będzie to przewaga stała i pewna! — W tym momencie zwrócił się do mnie.

— Ale Ekumena musi chcieć nam pomóc, panie Ai. Musimy mieć do pokazania naszemu narodowi coś więcej niż tylko pana, jednego człowieka znanego już w Erhenrangu.

— Rozumiem, panie reprezentancie. Chciałby pan mieć dobry, widowiskowy dowód, a ja chciałbym go przedstawić. Ale nie mogę sprowadzić tu statku, póki nie będę miał uzasadnionej pewności co do jego bezpieczeństwa i dobrej woli z waszej strony. Potrzebne mi jest do tego publiczne ogłoszenie zgody i gwarancji waszego rządu, co, jak sądzę, oznacza zgodę całej rady reprezentantów.

— To zrozumiałe — powiedział Obsle z ponurą miną. Jadąc do domu z Szusgisem, którego udział w rozmowach tego popołudnia ograniczał się do dobrodusznego uśmiechu, spytałem:

— Panie Szusgis, co to jest ten Sarf?

— Jeden z wydziałów administracji wewnętrznej. Zajmuje się fałszywymi dokumentami, nielegalnymi podróżami i zmianą pracy, fałszerstwami i podobnym śmieciem. To jest właśnie znaczenie słowa "sarf" w ulicznym żargonie, jest to nazwa nieoficjalna.

Zatem inspektorzy są agentami Sarfu?

— Niektórzy z nich.

— I policja też im podlega do pewnego stopnia? — Sformułowałem pytanie ostrożnie i otrzymałem taką samą odpowiedź.

— Sądzę, że tak. Zajmuję się sprawami zagranicznymi i nie mam pełnego rozeznania w strukturze administracji wewnętrznej.

— Jest niewątpliwie skomplikowana. Czym, na przykład, zajmuje się Wydział Wodny? — Wycofałem się, najlepiej jak umiałem, z tematu Sarfu. To, czego Szusgis nie powiedział w tej sprawie, mogło nic nie znaczyć dla kogoś z Hain albo dla szczęśliwego Cziffewarczyka, ale ja urodziłem się na Ziemi. Posiadanie przodków z przeszłością kryminalną ma swoje dobre strony. Po dziadku podpalaczu można odziedziczyć nos czuły na dym.

Znalezienie na Gethen rządów tak przypominających dawną historię Ziemi było zabawne i fascynujące. Monarchia i autentyczna, rozrośnięta biurokracja. To drugie było równie fascynujące, ale mniej zabawne. Dziwne, że w bardziej rozwiniętym społeczeństwie pobrzmiewały bardziej ponure tony.

Zatem Gaum, który chciał, żebym wyszedł na kłamcę, był agentem tajnej policji Orgoreynu. Czy wiedział, że Obsle wie, kim on jest? Zapewne tak. Czy był więc prowokatorem? Czy działał oficjalnie po stronie frakcji Obsle'a, czy przeciwko niej? Która z frakcji w obrębie Rady Trzydziestu Trzech kontrolowała lub była kontrolowana przez Sarf? Powinienem zorientować się w tych sprawach, ale może to nie być łatwe. Moja linia postępowania, która przez jakiś czas wydawała się tak oczywista i pełna nadziei, teraz stawała się równie kręta i najeżona zagadkami jak w Erhenrangu. Wszystko szło dobrze, pomyślałem, póki zeszłego wieczoru nie pojawił się przy mnie jak cień Estraven.

— Jakie stanowisko zajmuje tutaj, w Misznory, książę Estraven? — spytałem Szusgisa, który jakby w półśnie opadł na oparcie bezszelestnie jadącego samochodu.

— Estraven? Tutaj nazywa się Harth. My tutaj nie używamy tytułów, odrzuciliśmy je wraz z nastaniem Nowej Epoki. Zdaje się, że jest podwładnym reprezentanta Yegeya.

— Mieszka u niego?

— Chyba tak.

Chciałem powiedzieć, że to dziwne, iż był zeszłego wieczoru u Slose'a, a nie był dziś na przyjęciu u Yegeya, ale uświadomiłem sobie, że w świetle naszej krótkiej porannej rozmowy nie wydawało się to takie dziwne. Ale sama myśl, że celowo trzyma się ode mnie z daleka, budziła niepokój.

— Znaleziono go — mówił Szusgis przemieszczając swoje szerokie biodra na wyścielanym siedzeniu — na Południu w fabryce kleju, konserw rybnych czy w jakimś takim miejscu i wyciągnięto go z rynsztoka. Zrobili to ludzie z frakcji Wolnego Handlu. Oczywiście pomógł im swego czasu jako premier i członek kyorremy, i teraz mu się odwdzięczają. Głównie robią to, jak myślę, żeby dokuczyć Mersenowi. Cha, cha! Mersen jest szpiegiem Tibe'a i myśli, że nikt o tym nie wie, ale naturalnie wszyscy wiedzą, a on nie może znieść widoku Hartha, bo nie wie, czy on jest zdrajcą, czy podwójnym agentem, i nie może narazić na szwank swojego szifgrethoru, żeby się dowiedzieć. Cha, cha!

— A co pan sądzi, panie Szusgis?

— Zdrajca, panie Ai. Czystej wody zdrajca. Sprzedał prawa swojego kraju do doliny Sinoth, żeby nie dopuścić Tibe'a do władzy, ale noga mu się powinęła. Na cycki Mesze! Tutaj spotkałoby go coś gorszego niż wygnanie. Kto gra przeciwko swojej własnej stronie, musi przegrać wszystko. Ale ci jegomoście dbający tylko o siebie i wyprani z patriotyzmu nie potrafią tego zrozumieć. Zresztą myślę, że Harth nie dba, gdzie jest, byle tylko mógł jakoś przepychać się ku władzy. Zrobił w ciągu pięciu miesięcy nie tak mało, jak pan widzi.

— Owszem, niemało.

— Pan też mu nie dowierza, co?

— Nie.

— Cieszę się, że to słyszę, panie Ai. Nie rozumiem, dlaczego Yegey i Obsle trzymają z tym osobnikiem. Jest jawnym zdrajcą działającym dla własnej korzyści, który usiłuje czepiać się pańskich sani, panie Ai, jak długo będzie to dla niego korzystne. Tak ja to widzę. I nie wiem, czy pozwoliłbym mu czepiać się moich sani, gdyby mnie o to przyszedł prosić! — Szusgis sapnął, skinął energicznie głową na znak zgody z własną opinią i uśmiechnął się do mnie porozumiewawczym uśmiechem ludzi nieskazitelnej prawości. Samochód jechał bezszelestnie szerokimi, dobrze oświetlonymi ulicami. Poranny śnieg stopniał zostawiając tylko brudne pryzmy wzdłuż rynsztoków, teraz padał zimny, drobny deszcz.

Wielkie gmachy śródmieścia Misznory, budynki rządowe, szkoły, świątynie kultu jomesz, przesłonięte deszczem w płynnym blasku wysokich latarń zdawały się topnieć. Ich narożniki były nieostre, frontony rozlane, zamazane. Coś płynnego, niematerialnego kryło

się'za masywnością tego miasta zbudowanego z monolitów, tego monolitycznego państwa, które tym samym słowem nazywało część i całość. A Szusgis, mój jowialny gospodarz, człowiek ciężki i masywny, też miał rozmazane kontury, był jakby…, nieco nierealny.

Od chwili kiedy cztery dni temu wyruszyłem samochodem przez rozległe złote pola Orgoreynu rozpoczynając swoją podróż do samego serca Misznory, czegoś mi brakowało. Tylko czego? Czułem się izolowany. Od pewnego czasu nie odczuwałem chłodu. Pokoje tutaj były przyzwoicie ogrzewane. Od pewnego czasu jedzenie nie sprawiało mi przyjemności. Kuchnia orgocka była nijaka i nic w tym strasznego. Tylko dlaczego wszyscy ludzie, jakich tu spotkałem, wszystko jedno, życzliwie czy wrogo do mnie usposobieni, też wydawali mi się nijacy? Były wśród nich barwne osobowości — Obsle, Slose, piękny i odrażający Gaum — a jednak wszystkim im czegoś brakowało, jakiegoś wymiaru istnienia, byli jacyś nieprzekonywający. Nie byli całkiem materialni.

Jest tak, pomyślałem, jakby nie rzucali cienia.

Tego rodzaju dość abstrakcyjne rozważania są istotną częścią mojej pracy. Bez pewnych szczególnych uzdolnień nie miałbym szans na zostanie mobilem, potem przeszedłem formalne przeszkolenie w tym kierunku na Hain, gdzie nadają temu dumnie brzmiący tytuł "myślenia dalekosiężnego". Chodzi w nim o coś, co można by określić jako intuicyjny ogląd pewnej moralnej całości, i jego wynikiem nie jest zestaw racjonalnych symboli, lecz metafora. Nigdy nie wyróżniałem się w tym "myśleniu dalekosiężnym", a tego dnia szczególnie nie ufałem swoim przeczuciom, bo byłem bardzo zmęczony. Gdy tylko znalazłem się z powrotem w swoich apartamentach, natychmiast poszukałem ulgi pod gorącym natryskiem. Ale nawet tam towarzyszył mi niejasny niepokój, jakby gorąca woda też nie była całkiem realna i jakby nie można było na niej polegać.

11. Monologi w Misznory

Misznory. Streth susmy. Nie jestem optymistą, chociaż wszystkie wydarzenia dają podstawy do nadziei. Obsle targuje się i handryczy z reprezentantami, Yegey stosuje pochlebstwa, Slose nawraca i siła ich zwolenników rośnie. Są zręcznymi politykami i pewnie kierują swoją frakcją. Tylko siedmiu z Trzydziestu Trzech to pewni zwolennicy Wolnego Handlu. Co do reszty, to Obsle liczy na poparcie dziesięciu, a to dałoby mu minimalną przewagę.

Jeden z nich wydaje się przejawiać autentyczne zainteresowanie wysłannikiem. Reprezentant Ithepen z okręgu Eynyen, który interesował się przedstawicielstwem obcych, gdyż z ramienia Sarfu cenzurował audycje nadawane z Erhenrangu. Wydaje się, że ta działalność ciąży mu na sumieniu. Zaproponował Obsle'owi, żeby Trzydziestu Trzech ogłosiło zaproszenie statku gwiezdnego nie tylko w imieniu swoich rodaków, lecz także w imieniu Karbidu, sugerując Argavenowi, żeby przyłączył głos Karbidu do zaproszenia. Szlachetny projekt, który nie zostanie przyjęty. Nie zaproszą Karbidu do współpracy w żadnej sprawie.

Ludzie Sarfu w gronie Trzydziestu Trzech oczywiście przeciwstawiają się obecności wysłannika i jego misji. Co do tych niezdecydowanych, to podejrzewam, że boją się wysłannika podobnie jak Argaven i większość dworu, z tą różnicą, że Argaven uważał go za szaleńca, jak on sam, ci zaś uważają go za kłamcę, jak oni sami. Boją się, że dadzą się publicznie złapać na wielkie oszustwo, oszustwo odrzucone już przez Karhid, a może nawet spreparowane przez Karbid. Jeżeli wysuną zaproszenie i ogłoszą je publicznie, to gdzie będzie ich szifgrethor, gdy gwiezdny statek nie wyląduje?

Doprawdy, Genly Ai wymaga od nas niezwykłej łatwowierności.

Widocznie dla niego nie jest ona niezwykła.

Obsle i Yegey uważają, że większość Trzydziestu Trzech da się przekonać i uwierzy mu. Nie wiem, dlaczego jestem mniejszym optymistą niż oni; może w głębi serca nie chcę, żeby Orgoreyn okazał się bardziej oświecony niż Karbid, żeby podjął ryzyko, zyskał sławę i zostawił Karbid w cieniu. Jeżeli jest to zazdrość patriotyczna, to przychodzi zbyt późno, bo skoro tylko zrozumiałem, że Tibe wkrótce doprowadzi do mojej dymisji, zrobiłem wszystko, żeby wysłannik przybył do Orgoreynu i już jako wygnaniec zrobiłem wszystko, żeby ich do niego przekonać.

Dzięki pieniądzom, które przywiózł mi od Asze, mieszkam znów sam, jako "jednostka", a nie jako "osoba zależna". Nie chodzę już na bankiety, nie pokazuję się publicznie z Obsle'em ani z innymi zwolennikami wysłannika i nie widziałem się z samym wysłannikiem

od pół miesiąca, od drugiego dnia jego pobytu w Misznory.

Dał mi pieniądze od Asze tak, jak się daje zapłatę najemnemu mordercy. Nieczęsto udaje się komuś tak mnie rozgniewać i w odpowiedzi celowo go znieważyłem. Wiedział, że jestem zły, ale nie mam pewności, czy zrozumiał zniewagę; wyglądało, że akceptuje moją radę mimo sposobu, w jaki mu jej udzieliłem. Zrozumiałem to, kiedy ochłonąłem z gniewu, i zacząłem się zastanawiać. Czy to możliwe, że przez cały czas w Erhenrangu szukał u mnie rady i nie wiedział, jak mi to dać do zrozumienia? Jeżeli tak, to musiał fałszywie zrozumieć połowę i nie zrozumieć w ogóle reszty z tego, co mu powiedziałem przy moim ognisku w Pałacu, tego wieczoru po ceremonii wmurowania zwornika. Jego szifgrethor jest widocznie oparty na czymś zupełnie innym niż nasz i musi być zupełnie inaczej podtrzymywany. Kiedy uważałem, że jestem najbardziej szczery i brutalny, on mógł uważać, że mówię szczególnie mętnie i zawile.

Jego tępota wynika z ignorancji. Jego arogancja wynika z ignorancji. Nie wie nic o nas, a my o nim. Jest nieskończenie obcy, a ja głupi, że pozwoliłem, żeby mój cień padł na światło nadziei, które on nam przynosi. Muszę powściągnąć swoją świecką próżność. Będę się trzymać z dala od niego, bo tego sobie niewątpliwie życzy. Ma rację. Wypędzony karhidyjski zdrajca nie dodaje blasku jego sprawie.

Zgodnie z orgockim prawem, że każda "jednostka" musi być zatrudniona, pracuję od ósmej do południa w fabryce wyrobów plastykowych. Łatwa praca: doglądam maszyny, która dopasowuje i zgrzewa kawałki plastyku w małe przezroczyste pudełka. Nie wiem, do czego służą te pudełka. Po południu, stwierdziwszy, że tępieję, podjąłem ćwiczenia, których nauczyłem się w Rotherer. Z zadowoleniem przekonałem się, że nie zatraciłem umiejętności przywoływania siły doth albo wchodzenia w nietrans, ale z samego nietransu mam niewiele pożytku, zaś co do umiejętności zachowywania bezruchu i postu, to tak jakbym się ich nigdy nie uczył, muszę wszystko zaczynać od początku, jak dziecko. Pościłem przez jeden dzień, a mój żołądek krzyczy: "Tydzień! Miesiąc!"

W nocy jest teraz mróz. Dzisiaj silny wiatr przyniósł śnieg z deszczem. Przez cały wieczór myślałem o Estre i odgłos wiatru przypominał mi tamtejsze wiatry. Napisałem dziś długi list do syna. Pisząc go miałem powracające poczucie obecności Areka, tak jakby wystarczyło odwrócić się, żeby go zobaczyć. Po co prowadzę te zapiski? Czy dla syna? Co mu one dadzą? Może po prostu piszę, żeby pisać w swoim języku.

Harhahad susmy. W radio nadal żadnej wzmianki o wysłanniku, ani słowa. Zastanawiam się, czy Genly Ai dostrzega, że w Orgoreynie, mimo rozległego widocznego aparatu władzy, niczego nie robi się w sposób jawny, niczego nie mówi się na głos. Ta machina maskuje

machinacje.

Tibe chce nauczyć Karhid kłamstwa. Uczy się od Orgoreynu, to dobra szkoła. Ale myślę; że trudno nam będzie się tego nauczyć, bo mamy zbyt długą praktykę w obchodzeniu prawdy: bez popadania w kłamstwo, ale i bez dochodzenia do prawdy.

Wczoraj wielki wypad Orgotów za Ey. Spalili spichlerze w Tekember. Dokładnie to, czego potrzebuje Sarf i czego potrzebuje Tibe. Ale do czego to prowadzi?

Slose, któremu słowa wysłannika nałożyły się na jego jomeszański mistycyzm, interpretuje przybycie Ekumeny na nasz świat jako nadejście Królestwa Mesze i traci z oczu nasz cel. "Musimy zakończyć tę rywalizację z Karbidem — mówi — zanim nadejdzie Nowy Człowiek. Musimy oczyścić nasze serca na jego przyjście. Musimy zapomnieć o szifgrethorze, zabronić wszelkich aktów zemsty i zjednoczyć się bez nienawiści, jak bracia z jednego ogniska".

Ale jak to zrobić, zanim oni przybędą? Jak przerwać ten krąg?

Guyrny susmy. Slose stoi na czele komitetu, który zabiega o zakaz wystawiania w tutejszych publicznych domach kemmeru obscenicznych sztuk; muszą przypominać karhidyjskie huhuth. Slose zwalcza je jako trywialne, wulgarne i bluźniercze.

Zwalczać coś to znaczy to coś podtrzymywać.

Mówią tutaj, że "wszystkie drogi prowadzą do Misznory". Rzeczywiście, jeżeli człowiek stanie plecami do Misznory i zacznie się od niego oddalać, nadal będzie na drodze do Misznory. Walcząc z wulgarnością nieuchronnie pogrążamy się w wulgarności. Trzeba pójść w inną stronę, trzeba znaleźć inny cel, wówczas można iść inną drogą.

Yegey dzisiaj w Izbie Trzydziestu Trzech: "Jestem niezmiennie przeciwny blokadzie eksportu zboża do Karbidu i duchowi rywalizacji, który jest jej przyczyną". Słusznie, ale idąc w tę stronę nigdy nie zejdzie z drogi do Misznory. Musi zaproponować jakąś alternatywę. Orgoreyn i Karbid muszą zejść z drogi, którą się posuwają, wszystko jedno w jakim kierunku; muszą pójść gdzie indziej i przerwać krąg. Yegey, moim zdaniem, powinien mówić o wysłanniku i o niczym więcej.

Być ateistą to znaczy podtrzymywać wiarę w Boga. Jego istnienie albo nieistnienie, na płaszczyźnie dowodu rzecz sprowadza się do tego samego. Dlatego "dowód" jest słowem nieczęsto używanym przez wyznawców handdary, którzy postanowili nie traktować Boga jako faktu podlegającego dowodowi (lub wierze), i w ten sposób złamali krąg, wyrwali się z niego.

Zrozumieć, na jakie pytania nie ma odpowiedzi, i nie odpowiadać na nie — oto umiejętność najpotrzebniejsza w czasach napięć i ciemności.

Tormenbod susmy. Mój niepokój narasta. Centralny Urząd Radiowy dotąd nie nadał ani słowa o wysłanniku. Ani jedna wiadomość na jego temat nadana przez nas w Erhenrangu nie została przekazana tutaj, a plotki wynikające z nielegalnego odbioru audycji zagranicznych oraz opowieści kupców i podróżników nie rozeszły się zbyt daleko. Sarf ma pełniejszą kontrolę nad środkami przekazu, niż sądziłem, i większą, niż uważałem za możliwą. Wnioski są dość przerażające. W Karbidzie król i kyorrema mają sporą kontrolę nad tym, co ludzie robią, ale niewielką nad tym, czego słuchają, i żadnej nad tym, co mówią. Tutaj rząd może kontrolować nie tylko czyny, ale i myśli. To pewne, że żaden człowiek nie powinien mieć takiej władzy nad drugim człowiekiem.

Szusgis i inni otwarcie pokazują się wszędzie z Genlym Ai.

Zastanawiam się, czy on widzi, że ta ostentacja kryje fakt, iż jest on ukrywany. Nikt nie wie, że on tu jest. Pytam kolegów robotników z fabryki, ale nie wiedzą nic, myślą, że mówię o jakimś szalonym sekciarzu jomeszcie. Żadnej informacji, żadnego zainteresowania, niczego, co mogłoby posunąć jego sprawę lub zapewnić mu bezpieczeństwo.

Szkoda, że jest tak do nas podobny. W Erhenrangu ludzie często pokazywali go sobie na ulicy, bo znali część prawdy, słyszeli o nim i wiedzieli, że jest w mieście. Tutaj, gdzie jego obecność jest trzymana w tajemnicy, nikt na niego nie zwraca uwagi. Widzą go zapewne tak, jak i ja go zobaczyłem po raz pierwszy: jako bardzo wysokiego, krzepkiego i ciemnego młodzieńca właśnie zaczynającego kemmer. Ale w zeszłym roku studiowałem raporty lekarzy na jego temat. On różni się od nas zasadniczo, to nie są żadne powierzchowne różnice. Trzeba go poznać, żeby zrozumieć, że jest obcym.

Dlaczego zatem trzymają go w ukryciu? Dlaczego żaden z reprezentantów nie postawi sprawy na ostrzu noża i nie powie o nim w jakimś publicznym wystąpieniu albo przez radio? Dlaczego nawet Obsle milczy? Ze strachu.

Mój król bał się wysłannika; ci tutaj boją się jeden drugiego.

Myślę, że ja, cudzoziemiec, jestem jedyną osobą, której Obsle ufa. Znajduje pewną przyjemność w moim towarzystwie (z wzajemnością) i kilkakrotnie odrzucił szifgrethor otwarcie pytając mnie o radę. Kiedy jednak namawiam go, żeby wystąpił publicznie, rozbudził zainteresowanie sprawą dla obrony przed intrygami frakcji przeciwnej, nie słucha mnie.

— Jeżeli cała Wspólnota zwróci oczy na wysłannika — mówiłem — Sarf nie odważy się go tknąć. Ani pana. Obsle wzdycha.

— Tak, tak, ale nie możemy tego zrobić. Radio, drukowane wiadomości, czasopisma naukowe, wszystko to jest w rękach Sarfu. Co mam robić, wygłaszać przemówienia na rogach ulic jak jakiś

fanatyczny kaznodzieja?

— Można rozmawiać z ludźmi, puszczać w obieg plotki. Musiałem robić coś podobnego zeszłego roku w Erhenrangu. Niech ludzie zadają pytania, na które pan ma odpowiedź w postaci samego wysłannika.

— Szkoda, że nie sprowadził tutaj tego swojego przeklętego statku, żebyśmy mieli ludziom co pokazać! Ale w tej sytuacji…

— On nie sprowadzi statku, dopóki nie będzie miał pewności, że działacie w dobrej wierze.

— A czy tak nie jest? — krzyknął Obsle nadymając się jak wielka ryba hob. — Czy nie poświęciłem każdej chwili ubiegłego miesiąca na tę sprawę? Dobra wiara! Oczekuje od nas, żebyśmy wierzyli we wszystko, co nam opowiada, a potem sam nam nie wierzy!

— A powinien?

Obsle sapie i nie odpowiada.

Jest niewątpliwie najuczciwszym ze wszystkich znanych mi orgockich postaci oficjalnych.

Odgetheny susmy. Żeby zostać wyższym urzędnikiem Sarfu, trzeba, jak się wydaje, reprezentować pewną skomplikowaną formę głupoty. Przykładem tego jest Gaum. Widzi we mnie karhidyjskiego agenta usiłującego doprowadzić Orgoreyn do ogromnej klęski prestiżowej przez wciągnięcie jego władz w oszustwo z wysłannikiem Ekumeny i uważa, że przygotowywałem to oszustwo jeszcze na stanowisku premiera. Bóg mi świadkiem, że mam na głowie ważniejsze sprawy niż gra w szifgrethor z szumowinami. Ale to jest prosta prawda, której on nie jest w stanie zrozumieć. Teraz, kiedy można by sądzić, że Yegey odsunął mnie od siebie, Gaum uznał, że jestem do kupienia, i przygotował się do transakcji w swoim stylu. Śledził mnie albo kazał mnie śledzić i zorientował się, że powinienem rozpocząć kemmer w posthe albo tormenbod, i zeszłego wieczoru pojawił się w pełni kemmeru, niewątpliwie hormonalnie przyspieszonego, z zamiarem uwiedzenia mnie. Przypadkowe spotkanie na ulicy Pyenefen.

— Harth! Nie widziałem pana od pół miesiąca, gdzie się pan ostatnio ukrywał? Może wypijemy po kuflu piwa? Wybrał piwiarnię sąsiadującą z publicznym domem kemmeru wspólnoty. Zamówił nie piwo, ale wodę życia. Postanowił nie tracić czasu. Po pierwszej miarce położył dłoń na mojej i zbliżywszy twarz do mojej szepnął:

— Nie spotkaliśmy się przypadkiem, czekałem na ciebie, chciałem być z tobą tej nocy — i nazwał mnie po imieniu. Nie obciąłem mu języka, bo odkąd opuściłem Estre, nie noszę przy sobie noża. Powiedziałem mu, że postanowiłem powstrzymać się od stosunków podczas wygnania. Szczebiotał coś i szeptał trzymając mnie za rękę. Bardzo szybko osiągał pełnię kemmeru jako kobieta. Gaum jest bardzo piękny w kemmerze, bardzo więc liczył na swoją urodę i siłę

oddziaływania wiedząc, jak sądzę, że jako handdarata najpewniej nie stosuję środków antykemmerowych i wbrew wszystkiemu starałbym się zachować powściągliwość bez ich pomocy. Zapomniał, że pogarda działa lepiej niż wszelkie środki. Uwolniłem się od jego dotyku, który, oczywiście, działał na mnie, i poradziłem mu, żeby spróbował w publicznym domu kemmeru tuż obok. Spojrzał na mnie z budzącą litość nienawiścią, bo niezależnie od swoich kombinacji był w autentycznym kemmerze.

Czy rzeczywiście myślał, że sprzedam się tak tanio? Musiał uważać, że jestem w trudnej sytuacji, co rzeczywiście może stanowić powód do niepokoju.

Do diabła z tymi kombinatorami. Naprawdę nie ma wśród nich ani jednego uczciwego człowieka.

Odsordny susmy. Dziś po południu Genly Ai przemawiał w Izbie Trzydziestu Trzech. Nie dopuszczono publiczności i nie nadano sprawozdania, ale później Obsle zaprosił mnie i dał mi przesłuchać taśmę z posiedzenia. Wysłannik mówił dobrze, z ujmującą szczerością i przekonaniem. Jest w nim naiwność, którą uważałem za coś obcego i głupiego, ale są chwile, kiedy ta pozorna naiwność odsłania dyscyplinę wiedzy i szerokość horyzontów, które budzą mój podziw. Przemawia przez niego mądra i wielkoduszna kultura czerpiąca z mądrości głębokich, starych i niewyobrażalnie różnych doświadczeń. Ale on sam jest młody, niecierpliwy i niedoświadczony. Stoi wyżej od nas, widzi dalej, ale on sam jest tylko wzrostu człowieka.

Mówi teraz lepiej niż w Erhenrangu, prościej i subtelniej, nauczył się swojego rzemiosła, jak my wszyscy.

Jego wystąpienie było często przerywane przez członków frakcji hegemonistycznej żądających, żeby przewodniczący przerwał szaleńcowi, usunął go z sali i wrócił do porządku obrad. Reprezentant Yemenbey był najbardziej krzykliwy i najprawdopodohniej robił to szczerze. "Chcecie nam wcisnąć to giczy-mirzy?", ryczał ponad głowami do Obsle'a. Planowa obstrukcja, stanowiąca trudno zrozumiałą część taśmy, była kierowana, jak twierdzi Obsle, przez Kaharosile'a. Z pamięci:

Alszel (przewodniczący): Panie wysłanniku, uważamy tę informację oraz wnioski panów Obsle'a, Slose'a, Ithepena, Yegeya i innych za niezwykle interesujące, dające dużo do myślenia… Chcielibyśmy jednak mieć coś konkretniejszego. (Śmiech). Skoro król Karhidu trzyma pański… pojazd, na którym pan przybył, w ukryciu i nie możemy go zobaczyć, czy byłoby możliwe, jak to ktoś zaproponował, żeby pan sprowadził swój… statek gwiezdny? Czy tak się to nazywa?

Ai: Statek gwiezdny to dobra nazwa, panie przewodniczący.

Alszel: Czy tak? A jak wy go nazywacie?

Ai: Technicznie jest to załogowy międzygwiezdny NAFAL-20 typu cetiańskiego.

Głos: Jest pan pewien, że to nie są sanie świętego Pethethe'a? (Śmiech).

Alszel: Proszę o spokój. Tak. Gdyby mógł pan sprowadzić ten statek na ziemię tutaj, na twardy grunt, że tak powiem, żebyśmy uzyskali jakiś namacalny…

Głos: Namacalne rybie ucho!

Ai: Bardzo chciałbym sprowadzić ten statek, panie Alszel, jako dowód i gwarancję naszej obustronnej dobrej woli. Czekam tylko na wstępną publiczną zapowiedź tego wydarzenia.

Kaharosile: Czy nie widzicie, panowie reprezentanci, o co w tym wszystkim chodzi? To nie jest zwykły głupi żart: Jest to w swoim zamiarze publiczne szyderstwo z naszej łatwowierności, naszej naiwności, naszej głupoty, przygotowane z niewiarygodną bezczelnością przez tego, który tu dziś przed nami stoi. Wiecie, że przybywa z Karhidu. Wiecie, że jest karhidyjskim agentem. Widzicie, że jest jednym z tych zwyrodnialców seksualnych, którzy w Karbidzie pod wpływem Ciemnego Kultu nie są poddawani leczeniu, a czasem nawet są sztucznie produkowani dla udziału w orgiach ich wróżbitów. A mimo to, kiedy ten człowiek opowiada, że przybywa z przestrzeni kosmicznej, niektórzy z was zamykają oczy, wyłączają rozum i wierzą. Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego jest możliwe itd., itd.

Sądząc po głosie z taśmy Ai znosił obelgi i drwiny ze spokojem. Obsle mówi, że zachował się dobrze. Kręciłem się przed Izbą Trzydziestu Trzech, żeby zobaczyć, jak będą wychodzić po posiedzeniu. Ai był posępny i zamyślony. Nie bez powodu.

Moja bezsilność jest nieznośna. To ja puściłem w ruch tę maszynę, a teraz nie mam żadnego wpływu na jej bieg. Snuję się po ulicach z kapturem naciągniętym na twarz, żeby ukradkiem spojrzeć na wysłannika. Dla tego bezużytecznego życia w cieniu odrzuciłem władzę, majątek i przyjaciół. Jesteś wielkim głupcem, Therem.

Dlaczego zawsze muszę stawiać sobie cele nieosiągalne"

Odeps susmy. Urządzenie nadawczo-odbiorcze, które Genly Ai przekazał Trzydziestu Trzem na ręce Obsle'a, nikogo nie przekona. Niewątpliwie działa ono tak, jak on mówi, że działa, ale jeżeli królewski rachmistrz Szorst powiedział o nim jedynie: "Nie rozumiem zasady", to żaden orgocki matematyk ani inżynier nic tu nie zwojuje i tym samym nic nie zostanie ani udowodnione, ani obalone. Wspaniały wynik, gdyby ten świat był jedną wielką stanicą handdary, ale niestety musimy iść przed siebie brukając dziewiczy śnieg, dowodząc i obalając, pytając i odpowiadając.

Po raz któryś tłumaczyłem Obsle'owi, że Ai powinien nadać sygnał do gwiezdnego statku, obudzić załogę i skłonić ich, żeby odbyli

rozmowę z reprezentantami przez radio podłączone do sali posiedzeń Trzydziestu Trzech. Tym razem Obsle miał gotowy powód, żeby tego nie robić.

— Niech pan słucha, drogi Estraven, radio jest całkowicie w rękach Sarfu, teraz już pan to wie. Nawet ja nie mam pojęcia, kto z pracowników jest człowiekiem Sarfu. Niewątpliwie większość, bo wiem na pewno, że obsługują stacje przekaźnikowe na wszystkich szczeblach, włącznie z technikami i konserwatorami. Na pewno by zatrzymali każdą transmisję albo, gdybyśmy ją usłyszeli, byłaby sfałszowana. Czy wyobraża pan sobie tę scenę w sali posiedzeń? My — "kosmici" — jako ofiary naszego własnego oszustwa, słuchający z zapartym tchem szumu aparatury i na tym koniec, żadnej odpowiedzi, żadnego przesłania?

— A nie macie pieniędzy, żeby zapłacić jakimś lojalnym technikom albo przekupić kogoś z ich ludzi? spytałem, ale wszystko n a próżno. Boi się o swój własny prestiż. Jego zachowanie w stosunku do mnie już uległo zmianie. Jeżeli odwoła dzisiejsze przyjęcie na cześć wysłannika, to znaczy, że sprawy stoją źle.

Odarhad susmy. Odwołał przyjęcie.

Dziś rano poszedłem na spotkanie z wysłannikiem w czysto orgockim stylu. Nie otwarcie, w domu Szusgisa, gdzie wśród służby musi się roić od agentów Sarfu, nie mówiąc o samym Szusgisie, ale na ulicy, niby przypadkowo, w stylu Gauma, skrycie i ukradkiem.

— Panie Ai, czy moglibyśmy chwilkę porozmawiać

Obejrzał się zaskoczony, a poznawszy mnie przestraszył się:

Co to da, panie Harth — powiedział po chwili. — Pan wie, że nie mogę polegać na pańskich radach… od czasu Erhenrangu…

Była w jego słowach szczerość, jeżeli nie zdolność przewidywania. Choć zdolność przewidywania również: wiedział, że chcę mu udzielić rady, a nie prosić go o coś, i chciał mi oszczędzić upokorzenia.

— Tu jest Misznory, a nie Erhenrang — odpowiedziałem — ale niebezpieczeństwo, jakie panu zagraża, jest takie samo. Jeżeli nie zdoła pan przekonać Obsle'a albo Yegeya, żeby pozwolili panu na kontakt radiowy ze statkiem, żeby jego załoga pozostając poza zasięgiem niebezpieczeństwa mogła uwiarygodnić pańskie wystąpienia, to sądzę, że musi pan użyć swojego aparatu, astrografu, i ściągnąć tu statek jak najszybciej. Ryzyko z tym związane będzie mniejsze niż to, na jakie jest pan narażony obecnie, działając w pojedynkę.

— Posiedzenie reprezentantów w mojej sprawie było tajne. Skąd pan wie o moich "wystąpieniach", panie Harth? — Wiedzieć takie rzeczy to dla mnie sprawa zawodowa…

— Ale to nie są już pańskie sprawy, książę. Teraz to sprawa reprezentantów Orgoreynu.

— Mówię panu, że pańskie życie jest w niebezpieczeństwie, panie Ai — powiedziałem. Nic nie odpowiedział, więc odszedłem.

Powinienem był porozmawiać z nim wiele dni temu. Teraz jest już za późno. Strach raz jeszcze staje na drodze jego misji i moich nadziei. Nie strach przed obcym, nieziemskim, to nie tutaj. Ci Orgotowie są zbyt głupi i małoduszni. żeby bać się tego, co jest prawdziwie i niewyobrażalnie obce. Oni nie są nawet w stanie tego dostrzec. Oni patrzą na istotę z innego świata i co widzą? Szpiega Karhidu, zboczeńca, agenta, żałosny trybik z politycznej machiny, jak oni sami.

Jeżeli nie ściągnie tego statku natychmiast, będzie za późno. Może już jest za późno.

Wszystko to moja wina. Zawiodłem całkowicie.

12. O czasie i ciemności

Z Nauk Arcykapłana Tuhulme, księgi z kanonu jomesz, spisanej w północnym Orgoreynie przed około 900 laty.

Mesze jest Środkiem Czasu. Ta chwila Jego życia, w której zobaczył rzeczy, jakimi są, zdarzyła się, kiedy żył na świecie lat trzydzieści, i po niej żył na świecie jeszcze lat trzydzieści. Przejrzenie przypadło więc na środek Jego życia. I wszystkie wieki do Przejrzenia były tak długie, jak liczne będą wszystkie wieki po Przejrzeniu, które przypadło na Środek Czasu. I w tym Środku nie ma czasu przeszłego ani czasu, który przyjdzie. Jest w nim cały czas miniony i cały czas, który przyjdzie. Nie było go ani nie będzie. On jest. Jest wszystkim.

Nie ma rzeczy niewidzialnych.

Pewien ubogi człowiek z Szeney przyszedł do Mesze skarżąc się, że nie ma jedzenia dla dzieci ze swego łona ani ziarna, które mógłby posiać, bo deszcze zepsuły ziarno w ziemi i wszyscy z jego ogniska przymierają głodem. Wtedy Mesze powiedział: "Szukaj w kamienistych polach tuerresz i wykopiesz tam skarb składający się ze srebra i drogich kamieni, bo widzę króla, który go tam zakopuje dziesięć tysięcy lat temu, kiedy napadł na niego sąsiedni król".

Ubogi człowiek kopał w morenie tuerresz i w miejscu, które wskazał mu Mesze, znalazł wielki skarb starożytnych drogocenności i na ich widok zakrzyknął głośno ze szczęścia. Ale stojący obok Mesze zapłakał mówiąc: "Widzę człowieka, który zabija swojego brata z ogniska dla jednego z tych szlifowanych kamieni. Dzieje się to za dziesięć tysięcy lat, a kości zamordowanego spoczną w tym samym grobie, w którym leży skarb. Człowieku z Szeney, wiem też, gdzie jest twój grób, widzę cię, jak w nim leżysz".

Życie każdego człowieka znajduje się w Środku Czasu, bo Mesze widział wszystkich i wszyscy są w Jego Oku. Jesteśmy źrenicami Jego Oka. Nasze czyny są Jego Widzeniem, nasze istnienie Jego Wiedzą.

W sercu lasu Ornem który ma sto stajań długości i sto szerokości, rosło stare, rozłożyste drzewo hemmen o stu konarach, a z każdego konaru wyrastało sto gałęzi, a na każdej gałęzi rosło sto liści. 1 drzewo w swojej zakorzenionej istocie powiedziało: "Wszystkie moje liście są widoczne prócz jednego, który jest ukryty w cieniu wszystkich innych. Ten jeden liść jest wyłącznie moją tajemnicą. Kto go dostrzeże w cieniu wszystkich moich liści? I kto je wszystkie policzy?"

Mesze w swoich wędrówkach przechodził przez las Ornen i zerwał ten jeden jedyny liść.

Każda kropla jesiennego deszczu pada tylko raz i deszcz padał, pada i będzie padał każdej jesieni przez wszystkie lata. Mesze widzi każdą kroplę, która spadła, spada i spadnie.

W Oku Mesze są wszystkie gwiazdy i ciemności pomiędzy gwiazdami, i wszystko jest jasne.

Odpowiadając na pytanie pana Szorth, w chwili widzenia, Mesze ujrzał całe niebo jako jedno słońce. Ponad ziemią i poniżej ziemi cała sfera nieba była jasna jak powierzchnia słońca i ciemności nie było. Bo ujrzał nie to, co było, i nie to, co będzie, ale to, co jest. Gwiazdy, które uciekają, zabierając swoje światło, były w Jego Oku, a z nimi całe ich światło.

Ciemność widzi tylko oko śmiertelne, które myśli, że widzi, ale nie widzi. Dla Wzroku Mesze nie ma ciemności.

Dlatego ci, którzy odwołują się do ciemności , są głupcami i będą wypluci z Ust Mesze, bo to, czego nie ma, nazywają Źródłem i Celem.

Nie ma ani Źródła, ani Celu, bo wszystkie rzeczy są w Środku Czasu. Tak jak wszystkie gwiazdy mogą się odbić w kropli deszczu padającego w nocy, tak wszystkie gwiazdy odbijają kroplę deszczu. Nie ma ani ciemności, ani śmierci, bo wszystkie rzeczy są w świetle Chwili, a ich koniec i początek są jednym.

Jeden środek, jedno przejrzenie, jedno prawo, jedno światło. Spójrz teraz w Oko Mesze!

13. W gospodarstwie

Zaniepokojony nagłym pojawieniem się Estravena, jego znajomością moich spraw oraz palącą gwałtownością jego ostrzeżeń, zatrzymałem taksówkę i pojechałem prosto na wyspę Obsle'a, chcąc spytać reprezentanta, skąd Estraven tyle wie i dlaczego wyskoczył ni stąd, ni zowąd z żądaniem, żebym zrobił dokładnie to, co Obsle wczoraj tak mi odradzał. Reprezentanta nie było w domu, odźwierny nie wiedział, gdzie jest ani kiedy wróci. Odwiedziłem Yegeya z takim samym skutkiem. Padał śnieg, największy tej jesieni, i kierowca nie chciał jechać dalej niż do domu Szusgisa, bo nie miał łańcuchów na oponach. Tego wieczoru nie udało mi się dodzwonić do Obsle'a, Yegeya ani do Slose'a.

Przy obiedzie Szusgis wyjaśnił, o co chodzi: odbywały się uroczystości religijne ku czci świętych Obrońców Tronu i wysocy urzędnicy Wspólnoty powinni się na nich pokazać. Wytłumaczył mi też, bardzo przekonywająco, zachowanie Estravena, kogoś ongiś potężnego, kto chwyta się każdej okazji, żeby wpłynąć na ludzi lub wydarzenia, coraz mniej racjonalnie, coraz rozpaczliwiej, w miarę jak czuje, że zapada się w bezsilną anonimowość. Zgodziłem się, że to wyjaśniałoby nerwowość, niemal rozgorączkowanie Estravena, jednak jego zdenerwowanie udzieliło się i mnie. Podczas całego tego długiego i obfitego posiłku dręczył mnie nieokreślony niepokój. Szusgis mówił i mówił, do mnie i do licznych swoich podwładnych, doradców i zauszników, którzy co wieczór zasiadali przy jego stole. Nigdy nie widziałem go tak rozgadanego, tak jowialnego. Po obiedzie było już za późno, żeby wychodzić na miasto po raz drugi, zresztą wszyscy reprezentanci, jak powiedział Szusgis, są i tak jeszcze na uroczystościach aż do północy. W tej sytuacji postanowiłem zrezygnować z kolacji i pójść wcześniej do łóżka. Gdzieś między północą a świtem obudzili mnie jacyś nieznajomi, którzy poinformowali mnie; że jestem aresztowany, i pod strażą przewieźli do więzienia Kunderszaden.

Jest to jeden z niewielu bardzo starych budynków, jakie pozostały w Misznory. Widziałem go nieraz podczas wędrówek po mieście, długi, ponury, najeżony wieżami i budzący nieprzyjemne myśli gmach wyróżniał się spośród monotonnych gmaszysk Wspólnoty. Wygląda na to, czym jest, i tak się nazywa. Jest więzieniem. Nie jest fasadą czegoś innego, maską, pseudonimem. Jest czymś prawdziwym, rzeczą zgodną ze słowem.

Strażnicy, masywni i bardzo realni, przeprowadzili mnie korytarzami do małego pokoju, bardzo brudnego i bardzo jasno oświetlonego. Po paru minutach wkroczyła inna grupa strażników

eskortujących otoczonego aurą władzy człowieka o suchej twarzy. Kazał odejść wszystkim poza dwoma. Spytałem go, czy będzie mi wolno przesłać wiadomość reprezentantowi Obsle.

— Reprezentant wie o pańskim aresztowaniu.

— Wie? — spytałem głupio.

— Moi przełożeni działają oczywiście z rozkazu Trzydziestu Trzech. Zostanie pan teraz przesłuchany. Strażnicy chwycili mnie pod ramiona. Stawiałem opór mówiąc gniewnie:

— Odpowiem na pańskie pytania, może pan zrezygnować z prób zastraszania!

Człowiek o suchej twarzy nie zwracając na mnie uwagi wezwał trzeciego strażnika. We trójkę rozebrali mnie, przywiązali do rozkładanego stołu i dali mi zastrzyk jakiegoś, jak sądzę, serum prawdy.

Nie wiem, jak długo trwało przesłuchanie ani czego dotyczyło, bo byłem przez cały czas pod wpływem narkotyku i nic nie pamiętam. Kiedy odzyskałem przytomność, nie miałem pojęcia, ile czasu spędziłem w Kunderszaden, cztery lub pięć dni sądząc po moim stanie fizycznym, ale nie mogłem być pewien. Przez jakiś czas potem nie wiedziałem, jaki mamy dzień miesiąca ani nawet jaki to miesiąc, i prawdę mówiąc bardzo powoli docierało do mnie, gdzie się w ogóle znajduję.

Byłem w ciężarówce, bardzo podobnej do tej, którą jechałem przez Kargav do Rer, tyle że teraz nie w szoferce, ale w pudle. Razem ze mną znajdowało się tu dwadzieścia do trzydziestu osób, trudno powiedzieć ile, bo nie było okien i jedyne światło wpadało przez szparę w tylnych drzwiach zasłoniętych jeszcze poczwórną warstwą stalowej siatki. Widocznie jechaliśmy już od pewnego czasu, kiedy odzyskałem przytomność, bo każdy miał już swoje mniej więcej określone miejsce, a woń kału, wymiocin i potu osiągnęła stały poziom. Nikt tu nie znał nikogo. Nikt nie wiedział, dokąd nas wiozą. Rozmów było niewiele. Po raz drugi zostałem zamknięty w ciemności z nie skarżącymi się na nic i na nic nie liczącymi mieszkańcami Orgoreynu. Zrozumiałem teraz znak, jaki otrzymałem podczas mojej pierwszej nocy w tym kraju. Zignorowałem tamtą czarną piwnicę i szukałem ducha Orgoreynu nad ziemią, w świetle dnia. Nic dziwnego, że wszystko wydawało mi się nierealne.

Miałem uczucie, że nasza ciężarówka zmierza na wschód, i nie potrafiłem się od niego uwolnić, nawet kiedy stało się jasne, że jedziemy na zachód, w głąb Orgoreynu. Nasze magnetyczne i kierunkowe podzmysły na obcych planetach całkowicie zawodzą. Jeżeli intelekt nie może albo nie chce zrekompensować ich pomyłek, rezultatem jest głęboka dezorientacja, poczucie, że wszystko dosłownie się rozsypuje.

W nocy zmarł jeden z naszej ciężarówki. Bito go widocznie pałką albo kopano w brzuch, i zmarł na skutek krwotoku z ust i odbytu. Nikt nic dla niego nie zrobił, zresztą w niczym nie można mu było pomóc. Wepchnięty między nas plastykowy pojemnik z wodą od wielu godzin był już pusty. Umierający leżał na prawo ode mnie. Wziąłem jego głowę na kolana, żeby mu ułatwić oddychanie, i tak umarł. Byliśmy wszyscy nadzy, ale odtąd miałem na sobie jego krew — suchy, sztywny, brunatny strój nie dający ciepła.

W nocy zapanował dotkliwy chłód i musieliśmy zbić się w gromadę dla ciepła. Nieboszczyk nie mając nic do zaoferowania został wypchnięty, wyłączony z grupy. Cała reszta, ciasno stłoczona, przez całą noc podskakiwała i trzęsła się w jednym rytmie. Wewnątrz stalowego pudła panowały absolutne ciemności. Znajdowaliśmy się na jakiejś wiejskiej drodze i nic nie jechało za nami. Nawet przyciskając twarz do siatki nie widziało się nic, tylko ciemność i niejasno majaczącą masę śniegu. Padający śnieg, świeżo spadły śnieg, stary śnieg, śnieg, na który spadł deszcz, zamarznięty śnieg… W języku orgockim i karhidyjskim każdy z nich ma swoją nazwę. W karhidyjskim (który znam lepiej niż orgocki) mają według mojego rachunku sześćdziesiąt dwa słowa na różne rodzaje śniegu w zależności od jego stanu, wieku, jakości. Mam na myśli śnieg leżący, bo jest inny zestaw słów określający odmiany śniegu padającego, inny dla lodu, dwadzieścia lub więcej słów określających wspólnie temperaturę, siłę wiatru i rodzaj opadu. Tej nocy siedziałem i starałem się zestawiać w głowie listy tych słów. Ilekroć przypomniałem sobie nowe określenie, powtarzałem całą listę wstawiając je we właściwe miejsce według alfabetu.

Po wschodzie słońca ciężarówka stanęła. Ludzie zaczęli krzyczeć przez szparę, że mamy w środku nieboszczyka i żeby go zabrać. Coraz to ktoś inny podnosił krzyk. Tłukliśmy razem pięściami w ściany i drzwi robiąc tak piekielny hałas w stalowym pudle, że sami ledwo mogliśmy wytrzymać. Nikt nie przychodził. Ciężarówka stała nieruchomo przez kilka godzin. Wreszcie na zewnątrz rozległy się głosy, samochód zakołysał się, koła zabuksowały na lodzie i ruszyliśmy dalej. Przez szparę w drzwiach można było dostrzec, że jest późne słoneczne przedpołudnie i że jedziemy wśród zalesionych wzgórz.

Tak jechaliśmy przez następne trzy doby, razem cztery, licząc od mojego przebudzenia. Nasza ciężarówka nie zatrzymywała się na punktach kontrolnych i chyba ani razu nie przejechaliśmy przez znaczniejszą miejscowość. Podróż nasza była nieregularna. Mieliśmy postoje na zmianę kierowców i ładowanie akumulatorów. Były też jakieś inne, dłuższe postoje, których przyczyn nie można było odgadnąć z wnętrza ciężarówki. Przez dwa dni staliśmy od południa

do zmroku, jakby nasz pojazd został porzucony, potem ruszaliśmy w nocy. Raz dziennie, koło południa, przez klapę w drzwiach dawano nam duże naczynie z wodą.

Licząc nieboszczyka było nas dwadzieścioro sześcioro, dwie trzynastki. Getheńczycy często myślą trzynastkami, dwudziestkami szóstkami i pięćdziesiątkami dwójkami, niewątpliwie z powodu dwudziestosześciodniowego cyklu księżycowego, który stanowi ich niezmienny miesiąc i odpowiada ich cyklowi seksualnemu. Trupa odsunięto pod stalowe drzwi tworzące tylną ścianę naszego pudła, gdzie było najzimniej. Pozostali z nas siedzieli, leżeli lub kucali, każdy na swoim własnym miejscu, na swoim terytorium, w swojej domenie aż do nocy, kiedy chłód stawał się tak dotkliwy, że stopniowo zbliżaliśmy się do siebie i zbijaliśmy w jedną całość zajmującą jedno miejsce, ciepłe w środku, zimne na obrzeżach.

Była i dobroć. Ja i kilku innych, jak starzec z rwącym kaszlem, zostaliśmy uznani za mniej odpornych na zimno i każdej nocy znajdowaliśmy się w środku grupy, tej z dwudziestu pięciu części złożonej całości, gdzie było najcieplej. Nie walczyliśmy o to ciepłe miejsce, po prostu znajdowaliśmy się w nim co noc. To straszliwa rzecz, ta dobroć, której ludzie nie zatracają. Straszliwa, bo kiedy jesteśmy nadzy, w ciemności i na mrozie, jest to wszystko, co nam zostaje. My, tacy bogaci i silni, zostajemy w końcu z tak drobną monetą. Nie możemy dać nic więcej.

Mimo stłoczenia i tego przytulania się w nocy, my, ludzie z ciężarówki, byliśmy sobie dalecy. Jedni byli ogłupieni narkotykami, inni byli może niedorozwinięci, wszyscy byli sponiewierani i zastraszeni, a jednak, co dziwne, nikt z tej dwudziestki piątki nie odezwał się do wszystkich pozostałych jako do grupy, choćby żeby im nawymyślać. Dobroć, tak, i cierpliwość, ale w milczeniu, zawsze w milczeniu. Ściśnięci w cuchnących ciemnościach naszej wspólnej śmiertelności nieustannie wpadaliśmy na siebie, zderzaliśmy się, dyszeliśmy sobie w twarz, łączyliśmy ciepło naszych ciał w jedno ognisko, ale pozostawaliśmy sobie obcy. Nie poznałem imienia żadnego z tych ludzi z ciężarówki.

Któregoś dnia, chyba trzeciego, kiedy ciężarówka stała nieruchomo przez wiele godzin i zastanawiałem się, czy nie zostawiono nas zwyczajnie na jakimś odludziu, żebyśmy tu zdechli, jeden z nich zaczął ze mną rozmawiać. Opowiedział mi długą historię o młynie na południu Orgoreynu, gdzie pracował, i o swoim konflikcie z nadzorcą. Mówił i mówił swoim cichym, bezbarwnym głosem i co jakiś czas dotykał mojej dłoni swoją, jakby chciał się upewnić, że go słucham. Słońce przesuwało się na zachód i kiedy staliśmy tyłem do niego na poboczu drogi, smuga światła przeniknęła do środka i nagle, nawet w końcu pudła, zrobiło się widno. I wtedy zobaczyłem

dziewczynę, brudną, ładną, głupią, zmęczoną dziewczynę, patrzącą na mnie z dołu, uśmiechającą się nieśmiało w poszukiwaniu pocieszenia. Ta młoda istota była w fazie kemmeru i ciągnęło ją do mnie. Jedyny raz, kiedy ktoś z nich chciał czegoś ode mnie, ja nie mogłem tego dać. Wstałem i podszedłem do szczeliny, jakby chcąc zaczerpnąć powietrza i wyjrzeć, a potem długo nie wracałem na swoje miejsce.

Tej nocy ciężarówka wjeżdżała na długie zbocza, zjeżdżała i znów wjeżdżała. Co jakiś czas zatrzymywała się w nie wyjaśnionym celu. Przy każdym postoju wokół stalowych ścian naszego pudła czuło się lodowatą, nienaruszoną ciszę, ciszę rozległych pustkowi i wysokości. Orgotczyk w kemmerze nadal trzymał się blisko mnie i szukał kontaktu fizycznego. Stałem długo z twarzą przyciśniętą do stalowej siatki wdychając świeże powietrze, które raniło gardło i płuca jak brzytwa. Straciłem czucie w rękach dotykających metalu drzwi. Po chwili zrozumiałem, że mogę je sobie odmrozić. Mój oddech utworzył lodowy mostek między moimi wargami a siatką. Musiałem złamać go palcami, zanim mogłem się odwrócić. Kiedy dołączyłem do grupy, zacząłem się trząść z zimna w sposób, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłem, podrygując i wstrząsając się jak w konwulsjach. Ruszyliśmy. Odgłos silnika i ruch stwarzały pozór ciepła, naruszając absolutną, lodowcową ciszę, ale i tak nie mogłem z zimna zasnąć. Podejrzewałem, że jesteśmy na dość dużej wysokości przez większość tej nocy, ale trudno było o pewność, bo oddech, puls i poziom energii nie stanowiły dobrych wskaźników w naszej sytuacji.

Jak się dowiedziałem później, tej nocy przekraczaliśmy pasmo Sembensyenu i musieliśmy znaleźć się na wysokości przeszło sześciu tysięcy metrów.

Nie odczuwałem głodu. Ostatni posiłek, jaki pamiętałem, to był długi i obfity obiad w domu Szusgisa. Karmiono mnie pewnie w Kunderszaden, ale tego nie pamiętałem. Jedzenie widocznie nie było częścią bytowania w tym stalowym pudle i nieczęsto sobie o nim przypominałem. Pragnienie natomiast było stałym elementem życia. Raz dziennie na postoju otwierano klapę umieszczoną specjalnie w tym celu w tylnych drzwiach. Jeden z nas wysuwał plastykowe naczynie, które wkrótce wracało napełnione wraz z krótkim powiewem lodowatego powietrza. Nie sposób było rozdzielić wodę między nas. Naczynie przechodziło z rąk do rąk i każdy wypijał trzy albo cztery dobre łyki, zanim wyciągnęła się po naczynie następna para rąk. Żadna osoba ani grupa nie działała jako rozdzielcy czy stróże wody. Nikt nie zadbał o to, żeby zachować ją dla kaszlącego starca, który dostał wysokiej gorączki. Zaproponowałem to raz i ci stojący najbliżej skinęli głowami, ale nic z tego nie wyszło. Pito mniej więcej po równo, nikt nie próbował wypić dużo więcej, niż na niego przypadało, i wkrótce było po wodzie. Raz ostatnia trójka spod

przedniej ściany nie dostała nic, naczynie dotarło do nich puste. Następnego dnia dwaj z nich zażądali pierwszeństwa w kolejce i uzyskali je. Trzeci leżał skulony w przednim rogu i nikt nie zatroszczył się o to, żeby dostał swój przydział. Dlaczego ja nie próbowałem? Nie wiem. Był to nasz czwarty dzień w ciężarówce. Gdyby to mnie pominięto, nie wiem, czy zdobyłbym się na wysiłek, żeby się upomnieć o swoje. Zdawałem sobie sprawę z jego pragnienia i cierpienia, zarówno tego chorego jak i wszystkich innych, w tym samym stopniu, w jakim odczuwałem własne cierpienie. Ale nie mogłem zrobić nic, żeby ulżyć czyjemuś cierpieniu i dlatego biernie je akceptowałem, tak jak wszyscy.

Wiem, że ludzie mogą zachowywać się bardzo różnie w tych samych warunkach. Tutaj miałem przed sobą Orgotów, ludzi ćwiczonych od dzieciństwa w dyscyplinie współpracy, posłuszeństwa, podporządkowania celowi grupowemu wyznaczonemu z góry. Osłabiono w nich niezależność i zdolność do podejmowania decyzji. Nie bardzo potrafili się złościć. Tworzyli całość, ja z nimi też. Każdy to czuł i była to ucieczka i prawdziwa pociecha w nocy, ta całość skulonej grupy, w której każdy czerpał życie z bliskości innych. Ale nie mieli jednego przedstawiciela tej całości, była ona bierna, bezgłowa.

Ludzie, których wola byłaby ostrzej zahartowana, mogliby zachować się dużo lepiej: więcej by było rozmów, wodę dzielono by sprawiedliwiej, lepiej opiekowano by się chorymi, panowałby lepszy duch. Nie wiem. Wiem tylko, jak było w ciężarówce.

Na piąty dzień rano, jeżeli się nie mylę, od mojego ocknięcia się ciężarówka stanęła. Usłyszeliśmy z zewnątrz rozmowy i nawoływania. Wkrótce stalowe drzwi z hukiem otwarły się na oścież.

Jeden za drugim dowlekliśmy się do tego otwartego boku stalowego pudła, niektórzy na czworakach, i zeskakiwaliśmy albo osuwaliśmy się na ziemię. Dwadzieścioro czworo z nas. Dwa trupy, stary i nowy, tego, który przez dwa dni nie dostał pić, musiano wywlec na zewnątrz.

Na dworze było zimno, tak zimno i tak oślepiająco biało od blasku słońca na śniegu, że wyjście z naszego smrodliwego schronu było bardzo trudne i niektórzy z nas płakali. Staliśmy zbici w gromadkę obok wielkiej ciężarówki, wszyscy nadzy i cuchnący, nasza mała całość, nasza nocna jedność wystawiona na jasne, okrutne światło dzienne. Naszą gromadę rozbito, kazano nam utworzyć rząd i zaprowadzono nas do odległego o kilkaset metrów budynku. Metalowe ściany i pokryty śniegiem dach, śnieżna równina wokół nas, wielkie pasmo gór, nad którym wschodziło słońce, i rozległa przestrzeń nieba — wszystko zdawało się drżeć i mienić się od nadmiaru światła.

Ustawiono nas w kolejce do mycia przy wielkim korycie w baraku. Wszyscy zaczynali od picia wody z koryta. Potem zaprowadzono nas do głównego budynku, gdzie wydano nam podkoszulki, szare filcowe koszule, krótkie spodnie, nogawice i filcowe buty. Strażnik sprawdzał nasze nazwiska na liście, kiedy przechodziliśmy pojedynczo do stołówki, gdzie wraz z setką innych szarych ludzi usiedliśmy za przyśrubowanymi do podłogi stołami i dostaliśmy śniadanie: rozgotowane ziarno i piwo. Potem wszystkich więźniów, nowych i starych, podzielono na grupy po dwunastu. Moja została zabrana do tartaku, kilkaset metrów za głównym budynkiem w obrębie ogrodzenia. Na zewnątrz ogrodzenia, w niewielkiej od niego odległości zaczynał się las ciągnący się na północ, jak okiem sięgnąć. Pod nadzorem strażnika nosiliśmy deski z tartaku i układaliśmy je w wielkiej szopie, w której przechowywano tarcicę przez zimę.

Niełatwo było chodzić, schylać się i podnosić ciężary po tych dniach w ciężarówce. Nie pozwalano nam stać bezczynnie, ale też i nie poganiano nas zbytnio. W połowie dnia wydano nam po kubku orszu, niefermentowanego naparu z ziarna, a przed zmierzchem odprowadzono nas do baraków, gdzie dostaliśmy jakąś papkę z jarzynami i piwo. Na noc zamknięto nas w sypialni, w której przez cały czas paliło się światło. Spaliśmy na piętrowych pryczach wzdłuż ścian pomieszczenia. Starzy więźniowie walczyli o górne prycze, bo w górze jest cieplej. Przy drzwiach każdy otrzymywał śpiwór. Były szorstkie, ciężkie i przesycone cudzym potem, ale dobrze izolowały od zimna. Dla mnie były za krótkie. Przeciętny Getheńczyk mógł łatwo wejść do środka z głową, ale ja nie, nie mogłem nawet wyciągnąć nóg na pryczy.

Miejsce, gdzie się znaleźliśmy, nazywało się Trzecie Ochotnicze Gospodarstwo Agencji Przesiedleńczej, Wspólnota Pulefen. Pulefen, dystrykt trzydziesty, zajmuje północno-zachodni skraj nadającej się do zamieszkania strefy Orgoreynu między górami Sembensyen, rzeką Esagel i brzegiem morza. Jest to słabo zaludniona kraina bez większych miast. Najbliższa miejscowość, położona na południowy zachód, nazywa się Turuf, ale nigdy jej nie widziałem. Nasze gospodarstwo leżało na skraju wielkiego, nie zaludnionego obszaru leśnego o nazwie Tarrenpeth. Tak daleko na północy nie rosną większe drzewa jak hemmen, serem czy czarny rat i las składa się z jednego gatunku drzewa zwanego thore, poskręcanego, o wysokości trzech do czterech metrów, z szarymi igłami. Ilość rodzimych gatunków flory i fauny na Zimie jest niezwykle mała, ale za to ilość osobników w każdym gatunku jest ogromna. Ten las składał się z tysięcy kilometrów kwadratowych prawie wyłącznie drzewa thore. Nawet przyroda jest tu troskliwie zagospodarowana i choć ten las dostarczał drewna od stuleci, nie było w nim miejsc spustoszonych,

krajobrazu ściętych pni i zerodowanych zboczy. Zdawało się, że każde drzewo jest zewidencjonowane i że ani jedna drobina trocin nie zostaje zmarnowana. Na terenie gospodarstwa był mały zakład i kiedy pogoda nie pozwalała na wyjście do lasu, pracowaliśmy w tartaku albo w tym zakładzie przerabiając i prasując ścinki, korę i trociny w różne kształty oraz wydobywając z suszonych igieł thore żywicę do produkcji plastyku.

Praca tu była prawdziwą pracą, a nie katorgą. Gdyby dawano trochę więcej jedzenia i trochę lepsze ubranie, praca byłaby nawet przyjemna, ale przez większość czasu głód i zimno wykluczały jakąkolwiek przyjemność. Strażnicy rzadko okazywali brutalność, nigdy okrucieństwo. Byli raczej flegmatyczni, niechlujni, ociężali i jak na moje oko zbabiali, nie w sensie delikatności i tak dalej, ale wprost przeciwnie, w sensie jakiejś krowiej ospałości i bezmyślności. Również wśród swoich współwięźniów po raz pierwszy na Zimie poczułem się mężczyzną między kobietami lub między eunuchami. Więźniów charakteryzowała ta sama gnuśność i pospolitość. Trudno ich było rozróżnić, niewiele w nich było emocji, rozmawiali o sprawach trywialnych. Początkowo sądziłem, że ten brak życia i indywidualności jest skutkiem braku żywności, ciepła i wolności, ale wkrótce odkryłem, że chodzi o coś bardziej konkretnego. Był to skutek środka chemicznego podawanego wszystkim więźniom, żeby nie dopuścić do kemmeru.

Wiedziałem, że istnieją środki mogące zredukować albo prawie wyeliminować fazę potencji seksualnej w cyklu biologicznym Getheńczyków. Stosowano je, kiedy wygoda, medycyna lub moralność przemawiały za powściągliwością. Można było w ten sposób przeskoczyć jeden albo kilka okresów kemmeru bez skutków negatywnych. Dobrowolne stosowanie takich środków było powszechnie akceptowane, ale nie przyszło mi na myśl, że można je stosować przymusowo.

Istniały ku temu powody. Więzień w fazie kemmeru stanowiłby element rozkładowy w swojej brygadzie. A gdyby go zwolnić od pracy, to co z nim począć? Zwłaszcza gdyby żaden inny więzień nie przechodził w tym czasie kemmeru, co było możliwe przy zaledwie stu pięćdziesięciu więźniach. Przebycie kemmeru bez partnera jest dla Getheńczyka niezwykle uciążliwe, lepiej zatem po prostu uwolnić go od cierpień, nie marnować czasu pracy i całkowicie wyeliminować kemmer. Więc go wyeliminowano.

Więźniowie, którzy spędzili tu wiele lat, przystosowali się psychicznie i do pewnego stopnia. jak sądzę, również fizycznie do tej chemicznej kastracji. Byli wyprani z seksu jak wałachy. Byli pozbawieni wstydu i pożądania jak anioły. Ale to nie jest ludzkie, żeby nie znać wstydu i pożądania.

Pociąg płciowy Getheńczyków jest tak ściśle określony i ograniczony przez przyrodę, że społeczeństwo prawie już w te sprawy nie interweniuje. Jest tu mniej zasad, mniej sublimacji i tłumienia seksu niż w jakimkolwiek znanym mi społeczeństwie heteroseksualnym. Powściągliwość jest całkowicie dobrowolna, rozwiązłość w pełni akceptowana. Lęki i frustracje na tle seksualnym są niezwykle rzadkie. Tutaj po raz pierwszy zetknąłem się z sytuacją, w której cel społeczny stał w sprzeczności z ich popędem płciowym. Ponieważ jest to eliminacja, nie zaś tłumienie, nie wywołuje frustracji, ale coś na dłuższą metę może groźniejszego — bierność.

Na Zimie nie ma owadów społecznych. Getheńczycy w odróżnieniu od ziemian nie dzielą swojej planety z tymi starszymi społeczeństwami, z niezliczonymi miastami małych bezpłciowych robotników mających tylko jeden instynkt — posłuszeństwa grupie, całości. Gdyby na Zimie żyły mrówki, Getheńczycy mogliby próbować naśladownictwa dawno temu. Ochotnicze gospodarstwa są stosunkowo świeżym wynalazkiem ograniczonym do jednego kraju na planecie i zupełnie nie znanym gdzie indziej. Ale jest to groźny sygnał kierunku, w jakim może pójść społeczeństwo tak podatne na kontrolę popędu płciowego.

W gospodarstwie Pulefen byliśmy, jak już wspomniałem, niedożywieni w stosunku do pracy, jaką wykonywaliśmy, a nasza odzież, zwłaszcza buty, była całkowicie nie przystosowana do warunków tutejszej zimy. Strażnicy, przeważnie warunkowo zwolnieni więźniowie, mieli się niewiele lepiej. Celem tego miejsca i jego regulaminu było karanie ludzi, a nie ich likwidacja i sądzę, że mogłoby to być całkiem znośne, gdyby nie narkotyzowanie i przesłuchania.

Część więźniów była im poddawana w grupach po dwunastu. Recytowali coś w rodzaju wyznania grzechów i katechizmu, dostawali zastrzyk antykemmerowy i wracali do pracy. Innych więźniów, politycznych, co pięć dni poddawano przesłuchaniu z zastosowaniem narkotyków.

Nie mam pojęcia, jakich środków używano. Nie wiem, czemu służyły przesłuchania. Nie wiem, o co mnie pytano. Odzyskiwałem przytomność w sypialni po kilku godzinach, leżąc na pryczy obok kilku innych więźniów. Jedni budzili się podobnie jak ja, inni byli jeszcze we władzy narkotyku, bezwładni i nieprzytomni. Kiedy wszyscy mogliśmy już utrzymać się na nogach, strażnicy zabierali nas do pracy, ale po trzecim czy czwartym badaniu nie mogłem się podnieść w ogóle. Zostawili mnie i następnego dnia mogłem wyjść ze swoją brygadą, choć czułem się jeszcze słabo. Po następnym badaniu leżałem przez dwa dni. Albo serum prawdy, albo hormony antykemmerowe działały toksycznie na mój system nerwowy nie-

Getheńczyka i efekty te narastały.

Pamiętam, jak planowałem, co powiem inspektorowi przy następnym badaniu. Miałem zacząć od obietnicy. że odpowiem zgodnie z prawdą na wszystkie pytania bez narkotyków. A potem powiedziałbym: "Czy nie rozumie pan, jak bezużyteczne jest znać odpowiedź na niewłaściwe pytanie?" Wtedy inspektor zmieniłby się w Faxe'a ze złotym łańcuchem wieszcza na szyi i odbyłbym z nim długą rozmowę, bardzo przyjemną, jednocześnie wypuszczając narkotyk, kropla za kroplą, do pojemnika ze sprasowanych odpadków drewna. Oczywiście, kiedy wszedłem do pokoiku, w którym nas przesłuchiwano, pomocnik inspektora odciągnął mój kołnierz i dał mi zastrzyk, zanim zdołałem otworzyć usta, i wszystko, co pamiętam z tej sesji, to inspektor, młody, z brudnymi paznokciami, powtarzający zmęczonym głosem: "Musisz odpowiadać na moje pytania po orgocku, nie wolno ci mówić w żadnym innym języku. Masz mówić po orgocku".

Izby chorych nie było. Obowiązywała zasada "pracuj albo umieraj", ale w praktyce istniały pewne ulgi, szczeliny między pracą a śmiercią pozostawiane przez strażników. Jak wspomniałem, nie byli okrutni. Nie byli też miłosierni. Byli niedbali i nie zależało im na niczym, dopóki sami nie czuli się zagrożeni. Pozwolili mnie i jeszcze jednemu więźniowi pozostać w sypialni. Po prostu, kiedy okazało się, że nie utrzymamy się na nogach, zostawili nas w naszych śpiworach jakby przez niedopatrzenie. Ja czułem się bardzo źle po ostatnim badaniu, ten drugi, starszy człowiek, miał coś z nerkami i umierał. Ponieważ nie mógł umrzeć od razu, dano mu na to trochę czasu i miejsce na pryczy.

Pamiętam go wyraźniej niż wszystko inne z gospodarstwa Pulefen. Fizycznie był typowym Getheńczykiem z Wielkiego Kontynentu, krępy, z krótkimi nogami i rękami, z solidną warstwą tkanki tłuszczowej nadającej jego ciału nawet w chorobie pewną gładką okrągłość. Miał drobne dłonie i stopy, dość szerokie biodra i dobrze sklepioną klatkę piersiową, a same piersi nie bardziej rozwinięte niż u mężczyzn mojej rasy. Jego skóra była ciemnomiedziana, a czarne włosy delikatne, jak futro. Twarz miał szeroką, z drobnymi, wyrazistymi rysami, kości policzkowe mocno zaznaczone. Podobny typ spotyka się w izolowanych grupach ludzkich zamieszkujących strefy arktyczne. Nazywał się Asra i był cieślą.

Rozmawialiśmy. Asra, jak sądzę, nie miał nic przeciwko temu, żeby umrzeć, ale bał się umierania i szukał czegoś, co by zajęło jego myśli.

Niewiele nas łączyło poza bliskością śmierci, ale o tym nie chcieliśmy rozmawiać, i w ten sposób przez większość czasu nie rozumieliśmy się zbyt dobrze. On się tym nie przejmował. Ja, młodszy

i bardziej sceptyczny, szukałem zrozumienia i wyjaśnienia. Ale wyjaśnienia nie było. Więc rozmawialiśmy.

W nocy barak sypialny był oświetlony, zatłoczony, hałaśliwy. W dzień światła wyłączano i wielka sala była ciemnawa, pusta, cicha. Leżeliśmy blisko siebie i rozmawialiśmy półgłosem. Asra najbardziej lubił snuć długie i zawiłe opowieści o swoich młodych latach w gospodarstwie Wspólnoty w dolinie Kunderer, tej pięknej rozległej równinie, przez którą przejeżdżałem w drodze od granicy do Misznory. Mówił z silnym akcentem i sypał nazwami ludzi, miejsc, zwyczajów i narzędzi, których znaczenia nie rozumiałem i rzadko mogłem złapać coś więcej niż ogólny sens jego wspomnień. Kiedy czuł się lepiej, zwykle koło południa, prosiłem go o mit albo przypowieść. Większość Getheńczyków jest nimi naszpikowana. Ich literatura, chociaż istnieje w formie pisanej, jest żywą tradycją ustną i w tym sensie wszyscy mają do niej dostęp. Asra znał orgocki kanon: krótkie przypowieści o Mesze, historię o Parsidzie oraz fragmenty wielkich eposów i powieściowej sagi o morskich kupcach. Opowiadał mi je wraz z lokalnymi przypowieściami zapamiętanymi z dzieciństwa swoją miękką, przeciągłą gwarą, a zmęczywszy się prosił mnie o jakąś opowieść. — A co opowiadają w Karbidzie? — pytał rozcierając nogi, w których odczuwał dotkliwe bóle, zwracając do mnie twarz z nieśmiałym, cierpliwym uśmiechem.

Kiedyś powiedziałem:

— Znam historię o ludziach mieszkających na innym świecie.

— Co to za świat?

— Podobny do tego, tylko nie krąży wokół Słońca. Krąży wokół gwiazdy, którą wy nazywacie Selemy. Jest to żółta gwiazda tak jak Słońce, i na tej planecie, pod tym słońcem mieszkają inni ludzie.

— Jest o tym mowa w naukach Sanovy, o tych innych światach. Kiedy byłem chłopcem, przyszedł do naszego ogniska stary szalony głosiciel nauk Sanovy i opowiadał o tym nam, dzieciom. Dokąd idą po śmierci kłamcy, dokąd idą samobójcy i dokąd idą złodzieje. My też tam idziemy, ty i ja, do jednego z tych światów?

— Nie, ten, o którym ci opowiadam, nie jest światem duchów. Jest realny. Zamieszkują go prawdziwi, żywi ludzie, tacy jak tutaj. Ale oni dawno temu nauczyli się latać.

Asra uśmiechnął się szeroko.

— Nie tak jak ptaki. Latali w maszynach takich jak samochody. — Trudno to było wyrazić w języku orgockim, w którym brakuje słowa na "latanie". Najbliższe słowo oznacza raczej "szybowanie". — Nauczyli się budować maszyny, które ślizgały się w powietrzu jak sanie po śniegu. Potem nauczyli się robić coraz szybsze maszyny, które wyskakiwały jak kamień z procy ponad chmury, ponad powietrze aż do innych światów krążących wokół innych słońc. A

kiedy przybywali do innego kraju świata, znajdowali tam też ludzi…

— Ślizgających się w powietrzu?

— Czasem tak, czasem nie… Kiedy przybyli na mój świat, umieliśmy już podróżować w powietrzu. Ale oni nauczyli nas podróżować na inne światy, takich maszyn jeszcze nie mieliśmy.

Asra był zdziwiony wprowadzeniem narratora do opowieści. Miałem gorączkę, dokuczały mi wrzody, które na skutek środków chemicznych wyskoczyły mi na piersi i na ramionach, i zapomniałem, jak zamierzałem snuć swoją historię.

— Mów dalej — powiedział starając się coś z tego zrozumieć. — Co jeszcze robili poza ślizganiem się w powietrzu?

— Mniej więcej to samo co ludzie tutaj. Tyle że są przez cały czas w kemmerze.

Zaśmiał się. Oczywiście w tych warunkach nie można było niczego ukryć, toteż wśród współwięźniów i strażników byłem znany jako "zboczeniec". Ale tam, gdzie nie ma pożądania ani wstydu, nikt, choćby największy odmieniec, nie bywa odepchnięty i myślę, że Asra nie wiązał tego pojęcia ze mną i z moimi osobliwościami. Widział je tylko jako wariację na stary temat, zaśmiał się więc i powiedział:

— Przez cały czas w kemmerze… Czy jest to miejsce nagrody, czy kary?

— Nie wiem, Asra. A ten świat?

— Ani jedno, ani drugie, dziecko. Tutaj po prostu jest świat taki, jaki jest. Człowiek się tu rodzi i… jest tak, jak jest. — Ja się tu nie urodziłem. Ja tu przyjechałem. Wybrałem ten świat.

Cisza i mrok zawisły wokół nas. Z oddali, zza ścian baraku dobiegało nas jedno drobne ukłucie dźwięku, odgłos ręcznej piły, i nic więcej.

— No, cóż… No, cóż — mruknął Asra, westchnął i roztarł nogi wydając ciche jęki, z których sam nie zdawał sobie sprawy. — My nie mamy wyboru — powiedział.

W dzień czy dwa później zapadł w śpiączkę i wkrótce umarł. Nie dowiedziałem się, za co zesłano go do ochotniczego gospodarstwa, za jaką zbrodnię, wykroczenie albo błąd w papierach. Wiedziałem tylko, że był w Pulefen niecały rok.

W dzień po śmierci Asry wezwano mnie na badanie. Tym razem musieli mnie nieść i nic więcej nie pamiętam.

14. Ucieczka

Kiedy Obsle i Yegey wyjechali z miasta, a odźwierny Slose'a nie wpuścił mnie za próg, zrozumiałem, że czas zwrócić się do moich wrogów, bo przyjaciele nic już dla mnie nie zrobią. Udałem się do komisarza Szusgisa i zaszantażowałem go. Nie mając dość pieniędzy, żeby go przekupić, musiałem poświęcić swoją reputację. Wśród ludzi perfidnych nazwisko zdrajcy jest kapitałem samym w sobie. Powiedziałem mu, że przybyłem do Orgoreynu z Karbidu jako agent frakcji dworskiej planującej zamach na Tibe'a i że on sam został wybrany jako mój kontakt z Sarfem. Gdyby odmówił potrzebnych mi informacji, miałem powiedzieć znajomym w Erhenrangu, że jest podwójnym agentem na usługach frakcji Wolnego Handlu, i ta wiadomość, oczywiście, dotarłaby do Misznory i do Sarfu. Dureń uwierzył mi i natychmiast powiedział, co chciałem wiedzieć, spytał nawet, czy się zgadzam.

Nie byłem bezpośrednio zagrożony przez moich przyjaciół Obsle'a, Yegeya i innych. Kupili sobie bezpieczeństwo poświęcając wysłannika i uważali, że nie będę ściągał kłopotów na nich i na siebie. Dopóki nie poszedłem do Szusgisa, nikt w Sarfie poza Gaumem nie uważał, że warto na mnie zwracać uwagę, ale od tej chwili zaczęli deptać mi po piętach. Należało załatwić swoje sprawy i zniknąć. Nie mogąc zawiadomić bezpośrednio nikogo w Karbidzie, jako że listy były czytane, a telefon i radio podsłuchiwane, poszedłem po raz pierwszy do Ambasady Królewskiej. W jej skład wchodził Sardon rem ir Czenewicz, którego dobrze znałem z dworu. Zgodził się natychmiast przekazać Argavenowi wiadomość o tym, co stało się z wysłannikiem i gdzie ma być więziony. Mogłem wierzyć Czenewiczowi, osobie inteligentnej i uczciwej, że przekaże wiadomość w sposób tajny, choć nie miałem pojęcia, jak ją wykorzysta i jak postąpi Argaven. Chciałem, żeby Argaven wiedział, w razie gdyby nagle z chmur spłynął gwiezdny statek Ai. Wtedy jeszcze miałem nadzieję, że zdążył zawiadomić statek, zanim Sarf go aresztował.

Byłem teraz w niebezpieczeństwie, a jeżeli widziano mnie, jak wchodzę do ambasady, niebezpieczeństwo było natychmiastowe. Prosto stamtąd poszedłem do portu karawanowego w Dzielnicy Południowej i przed południem tego dnia, odstreth susmy, wyjechałem z Misznory tak, jak przyjechałem, jako tragarz w karawanie. Miałem swoje stare pozwolenia, lekko zmienione, żeby pasowały do nowej pracy. Podrabianie papierów jest ryzykowne w Orgoreynie, gdzie się je sprawdza pięćdziesiąt dwa razy na dzień, ale dość pospolite i moi dawni znajomi z Rybiej Wyspy pokazali mi, jak się to robi. Denerwuje mnie występowanie pod cudzym nazwiskiem,

ale nic innego nie mogło mnie uratować ani przenieść na drugi koniec Orgoreynu, na wybrzeże Morza Zachodniego.

Myślami byłem już tam, kiedy karawana z hukiem toczyła się przez most na Kunderer. Miało się już ku zimie i musiałem dotrzeć na miejsce, zanim drogi zostaną zamknięte dla szybkiego ruchu i póki było jeszcze po co tam jechać. Widziałem takie ochotnicze gospodarstwo w Komsvaszom, kiedy byłem w okręgu Sinth, i rozmawiałem z byłymi więźniami. To, co widziałem i słyszałem, spędzało mi sen z powiek. Wysłannik tak wrażliwy na chłód, że nosił płaszcz nawet w ciepłe dni, nie miał szans na przeżycie zimy w Pulefen. Tak więc gnany koniecznością rwałem się do przodu, a tymczasem karawana jechała wolno, od miasta do miasta, zbaczając raz na północ. raz na południe, rozładowując część towarów i zabierając inne. W ten sposób upłynęło pół miesiąca, nim dotarłem do Ethwen u ujścia rzeki Esagel.

W Ethwen dopisało mi szczęście. Rozmawiając z ludźmi w domu podróżnych usłyszałem o handlu futrami w górze rzeki, o tym, jak licencjonowani traperzy jeżdżą saniami albo łodziami lodowymi wzdłuż rzeki przez las Tarrenpeth prawie do samego Lodu. Z ich rozmów o sidłach zrodził się mój plan ucieczki. W krainie Kerm, podobnie jak na wyżynie Gobrin, żyją białe pesthry, które lubią okolice, gdzie czuje się oddech lodowca. Polowałem na nie za młodu w kermskich lasach thore, dlaczego miałbym nie spróbować tego w lasach thore koło Pulefen?

Na tym dalekim północnym zachodzie Orgoreynu, w rozległej i dzikiej krainie na zachód od Sembensyenu, ludzie podróżują dość swobodnie, bo niewielu tu jest inspektorów, którzy mogliby ich kontrolować. Jakaś część dawnej wolności przetrwała tu Nową Epokę. Ethwen jest szarym portem zbudowanym na szarych skałach zatoki Esagel, gdzie ulicami wieje mokry wiatr od morza, a ludzie są surowymi, prostolinijnymi żeglarzami. Zawsze dobrze wspominam Ethwen, gdzie mój los się odmienił.

Kupiłem narty, rakiety, sidła i zapasy na drogę, załatwiłem licencję trapera oraz niezliczone zezwolenia i zaświadczenia w Urzędzie Wspólnoty, i wyruszyłem pieszo w górę Esagel z grupą myśliwych prowadzoną przez starego człowieka imieniem Mavriva. Rzeka jeszcze nie zamarzła i trwał ruch kołowy na drogach, bo tu na tych przybrzeżnych zboczach nawet w ostatnim miesiącu roku częściej padał śnieg niż deszcz. Większość myśliwych czekała na zimę, żeby w miesiącu thern udać się w górę rzeki łodzią lodową, ale Mavriva chciał wcześniej dotrzeć daleko na północ, żeby polować na pesthry, kiedy będą schodzić w lasy w swojej dorocznej wędrówce. Mavriva znał te tereny, Północny Sembensyen i Płonące Wzgórza, jak nikt inny, i podczas tej wyprawy w górę rzeki nauczyłem się od niego wielu

rzeczy, które mi się potem przydały.

W miejscowości Turuf odłączyłem się od grupy pozorując chorobę. Oni pociągnęli dalej na północ, a ja wyruszyłem samotnie na północny wschód, w wysokie pogórze Sembensyenu. Spędziłem kilka dni na zapoznawaniu się z terenem, a następnie schowałem większość swoich rzeczy w ukrytej dolince około dwadzieścia kilometrów od Turufu i wróciłem do miasta. Wszedłem znów od południa i zatrzymałem się w domu podróżnych. Jakby zaopatrując się na wyprawę traperską kupiłem jeszcze raz narty, rakiety i żywność, futrzany śpiwór i zimową odzież oraz piecyk, namiot i lekkie sanki do wożenia tego wszystkiego. Potem pozostawało mi już tylko czekać, aż deszcz zmieni się w śnieg, a błoto w lód; niedługo, bo droga z Misznory do Turufu zajęła mi przeszło miesiąc. W dniu arhad thern nadeszła zima i spadł śnieg, na który czekałem.

Wczesnym popołudniem przeszedłem przez elektryczny płot gospodarstwa Pulefen, śnieg szybko zasypywał wszelkie ślady. Zostawiłem sanki w wąwozie potoku, głęboko w lesie na wschód od gospodarstwa, i tylko z plecakiem, na rakietach śnieżnych wróciłem na drogę, którą otwarcie doszedłem do głównej bramy gospodarstwa. Tam pokazałem swoje papiery, które znów przerobiłem podczas oczekiwania w Turufie. Miały teraz "niebieski stempel" i opiewały na Thenera Bentha, zwolnionego skazańca, i dołączony do nich był rozkaz zameldowania się do Trzeciego Ochotniczego Gospodarstwa Wspólnoty w Pulefen celem odbycia dwuletniej służby wartowniczej. Każdemu bystrookiemu inspektorowi te wymiętoszone dokumenty wydałyby się podejrzane, ale tutaj niewiele było bystrych oczu.

Nic łatwiejszego niż dostać się do więzienia. Co zaś do wydostania się, to byłem dość pewien swego.

Dowódca warty zbeształ mnie za zgłoszenie się o dzień później, niż nakazywały mi moje papiery, i odesłał mnie do baraków. Było już po obiedzie i na szczęście zbyt późno, żeby wydać mi regulaminowe buty i umundurowanie, a skonfiskować moje dobre ubranie. Nie wydano mi też pistoletu, ale zdobyłem broń, kiedy kręciłem się koło kuchni, żeby wyprosić u kucharza coś do jedzenia. Kucharz wieszał swój pistolet na gwoździu za piecem. Ukradłem mu go. Była to broń nie przystosowana do śmiertelnego rażenia, możliwe, że wszyscy strażnicy mieli takie pistolety. W gospodarstwach nie zabija się ludzi, pozostawia się to zadanie głodowi, zimie i rozpaczy:

Strażników było trzydziestu do czterdziestu, więźniów około stu pięćdziesięciu i nikt z nich nie miał się zbyt dobrze. Większość spała jak zabita, mimo że było niewiele po czwartej godzinie. Przydzielono mi młodego strażnika, który miał mnie oprowadzić po gospodarstwie i pokazać śpiących więźniów. Zobaczyłem ich w jaskrawym świetle wielkiej sypialni i omal nie porzuciłem nadziei wykorzystania tej

pierwszej nocy, póki jeszcze nie ściągnąłem na siebie podejrzeń. Wszyscy leżeli ukryci w swoich śpiworach jak dzieci w łonach matek, niewidoczni, nie do rozróżnienia. Wszyscy prócz jednego, zbyt wysokiego, żeby mógł się schować, ciemna twarz jak trupia czaszka, przymknięte zapadłe oczy, strzecha długich zmierzwionych włosów.

Koło fortuny, które obróciło się w Ethwen, teraz obracało cały świat pod moją ręką. Zawsze miałem tylko jeden talent, wiedziałem, kiedy wielkie koło da się popchnąć, kiedy można działać. Sądziłem, że utraciłem ten dar przed rokiem w Erhenrangu i że nigdy go nie odzyskam. Sprawiało mi wielką przyjemność znów poczuć, że mogę kierować losem swoim i świata jak saniami na stromym, niebezpiecznym zjeździe. Ponieważ nadal kręciłem się i rozpytywałem o wszystko grając rolę ciekawskiego głupka, wpisano mnie na późną wartę. O północy poza mną i jeszcze jednym współwartownikiem wszyscy w barakach spali. Nadal udawałem, że nie mogę usiedzieć na miejscu, i co jakiś czas przechodziłem między rzędami prycz. Ustaliłem plan i przygotowywałem ciało i umysł na wejście w dothe, bo moja własna siła, nie wspomagana przez siły z ciemności, nie wystarczała. Na krótko przed świtem wszedłem jeszcze raz do sypialni i z pistoletu kucharza posłałem do mózgu Genly Ai najkrótszy impuls paraliżujący, a potem zarzuciłem go sobie na ramię wraz ze śpiworem i zaniosłem na wartownię.

— Co się dzieje? — spytał rozespany drugi wartownik. — Zostaw go!

— On nie żyje!

— Jeszcze jeden? Na wnętrzności Mesze, a to dopiero sam początek zimy. — Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na twarz wysłannika zwisającą na moich plecach. — A, to ten, zboczeniec. Nigdy nie wierzyłem w to, co mówią o Karhidyjczykach, dopóki go nie zobaczyłem. Paskudny odmieniec. Od tygodnia stękał i wzdychał na pryczy, ale nie myślałem, że umrze. No idź, wyrzuć go przed barak, niech tam poleży do rana, nie stój tak jak tragarz z workiem łajna…

W korytarzu zatrzymałem się przy biurze inspekcji. Nie zatrzymany przez nikogo wszedłem i rozglądałem się, aż znalazłem tablicę rozdzielczą systemów alarmowych. Nie były oznakowane, ale strażnicy wydrapali litery przy wyłącznikach, żeby dopomóc pamięci w sytuacjach wymagających pośpiechu. Uznawszy, że "O" oznacza ogrodzenie, przekręciłem ten wyłącznik, żeby odciąć dopływ prądu do najbardziej zewnętrznego systemu obronnego gospodarstwa, a potem poszedłem dalej ciągnąc ciało Ai pod ramiona. Przechodząc obok wartownika przy drzwiach udałem, że z wielkim trudem dźwigam nieboszczyka, gdyż przepełniała mnie siła dothe i nie chciałem zdradzić, z jaką łatwością mogę nieść człowieka cięższego od siebie.

— Zmarły więzień — powiedziałem. — Kazali mi go zabrać z

sypialni. Gdzie mam go dać?

— Nie wiem. Weź go na zewnątrz. Pod dach, żeby go nie zasypał śnieg, bo jak go przysypie śnieg, to wypłynie dopiero na wiosnę przy odwilży i będzie śmierdział. Pada peditia. Miał na myśli gruby, mokry śnieg, który my nazywamy sove, co było dla mnie dobrą nowiną.

— Dobrze, dobrze — powiedziałem i wywlokłem swój ciężar na zewnątrz i za róg baraku, gdzie nie mógł nas widzieć. Tam zarzuciłem sobie Ai z powrotem na ramię, przeszedłem kilkaset metrów w kierunku północno-wschodnim, wdrapałem się na wyłączony płot, opuściłem swój ciężar na drugą stronę, zeskoczyłem sam, podniosłem Ai jeszcze raz i najszybciej jak mogłem ruszyłem w stronę rzeki. Nie uszedłem daleko od ogrodzenia, kiedy rozległy się gwizdki i zapłonęły reflektory. Padał śnieg wystarczająco gęsty, żeby mnie nie było widać, ale za mały, żeby w ciągu paru minut zasypać moje ślady. Mimo to dotarłem do rzeki, a oni jeszcze nie wpadli na mój trop. Poszedłem dalej na północ po równym gruncie pod drzewami albo łożyskiem rzeczki tam, gdzie nie było przejścia. Rzeczka, mały, bystry dopływ Esagel, nie była jeszcze zamarznięta. Rozjaśniło się i mogłem iść szybciej. Byłem w pełni dothe i wysłannik, choć niewygodny do niesienia, nie wydawał mi się zbyt ciężki. Idąc wzdłuż strumienia znalazłem wąwóz, w którym ukryłem sanki, przywiązałem go do sanek, ułożyłem swoje rzeczy wokół niego i na nim, aż był dobrze ukryty, a wszystko przykryłem płachtą przeciwdeszczową. Potem przebrałem się i zjadłem coś ze swoich zapasów, bo dawał mi się już we znaki wielki głód, jaki się odczuwa przy długotrwałym dothe. Wtedy ruszyłem na północ Leśnym Traktem. Wkrótce dogoniła mnie para narciarzy.

Byłem ubrany i wyposażony jak traper, i powiedziałem im, że chcę dogonić grupę Mavrivy, która wyruszyła na północ w ostatnich dniach miesiąca grende. Znali Mavrivę i rzuciwszy okiem na moją licencję trapera uwierzyli mi. Nie spodziewali się, że zbiegowie mogą iść na północ, bo na północ od Pulefen nie ma nic, tylko las i Lód. Może zresztą nie zależało im na schwytaniu zbiegów. Dlaczego miałoby im zależeć? Wyprzedzili nas i po godzinie minąłem ich znowu, jak wracali do gospodarstwa. Jeden z nich był strażnikiem, z którym trzymałem wartę. Nigdy nie widział mojej twarzy, choć miał ją przed oczami przez pół nocy.

Upewniwszy się, że odeszli, skręciłem z drogi i przez resztę dnia zatoczyłem długi łuk z powrotem przez las i podnóża gór na wschód od Pulefen i wreszcie dotarłem od wschodu, od strony lasu, do mojego schowka koło Turufu, gdzie zostawiłem drugą część ekwipunku. Niełatwo było ciągnąć większy od siebie ciężar po tym pofałdowanym terenie, ale pokrywa śniegu już twardniała, a ja byłem w dothe. Musiałem utrzymywać ten stan, bo kiedy się wyjdzie z transu,

człowiek jest przez długi czas do niczego. Nigdy dotąd nie utrzymywałem dothe dłużej niż przez godzinę, ale wiedziałem, że niektórzy Starzy Ludzie potrafią pozostawać w pełnym transie przez dzień i noc, a nawet dłużej, konieczność zaś okazała się dobrym uzupełnieniem mojego treningu. W dothe człowiek nie przejmuje się zbytnio i jeżeli się niepokoiłem, to tylko o wysłannika, który powinien był już dawno obudzić się po tej lekkiej dawce wstrząsu sonicznego, jaką go poczęstowałem. Nie poruszył się ani razu, a ja nie miałem czasu, żeby się nim zająć. Czyżby jego fizjologia była tak inna od naszej, że to, co dla nas było krótkotrwałym paraliżem, dla niego oznaczało śmierć? Kiedy człowiek czuje, że koło obraca się pod jego ręką, musi uważać, co mówi, a ja dwukrotnie nazwałem go nieboszczykiem i niosłem go, jak się niesie trupa. Pomyślałem, że może ciągnąłem po górach trupa, i że moje szczęście i jego życie poszły na marne. Od tej myśli oblałem się potem i zakląłem, a siła dothe zdawała się uciekać ze mnie jak woda z pękniętego naczynia. Jednak szedłem dalej i siły nie opuściły mnie, póki nie dotarłem do kryjówki u stóp wzgórz, gdzie rozbiłem namiot i zrobiłem wszystko, co mogłem dla Ai. Otworzyłem pudełko skoncentrowanej żywności i sam pochłonąłem większość, ale trochę w postaci bulionu wlałem w niego, bo wyglądał na bliskiego śmierci głodowej. Na ramionach i na piersi miał wrzody zaognione od dotyku jego brudnego śpiwora. Kiedy je zdezynfekowałem i leżał w ciepłym śpiworze ukryty tak dobrze, jak to tylko było możliwe w zimie i na otwartej przestrzeni, nic już więcej nie mogłem dla niego zrobić. Zapadła noc, a runie ogarniała jeszcze większa ciemność, cena za świadome wykorzystanie całej energii organizmu. Tej ciemności musiałem zawierzyć siebie i jego.

Spaliśmy. Padał śnieg. Całą noc, dzień i następną noc w czasie mojego snu thangen musiało padać, nie była to zawieja, ale pierwszy wielki śnieg tej zimy. Kiedy wreszcie ocknąłem się i wstałem, żeby się rozejrzeć, nasz namiot był do połowy zasypany. W blasku słońca pokrywę śniegu znaczyły błękitne cienie. Daleko i wysoko na wschodzie czyste niebo zasnuwał jeden pióropusz szarości — dym z Udenuszreke, najbliższego z Ognistych Wzgórz. Wokół małej piramidki namiotu leżał śnieg, pagórki, wzgórza, kopczyki dziewiczego śniegu.

Nie odzyskałem jeszcze pełni sił, wciąż byłem słaby i senny, ale gdy tylko mogłem się podnieść, dawałem Ai po trochu bulionu i wieczorem tego dnia wrócił do życia, choć nie do przytomności. Usiadł krzycząc jak w wielkim strachu. Kiedy ukląkłem obok niego, chciał uciekać i widać był to zbyt duży wysiłek, bo zemdlał. Tej nocy dużo mówił w nie znanym mi języku. Dziwne było w tej ciemnej ciszy odludzia słyszeć, jak mamrocze słowa, których nauczył się na innym świecie. Następny dzień był trudny, bo ilekroć chciałem się nim zająć,

brał mnie za strażnika z gospodarstwa, który chce mu dać jakiś narkotyk. Zaczynał mówić żałosną mieszanką orgockiego i karhidyjskiego i błagał, żeby tego nie robić, a potem odpychał mnie z histeryczną siłą. Powtarzało się to raz za razem, a że byłem jeszcze w thangen, okresie duchowego i fizycznego osłabienia, bałem się, że nie będę mógł mu w ogóle pomóc. Tego dnia myślałem, że nie tylko dawano mu narkotyki, ale że zrobiono z niego szaleńca albo kretyna. Wtedy żałowałem, że nie umarł na sankach w drodze przez las thore, że początkowo sprzyjało mi szczęście, że nie zostałem aresztowany przy wyjeździe z Misznory i wysłany do jakiegoś gospodarstwa, gdzie bym pracował na własną śmierć.

Obudziłem się i napotkałem jego wzrok.

— Estraven? — spytał cichym, zdziwionym głosem. To mnie podniosło na duchu. Mogłem go uspokoić i zająć się nim. Tej nocy obaj spaliśmy dobrze.

Następnego dnia czuł się znacznie lepiej i usiadł do jedzenia. Wrzody zaczynały się zaleczać. Spytałem go, od czego je ma.

— Nie wiem. Myślę, że od narkotyków. Dawali mi jakieś zastrzyki…

— Żeby zapobiec kemmerowi? — Taką wersję słyszałem od ludzi, którzy uciekli lub zostali zwolnieni z ochotniczych gospodarstw.

— Tak. I jeszcze jakieś inne, chyba zmuszające do mówienia prawdy. Chorowałem po nich, a oni dawali mi je dalej. Czego ode mnie chcieli, co mogłem im powiedzieć?

— Może było to nie tyle przesłuchanie, ile ujarzmianie.

— Jak to ujarzmianie?

— Uzyskiwanie posłuszeństwa przez przymusowe uzależnienie od któregoś z pochodnych orgrevy. Metoda znana również w Karbidzie. Albo może przeprowadzali na was eksperymenty. Mówiono, że w gospodarstwach wypróbowują na więźniach zmieniające psychikę środki i techniki. Nie chciałem w to wtedy wierzyć, teraz wierzę.

— Czy macie podobne gospodarstwa w Karbidzie?

— W Karbidzie? Nie.

Z irytacją potarł czoło.

— Myślę, że w Misznory powiedzieliby mi, że nie ma czegoś takiego w Orgoreynie.

— Wprost przeciwnie. Z dumą pokazaliby taśmy i zdjęcia z ochotniczych gospodarstw, gdzie elementy aspołeczne są resocjalizowane, a zagrożone pozostałości grup plemiennych znajdują schronienie. Mogliby też oprowadzać pana po Ochotniczym Gospodarstwie Rolnym Pierwszego Okręgu blisko Misznory, instytucji, jak wszyscy twierdzą, wzorcowej. Jeżeli pan sądzi, że mamy takie gospodarstwa w Karbidzie, to pan nas poważnie przecenia, panie Ai. My jesteśmy ludzie prości.

Leżał przez dłuższą chwilę zapatrzony w rozgrzany do czerwoności piecyk, który włączyłem na cały regulator, aż zrobiło się nieznośnie gorąco. Potem spojrzał na mnie.

— Mówił mi pan dziś rano, wiem, ale nie byłem całkiem przytomny. Gdzie jesteśmy i skąd się tu znaleźliśmy? Opowiedziałem mu jeszcze raz.

— Tak po prostu wyniósł mnie pan?

— Panie Ai, każdy z więźniów albo wszyscy razem mogliby wyjść stamtąd pierwszej lepszej nocy. Gdyby nie byli zagłodzeni, wyczerpani, zdemoralizowani i znarkotyzowani. I gdyby mieli zimową odzież i mieli dokąd uciekać… W tym cały szkopuł. Dokąd iść? Do miasta? Bez dokumentów nie ma tam czego szukać. W lasy? Bez dachu nad głową nie ma tam czego szukać. Pewnie na lato wzmacniają ochronę. W zimie sama zima jest najlepszym strażnikiem.

Słuchał jednym uchem.

— Pan nie przeniósłby mnie na odległość stu metrów. A co dopiero biec ze mną na plecach kilka kilometrów, po ciemku…

— Byłem w dothe. Zawahał się.

— Z własnej woli? — spytał.

— Tak.

— Jest pan wyznawcą handdary?

— Zostałem wychowany w nauce handdary i spędziłem dwa lata w stanicy Rotherer. W Kermie większość ludzi z wewnętrznych ognisk wyznaje handdarę.

— Słyszałem, że po okresie dothe wyczerpanie wszelkich rezerw organizmu powoduje konieczność jakby zapaści…

— Tak, to thangen, czarny sen. Trwa znacznie dłużej niż okres dothe i jak się już wejdzie w okres regeneracji, nie wolno go naruszać. Spałem dzień i dwie noce. Wciąż jeszcze jestem w okresie thangen i nie doszedłbym do tego pagórka. Wiąże się z tym także uczucie głodu. Zjadłem większość tego, co miało mi starczyć na tydzień.

— No dobrze — powiedział z pośpieszną opryskliwością. — Widzę, wierzę, zresztą nie mam innego wyjścia, jak wierzyć panu. Tu jestem ja, tu jest pan… Ale nie rozumiem. Nie rozumiem, po co pan to wszystko zrobił.

Tu poczułem, że moje nerwy nie wytrzymują, i musiałem wpatrywać się w leżący pod ręką nóż lodowy uważając, żeby nie spojrzeć na niego i nie odpowiedzieć, póki nie opanuję gniewu. Na szczęście w moim sercu niewiele jeszcze było ognia i wytłumaczyłem sobie, że jest człowiekiem nieświadomym, obcokrajowcem, oszukanym i przestraszonym. W ten sposób doszedłem do równowagi i odpowiedziałem:

— Uważam, że ponoszę część odpowiedzialności za to, że znalazł się pan w Orgoreynie, a zatem i w Pulefen. Staram się naprawić skutki

moich błędów.

— Nie miał pan nic wspólnego z moim przyjazdem do Orgoreynu.

— Panie Ai, oglądaliśmy te same wydarzenia innymi oczami, a ja mylnie sądziłem, że widzimy je tak samo. Pozwolę sobie wrócić do ostatniej wiosny. Mniej więcej na pół miesiąca przed uroczystością wmurowania zwornika zacząłem przekonywać króla Argavena, żeby zaczekał, żeby nie podejmował decyzji w sprawie pana i pańskiej misji. Audiencja była już wyznaczona i wydawało się, że najlepiej będzie odbyć ją nie spodziewając się jednak żadnych rezultatów. Myślałem, że pan to wszystko rozumie, i to był mój błąd. Uważałem pewne rzeczy za oczywiste i nie chciałem pana urazić dając panu rady. Myślałem, że rozumie pan niebezpieczeństwo wynikające z nagłego wzrostu znaczenia Harge rem ir Tibe w kyorremie. Gdyby Tibe uznał, że stanowi pan dla niego jakiekolwiek zagrożenie, oskarżyłby pana o politykę frakcyjną i Argaven, który jest powodowany strachem, prawdopodobnie kazałby pana zlikwidować. Chciałem, żeby pan usunął się na jakiś czas w cień i bezpiecznie przeczekał okres wpływów Tibe'a. Tak się złożyło, że mnie usunięto w tym samym czasie. Zanosiło się na to, ale nie wiedziałem, że zdarzy się to tego wieczoru, kiedy był pan u mnie. U Argavena nie bywa się długo premierem. Po otrzymaniu aktu wypędzenia nie mogłem się z panem porozumieć, bo to rzucałoby na pana cień mojej hańby i zwiększało niebezpieczeństwo, w jakim się pan znalazł. Przybyłem tutaj, do Orgoreynu, i starałem się zasugerować panu, żeby zrobił pan to samo. Załatwiłem z tymi, którym najmniej nie dowierzałem spośród trzydziestu trzech reprezentantów, żeby umożliwili panu wjazd do kraju, bez ich poparcia byłoby to niemożliwe. Widzieli w panu, nie bez mojej sugestii, drogę do władzy, wyjście z narastającego konfliktu z Karhidem i powrót do wolnego handlu, może szansę na złamanie potęgi Sarfu. Ale to są asekuranci, boją się działania. Zamiast ogłosić pańską obecność wszem i wobec, chowali pana, przegrali swoją szansę, a potem wydali pana w ręce Sarfu, żeby ratować własną skórę. Za bardzo na nich liczyłem i to jest moja wina.

— Ale po co to wszystko, te intrygi, tajemnice, gra o władzę i spiski, czemu to wszystko miało służyć? O co panu chodziło?

— Oto samo, co panu. O sojusz mojego świata z pańskimi światami. A co pan myślał?

Patrzyliśmy na siebie przez rozpalony piecyk jak para drewnianych lalek.

— Nawet gdyby to Orgoreyn zawarł sojusz?

— Nawet gdyby to był Orgoreyn. Karhid wkrótce poszedłby w jego ślady. Czy myśli pan, że troszczyłbym się o swój szifgrethor, kiedy w grę wchodzi interes nas wszystkich, całej ludzkości? Nie to jest ważne, który kraj ocknie się pierwszy, ważne, żebyśmy się

przebudzili.

— Skąd, do diabła, mam wierzyć w to, co mi pan opowiada? — wybuchnął. Osłabienie sprawiło, że jego gniew zabrzmiał bardziej jak skarga. — Jeżeli to wszystko prawda, to mógł mi pan to wyjaśnić wcześniej, na wiosnę, i oszczędzić nam obu drogi do Pulefen. Pańskie starania, żeby mi pomóc…

— Zawiodły. I naraziłem pana na cierpienia, poniżenia i niebezpieczeństwa. Wiem o tym. Ale gdybym zaczął walkę z Tibe'em w pańskiej sprawie, nie znajdowałby się pan teraz tutaj, tylko w grobie w Erhenrangu. A tak jest trochę ludzi w Karhidzie i trochę w Orgoreynie, którzy wierzą w pańską historię, bo ja ich przekonałem. Mogą się jeszcze panu przydać. Moim największym błędem było, jak pan powiedział, to, że nie wyjaśniłem panu wszystkiego. Nie jestem do tego przyzwyczajony. Nie przywykłem ani przyjmować, ani dawać rad.

— Nie chciałbym być niesprawiedliwy…

— Ale jest pan. To dziwne. Jestem jedynym człowiekiem na całej planecie, który panu uwierzył bez zastrzeżeń, i jedynym, któremu pan odmawia zaufania.

Ukrył głowę w dłoniach i po chwili powiedział:

— Przykro mi. — Były to przeprosiny i potwierdzenie tego, co powiedziałem.

— Rzecz w tym — powiedziałem — że nie potrafi pan, albo nie chce, uwierzyć, że ja w pana wierzę. — Wstałem, żeby rozprostować zdrętwiałe nogi i stwierdziłem, że drżę cały z gniewu i wyczerpania. — Niech mnie pan nauczy swojej myślomowy — poprosiłem, starając się mówić swobodnie i bez urazy — tego języka bez kłamstwa. Niech mnie pan nauczy, a potem spyta, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem.

— Bardzo bym chciał, panie Estraven.

15. Ku Lodowi

Obudziłem się. Do tego czasu było to coś dziwnego i niewiarygodnego — budzić się wewnątrz przyćmionego stożka ciepła i słyszeć, jak mój rozsądek mówi mi, że to jest namiot, że żyję i że nie jestem już w gospodarstwie Pulefen. Tym razem zbudziłem się bez poczucia niesamowitości, tylko z wdzięcznością i spokojem. Siadając ziewnąłem i spróbowałem palcami rozczesać zmierzwione włosy. Spojrzałem na Estravena leżącego w głębokim śnie na swoim śpiworze na odległość ręki ode mnie. Miał na sobie tylko spodnie, było mu za gorąco. Jego smagła, skryta twarz wystawiona była na światło i na moje spojrzenie. Wyglądał nieco głupio, jak każdy we śnie — okrągła, silna twarz, rozluźniona, nieobecna, kropelki potu na górnej wardze i nad mocnymi brwiami. Przypomniałem sobie, jak stał ociekając potem na trybunie w Erhenrangu, w paradnym. stroju, w blasku słońca. Teraz widziałem go bezbronnego i półnagiego, w innym świetle, i po raz pierwszy zobaczyłem go takim, jaki był.

Obudził się późno i z trudem. Wreszcie wstał chwiejnie, ziewnął, naciągnął koszulę, wysunął głowę na zewnątrz, żeby sprawdzić pogodę, a potem spytał mnie, czy mam ochotę na kubek orszu. Kiedy stwierdził, że zwlokłem się z posłania i zaparzyłem w garnku orsz z wodą, która została od wczoraj w naczyniu w postaci lodu, przyjął ode mnie kubek, podziękował mi sztywno i usiadł, żeby go wypić.

— Dokąd pójdziemy dalej? — spytałem.

— To zależy, dokąd chce pan iść, panie Ai. I jaką podróż może pan znieść.

— Jaka jest najkrótsza droga z Orgoreynu?

— Na zachód. Do wybrzeża. Niecałe pięćdziesiąt kilometrów.

— I co wtedy?

— Przystanie tam zamarzają albo już zamarzły. Tak czy inaczej żaden okręt nie wypłynie daleko w zimie. Trzeba by przeczekać gdzieś w ukryciu do wiosny, kiedy statki handlowe wyruszą do Sithu i Perunteru. Żaden nie popłynie do Karhidu, jeżeli embargo handlowe nadal obowiązuje. Może uda nam się odpracować przejazd na statku. Niestety skończyły mi się pieniądze.

— Czy jest jakaś inna możliwość?

— Do Karhidu. Lądem.

— Ile to jest? Półtora tysiąca kilometrów?

— Tak, drogą. Ale my nie możemy iść drogami. Zatrzymałby nas pierwszy inspektor. Jedyna dla nas droga — to iść na północ przez góry, potem na wschód przez Gobrin i dalej do granicy nad zatoką Guthen.

— Przez Gobrin, przez lodowiec?

Skinął głową.

— Chyba w zimie to niemożliwe?

— Myślę, że możliwe, jeżeli ma się szczęście. Jak przy wszystkich zimowych podróżach. Pod pewnym względem przejście przez Gobrin w zimie jest nawet łatwiejsze. Nad wielkimi lodowcami, jak pan wie, zwykle utrzymuje się dobra pogoda, gdyż lód odbija promienie słońca i burze spychane są na jego obrzeża. Stąd legendy o krainie w środku zamieci. To może nam sprzyjać. Nic poza tym.

Więc myśli pan poważnie…

W przeciwnym razie wykradanie pana z gospodarstwa Pulefen nie miałoby sensu.

Nadal był sztywny, urażony, ponury. Wczorajsza wieczorna rozmowa wstrząsnęła nami oboma.

— Rozumiem z tego, że uważa pan przejście przez Lód za mniej ryzykowne niż czekanie do wiosny na przejazd przez morze.

Kiwnął głową.

— Samotność — wyjaśnił lakonicznie. Zastanowiłem się przez chwilę.

— Spodziewam się, że uwzględnił pan moje słabe strony. Nie jestem tak odporny na mróz jak pan, daleko mi do tego. Nie jeżdżę dobrze na nartach. I jestem w słabej formie, choć w znacznie lepszej niż kilka dni temu.

Znów kiwnął głową.

— Myślę, że może nam się udać — powiedział z całkowitą prostotą, którą tak długo brałem za ironię.

— Dobrze.

Spojrzał na mnie i wypił swoją herbatę. Można to chyba nazwać herbatą, orsz z palonego ziarna perm jest brunatnym, słodko-kwaśnym napojem bogatym w witaminy A i C, przyjemnie pobudzającą substancją pokrewną lobelinie. Na Zimie wszędzie tam, gdzie nie ma piwa, jest orsz, a tam, gdzie nie ma ani piwa, ani orszu, nie ma ludzi.

— To będzie trudne — powiedział odstawiając kubek. — Bardzo trudne. Musimy liczyć na szczęście.

— Wolę zginąć na Lodzie niż w tym szambie, z którego mnie pan wyciągnął.

Ukroił kawałek suszonego chlebowego jabłka, oddał pół mnie i żuł swój w zamyśleniu.

— Musimy mieć więcej żywności — powiedział. — Co będzie, kiedy dojdziemy do Karhidu, co będzie z panem? Przecież nie ma pan tam prawa wstępu?

Zwrócił na mnie swoje ciemne oczy wydry. — Myślę, że zostanę po tej stronie.

— A jeżeli ci tutaj dowiedzą się, że pomógł pan uciec ich więźniowi?

— Wcale nie muszą się dowiedzieć — powiedział z bladym uśmiechem. — Najpierw musimy przejść przez Lód. Nie wytrzymałem.

— Panie Estraven, czy przebaczy mi pan to, co powiedziałem wczoraj…

— Nusuth.

Wstał wciąż jeszcze żując, włożył hieb, płaszcz i buty, i niczym wydra wyślizgnął się przez śluzę namiotu. Będąc już na zewnątrz wsunął głowę do środka.

— Mogę wrócić późno albo dopiero rano. Da pan sobie radę sam?

— Tak.

— To dobrze.

I już go nie było. Nie spotkałem nikogo, kto by reagował na nową sytuację tak szybko i adekwatnie jak Estraven. Ja wracałem do sił i byłem zdecydowany iść, on zakończył okres thangen. Z chwilą gdy stało się to jasne, poszedł. Nigdy się nie gorączkował i nie śpieszył, ale zawsze był gotów. Stanowiło to niewątpliwie tajemnicę jego niezwykłej kariery politycznej, z której dla mnie zrezygnował, było także wyjaśnieniem jego wiary we mnie i oddania mojej misji. Kiedy przybyłem, on był gotów. On jeden na całej Zimie.

A sam uważał się za człowieka powolnego, źle sprawdzającego się w sytuacjach kryzysowych.

Kiedyś powiedział mi, że będąc człowiekiem wolno myślącym musi kierować się ogólnym wyczuciem swojego "szczęścia" i że to wyczucie rzadko go zawodzi. Mówił to poważnie i mogło to być prawdą. Wieszczowie ze stanic nie są jedynymi ludźmi na Zimie, którzy potrafią przewidywać przyszłość. Oswoili wprawdzie i wyćwiczyli przeczucie, ale nie zwiększyli jego prawdopodobieństwa. W tej sprawie jomeszta również nie są bez racji: bardzo możliwe, że ten dar polega nie tyle i nie po prostu na przepowiadaniu, ile raczej na zdolności widzenia (choćby na mgnienie oka) wszystkiego naraz, widzenia całości.

Podczas nieobecności Estravena nastawiłem piecyk na cały regulator i po raz pierwszy od sam nie wiem jak dawna było mi ciepło. Sądziłem, że jest już thern, pierwszy miesiąc zimy zaczynającej nowy rok pierwszy, ale w Pulefen straciłem rachubę dni.

Piecyk był jednym z tych znakomitych i wielce oszczędnych urządzeń udoskonalonych przez Getheńczyków podczas tysiącletnich wysiłków w walce z mrozem. Chyba tylko zastosowanie baterii jądrowej mogłoby dać lepsze wyniki. Bioniczna bateria zapewniała czternaście miesięcy nieprzerwanej pracy, promieniowanie było intensywne, piecyk służył do gotowania, ogrzewania, a także jako lampa. Bez niego nie uszlibyśmy dalej niż kilkadziesiąt kilometrów. Musiał kosztować Estravena niemało pieniędzy, tych, które mu z taką wyniosłą miną wręczyłem w Misznory. Namiot z plastyku odpornego

na tutejsze warunki klimatyczne i przynajmniej częściowo likwidujący problem kondensacji pary, który jest plagą namiotów w zimie, śpiwory z futra pesthry, odzież, narty, sanki, zapasy, wszystko najwyższej jakości, lekkie, trwałe, drogie. Jeżeli wybrał się po dodatkową żywność, to za co zamierzał ją kupić?

Nie wrócił aż do zmroku następnego dnia. Wychodziłem kilkakrotnie na rakietach śnieżnych zbierając siły i ćwicząc się w chodzeniu po zboczach śnieżnej doliny kryjącej nasz namiot. Jeździłem jako tako na nartach; ale rakiety nie były moją specjalnością. Nie odważyłem się wychodzić poza dolinę, bojąc się zabłądzić. Była to dzika kraina, pocięta strumieniami i jarami, wznosząca się raptownie ku zwieńczonym chmurami wierzchołkom gór na wschodzie. Miałem czas na zastanowienie się, co bym robił w tej głuszy, gdyby Estraven nie wrócił.

Zjechał szusem ze wzgórza w zapadającym zmroku, był znakomitym narciarzem, i zatrzymał się obok mnie, brudny, zmęczony i ciężko obładowany. Miał na plecach wielki czarny worek pełen zawiniątek. Jak święty Mikołaj zakradający się przez komin na Ziemi. Zawiniątka zawierały kiełki kadiku, suszone chlebowe jabłka i sztaby twardego, czerwonego, gliniastego w smaku cukru, który Getheńczycy rafinują z miejscowej trzciny.

— Jak pan to wszystko zdobył?

— Ukradłem — powiedział były premier Karhidu grzejąc dłonie nad piecykiem, którego nie :przełączył na niższą temperaturę; nawet on zmarzł. — W Turufie. Ledwo mi się udało. — To było wszystko, czego miałem się dowiedzieć. Nie był dumny ze swojego wyczynu i nie potrafił śmiać się z niego. Kradzież jest na Zimie ciężką zbrodnią, właściwie jedyną osobą bardziej pogardzaną od złodzieja jest samobójca.

— Zużyjemy to w pierwszej kolejności — powiedział, gdy stawiałem garnek ze śniegiem do stopienia na piecyku. — To jest ciężkie. — Większość zapasów, które zdobył poprzednio, składała się z "hiperracji", wzmocnionej, odwodnionej, sprasowanej w kostki mieszanki wysokokalorycznej żywności, która po orgocku nazywa się giczy-miczy i tak też ją nazywaliśmy, choć oczywiście między sobą używaliśmy karhidyjskiego. Mieliśmy tego na sześćdziesiąt dni przy minimalnej standardowej racji: pół kilo dziennie na osobę. Kiedy się umyliśmy i zjedliśmy, Estraven siedział do późna przy piecyku obliczając dokładnie, co mamy oraz jak i kiedy najlepiej to wykorzystać. Nie mając wagi musieliśmy stosować przybliżenia, używając jako miernika standardowej paczki giczy-miczy. Estraven znał, jak wielu Getheńczyków, wartości odżywcze i kaloryczne wszystkich pokarmów, znał też własne zapotrzebowanie w różnych warunkach i potrafił dość dokładnie ocenić moje. Tego rodzaju wiedza

na Zimie może decydować o życiu i śmierci.

Kiedy wreszcie zaplanował nasze żywienie, wsunął się do śpiwora i zasnął. W nocy słyszałem, jak przez sen mamrocze liczby — ciężary, dni, odległości…

Mieliśmy z grubsza licząc tysiąc dwieście kilometrów do przejścia. Pierwsze półtora setki na północ albo północny wschód przez lasy, w poprzek najdalej na północ wysuniętych ostróg łańcucha Sembensyenu do wielkiego masywu lodowego pokrywającego oba płaty Wielkiego Kontynentu na północ od 45 równoleżnika, a miejscami schodzącego aż do 35 równoleżnika. Jeden z takich występów sięga w region Ognistych Wzgórz, ostatnich szczytów Sembensyenu, i ta okolica stanowiła nasz pierwszy cel. Tam, wśród gór, rozumował Estraven, będziemy mogli wejść na pokrywę lodową albo schodząc na nią ze stoku, albo wspinając się po jednym z jęzorów lodowca. Dalej mieliśmy wędrować już po Lodzie, około dziewięciuset kilometrów na wschód. W pobliżu zatoki Guthen, gdzie Lód znów cofa się na północ, mieliśmy zejść z niego i zrobić ostatnie sto czy sto pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód przez bagna Szenszey, które wówczas powinny być już grubo przysypane śniegiem, do granicy karhidyjskiej.

Trasa ta biegła od początku do końca z dala od zamieszkanych lub nadających się do zamieszkania okolic. Nie groziło nam spotkanie z żadnymi inspektorami. Była to niewątpliwie sprawa najważniejsza. Ja nie miałem dokumentów, Estraven zaś stwierdził, że jego papiery nie wytrzymają jeszcze jednego fałszerstwa. Tak czy owak, choć mogłem uchodzić za Getheńczyka, kiedy nikt nie spodziewał się czegoś innego, to nie miałem szans ukrycia się przed okiem, które mnie szukało. Z tego względu droga proponowana przez Estravena była bardzo korzystna.

Pod każdym innym względem wydawałaby mi się czystym szaleństwem.

Zachowałem tę opinię dla siebie, bo mówiłem zupełniepoważnie o tym, że mając do wyboru rodzaj śmierci wolę zginąć w czasie ucieczki. Estraven jednak nadal rozpatrywał inne możliwości. Następnego dnia, który spędziliśmy na bardzo starannym pakowaniu i ładowaniu sań, powiedział:

— Gdyby pan wezwał statek gwiezdny, jak długo byśmy na niego czekali?

— Od ośmiu dni do pół miesiąca, w zależności od tego, gdzie by się znajdował na swojej orbicie okołosłonecznej w stosunku do Gethen. Mógłby być po przeciwnej stronie słońca.

— Nie prędzej?

— Nie. Napędu podświetlnego nie można stosować w obrębie Układu Słonecznego. Statek mógłby korzystać wyłącznie z napędu

odrzutowego, co oznacza minimum osiem dni drogi.

— A dlaczego?

Zaciągnął linkę i zawiązał ją, zanim odpowiedział.

— Zastanawiałem się, czy nie warto prosić o pomoc z pańskiego świata, skoro mój nie zdradza ochoty do pomocy. W Turufie jest radiostacja.

— Silna?

— Nie bardzo. Najbliższy duży nadajnik musi być w Kuhumeyu, około sześciuset kilometrów na południe stąd.

— Kuhumey to, zdaje się, duże miasto?

— Ćwierć miliona mieszkańców.

— Musielibyśmy jakoś dostać się do nadajnika, a potem ukrywać się przez co najmniej osiem dni, podczas gdy Sarf zostałby postawiony na nogi… Nie widzę szans.

Kiwnął głową.

Wyniosłem z namiotu ostatni woreczek kiełków kadiku. umieściłem go w przewidzianym miejscu na sankach i powiedziałem:

— Gdybym wezwał statek tamtej nocy w Misznory, kiedy mi pan radził, tamtej nocy, kiedy mnie aresztowano… Ale mój astrograf miał Obsle, pewnie ma go do dzisiaj.

— Czy może go użyć?

— Nie, nawet przez przypadek, gdyby się nim bawił. Nastawianie jest niezwykle skomplikowane. Gdybym go wtedy użył!

— Gdybym wtedy wiedział, że gra jest już skończona powiedział i uśmiechnął się. Nie był to człowiek z tych, którzy żałują przeszłości.

— Wiedział pan, jak sądzę. Tylko ja panu nie wierzyłem.

Kiedy sanie były załadowane, zarządził na resztę dnia odpoczynek dla zaoszczędzenia energii. Leżał w namiocie pisząc w małym notesie swoim drobnym, szybkim, pionowo biegnącym karhidyjskim pismem to, co zostało zacytowane jako poprzedni rozdział. W ciągu ubiegłego miesiąca nie był w stanie prowadzić swojego dziennika i to go denerwowało; w tej sprawie był bardzo skrupulatny. Prowadzenie go stanowiło, jak sądzę, zobowiązanie wobec rodziny, więź z ogniskiem Estre. Wszystkiego tego dowiedziałem się jednak później; wówczas nie wiedziałem, co pisze, i siedziałem smarując narty albo próżnując. Zacząłem gwizdać melodię taneczną i urwałem w połowie. Mieliśmy tylko jeden namiot i jeżeli mieliśmy dzielić go nie doprowadzając się nawzajem do szaleństwa, niewątpliwie należało zachować pewną powściągliwość… Estraven spojrzał na mnie, kiedy zagwizdałem, ale bez irytacji, raczej w zamyśleniu.

— Szkoda, że nie wiedziałem o pana statku w zeszłym roku… Dlaczego przysłano pana na ten świat samego?

— Pierwszy wysłannik zawsze przybywa sam. Jeden obcy to ciekawostka, dwóch to inwazja.

— Życie pierwszego wysłannika nie ma zbyt wysokiej ceny.

— Wprost przeciwnie. Ekumena ceni każde życie i dlatego woli narazić na niebezpieczeństwo jednego człowieka niż dwóch albo dwudziestu. Również wysyłanie ludzi na takie odległości jest kosztowne i czasochłonne. Poza tym zgłosiłem się sam do tej pracy.

— W niebezpieczeństwie honor — powiedział widocznie cytując przysłowie, bo dodał spokojnie: — Będziemy naszpikowani honorem, kiedy dotrzemy do Karhidu…

Słuchając go wierzyłem, że naprawdę dojdziemy do Karhidu przez tysiąc dwieście kilometrów gór, wąwozów, rozpadlin, lodowca, wulkanów, zamarzniętego bagna lub zatoki, wszystko pustynne, bezludne, wśród zamieci, w środku zimy, w środku epoki lodowcowej. A on siedział i robił notatki z tą samą upartą, cierpliwą skrupulatnością, którą obserwowałem u szalonego króla wmurowującego na rusztowaniu zwornik łuku, i powiedział: "Kiedy dotrzemy do Karbidu".

Jego "kiedy" nie było bynajmniej nieokreśloną nadzieją. Planował dotarcie do Karbidu w czwartym dniu czwartego miesiąca zimy, arkad anner. Mieliśmy wyruszyć nazajutrz, trzynastego dnia pierwszego miesiąca, tormenbod thern. Nasza żywność, o ile mógł to obliczyć, dawała się rozciągnąć na trzy getheńskie miesiące, czyli siedemdziesiąt osiem dni. mieliśmy więc robić po osiemnaście kilometrów dziennie przez siedemdziesiąt dni i dojść do Karbidu w dniu arkad anner. To było ustalone. Teraz nie pozostawało nam nic innego jak porządnie się wyspać.

Wyruszyliśmy o brzasku, na rakietach, przy bezwietrznej pogodzie i w rzadkim śniegu. Szliśmy po bessa, miękkim, nie uleżałym jeszcze śniegu, który na Ziemi narciarze nazywają puchem. Sanki były ciężko załadowane, Estraven oceniał ich całkowity ciężar na ponad sto pięćdziesiąt kilo. Niełatwo było je ciągnąć w tym puszystym śniegu, choć były poręczne jak dobrze zaprojektowana mała łódeczka. Płozy stanowiły cudo, pokryte polimerem, który zmniejszał tarcie prawie do zera, ale to oczywiście nic nie pomagało, kiedy całe sanki utykały w grubym puchu. Po takiej powierzchni i przy ciągłym podchodzeniu i zjeżdżaniu w dół, stwierdziliśmy, że najlepiej jest, kiedy jeden idzie w uprzęży ciągnąc, a drugi pcha z tyłu. Śnieg, drobny i rzadki, padał przez cały dzień. Zatrzymaliśmy się dwukrotnie na pośpieszny posiłek. W całej tej rozległej pagórkowatej krainie panowała martwa cisza. Szliśmy i nagle był już wieczór. Zatrzymaliśmy się w dolinie bardzo podobnej do tej, z której wyruszyliśmy rano, w kotlince między białymi garbami. Byłem tak zmęczony, że ledwo stałem na nogach, a mimo to nie mogłem uwierzyć, że minął dzień. Według licznika przy sankach przeszliśmy ponad dwadzieścia dwa kilometry.

Jeżeli szło nam tak dobrze po miękkim śniegu, z pełnym

ładunkiem, przez pocięty teren, gdzie wszystkie doliny leżały w poprzek naszej trasy, to na pewno będzie jeszcze lepiej na Lodzie, po twardym śniegu i równej drodze, z coraz lżejszymi sankami. Moje zaufanie do Estravena było dotąd bardziej wyrozumowane niż szczere, teraz uwierzyłem mu bez zastrzeżeń. W ciągu siedemdziesięciu dni dojdziemy do Karbidu.

— Czy podróżował już pan w ten sposób? — spytałem go.

— Z sankami? Często.

— Na długich trasach?

— Którejś jesieni przed laty przeszedłem trzysta kilometrów po lodzie w Kermie.

Dolna część Kermu, najdalej na południe wysunięty górzysty półwysep subkontynentu karhidzkiego, jest podobnie jak cała północ pokryta wiecznym lodem. Ludzie zamieszkują Wielki Kontynent Gethen w strefie między dwiema białymi ścianami. Oblicza się, że dalsze zmniejszenie nasłonecznienia o osiem procent doprowadziłoby do zetknięcia ścian. Nie byłoby ziemi ani ludzi, tylko lód.

— W jakim celu?

— Ciekawość, przygoda. — Po chwili wahania uśmiechnął się lekko. — Zwiększenie stopnia złożoności i natężenia pola rozumnego życia — dodał cytując jedną z moich ekumenalnych maksym.

— Rozumiem. Świadomie ćwiczył pan ewolucyjną tendencję właściwą bytowi, a przejawiającą się między innymi eksploracją.

Obaj byliśmy z siebie zadowoleni siedząc w ciepłym namiocie, pijąc gorącą herbatę i czekając, aż zagotuje się posiłek z kiełków kadiku.

— O to właśnie chodzi — powiedział. — Było nas sześciu. Wszyscy bardzo młodzi. Brat i ja z Estre, czterech przyjaciół z ogniska Stok. Nasza wyprawa nie miała celu. Chcieliśmy zobaczyć Teremander, górę, która wznosi się tam ponad Lodem. Niewielu ludzi oglądało ją z lądu.

Jedzenie było gotowe, coś zupełnie innego niż gęsta papka z otrębów w gospodarstwie Pulefen. Smakowało jak pieczone kasztany na Ziemi i wspaniale parzyło usta. Było mi ciepło i czułem się znakomicie.

— Najlepsze rzeczy na Gethen jadłem zawsze w pana towarzystwie — powiedziałem.

— Nie na bankiecie w Misznory.

— Tak, to prawda… Pan chyba nienawidzi Orgoreynu.

— Mało kto tutaj ma pojęcie o gotowaniu. Czy nienawidzę Orgoreynu? Nie, dlaczego? Jak można nienawidzić albo kochać kraj? Tibe o niczym innym nie mówi, ale ja tego nie rozumiem. Znam ludzi, znam miasta, wioski, wzgórza, rzeki i skały, wiem, jak jesienią słońce zachodzi za pewnym polem w górach, ale jaki sens ma przecinanie

tego wszystkiego granicą i nadawanie temu nazwy po to, żeby przestać to kochać od linii, gdzie nazwa przestaje obowiązywać? Co to jest miłość do swojego kraju? Czy to oznacza nienawiść do innych krajów? W takim razie to nic dobrego. Może to po prostu miłość własna? W takim razie to nic złego, ale nie należy z tego robić cnoty ani profesji… Kocham wzgórza domeny Estre, tak jak kocham życie, ale taka miłość nie zna granicy, za którą zaczyna się nienawiść. A poza tym jestem, mam nadzieję, ignorantem.

Ignorancja w rozumieniu handdary. Ignorować abstrakcje, trzymać się rzeczy. Było w tym podejściu coś kobiecego, odrzucenie abstrakcji, idei, podporządkowanie się temu, co dane, coś, co budziło moją niechęć.

Zaraz jednak sumiennie dodał:

— Człowiek, który nie żywi wstrętu do złej władzy, jest głupcem. A gdyby na świecie istniało coś takiego jak dobra władza, służenie jej byłoby wielką radością.

Tutaj się rozumieliśmy.

— Wiem coś o tej radości — powiedziałem.

— Tak mi się wydawało.

Opłukałem nasze miski gorącą wodą i wylałem pomyje przez śluzę wejściową. Na zewnątrz było ciemno choć oko wykol. Padał drobny i rzadki śnieg, widoczny w owalnym słupie matowego światła ze śluzy. Zamknięci powtórnie w suchym cieple namiotu rozwinęliśmy śpiwory. Estraven powiedział: "Proszę mi dać te miski, panie Ai" czy coś takiego, na co spytałem:

— Czy będziemy tak sobie mówić na "pan" przez cały Lód Gobryński?

Spojrzał na mnie i roześmiał się.

— Nie wiem, jak się mam do pana zwracać.

— Nazywam się Genly Ai.

— Wiem, ale pan używa mojego nazwiska klanowego.

— Ja też nie wiem, jak się do pana zwracać.

— Harth.

— A ja jestem Ai. Do kogo mówi się po imieniu?

— Do braci z ogniska albo przyjaciół — powiedział i mówiąc to był odległy, poza moim zasięgiem, pół metra ode mnie w namiocie szerokości dwu i pół metra Nie było na to odpowiedzi. Czy jest coś bardziej aroganckiego niż szczerość? Zmrożony, wślizgnąłem się do śpiwora.

— Dobranoc, panie Ai — powiedział człowiek z innej planety.

— Dobranoc, panie Harth — odpowiedział drugi człowiek z innej planety.

Przyjaciel. Kto jest przyjacielem na świecie, gdzie każdy przyjaciel może po zmianie księżyca stać się kochankiem? Ja,

ograniczony swoją męskością, nie mogę być przyjacielem Therema Hartha ani żadnego innego członka jego rasy. Ani mężczyźni, ani kobiety, ani jedno i drugie, cykliczni, księżycowi, zmieniający się pod dotknięciem ręki, podrzutki w kołysce ludzkości, nie byli z mojego ciała, nie mogło być między nami przyjaźni ani miłości.

Zasnęliśmy. Obudziłem się raz i usłyszałem śnieg miękko i grubo padający na namiot.

Estraven już o świcie szykował śniadanie. Dzień wstawał pogodny. Spakowaliśmy się i byliśmy gotowi do drogi, kiedy słońce ozłociło wierzchołki karłowatych krzaków rosnących na obrzeżu kotlinki. Estraven ciągnął w uprzęży, a ja pchałem i sterowałem z tyłu. Na śniegu zaczynała się tworzyć skorupa i na nie zarośniętych zboczach biegliśmy jak na wyścigach psich zaprzęgów. Tego dnia szliśmy skrajem lasu graniczącego z gospodarstwem Pulefen, a następnie weszliśmy do niego. Był to las karłowatych, poskręcanych, obwieszonych soplami lodu drzew thore. Nie odważyliśmy się korzystać z głównej drogi na północ, ale czasami mogliśmy korzystać z dróg leśnych wiodących w tym kierunku, a że w dobrze utrzymanym lesie nie było poszycia ani zwalonych drzew, szło nam się dobrze. Odkąd znaleźliśmy się w Tarrenpeth, mniej było jarów i stromych grzbietów. Wieczorem licznik przy saniach pokazał trzydzieści kilometrów, a byliśmy mniej zmęczeni niż poprzedniego wieczoru.

Jedyną zaletą zimy na Zimie są długie dni. Planeta ma zaledwie kilka stopni odchylenia od płaszczyzny ekliptyki, zbyt mało, żeby wywołać odczuwalne różnice pół roku w małych szerokościach geograficznych. Pory roku tutaj nie obejmują jednej półkuli, ale cały glob, są wynikiem elipsoidalnej orbity. Na dalekim i wolnym odcinku orbity, w okolicy aphelium, zmniejszenie promieniowania słonecznego narusza już i tak skomplikowane układy klimatyczne, ochładza to, co i tak jest już zimne, i zmienia wilgotne, szare lato w białą, burzliwą zimę. Suchsza niż reszta roku, zima mogłaby być całkiem przyjemna, gdyby nie mrozy. Słońce, kiedy jest widoczne, stoi wysoko, nie ma tego powolnego zaniku światła jak w podbiegunowych strefach na Ziemi, gdzie chłód i mrok chodzą w parze. Gethen ma jasne zimy, ostre, srogie, ale jasne.

Przebycie lasu Tarrenpeth zajęło nam trzy dni. Ostatniego dnia Estraven zatrzymał się i rozbił namiot wcześnie, żeby zastawić sidła na pesthry. Należą one do największych zwierząt lądowych na Zimie, są jajorodnymi roślinożercami rozmiarów lisa ze wspaniałym szarym lub białym futrem. Chodziło mu o mięso, bo pesthry są jadalne. Właśnie odbywały wędrówkę na południe. Są tak płochliwe i zwinne, że widzieliśmy je najwyżej dwa albo trzy razy podczas naszej wędrówki, ale każda polanka w lesie była pocięta niezliczonymi tropami i wszystkie wskazywały na południe. Po jakichś dwóch godzinach sidła

Estravena były pełne. Wypatroszył i poćwiartował sześć zwierzaków, powiesił część mięsa, żeby zamarzło, a resztę przeznaczył na nasz wieczorny posiłek. Getheńczycy nie są myśliwymi, bo nie bardzo jest na co polować; nie ma dużych roślinożerców, nie ma więc i dużych mięsożerców, chyba że w kipiących życiem morzach. Łowią ryby i uprawiają ziemię. Nigdy przedtem nie widziałem Getheńczyka z zakrwawionymi rękami.

Estraven spojrzał na białe skórki.

— Tygodniowe mieszkanie i wikt trapera — powiedział. — Pójdą na marne. Podał mi jedną, żebym dotknął. Futro było tak grube i delikatne, że człowiek nie był pewien, czy go już dotknął. Nasze śpiwory, płaszcze i kaptury były podszyte tym samym futrem, znakomicie chroniącym od zimna i pięknym.

— Szkoda ich — powiedziałem — na zupę. Estraven rzucił mi krótkie, ciemne spojrzenie.

— Potrzebujemy białka — stwierdził i wyrzucił skórki w śnieg, gdzie przez noc russy, małe zajadłe szczurowęże, pożrą je wraz z wnętrznościami i kośćmi, a potem jeszcze wyliżą krew ze śniegu.

Miał rację, zazwyczaj miał rację. Każda pesthra to pół kilograma do kilograma jadalnego mięsa. Tego wieczoru zjadłem swoją połówkę zupy, a mogłem bez trudu zjeść i drugą. Następnego ranka, kiedy wyruszyliśmy w góry, byłem dwa razy lepszym silnikiem do sanek niż poprzedniego dnia.

Zaczęliśmy podchodzić w górę. Dobroczynny śnieg i kroxet, czyli bezwietrzna pogoda przy temperaturze umiarkowanie minusowej, które nam dotąd towarzyszyły w drodze przez las Tarrenpeth i pomagały wydostać się poza prawdopodobny zasięg pogoni, teraz ustąpiły miejsca paskudnej temperaturze powyżej zera i deszczowi. Zacząłem rozumieć, czemu Getheńczycy skarżą się, jeżeli w zimie temperatura wzrasta, a cieszą się, jeżeli spada. W mieście deszcz jest uprzykrzeniem, dla podróżnego to klęska. Przez całe przedpołudnie wciągaliśmy sanki na zbocza Sembensyenu w głębokiej, lodowatej kaszy mokrego śniegu. Po południu na bardziej stromych stokach śniegu już prawie nie było. Potoki deszczu, kilometry błota i żwiru. Złożyliśmy płozy, zamontowaliśmy koła i szliśmy dalej. Sanki w roli wózka mogły doprowadzić do rozpaczy, co chwila utykały albo przewracały się. Ciemności zapadły, zanim udało nam się znaleźć osłonięte miejsce pod skałą albo grotę, gdzie moglibyśmy rozbić namiot, i mimo naszych starań wszystko mieliśmy mokre. Estraven uprzedzał, że taki namiot jak nasz zapewni nam wygodne schronienie przy każdej pogodzie pod warunkiem, że będzie suchy w środku.

— Z chwilą kiedy przemokną śpiwory, traci się zbyt dużo cieplika w nocy i człowiek się nie wysypia. Przy naszych skromnych racjach żywnościowych nie możemy sobie na to pozwolić. Ponieważ nie

możemy liczyć na to, że uda nam się wysuszyć na słońcu, nie wolno nam dopuścić do zamoczenia rzeczy.

Słuchałem i równie skrupulatnie jak on strzegłem wnętrza namiotu przed śniegiem i wodą. Była w nim tylko nieunikniona para z gotowania oraz to, co wyparowało z naszych ciał. Ale tego wieczoru wszystko przemokło, zanim udało nam się postawić namiot. Parując kuliliśmy się nad piecykiem i wkrótce mieliśmy gęstą zupę z mięsa pesthry, gorącą i pożywną, prawie rekompensującą wszystko inne. Licznik przy sankach ignorując całodzienną morderczą wspinaczkę pod górę pokazywał, że przebyliśmy tylko trzynaście kilometrów.

— Pierwszy dzień, kiedy nie wykonaliśmy naszej normy — powiedziałem.

Estraven kiwnął głową i zręcznie rozłupał kość udową, żeby wydobyć szpik. Zdał mokrą odzież zewnętrzną i siedział tylko w koszuli i spodniach, boso, z rozpiętym kołnierzem. Mnie nadal było za zimno, żebym mógł zdjąć płaszcz, hieb i buty. A on siedział rozłupując kości szpikowe, schludny, twardy, nie do zdarcia, z jego gładkich jak futro włosów woda spływała jak po piórach ptaka, krople jak z okapu domu spadały mu na ramiona, a on tego jakby nie zauważał. Nie wyglądał na przygnębionego. Był u siebie.

Pierwszy posiłek mięsny wywołał u mnie lekkie skurcze żołądka, które tej nocy nasiliły się. Leżałem w wilgotnej ciemności wśród odgłosów deszczu i nie mogłem zasnąć. Przy śniadaniu powiedział:

— Miał pan złą noc.

— Skąd pan wie? — spytałem, bo spał głębokim snem, prawie bez ruchu, nawet kiedy wychodziłem z namiotu.

Posłał mi swoje dziwne spojrzenie.

— Co panu jest? — spytał.

— Biegunka. Skrzywił się.

— To mięso — powiedział ze złością.

— Chyba tak.

— To moja wina. Powinienem…

— Nic takiego.

— Może pan iść?

— Tak.

Deszcz padał i padał. Zachodni wiatr od morza utrzymywał dość wysoką temperaturę nawet tutaj, na wysokości tysiąca-tysiąca dwustu metrów. W szarej mgle i strugach deszczu nie widzieliśmy nigdy dalej niż na czterysta metrów. Nawet nie podnosiłem głowy, żeby spojrzeć na góry wokół nas: widać było i tak tylko deszcz. Szliśmy według kompasu, kierując się tak daleko na północ, jak tylko pozwalał kierunek i nachylenie potężnych zboczy.

Przechodził tędy lodowiec następując i cofając się w ciągu setek i tysięcy lat. W granitowych zboczach wyżłobione zostały długie i

proste rynny o przekroju litery "U". Czasami udawało nam się ciągnąć sanki wzdłuż tych rys jak po drodze.

Najlepiej czułem się, kiedy ciągnąłem: mogłem pochylić się w uprzęży, a wysiłek mnie rozgrzewał. Kiedy zatrzymaliśmy się w południe na mały posiłek, siedziałem chory, marzłem i nie mogłem jeść. Poszliśmy dalej, znów pod górę. Deszcz padał i padał, i padał. W środku popołudnia Estraven wybrał miejsce na postój pod wielkim nawisem czarnej skały. Prawie postawił namiot, zanim uwolniłem się z uprzęży. Kazał mi wejść do środka i położyć się.

— Nic mi nie jest — zaprotestowałem.

— Nieprawda — powiedział. — Proszę wejść do środka. Posłuchałem, ale nie podobał mi się jego ton. Kiedy wszedł do namiotu z naszymi wieczornymi racjami, usiadłem, żeby wziąć się do gotowania, bo była moja kolej. Tym samym rozkazującym tonem powiedział mi, żebym leżał.

— Nie musi mi pan tak rozkazywać — powiedziałem. — Przepraszam — rzucił bez przekonania odwrócony do mnie plecami.

— Nie jestem chory, rozumie pan?

— Nie, nie rozumiem. Jeżeli nie mówi pan prawdy, muszę kierować się pana wyglądem. Nie odzyskał pan jeszcze sił, a droga była ciężka. Nie wiem, gdzie są granice pana wytrzymałości.

— Powiem, kiedy do nich dojdę.

Drażniło mnie, że mnie tak traktuje z wyższością. Był o głowę niższy ode mnie i zbudowany bardziej jak kobieta niż jak mężczyzna, więcej tłuszczu niż mięśni. Kiedy ciągnęliśmy razem, musiałem skracać krok i hamować się, żeby się do niego dostosować, ogier w zaprzęgu z mułem…

— Więc nie jest już pan chory?

— Nie. Jestem tylko zmęczony. Pan też.

— Tak, to prawda — powiedział. — Niepokoiłem się o pana. Mamy przed sobą długą drogę.

Nie chciał okazywać wyższości. Myślał, że jestem chory, a chorzy muszą słuchać. Był szczery i oczekiwał ode mnie takiej samej szczerości, do której, być może, nie byłem zdolny. On nie miał wyobrażeń o "męskości", które komplikowałyby jego poczucie dumy.

Z drugiej strony, jeżeli on mógł obniżyć swoje standardy co do szifgrethoru, jak to zrobił w stosunku do mnie, to może i ja mógłbym pozbyć się części instynktu współzawodnictwa wynikającego z poczucia męskiej godności, z której on tyle rozumiał, co ja z jego szifgrethoru…

— Ile zrobiliśmy dzisiaj?

Rozejrzał się dokoła i z łagodnym uśmiechem powiedział:

— Dziewięć kilometrów.

Następnego dnia przeszliśmy jedenaście kilometrów, następnego

osiemnaście, a jeszcze następnego wyszliśmy z deszczu, chmur i strefy, w której można jeszcze napotkać ludzi. Był to dziewiąty dzień naszej podróży. Znajdowaliśmy się około dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, na wysokim płaskowyżu pełnym oznak niedawnych ruchów górotwórczych i wulkanizmu. Byliśmy w Ognistych Wzgórzach pasma Sembensyenu. Płaskowyż zwężał się stopniowo w dolinę, która przechodziła między długimi grzbietami. Kiedy zbliżyliśmy się do ujścia doliny, zimny północny wiatr potargał i rozpędził resztki deszczowych chmur obnażając szczyty po prawej i po lewej stronie, bazalt i śnieg, mozaika czerni i jaskrawej bieli w nagłym blasku słońca z oślepiającego nieba. Przed nami, odsłonięte tym samym potężnym podmuchem wiatru, leżały w dole kręte doliny pokryte lodem i głazami. Doliny przegradzała potężna ściana, ściana lodu, i wznosząc wzrok wyżej, aż do skraju ściany, ujrzeliśmy w całej okazałości Lód, lodowiec Gobrin, olśniewająco biały, taką bielą, której nie wytrzymywały oczy, ciągnący się bez końca ku najdalszej północy.

Tu i ówdzie z dolin zasypanych rumowiskiem, z urwisk, załomów i bloków na skraju tego olbrzymiego pola lodowego wznosiły się czarne grzbiety. Jedna wielka masa wyrastała z białej równiny do wysokości szczytów skalnej bramy, w której staliśmy, i z jej boku wypływał ciężko przeszło kilometrowej długości pióropusz dymu. Dalej widać było następne: wierzchołki, turnie, czarne wypalone stożki na bieli śniegu. Rozdziawione ogniste paszcze ziały z lodu dymem.

Estraven stał obok mnie w uprzęży patrząc na to wspaniałe i nieopisane pustkowie.

— Cieszę się, że dożyłem chwili, kiedy mogę to zobaczyć — powiedział.

Czułem to samo co on. Dobrze jest mieć cel na końcu podróży, ale w końcu to podróż jest ważna.

Tutaj, na północnych zboczach, nie padał deszcz. Pola śniegu rozciągały się z przełęczy ku morenowym dolinom. Spakowaliśmy koła, zdjęliśmy pokrowce z płóz, założyliśmy narty i zjechaliśmy w dół, na północ, przed siebie, w milczący bezmiar lodu i ognia, na którym ogromnymi czarnymi literami na białym tle przez cały kontynent wypisane było słowo ŚMIERĆ. Sanki jechały same i śmialiśmy się z radości.

16. Między Drumnerem a Dremegole

Odyrny thern. Ai pyta ze swojego śpiwora:

— Co pan tam pisze, Harth?

— Sprawozdanie. Śmieje się.

— Powinienem prowadzić dziennik dla archiwum Ekumeny, ale nie potrafię tego robić bez aparatu do zapisywania głosu.

Wyjaśniam, że moje notatki są przeznaczone dla rodu Estre, który, jeżeli zechce, włączy je do archiwum domeny. To skierowało moje myśli ku ognisku i synowi; próbuję je odwrócić i pytam:

— Pana rodzic… to znaczy rodzice… czy żyją?

— Nie — odpowiada Ai — od siedemdziesięciu lat nie żyją.

To mnie zdziwiło, bo Ai nie ma jeszcze trzydziestu lat.

— Czy wasze lata są innej długości niż nasze?

— Nie. A, rozumiem. To przeskoki czasowe. Dwadzieścia lat z Ziemi do Hain-Davenant, stamtąd pięćdziesiąt na Ollul, z Ollul tutaj siedemnaście. Żyłem poza Ziemią tylko siedem lat, ale urodziłem się tam sto dwadzieścia lat temu.

Dawno temu w Erhenrangu tłumaczył mi, jak czas skraca się na statkach, które pędzą między gwiazdami prawie z szybkością światła, ale jakoś nie wiązałem tego faktu z długością życia ludzkiego albo z życiem ludzi, których zostawia się na rodzinnej planecie. Podczas gdy on żył kilka godzin w jednym z tych niewyobrażalnych statków lecących od planety do planety, wszyscy, których pozostawił w domu, starzeli się i umierali, ich dzieci zamieniały się w starców… — Myślałem, że to ja jestem wygnańcem — powiedziałem po chwili.

— "Ty dla mnie, ja dla ciebie" — powiedział i znów się roześmiały słaby, podnoszący na duchu odgłos w tej przygniatającej ciszy. Ostatnie trzy dni od zejścia z przełęczy były wypełnione ciężką, daremną pracą, ale Ai nie jest już ani przygnębiony, ani zbyt optymistyczny, i ma więcej cierpliwości do mnie. Może to sprawa wypocenia narkotyków, a może nauczyliśmy się iść w jednej uprzęży.

Cały dzień zajęło nam schodzenie z bazaltowej ostrogi, na którą wczoraj cały dzień wchodziliśmy. Z doliny wyglądało to na dobrą drogę na Lód, ale im wyżej wchodziliśmy, tym bardziej śliskie i gładkie skały napotykaliśmy, coraz bardziej strome, aż w końcu nie mogliśmy ich pokonać nawet bez sanek. Dzisiaj jesteśmy na powrót u jej stóp na morenie, w dolinie głazów. Nic tu nie rośnie. Skała, rumosz, głazy, glina, błoto. Jęzor lodowca wycofał się z tego zbocza przed pięćdziesięciu czy stu laty pozostawiając na wierzchu gołe kości planety, bez mięsa gleby i traw. Tu i ówdzie fumarole rozsnuwają żółtawą mgłę pełzającą nisko nad gruntem. W powietrzu czuć zapach siarki. 11 stopni, bez wiatru. Mam nadzieję, że nie będzie dużych

opadów śniegu, póki nie przejdziemy ciężkiego terenu stąd do jęzora lodowca, który widzieliśmy z grzbietu skalnego w odległości kilkunastu kilometrów na zachód. Wyglądało, że jest to szeroka rzeka lodu spływająca z płaskowyżu między dwoma stożkami wulkanicznymi zwieńczonymi parą i dymem. Jeżeli uda nam się wejść na ten jęzor ze zbocza bliższego wulkanu, może on nam posłużyć za drogę na lodową wyżynę. Na wschód od nas mniejszy jęzor schodzi do zamarzniętego jeziora, ale ten jest kręty i nawet stąd widać na nim wielkie szczeliny, nie do pokonania z naszym wyposażeniem. Uzgodniliśmy, że spróbujemy jęzora między wulkanami, mimo że idąc ku niemu na zachód tracimy co najmniej dwa dni w stosunku do naszego celu, jeden w drodze na zachód i drugi dla odzyskania tej odległości.

Opposthe thern. Pada neserem .

Posuwanie się niemożliwe. Obaj spaliśmy cały dzień. Ciągniemy sanki od blisko pół miesiąca, ten sen nam się przyda.

Ottormenbod thern. Neserem. Dosyć snu. Ai nauczył mnie ziemskiej gry zwanej "go", rozgrywanej małymi kamieniami na polu z kwadratów. Znakomita, trudna gra. Jak zauważył, kamieni do gry jest tu pod dostatkiem.

Znosi zimno całkiem dobrze, a gdyby wystarczała do tego sama odwaga, czułby się na mrozie jak śnieżny robak. Wygląda dziwnie opatulony w hieb i płaszcz z naciągniętym kapturem, kiedy jest raptem kilka stopni poniżej zera, ale kiedy ciągniemy sanki i wyjrzy słońce albo wiatr jest słabszy, zaraz zdejmuje płaszcz i poci się jak jeden z nas. Musimy iść na kompromis w sprawie ogrzewania namiotu. On chciałby mieć gorąco, ja chłodno, a wygoda jednego oznacza zapalenie płuc u drugiego. Robimy coś pośredniego i on się trzęsie, kiedy nie jest w śpiworze, a ja się pocę, kiedy wejdę do śpiwora. Ale biorąc pod uwagę, jakie odległości przebyliśmy, zanim znaleźliśmy się w tym wspólnym namiocie, to i tak jest to sukces.

Getheny thanern. Pogoda po zawiei, wiatr ucichł, temperatura około 10 stopni przez cały dzień. Znajdujemy się w dolnej części zachodniego zbocza bliższego wulkanu. Na mojej mapie Orgoreynu nazywa się on Dremegole. Jego towarzysz po drugiej stronie lodowej rzeki nazywa się Drumner. Mapa jest marna, od zachodu widać wielki szczyt, który nie jest na niej w ogóle zaznaczony, wszystkie proporcje są zniekształcone. Widocznie Orgotowie nieczęsto zaglądają na swoje Ogniste Wzgórza. Co prawda nie bardzo jest tu po co zaglądać, chyba że po wspaniałe widoki. Dzisiaj zrobiliśmy siedemnaście kilometrów, ciężka robota, cały czas skała. Ai już śpi. Skręciłem sobie stopę szarpiąc się jak idiota, kiedy noga uwięzła mi między dwoma giczami, i przez całe popołudnie kulałem. Mam nadzieję, że przez noc mi przejdzie. Jutro powinniśmy stanąć na lodowcu.

Nasze zapasy żywności zdają się kurczyć niepokojąco szybko, ale to dlatego, że jedliśmy głównie produkty zajmujące najwięcej miejsca. Mieliśmy około pięćdziesięciu kilogramów nie przetworzonej żywności, połowę z tego stanowiło to, co ukradłem w Turufie. Trzydzieści kilogramów tego poszło po piętnastu dniach podróży. Zacząłem używać giczy-zniczy, po pół kilo dziennie, zostawiając dwa worki kiełków kadiku, trochę cukru i skrzynkę suszonych płatów rybnych na później, dla urozmaicenia. Cieszę się, że pozbyliśmy się tych ciężkich produktów z Turufu, lżej ciągnąć sanki.

Sordny thanern. Kilka stopni poniżej zera, pada deszcz ze śniegiem, wiatr dmie wzdłuż lodowej rzeki jak przeciąg w tunelu. Rozbiliśmy namiot o jakieś czterysta metrów od skraju na długim, płaskim płacie firnu. Droga ze stoku Dremegole była stroma i zdradliwa, po nagich skałach i rumowiskach. Skraj lodowca pocięty szczelinami i tak pokryty żwirem i kamieniami wprasowanymi w lód, że tu też próbowaliśmy ciągnąć sanki na kołach. Zanim przejechaliśmy sto metrów, koło nam się zaklinowało i zgięła się oś. Odtąd zostają nam tylko płozy. Zrobiliśmy dziś tylko sześć kilometrów, nadal w złym kierunku. Jęzor lodowca prowadzi, jak się zdaje, długim łukiem na zachód i pod górę na płaskowyż Gobrin. Tutaj, między wulkanami, ma około sześciu kilometrów szerokości i droga jego środkiem nie powinna być zbyt uciążliwa, chociaż jest bardziej spękany, niż na to liczyłem, a jego powierzchnia rozmiękła.

Drumner jest czynny. Mżawka marznąca na wargach ma smak dymu i siarki. Od zachodu przez cały dzień wisiała w powietrzu ciemność widoczna nawet pod deszczowymi chmurami. Co jakiś czas wszystko wokół — chmury, marznący deszcz, lód, powietrze — przybiera barwę matowoczerwoną, a potem stopniowo wraca do szarości. Lodowiec lekko drży pod naszymi stopami.

Eskiczwe rem ir Her wysunął hipotezę, że działalność wulkaniczna w północno-wschodnim Orgoreynie i na Archipelagu nasila się od dziesięciu lub nawet dwudziestu tysiącleci, co zapowiada koniec Lodu, a przynajmniej jego cofnięcie się i okres międzylodowcowy. Dwutlenek węgla wypuszczany przez wulkany do atmosfery z czasem znowu zacznie działać jako warstwa izolacyjna zatrzymująca długie fale energii cieplnej odbite od powierzchni planety, ale przepuszczająca bez strat bezpośrednie promieniowanie słoneczne. Średnia temperatura na planecie miałaby według niego wzrosnąć w końcu o około osiemnastu stopni, dochodząc do dwudziestu stopni. Cieszę się, że mnie już przy tym nie będzie. Ai twierdzi, że podobne teorie były wysuwane przez ziemskich uczonych dla wyjaśnienia niepełnego wycofania się u nich ostatniego okresu lodowcowego. Wszelkie tego typu teorie są na ogół nie do udowodnienia i nie do obalenia. Nikt nie wie z całą pewnością,

dlaczego lód przychodzi i dlaczego odchodzi. Śnieg naszej niewiedzy pozostaje dziewiczy.

Nad Drumnerem płonie teraz w ciemności wielka łuna przyćmionego ognia.

Eps thanern. Licznik wskazuje dzisiaj dwadzieścia pięć przebytych kilometrów, ale w linii prostej nie oddaliliśmy się więcej niż o dwanaście kilometrów od ostatniego noclegu. Jesteśmy wciąż na lodowej przełęczy między dwoma wulkanami. Drumner jest czynny. Ogniste węże spełzają z jego czarnych zboczy. widoczne. kiedy wiatr rozpędza skłębione kotłujące się chmury popiołu, dymu i białej pary. Powietrze wypełnia nieustannie świszczący odgłos tak potężny i przeciągły, że niesłyszalny, kiedy się przystaje, żeby go posłuchać, a jednak wypełniający wszystkie zakamarki istnienia. Lodowiec drży nieustannie, trzaska i pęka, trzęsie się pod naszymi nogami. Wszystkie mosty śnieżne, jakie zawieja mogła przerzucić nad szczelinami, zostały strącone, strząśnięte przez te wibracje i podskoki lodu i ziemi pod lodem. Chodzimy w tę i z powrotem szukając końca szczeliny, która grozi połknięciem naszych sań w całości, potem szukamy końca następnej szczeliny i stale zmuszani do chodzenia ze wschodu na zachód usiłujemy posuwać się na północ. Dremegole przez solidarność z bólami porodowymi Drumnera stęka i pierdzi cuchnącym dymem.

Ai odmroził sobie poważnie twarz dziś przed południem. Nos, uszy i brodę miał martwo szare, kiedy przypadkiem na niego spojrzałem. Masażem przywróciłem mu obieg krwi i żadnych następstw nie będzie, ale musimy być ostrożniejsi. Wiatr wiejący od Lodu jest, trzeba to sobie powiedzieć, śmiercionośny, a wieje nam prosto w twarz, kiedy ciągniemy.

Będę zadowolony, kiedy zejdziemy z tego pociętego i pomarszczonego jęzora lodu między dwoma warczącymi potworami. Góry powinno być widać, a nie słychać.

Arkad thanern. Pada trochę sove, temperatura między -7 a -10. Zrobiliśmy dziś osiemnaście kilometrów, z tego około siedmiu nie na darmo, i ściana lodowca wyraźnie się przybliżyła na północy, ponad nami. Widzimy teraz, ze nasza rzeka lodowa ma wiele kilometrów szerokości, że to, co między Drumnerem a Dremegole uważaliśmy za "ramię", jest tylko jednym palcem, i teraz znajdujemy się na grzbiecie dłoni. Oglądając się za siebie z tego obozu widzi się lodową rzekę porozdzielaną, porozrywaną i skłębioną przez czarne dymiące szczyty, które zagradzają jej drogę. Patrząc przed siebie widzimy, jak się rozszerza, wznosi i lekko wije, olbrzymia w porównaniu z czarnymi grzbietami skał, aż wreszcie spotyka się ze ścianą lodu wysoko nad zasłoną chmur, dymu i śniegu. Razem ze śniegiem pada popiół i żużel, którego kawałki pokrywają lód albo są weń wtopione. Dobre podłoże do marszu, ale raczej ciężkie dla sanek i płozy wymagają już nowej

warstwy ochronnej. Kilka razy wulkaniczne bomby spadły całkiem blisko nas. Syczą wtedy głośno i wytapiają sobie łożysko w lodzie. Drobny żużel bębni padając ze śniegiem. Pełzniemy nieskończenie powoli ku północy przez brudny chaos tworzącego się świata.

Niech będzie pochwalone wciąż trwające dzieło Stworzenia!

Netherhad thanern. Od rana nie pada, pochmurno i wietrznie, około ośmiu stopni mrozu. Wielki, rozgałęziający się jęzor lodowca, po którym idziemy, wpływa do doliny od zachodu, a my znajdujemy się na jej wschodnim końcu. Dremegole i Drumner są już za nami, chociaż ostry grzbiet Dremegole nadal widoczny jest od wschodu prawie na wysokości oczu. Dowlekliśmy się do miejsca, w którym musimy postanowić, czy iść długim, skręcającym na zachód łukiem lodowej rzeki i stopniowo dostać się na płaskowyż lodowca, czy też wspinać się na lodowe urwiska o półtora kilometra na północ od dzisiejszego obozu i zaoszczędzić sobie trzydzieści do czterdziestu kilometrów ciągnięcia sanek za cenę ryzyka.

Ai woli ryzyko.

Jest w nim jakaś kruchość: Jest cały bezbronny, obnażony, wrażliwy, włącznie z jego organem płciowym, który musi stale nosić na zewnątrz. Ale jednocześnie jest silny, niewiarygodnie silny. Nie jestem pewien, czy może ciągnąć dłużej ode mnie, ale może ciągnąć mocniej i szybciej, dwukrotnie mocniej. Potrafi unieść sanki z przodu lub z tyłu przy pokonywaniu przeszkód. Ja nie mógłbym unieść i trzymać takiego ciężaru, chyba że byłbym w dothe. Do tej swojej kruchości i siły ma odpowiedniego ducha, łatwo wpadającego w rozpacz i zawsze gotowego do oporu: gwałtowną. ,niecierpliwą odwagę. Powolna, ciężka, nieefektywna praca, jaką teraz wykonujemy, wyczerpuje jego ciało i wolę, i gdyby był człowiekiem mojej rasy, powinienem uznać go za tchórza, ale on wcale nie jest tchórzem. Ma zawsze na podorędziu brawurę, jakiej nigdy dotąd nie spotkałem. Jest gotów, więcej, pali się do tego, żeby zaryzykować życie w szybkiej i bezwzględnej próbie przepaści.

"Ogień i strach to dobrzy słudzy, ale źli panowie". U niego strach jest sługą. Ja pozwoliłbym, żeby strach prowadził mnie dłuższą drogą. Odwaga i rozum są po jego stronie. Co może dać szukanie bezpiecznej drogi w takiej wyprawie jak nasza? Są drogi głupie, którymi nie pójdę, ale bezpiecznych nie ma.

Streth thanern. Nie mamy szczęścia. Nie dało się wciągnąć sanek na górę, choć próbowaliśmy przez cały dzień. Wiatr miecie śniegiem sove zmieszanym z popiołem. Przez cały dzień było ciemno, bo wiatr z zachodu niósł na nas dym z Drumnera. Tutaj w górze drżenie lodu jest mniejsze, ale kiedy usiłowaliśmy wspiąć się na lodową ścianę, przyszedł potężny wstrząs, strącił sanki z miejsca, w którym je zaklinowaliśmy, i ja też osunąłem się o prawie dwa metry, ale Ai miał

dobry uchwyt i jego siła uratowała nas przed stoczeniem się na sam dół, o jakieś sześć metrów albo więcej. Jeżeli jeden z nas złamie rękę albo nogę przy tych wyczynach, będzie to prawdopodobnie koniec nas obu. Tu właśnie kryje się ryzyko, dość paskudne, jak się zastanowić. Dolną część lodowcowej doliny za nami wypełnia biała para, tam w dole lawa styka się z lodem. Nie mamy odwrotu. Jutro spróbujemy wspinaczki nieco dalej na zachód.

Berny thanern. Nadal nie mamy Szczęścia. Musimy iść dalej na zachód. Przez cały dzień ciemno jak o zmroku. Płuca nas bolą nie od zimna (temperatura nie spada poniżej minus piętnastu nawet w nocy przy tym zachodnim wietrze), ale od wdychania popiołu i wyziewów wybuchu. Pod koniec tego drugiego dnia zmarnowanych wysiłków, wdrapywania się na lodowe urwiska i rumowiska po to, aby zawsze utknąć pod nagą ścianą albo przewieszką, dalszych prób i kolejnych niepowodzeń, Ai był wyczerpany i wściekły. Wyglądał tak, jakby miał się rozpłakać, ale nie płakał. Zdaje się, że on uważa płacz za coś złego albo wstydliwego. Nawet kiedy był bardzo chory i słaby, w pierwszych dniach po ucieczce, ukrywał przede mną łzy. Powody osobiste, rasowe, społeczne, seksualne skąd mogę wiedzieć, dlaczego Ai nie wolno płakać? A przecież jego nazwisko jest okrzykiem bólu. Kiedy po raz pierwszy odszukałem go w Frhenrangu (teraz wydaje się, że to było dawno temu) słysząc coś u "obcym", spytałem o jego nazwisko i w odpowiedzi usłyszałem okrzyk bólu ludzkiego gardła w środku nocy. Teraz śpi. Jego ramiona drgają kurczowo, zmęczenie mięśni. Świat wokół nas, lód i skały, popiół i śnieg, ogień i ciemność, drży, wstrząsa się i pomrukuje. Wyglądając przed minutą zobaczyłem łunę wulkanu jak matowoczerwony kwiat na brzuchu potężnych chmur nawisłych nad ciemnością.

Orny thanern. Nadal pech. Dwudziesty drugi dzień naszej podróży i od dziesiątego dnia nie posunęliśmy się ani trochę na wschód, co więcej, straciliśmy trzydzieści albo więcej kilometrów idąc na zachód. Od osiemnastego dnia nie zrobiliśmy w ogóle żadnego postępu i równie dobrze moglibyśmy siedzieć na miejscu. Jeżeli uda nam się kiedyś dostać na Lód, to czy starczy nam żywności, żeby go przebyć? Myśl, od której trudno się uwolnić. Mgła i dym wulkaniczny bardzo ograniczają widoczność, co nam utrudnia wybór drogi. Ai chce atakować ścianę lodowca w każdym miejscu, gdzie jest choćby najmniejszy ślad półek. Niecierpliwi go moja ostrożność. Musimy panować nad swoimi humorami. Za dzień lub dwa zacznę kemmer i wszystkie napięcia wzrosną. Tymczasem walimy głowami w lodowy mur w zimnym półmroku pełnym popiołu. Gdybym pisał nowy kanon jomeszu, tutaj posyłałbym po śmierć złodziei. Złodziei, którzy po nocy kradną w Turufie worki z żywnością. Złodziei, którzy kradną ludziom serce i nazwisko, narażając ich na hańbę i wygnanie. Głowa mi ciąży,

muszę wykreślić ten fragment później, teraz jestem zbyt zmęczony, żeby do tego wracać.

Harhahad thanern. Na Lodzie. Dwudziesty trzeci dzień podróży. Jesteśmy na Lodzie Gobrin. Jak tylko wyruszyliśmy dziś rano, zobaczyliśmy zaledwie o kilkaset metrów od miejsca noclegu drogę prowadzącą wprost na Lód, szeroką. krętą, brukowaną popiołem i kamieniami z lodowcowych rumowisk szosę przez urwiska. Poszliśmy nią jak po bulwarze nad Sess. Jesteśmy więc na Lodzie. Idziemy znów na wschód, ku domowi.

Udziela mi się radość Ai z naszego osiągnięcia. Trzeźwo patrząc, jest tu równie źle jak dotąd. Znajdujemy się na samym skraju lodowego płaskowyżu. Szczeliny, niektóre tak szerokie, że mogłyby się w nie zapaść całe wsie, nie dom po domu, ale całe naraz, biegną w stronę lądu i na północ, jak okiem sięgnąć. Większość z nich przecina naszą drogę, musimy więc i my iść na północ zamiast na wschód. Powierzchnia jest trudna. Przeciągamy sanki między wielkimi bryłami i odłamkami lodu, wypchniętymi przez napór olbrzymiej plastycznej pokrywy lodowej na Ogniste Wzgórza. Wyłamane fragmenty mają niesamowite kształty zwalonych baszt, beznogich olbrzymów, katapult. Gruby na półtora kilometra Lód tutaj wypiętrza się i pogrubia, usiłując przepłynąć nad górami i zdusić ogniste paszcze. W pewnej odległości na północ wyrasta z lodu szczyt, ostry, zgrabny, nagi stożek młodego wulkanu, młodszego o tysiące lat od lodowej płyty, która miażdżąc wszystko wdziera się między potężne grzbiety i wierzchołki, nad prawie dwoma kilometrami niewidocznych pod lodem Zboczy.

W tym dniu odwracając się widzieliśmy dym Drumnera wiszący za nami jak szarobrązowe przedłużenie Lodu. Przy powierzchni stały wiatr wieje z północnego wschodu oczyszczając powietrze z sadzy i smrodu wnętrzności planety, którymi oddychaliśmy przez wiele dni, przyciskając dym za nami jak ciemną powłokę kryjącą lodowce, dolną część gór, kamienne doliny, całą resztę ziemi. Nie ma nic prócz Lodu, mówi Lód. Ale ten młody wulkan na północ od nas wydaje się mieć na ten temat swoje zdanie.

Śnieg nie pada, cienka pokrywa wysokich chmur. -21 stopni na płaskowyżu o świcie. Pod nogami mieszanka firnu, nowego lodu, starego lodu. Nowy lód jest zdradziecki, gładkie błękitne szkło przysypane białym puchem. Obaj leżeliśmy po wiele razy. Raz przejechałem na brzuchu z pięć metrów po takiej ślizgawce. Ai skręcał się ze śmiechu w uprzęży. Przeprosił i wytłumaczył, że uważał siebie za jedyną istotę na Gethen, która przewraca się na lodzie.

Dzisiaj trzynaście mil, ale jeżeli będziemy się starali utrzymać takie tempo wśród tych pociętych, wypiętrzonych rys napięciowych, to zmordujemy się tak, że będą się z nami działy znacznie gorsze

rzeczy niż jazdy na brzuchu. Księżyc w drugiej kwadrze wisi nisko, matowy jak zaschnięta krew; otacza go wielkie brązowe opalizujące halo.

Guyrny thanern. Trochę śniegu, narastający wiatr i spadająca temperatura. Dzisiaj znów trzynaście mil, co daje odległość 384 kilometrów od wyjścia z naszego pierwszego obozu. Robiliśmy przeciętnie 16 kilometrów dziennie, prawie 17 i pół nie licząc dwóch dni, kiedy przeczekiwaliśmy burzę śnieżną. 100 do I 50 z tych kilometrów ciągnięcia sanek nie zbliżało nas do celu. Jesteśmy niewiele bliżej Karhidu, niż kiedy wyruszaliśmy. Ale myślę, że mamy większą szansę dojścia.

Odkąd wydostaliśmy się z wulkanicznego mroku, nie żyjemy już wyłącznie pracą i zmartwieniami i znów rozmawiamy w namiocie po kolacji. Ponieważ jestem w kemmerze, łatwiej by mi było ignorować obecność Ai, ale jest to trudne w dwuosobowym namiocie. Problem polega oczywiście na tym, że on też na swój dziwny sposób jest w kemmerze, zawsze jest w kemmerze. Musi to być dziwne, rozcieńczone pożądanie, rozłożone na wszystkie dni roku i bez możliwości wyboru płci, ale jakie jest, takie jest, a tu jestem ja. Dziś wieczorem dojmująca fizyczna świadomość jego obecności była szczególnie trudna do zignorowania, a byłem zbyt zmęczony, żeby ją skierować w nietrans lub zneutralizować jakąś inną techniką handdary. Wreszcie spytał, czy mnie czymś obraził. Z pewnym zażenowaniem wytłumaczyłem swoje milczenie. Bałem się, że mnie wyśmieje. Ostatecznie on nie jest bardziej dziwolągiem i seksualną osobowością niż ja. Tutaj, na Lodzie, każdy z nas jest czymś jedynym w swoim rodzaju, pojedynczym przypadkiem, ja jestem tu tak samo odcięty od sobie podobnych, od mojego społeczeństwa z jego zasadami, jak on od swojego. Nie ma tu milionów innych Getheńczyków, którzy by wyjaśniali i uzasadniali moje istnienie. Jesteśmy sobie równi, nareszcie równi, obcy, samotni. Nie śmiał się, oczywiście. Mówił z łagodnością, której w nim nie podejrzewałem. Po jakimś czasie on też zaczął mówić o odosobnieniu i samotności.

— Wasza rasa jest przerażająco osamotniona — w swoim świecie. Żadnego innego gatunku ssaków. Żadnego innego gatunku obojnaczego. Żadnego zwierzęcia wystarczająco inteligentnego, żeby można je trzymać w domu. Ta unikalność musi wpływać jakoś na wasze myślenie. Chodzi mi nie tylko o myślenie naukowe, choć macie niezwykły dar budowania hipotez. To nadzwyczajne, że doszliście do koncepcji ewolucji stojąc wobec przepaści nie do przebycia między wami a całym światem zwierzęcym. Także w sensie filozoficznym i emocjonalnym: być tak osamotnionym w tak nieprzyjaznym świecie. To musi wpływać na cały wasz światopogląd.

— Jomeszta powiedzieliby, że unikalność człowieka polega na

jego boskości.

— Na bogów Ziemi, tak. Inne kulty na innych światach doszły do tego samego wniosku. Są to zazwyczaj kulty dynamicznych, agresywnych, niszczących ekologię kultur. Orgoreyn na swój sposób pasuje do tego wzorca, w każdym razie oni robią wrażenie, że są zdecydowani zmieniać rzeczy siłą. A co mówią handdarata?

— Cóż, w handdarze… jak pan wie, nie ma teorii, nie ma dogmatu… Może oni są mniej świadomi przepaści między ludźmi a zwierzętami, bo skupiają się bardziej na podobieństwach, więziach, na całości, której częściami są wszystkie żywe stworzenia.

Przez cały dzień chodziła mi po głowie "Pieśń Tormera" i powiedziałem te słowa:

> Światło jest lewą ręką ciemności,
> a ciemność jest prawą ręką światła.
> Dwoje są jednym, życie i śmierć złączone
> jak kochankowie w kemmerze,
> jak dłonie splecione,
> jak droga i cel.

Głos mi drżał, kiedy recytowałem te wersy, bo przypomniało mi się, że mój brat w ostatnim liście przed śmiercią cytował te same słowa.

Ai zamyślił się i po chwili powiedział:

— Jesteście izolowani i nie rozdzieleni. Może waszą obsesją jest jedność, tak jak naszą dwoistość.

— My też jesteśmy dualistami. Dwoistość jest przecież czymś niezbędnym. Dopóki istnieję " ja" i "ten inny".

— Ja i pan — powiedział. — Tak, to jest przecież coś bardziej podstawowego niż płeć…

— Niech mi pan powie, czym różni się ta druga płeć pańskiej rasy od pana?

Spojrzał zaskoczony i muszę powiedzieć, że moje pytanie zaskoczyło mnie samego, kemmer wydobywa takie rzeczy z człowieka. Obaj byliśmy zażenowani.

— To mi nie przyszło do głowy — powiedział. — Przecież pan nigdy nie widział kobiety. — Użył słowa ze swojego ziemskiego języka, które znałem.

— Widziałem je na pańskich zdjęciach. Wyglądały jak Getheńczyk w ciąży, tylko z większymi piersiami. Czy bardzo się różnią od pańskiej płci w swoim zachowaniu i myśleniu? Czy są jak odrębny gatunek?

— Nie. Tak. Nie, oczywiście nie, nie tak naprawdę. Ale różnica jest bardzo ważna. Chyba najważniejszą rzeczą, najbardziej

znaczącym czynnikiem w życiu człowieka jest to, czy rodzi się mężczyzną, czy kobietą. W większości społeczeństw decyduje to o oczekiwaniach, zajęciach, poglądach, etyce, manierach, prawie o wszystkim. O słownictwie. Znaczeniu słów. Ubraniu. Nawet jedzeniu. Kobiety… kobiety zwykle jadają mniej… Ogromnie trudno jest oddzielić różnice wrodzone od nabytych. Nawet tam, gdzie kobiety na równi z mężczyznami uczestniczą w życiu społecznym, to one rodzą dzieci i wykonują większość prac związanych z ich wychowaniem…

— Równość nie jest więc generalną zasadą? Czy kobiety umysłowo ustępują mężczyznom?

— Nie wiem. Rzadko wydają spośród siebie matematyków, kompozytorów muzyki, wynalazców albo abstrakcyjnych myślicieli. Ale to nie znaczy, że są głupsze. Fizycznie są mniej umięśnione, ale nieco bardziej wytrzymałe niż mężczyźni. Psychicznie…

Przez długą chwilę wpatrywał się w rozpalony piecyk, aż wreszcie potrząsnął głową.

— Harth — powiedział — nie umiem powiedzieć panu, jakie są kobiety. Nigdy nie myślałem o tym zbyt wiele w kategoriach abstrakcyjnych, wie pan, i — na Boga! teraz już właściwie zapomniałem. Jestem tutaj od dwóch lat… Pan tego nie rozumie. W pewnym sensie kobiety są dla mnie bardziej obce niż pan. Z panem łączy mnie przynajmniej jedna wspólna płeć. — Odwrócił wzrok i roześmiał się zażenowany i skruszony. Ja też miałem sprzeczne uczucia i nie kontynuowaliśmy tematu.

Yrny thanern. Dzisiaj dwadzieścia siedem kilometrów na wschodni północny wschód według kompasu, na nartach. Po godzinie ciągnięcia wydostaliśmy się poza strefę wypiętrzeń i pęknięć. Obaj szliśmy w uprzęży, ja pierwszy z tyczką, ale nie było już potrzeby sprawdzania podłoża. Kilkadziesiąt centymetrów firnu na równym lodzie, a na firnie kilkanaście centymetrów mocnego nowego śniegu z ostatniego opadu, z dobrą powierzchnią. Ani sanki, ani my nie zapadaliśmy się i sanki szły bardzo lekko, aż trudno było uwierzyć, że na każdego z nas przypada po około pięćdziesiąt kilo. Po południu ciągnęliśmy sanki na zmianę, co było całkiem łatwe na tej wspaniałej powierzchni. Szkoda, że najtrudniejszy odcinek, pod górę i po kamieniach, przypadł nam, kiedy ładunek był najcięższy. Teraz idziemy z lekkim ładunkiem. Zbyt lekkim: często łapię się na myśli o jedzeniu. Odżywiamy się, jak mówi Ai, eterycznie. Przez cały dzień szliśmy lekko i szybko po równej lodowej powierzchni, martwo białej pod szarobłękitnym niebem, na tle którego widać było tylko kilka szczytów — nunataków, teraz daleko za nami, a jeszcze dalej ciemną smugę, oddech Drumnera. Nic więcej: zamglone słońce i lód.

17. Orgocki mit o stworzeniu świata

Pochodzenie tego mitu jest prehistoryczne; istnieją jego różnorodne zapisy. Ta bardzo pierwotna wersja pochodzi z przedjomeszańskiego tekstu znalezionego w jaskiniowej świątyni Isenpeth w krainie Gobrin.

Na początku nie było nic, tylko lód i słońce. W ciągu wielu lat słońce wytopiło w lodzie wielką szczelinę. Szczelina nie miała dna, a na jej ścianach były wielkie lodowe figury. Z tych lodowych figur w ścianach przepaści spływały w dół krople wody. Jedna z figur powiedziała: "Ja krwawię". Druga powiedziała: "Ja płaczę". Trzecia powiedziała: "Ja się pocę".

Lodowe figury wyszły z przepaści i stanęły na lodowej równinie. Ta, która powiedziała: "Ja krwawię", sięgnęła w górę do słońca i wyciągnęła z jego wnętrzności garście łajna i z tego łajna zrobiła góry i doliny ziemi. Ta, która powiedziała: "Ja płaczę", chuchała na lód i topiąc go zrobiła morza i rzeki. Ta, która powiedziała: "Ja się pocę", wzięła ziemię i wodę i zrobiła z nich drzewa, rośliny, zboża, zwierzęta i ludzi. Rośliny rosły na ziemi i w morzu, zwierzęta biegały po lądzie i pływały w morzu, ale ludzie się nie przebudzili. Było ich trzydziestu dziewięciu. Spali na lodzie i nie ruszali się.

Wtedy trzy lodowe figury usiadły z kolanami pod brodą i pozwoliły, żeby słońce je stopiło. A kiedy się topiły, płynęło z nich mleko, które wpadało w usta śpiących ludzi, i wtedy ludzie się zbudzili. Dlatego tylko ludzkie dzieci piją mleko, bo bez niego nie zbudziłyby się do życia.

Pierwszy obudził się Edondurath. Był tak wysoki, że wstając zrobił głową w niebie dziurę, z której posypał się śnieg. Zobaczył, że inni ruszają się i budzą, i przestraszył się ich, i pozabijał ich jednego po drugim uderzeniem pięści. Zabił tak trzydziestu sześciu. Ale jeden z nich, przedostatni, uciekł. Nazywał się Haharath. Uciekał daleko przez lodową równinę i przez krainy ziemi. Edondurath biegł za nim i wreszcie go dogonił i zwalił z nóg. Haharath umarł. Wtedy Edondurath wrócił do miejsca narodzin na Lodzie Gobrin, gdzie leżały ciała pozostałych ludzi prócz ostatniego, który uciekł, kiedy Edondurath gonił Haharatha.

Edondurath zbudował dom z zamarzniętych Ciał swoich braci i wewnątrz tego domu czekał na ostatniego. Każdego dnia jeden z zabitych pytał: "Czy on płonie?" "Czy on płonie?" Wszystkie pozostałe trupy odpowiadały zamarzniętymi językami: "Nie, nie". Wtedy Edondurath wszedł we śnie w kemmer i rzucał się i mówił głośno przez sen, a kiedy się zbudził, wszystkie trupy mówiły: "On płonie! On płonie!" Ostatni, najmłodszy brat usłyszał je i wszedł do domu z ciał i tam połączył się z Edondurathem. Z tych dwóch narodziły się ludy

ziemi, z ciała Edonduratha, z jego łona. Imię drugiego, młodszego brata, ojca, nie jest znane.

Każde z ich dzieci miało kawałek ciemności, który chodził za nim wszędzie w ciągu dnia. Edondurath powiedział: "Dlaczego za moimi synami chodzi ciemność?" Jego kemmering odpowiedział: "Bo urodzili się w domu z martwych ciał, dlatego śmierć chodzi za nimi krok w krok. Oni są w środku czasu. Na początku było słońce i lód, i nie było cienia. Na końcu, kiedy nas nie będzie, słońce pochłonie samo siebie i cień pochłonie światło, i nie będzie nic, tylko lód i ciemność".

18. Na Lodzie

Czasami, kiedy zasypiam w ciemnym, cichym pokoju, mam przez chwilę wspaniałe i drogie sercu złudzenie. Nad moją twarzą pochyla się ściana namiotu, niewidzialna, ale słyszalna, ukośna płaszczyzna cichego odgłosu: szelest niesionego wiatrem śniegu. Nie widać nic. Promieniowanie świetlne rozgrzanego powietrza, jako serce ciepła. Lekka wilgoć i ograniczająca ruchy bliskość śpiwora, odgłos śniegu, ledwo słyszalny oddech śpiącego Estravena, ciemność. Nic więcej. My dwaj jesteśmy wewnątrz, spoczywamy w arylu, w środku wszystkiego. Na zewnątrz, jak zwykle, rozpościera się wielki mrok, chłód, samotność śmierci.

Zasypiając w takich szczęśliwych chwilach wiem ponad wszelką wątpliwość, gdzie był najważniejszy moment mojego życia, tamten czas w przeszłości, miniony, a jednak trwały, ta wiecznotrwała chwila, serce ciepła.

Nie twierdzę, że byłem szczęśliwy podczas tych tygodni, kiedy wlekliśmy sanki przez lodowiec w samym środku zimy. Byłem głodny, wycieńczony i często poirytowany; a im dłużej to trwało, tym było gorzej. Na pewno nie byłem szczęśliwy. Szczęście wiąże się z rozumem i tylko rozumem można na nie zapracować, ja zaś otrzymałem coś, do czego nie można dojść pracą ani zatrzymać, czego często nawet nie rozpoznajemy, kiedy nam się przydarza. Mam na myśli radość.

Budziłem się zawsze pierwszy, zwykle przed świtem. Moja przemiana materii przekraczała nieco getheńską normę, podobnie jak mój wzrost i waga. Estraven uwzględnił te różnice przy obliczaniu racji żywnościowych ze skrupulatnością uczonego albo dobrej gospodyni, w zależności od tego, jak się na to spojrzało, i od początku dostawałem dziennie kilka deka żywności więcej niż on. Protesty, że to niesprawiedliwe, musiały ustąpić przed oczywistą sprawiedliwością tego nierównego podziału. Wszystko jedno jak dzielone, porcje były małe. Byłem głodny, stale głodny, z każdym dniem głodniejszy. Budził mnie głód.

Jeżeli było jeszcze ciemno, włączałem światło naszego piecyka i stawiałem na nim garnek z przyniesionym wieczorem śniegiem do stopienia. Estraven tymczasem swoim zwyczajem toczył cichą i zaciętą walkę ze snem, jakby walczył z aniołem. Zwyciężywszy siadał, patrzył na mnie nieprzytomnie, potrząsał głową i budził się. Zanim się ubraliśmy, włożyliśmy buty i zwinęliśmy śpiwory, śniadanie było gotowe: kubek wrzącego orszu i jedna kostka giry v-mirzy, która w gorącej wodzie puchła do rozmiarów małej bułki. Przeżuwaliśmy je powoli, z namaszczeniem, podnosząc każdą okruszynę. Piecyk tymczasem stygł. Pakowaliśmy go razem z garnkiem i kubkami,

wkładaliśmy płaszcze z kapturami i rękawice, po czym wypełzaliśmy na zewnątrz. Za każdym razem trudno było uwierzyć, że może być tak zimno. Każdego ranka musiałem przekonywać się od nowa. Jeżeli było się już raz na dworze za potrzebą, drugie wyjście było jeszcze trudniejsze.

Czasami padał śnieg, czasami poziome światło poranka kładło się pięknie złotem i błękitem na bezmiar śniegu, najczęściej było szaro.

Braliśmy na noc termometr do namiotu i, kiedy wynosiliśmy go na zewnątrz, ciekawie było patrzeć, jak wskazówka obraca się w prawo (getheńskie tarcze odczytuje się w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara) w mgnieniu oka rejestrując spadek o dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści stopni, póki nie zatrzymała się gdzieś między minus dwadzieścia a minus pięćdziesiąt stopni.

Jeden z nas składał namiot, podczas gdy drugi układał na saniach piecyk, śpiwory i resztę. Z wierzchu przywiązywaliśmy namiot, po czym mogliśmy zakładać narty i wprzęgać się do sanek. W naszym oporządzeniu prawie nie było części metalowych, ale uprząż miała sprzączki ze stopu aluminium, zbyt małe, żeby je można zapiąć w rękawicach, które w tej temperaturze parzyły, jak rozpalone do czerwoności. Musiałem bardzo uważać na palce, kiedy temperatura zbliżała się do minus trzydziestu, zwłaszcza jeżeli wiał wiatr, bo można było zadziwiająco szybko nabawić się odmrożenia. Nogi nigdy mi nie marzły, co jest ogromnie ważne w czasie zimowej wędrówki, kiedy godzina na mrozie może człowieka unieruchomić na tydzień albo i zrobić kaleką na całe życie. Estraven musiał kupować mi śnieżne buty na pamięć i kupił mi numer za duże, wypełniałem więc różnicę dodatkową parą skarpet. Przypinaliśmy narty, szybko wprzęgaliśmy się do sanek, szarpnięciem zrywaliśmy je z miejsca, jeżeli płozy przymarzły, i ruszaliśmy w drogę.

Po dużych opadach śniegu musieliśmy poświęcać rano trochę czasu na odkopywanie namiotu i sanek. Nie była to trudna praca, choć zwały odgarniętego świeżego śniegu wyglądały imponująco. Były przecież jedynymi wzniesieniami w promieniu setek kilometrów, jedynym, co wystawało ponad lód.

Szliśmy za kompasem na wschód. Wiatr wiał tu normalnie z północy na południe, od środka lodowca, dzień za dniem mieliśmy go więc z lewej. Kaptur nie wystarczał przeciwko takiemu wiatrowi i musiałem wkładać maskę dla ochrony nosa i lewego policzka. Mimo to któregoś dnia zamarzło mi lewe oko i myślałem, że straciłem je na zawsze. Nawet kiedy Estraven otworzył je za pomocą oddechu i języka, nie widziałem na nie przez pewien czas, prawdopodobnie więc zamarzło tam coś więcej niż tylko rzęsy. W słoneczne dni obaj nosiliśmy getheńskie okulary ochronne z wąskimi szparkami i żaden z nas nie cierpiał na ślepotę śnieżną. Niewiele mieliśmy po temu okazji.

Jak tłumaczył Estraven, nad środkową częścią Lodu, gdzie tysiące kilometrów kwadratowych bieli odbijają promienie słońca, utrzymuje się zwykle strefa wysokiego ciśnienia. My jednak nie znajdowaliśmy się w tej środkowej strefie, ale co najwyżej na jej skraju, między nią a strefą gwałtownych, brzemiennych w opady burz, które Lód zsyła systematycznie na utrapienie przyległych krain. Wiatr z północy niósł suchą, słoneczną pogodę, ale już północno-wschodni albo północno-zachodni przynosił śnieg lub porywał suchy leżący śnieg w oślepiające, kłujące kłęby jak burza piaskowa. Kiedy indziej prawie ucichał snując się krętymi szlakami tuż nad gruntem, a wtedy niebo było białe, powietrze białe, słońce niewidoczne, znikały cienie i sam Lód znikał spod naszych stóp.

Koło południa stawaliśmy i, jeżeli wiatr był silny, wycinaliśmy kilka bloków śniegu na ścianę ochronną. Potem podgrzewaliśmy wodę, żeby rozmoczyć kostki giczy-miczy, wypijaliśmy gorącą wodę, czasami lekko osłodzoną, znów zakładaliśmy uprząż i szliśmy dalej.

Rzadko rozmawialiśmy w drodze albo podczas południowego posiłku, bo wargi nam popękały, a po drugie, kiedy się otwierało usta, zimno dostawało się do środka powodując ból zębów, tchawicy i płuc. Należało mieć usta zamknięte i oddychać przez nos, w każdym razie, kiedy temperatura powietrza spadała do dwudziestu — trzydziestu stopni poniżej zera. Jeżeli spadała niżej, cały proces oddychania komplikował się jeszcze bardziej przez szybkie zamarzanie wydychanego powietrza; nozdrza mogły zamarznąć całkowicie i wtedy, żeby się nie udusić, człowiek mógł przez usta wciągnąć pełne płuca żyletek.

W określonych warunkach nasze wydechy błyskawicznie zamarzając wydawały cichy trzask, jak odległy fajerwerk, i rozsypywały się w obłoczek kryształków. Każdy oddech był małą burzą śnieżną.

Szliśmy, dopóki starczało nam sił albo póki nie zaczynało się ściemniać, a wtedy rozbijaliśmy namiot, mocowaliśmy kołkami sanki, jeżeli groziła wichura, i szykowaliśmy się do snu. Przeciętnego dnia szliśmy przez jedenaście lub dwanaście godzin pokonując od kilkunastu do dwudziestu kilku kilometrów.

Nie wydaje się to dobrym tempem, ale warunki nie bardzo nam sprzyjały. Pokrywa śniegu rzadko była odpowiednia, zarówno dla nart, jak dla płóz sanek. Kiedy była świeża i puszysta, sanki jechały bardziej w śniegu niż po śniegu, kiedy lekko twardniała po wierzchu, my na nartach szliśmy bez przeszkód, a sanki zapadały się, co oznaczało, że nieustannie byliśmy szarpani do tyłu; kiedy zaś była twarda, często pokrywały ją wysokie zaspy, sastrugi, miejscami sięgające półtora metra. Musieliśmy wtedy przeciągać sanki przez każdy z ostrych jak nóż albo fantastycznie wyrzeźbionych grzbietów,

sprowadzać je w dół i wyciągać na następną zaspę, bo zdawało się, że zawsze układają się w poprzek naszej drogi. Wyobrażałem sobie lodowy płaskowyż Gobrin jako jedną taflę, jak zamarznięte jezioro, ale na przestrzeni setek kilometrów przypominał on raczej nagle zamarznięte burzliwe morze.

Praca przy rozbijaniu obozu, zabezpieczaniu wszystkiego, otrzepywaniu odzieży ze śniegu i tak dalej, była nużąca. Czasami wydawało się to niewarte zachodu. Było tak późno, tak zimno i byliśmy tak zmęczeni, że dużo łatwiej byłoby położyć się w śpiworach pod osłoną sań i nie zawracać sobie głowy namiotem. Pamiętam, jak oczywiste wydawało mi się to w niektóre wieczory i jak ostrą niechęć budził we mnie pedantyczny, tyrański upór mojego towarzysza, żeby robić to wszystko, i robić to ściśle i dokładnie. W takich chwilach nienawidziłem go nienawiścią płynącą wprost ze śmierci, która przepełniała moje serce. Nienawidziłem surowych, wymyślnych, uporczywych nakazów, jakimi mnie dręczył w imię życia.

Kiedy wszystko było gotowe, mogliśmy wejść do namiotu, i wtedy prawie natychmiast ciepło piecyka tworzyło przytulny, swojski nastrój. Otaczało nas coś cudownego: ciepło. Śmierć i mróz zostawały na zewnątrz.

Również nienawiść zostawała na zewnątrz. Jedliśmy i piliśmy. Po posiłku rozmawialiśmy. Przy wielkim mrozie nawet znakomita izolacja namiotu nie wystarczała i przysuwaliśmy śpiwory jak najbliżej piecyka. Wewnętrzna ścianka namiotu porastała futrem szronu. Otwarcie śluzy oznaczało wpuszczenie lodowatego podmuchu, który natychmiast wypełniał namiot wirującą mgiełką kryształków lodu. Podczas zamieci igły mroźnego powietrza wdzierały się przez otwory wentylacyjne mimo ich przemyślnego zabezpieczenia i powietrze wypełniał niewidoczny śnieżny pył. W takie noce panował niewiarygodny hałas i, żeby się porozumieć, musieliśmy krzyczeć sobie do ucha. Inne znów noce były ciche taką ciszą, jaką można sobie wyobrazić, że istniała, zanim zaczęły tworzyć się gwiazdy, albo zapanuje wtedy, kiedy wszystko przestanie istnieć.

W jakąś godzinę po wieczornym posiłku Estraven przełączał piecyk na niższą temperaturę, jeżeli tylko było to możliwe, i gasił światło. Robiąc to mruczał krótką i piękną modlitwę, jedyne rytualne słowa, jakich nauczyłem się z handdary: "Niech będzie pochwalona ciemność i wciąż trwające dzieło Stworzenia", mówił i zapadała ciemność. Zasypialiśmy. Rano zaczynało się wszystko od początku. Tak przez pięćdziesiąt dni.

Estraven przez cały czas prowadził dziennik, choć w czasie podróży przez Lód rzadko zapisywał coś więcej niż stan pogody i ilość przebytych danego dnia kilometrów. Wśród tych zapisków zdarza się uwaga na temat jego myśli lub naszych rozmów, ale ani słowa o

głębszych dyskusjach, na jakich spędzaliśmy czas między kolacją a snem w pierwszym miesiącu podróży przez Lód, kiedy jeszcze mieliśmy dość energii na rozmowy, a także w te dni, kiedy nie mogliśmy opuścić namiotu z powodu burzy. Powiedziałem mu, że używanie pozasłownego kontaktu na planetach nie stowarzyszonych nie było wprawdzie zakazane, ale nie było też przyjęte, i prosiłem go, żeby zachował w tajemnicy to, czego się nauczy, przynajmniej do czasu, aż zdołam omówić sprawę z kolegami ze statku. Zgodził się i słowa dotrzymał. Nigdy ani w mowie, ani w piśmie nie wspominał o naszych milczących rozmowach.

Myślomowa była jedyną rzeczą, jaką musiałem dać Estravenowi z całej mojej cywilizacji, z mojej obcej rzeczywistości, którą się tak głęboko zainteresował. Mogłem mówić i opisywać bez końca, ale to było wszystko, co musiałem dać. Może zresztą była to jedyna ważna rzecz, jaką mieliśmy do zaoferowania Zimie. Nie mogę powiedzieć, że naruszyłem prawo kulturalnego embarga powodowany wdzięcznością. To nie była sprawa długu. Takie długi pozostają nie spłacone. Po prostu Estraven i ja doszliśmy do tego, że dzieliliśmy wszystko, co mieliśmy i co było warte podziału.

Przewiduję, że stosunek płciowy między obupłciowymi Getheńczykami a jednopłciowymi istotami stanowiącymi hainską normę okaże się możliwy, choć niewątpliwie będzie bezpłodny. Rzecz wymaga udowodnienia. My z Estravenem nie dowiedliśmy niczego, poza może dość delikatną kwestią. Nasze instynkty seksualne były najbliższe ujawnienia się podczas naszej drugiej nocy spędzonej na Lodzie. Przez cały dzień walczyliśmy z pociętym, pełnym szczelin terenem na wschód od Ognistych Wzgórz, gdzie często musieliśmy się cofać. Byliśmy tego wieczoru zmęczeni, ale dobrej myśli, pewni, że wkrótce trafimy na równą drogę. Jednak po kolacji Estraven spochmurniał i zamilkł.

— Harth — zwróciłem się do niego po tak oczywistej oznace chłodu — jeżeli znów powiedziałem coś złego, to proszę, niech mi pan powie, o co chodzi.

Milczał.

— Popełniłem pewnie jakiś błąd co do szifgrethoru. Przepraszam, nie mogę się tego nauczyć. Właściwie dotąd nie udało mi się zrozumieć znaczenia tego słowa.

— Szifgrethor? Pochodzi od starego słowa na oznaczenie cienia.

Obaj zamilkliśmy na chwilę, a potem on łagodnym wzrokiem spojrzał wprost na mnie. Jego twarz w tym czerwonawym oświetleniu była miękka, bezbronna i odległa jak twarz kobiety, która patrzy z głębi zamyślenia i nic nie mówi.

I wtedy zobaczyłem jeszcze raz i tym razem bez cienia wątpliwości to, co zawsze bałem się zobaczyć i udawałem, że tego w

nim nie widzę: że był kobietą równie jak mężczyzną. Jakakolwiek potrzeba. wyjaśniania źródeł tego strachu rozwiała się wraz z samym strachem. Pozostało mi przyjęcie go takim. jaki był. Do tego czasu odrzucałem go, odmawiałem mu prawa do bycia sobą. Miał całkowitą rację mówiąc, że jedyny człowiek na Gethen, który mi wierzył, był jedynym człowiekiem, do którego ja nie miałem zaufania. Bo on jeden w pełni zaakceptował mnie jako istotę ludzką, polubił mnie osobiście i zaofiarował mi całkowitą osobistą lojalność. 1 dlatego żądał ode mnie takiego samego uznania i akceptacji, a ja nie chciałem mu ich okazać. Bałem się tego. Nie chciałem dać zaufania i przyjaźni mężczyźnie, który był kobietą, kobiecie, która była mężczyzną.

Wyjaśnił mi sztywno i po prostu, że jest w kemmerze i że stara się mnie unikać, o ile jest to w naszej sytuacji możliwe. — Nie wolno mi pana dotykać — odezwał się z widocznym wysiłkiem nie patrząc na mnie.

— Rozumiem — powiedziałem. — Zgadzam się w zupełności.

Czułem, a on, jak sądzę, też, że to z seksualnego napięcia między nami, teraz już nazwanego i rozumianego, zrodziła się wielka i nagła pewność przyjaźni, przyjaźni tak nam niezbędnej w naszym wygnańczym losie i tak dobrze sprawdzonej podczas dni i nocy strasznej podróży, że można ją nazwać, teraz czy później, miłością. Ale wynikała ona nie z podobieństwa między nami, lecz z różnicy i stanowiła most, jedyny most ponad tym wszystkim, co nas dzieliło. Spotkanie na gruncie seksu oznaczałoby dla nas znów spotkanie istot z obcych światów. Zetknęliśmy się w jedyny sposób, w jaki mogliśmy się zetknąć; i na tym poprzestaliśmy. Nie wiem, czy mieliśmy rację.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę tego wieczoru i pamiętam, jak trudno mi było znaleźć sensowną odpowiedź na jego pytanie, jakie są kobiety. Obaj byliśmy dość spięci i ostrożni w stosunku do siebie przez kilka następnych dni. Wielka miłość, między dwojgiem ludzi łączy się przecież ze zdolnością i okazją do sprawiania wielkiego bólu. Do tego wieczoru nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mogę zadać ból Estravenowi.

Teraz, kiedy bariery zostały zerwane, ograniczenia, z mojego punktu widzenia, w naszych kontaktach i rozumieniu stały się dla mnie nie do zniesienia. Wkrótce, w dwa albo trzy wieczory później, kiedy kończyliśmy kolację ze słodzonego ziarna kaliko dla uczczenia trzydziestokilometrowego przemarszu, powiedziałem:

— Zeszłej wiosny, podczas tamtej kolacji w Czerwonym Narożnym Domu powiedział mi pan, że chciałby dowiedzieć się czegoś więcej na temat porozumiewania się bez słów.

— Tak, to prawda.

— Jeżeli pan chce, spróbuję nauczyć pana posługiwania się myślomową.

Roześmiał się.

— Widzę, że chce mnie pan przyłapać na kłamstwie.

— Jeżeli kiedyś mnie pan okłamał. to było to dawno temu i w innym kraju.

Był człowiekiem uczciwym, ale rzadko bezpośrednim i poczuł się mile połechtany.

— W innym kraju mogę mówić inne kłamstwa powiedział. — Ale myślałem, że nie wolno panu przekazywać tej wiedzy… krajowcom, póki nie przystąpimy do Ekumeny.

— To nie jest zabronione. Po prostu nie ma takiego zwyczaju. Ja to jednak zrobię, jeżeli pan chce. I jeżeli potrafię, bo nie jestem mentorem.

— Są więc specjalni nauczyciele tej umiejętności?

— Tak. Nie na Starej Ziemi, gdzie często występują naturalne zdolności i gdzie, jak się mówi, matki przemawiają do nie narodzonych dzieci. Nie wiem, co te dzieci im odpowiadają. Ale większość z nas musi się tego uczyć, tak jak języka obcego. Albo raczej tak, jakby to był nasz język ojczysty tak późno odnaleziony.

Myślę, że rozumiał moje pobudki, dla których proponowałem mu naukę myślomowy, i bardzo chciał się jej nauczyć. Spróbowaliśmy. Przypomniałem sobie najlepiej jak umiałem, jak mnie uczono w wieku lat dwunastu. Powiedziałem mu, żeby oczyścił umysł i pozostawił go w ciemności. Zrobił to niewątpliwie szybciej i dokładniej, niż mnie się to kiedykolwiek udało, był przecież adeptem handlary. Wtedy przemówiłem do niego myślomową najwyraźniej jak potrafiłem. Bez rezultatu. Spróbowaliśmy jeszcze raz. Ponieważ nie można nadać, póki się nie odebrało, póki zdolności telepatyczne nie zostaną obudzone przez jeden choćby czysty odbiór, musiałem najpierw do niego dotrzeć. Próbowałem przez pół godziny, póki mi umysł nie ochrypł.

Wyglądał na przygnębionego.

— Myślałem, że to będzie łatwe — wyznał. Obu nas to zmęczyło i zrezygnowaliśmy z dalszych prób tego wieczoru.

Nasze następne wysiłki też nie były bardziej udane. Próbowałem nadawać do Estravena, kiedy. spał, przypomniawszy sobie, co mój mentor mówił o przypadkach "komunikatów sennych" wśród ludów przedtelepatycznych, ale nic z tego nie wyszło.

— Może moja rasa jest pozbawiona tej zdolności powiedział. — Mieliśmy wystarczającą ilość pogłosek i poszlak, żeby stworzyć słowo na oznaczenie tego zjawiska, ale nie znam u nas ani jednego potwierdzonego przypadku telepatii.

— To samo było z nami przez tysiące lat. Garstka naturalnych talentów nie rozumiejących swojego daru i pozbawionych partnera do kontaktu. U całej reszty w najlepszym wypadku zdolności uśpione. Mówiłem przecież, że poza urodzonymi talentami zdolność ta, choć

wynikająca z podstaw fizjologicznych, ma charakter psychologiczny, jest wytworem kultury, produktem ubocznym działalności umysłowej. Małe dzieci, osoby niedorozwinięte i członkowie społeczeństw prymitywnych nie mogą posługiwać się myślomową. Umysł musi najpierw działać w warunkach pewnej złożoności. Nie można budować aminokwasów z atomów wodoru, wcześniej musi dojść do dużo większego stopnia złożoności, ta sama sytuacja. Abstrakcyjne myślenie, zróżnicowane oddziaływanie społeczne, zawiłe przystosowania kulturalne, wrażliwość estetyczna i etyczna, wszystko to musi osiągnąć pewien poziom, zanim kontakt stanie się możliwy, zanim można będzie sięgnąć do ukrytego potencjału.

— Widocznie my, Getheńczycy, nie osiągnęliśmy tego poziomu.

— Znacznie go przekraczacie, ale potrzebny jest szczęśliwy przypadek, jak przy powstaniu aminokwasów… Albo żeby sięgnąć po porównanie ze sfery kultury — to tylko porównania, ale są one pomocne przy powstaniu metody naukowej i konkretnych, eksperymentalnych technik w nauce. Są w Ekumenie narody posiadające wysoką kulturę, złożoną organizację społeczną, filozofię, sztukę, etykę, styl wysoki i wielkie osiągnięcia we wszystkich tych dziedzinach, które jednak nigdy nie nauczyły się, jak dokładnie zważyć kamień. Teraz mogą się już oczywiście nauczyć, tyle że nie zrobiły tego przez pół miliona lat… Są narody, które nie mają wyższej matematyki, nic poza najprostszą praktyczną arytmetyką. Każdy z nich jest w stanie zrozumieć rachunek różniczkowy, ale żaden z nich go nie zna i nigdy nie znał. Nawiasem mówiąc, moja własna rasa, ziemianie, jeszcze trzy tysiące lat temu nie umiała posługiwać się zerem. — W tym miejscu Estraven zamrugał. — Co do Gethen, to interesuje mnie, czy reszta z nas odnajdzie w sobie zdolność do zaglądania w przyszłość, jeżeli nauczycie nas techniki, i czy to również jest częścią ewolucji umysłu.

— Czy uważa pan to za pożyteczną umiejętność?

— Sztukę dokładnej przepowiedni? Ależ oczywiście!

— Może, żeby móc ją ćwiczyć, będzie musiał pan uznać ją za bezużyteczną.

— Jestem zafascynowany waszą handdarą, ale nieraz zastanawiam się, czy to nie jest po prostu paradoks podniesiony do rangi stylu życia…

Spróbowaliśmy znów myślomowy. Nigdy dotąd nie nadawałem po wielekroć do kogoś całkowicie niewrażliwego. Doświadczenie nie było miłe. Zaczynałem się czuć jak modlący się ateista. Po jakimś czasie Estraven ziewnął.

— Jestem głuchy, głuchy jak pień powiedział. Lepiej chodźmy spać.

Zgodziłem się. Wyłączył światło mrucząc swoją krótką pochwałę

ciemności. Zakopaliśmy się w śpiwory i po kilku minutach Estraven zagłębiał się już w sen jak pływak w ciemną wodę. Czułem ten jego sen jak swój własny, czułem też więź między nami i jeszcze raz przemówiłem do niego sennie po imieniu: "Therem".

Poderwał się gwałtownie, bo jego głos zabrzmiał w ciemności nad moją głową.

— Arek! Czy to ty?

"Nie, Genly Ai. Przemawiam do pana".

Wstrzymał oddech. Cisza. Manipulował przy piecyku, włączył światło i wpatrzył się we mnie pełnym lęku wzrokiem.

— Miałem sen. Myślałem, że jestem w domu…

— Usłyszał pan moją myślomowę.

— Zawołałeś mnie… To był mój brat. Usłyszałem jego głos. On nie żyje. Nazwał mnie pan… nazwałeś mnie Therem? Ja… To jest straszniejsze niż myślałem. — Potrząsnął głową jak człowiek, który chce uwolnić się od koszmarnego snu i ukrył twarz w dłoniach.

— Harth, bardzo pana przepraszam…

— Nie, zwracaj się do mnie po imienia Jeżeli potrafisz odzywać się wewnątrz mojej głowy głosem nieżyjącego człowieka, to możesz mi mówić po imieniu! Czy on powiedziałby do mnie "Harth"? Teraz rozumiem, dlaczego w myślomowie niemożliwe jest kłamstwo. To straszna rzecz… Dobrze, dobrze. Przemów do mnie znów.

— Zaczekaj.

— Nie. Mów.

Pod jego intensywnym, przestraszonym spojrzeniem przemówiłem: "Therem, przyjacielu, między nami nie ma miejsca na lęk".

Patrzył na mnie nadal, sądziłem więc, że do niego nie dotarłem, ale dotarłem.

— Niestety jest — powiedział.

Po chwili, opanowawszy się, dodał spokojnie:

— Mówiłeś moim językiem.

Przecież nie znasz mojego.

— Uprzedzałeś, że będą słowa, wiem… Ale wyobrażałem to sobie jako… zrozumienie.

— Empatia to inna gra, choć jest między nimi związek. Dzięki niej nawiązaliśmy dziś kontakt. Ale we właściwej myślomowie pobudzane są w mózgu ośrodki mowy oraz…

— Nie, nie. To mi wytłumaczysz później. Dlaczego odezwałeś się głosem mojego brata? — spytał z wyraźnym napięciem.

— Nie mogę ci na to odpowiedzieć, bo nie wiem. Opowiedz mi coś o nim.

— Nusuth… Mój pełny brat, Arek Harth rem ir Estraven był o rok starszy ode mnie. Byłby panem Estre. My… opuściłem dla niego dom.

Nie żyje od czternastu lat.

Obaj umilkliśmy. Nie wiedziałem i nie mogłem pytać, co kryło się za jego słowami. Choć powiedział tak mało, kosztowało go to i tak zbyt wiele.

Po chwili odezwałem się.

— Przemów do mnie, Therem. Nazwij mnie po imieniu. — Wiedziałem, że może to zrobić, bo mieliśmy kontakt, albo, jak mówią specjaliści, nasze fazy współbrzmiały, a on oczywiście nie umiał świadomie zastosować blokady. Gdybym był Słuchaczem, mógłbym teraz usłyszeć jego myśli.

— Nie — powiedział. — Nigdy. Jeszcze nie teraz…

Ale żaden szok czy lęk nie mogły powstrzymać tego nienasyconego, postukującego umysłu na długo. Kiedy znów wyłączył światło, usłyszałem swoim wewnętrznym słuchem, jak niepewnie mówi: "Genry". Nawet w myślomowie nie potrafił wymówić "1".

Odpowiedziałem mu natychmiast. W ciemności wydał nieartykułowany dźwięk przestrachu, w którym zabrzmiała też nieśmiała nuta zadowolenia.

— Już więcej nie — powiedział na głos i po chwili wreszcie zasnęliśmy.

Nie szło mu łatwo. Nie dlatego, żeby mu brakło zdolności albo żeby nie potrafił zdobywać umiejętności, ale wprawiło go to w wielki niepokój i nie potrafił brać rzeczy takimi, jakie są. Szybko nauczył się budować bariery, ale nie jestem pewien, czy miał przekonanie, że może na nich polegać. Może my też byliśmy tacy, kiedy pierwsi mentorzy przybyli wieki temu ze Świata Rokanona, żeby nas nauczać "Ostatniej Umiejętności". Może Getheńczyk, będąc istotą wyjątkowo pełną, odbiera telepatyczny kontakt jako. naruszenie tej pełni, jako trudne do zniesienia naruszenie jego całości. A może to była sprawa charakteru Estravena, w którym szczerość i rezerwa były równie silne, a każde jego słowo wypływało z wewnętrznej ciszy. Słyszał mój głos przemawiający do niego jako głos człowieka nieżyjącego, jako głos brata. Nie wiem, co poza miłością i śmiercią leżało między nim a tym bratem, ale wiedziałem, że ilekroć do niego przemówiłem, coś się w nim wzdrygało, jakbym dotknął rany. Tak więc bliskość umysłów, jaka między nami zaistniała, była autentyczną więzią, ale jakąś ciemną i ubogą, nie tyle oświecającą (jak tego oczekiwałem), ile ukazującą bezmiar ciemności.

Tymczasem dzień za dniem pełzaliśmy na wschód po lodowej równinie. Planowany półmetek czasowy naszej podróży, trzydziesty piąty dzień, odorny anner, zastał nas daleko od połowy dystansu. Według licznika przy sankach przebyliśmy około sześciuset kilometrów, ale pewnie nie więcej niż trzy czwarte z tego zbliżyło nas do celu i tylko z wielkim przybliżeniem mogliśmy ustalić, ile nam

jeszcze zostało do przejścia.

— Sanki są teraz lżejsze — powiedział. — Pod koniec będą jeszcze lżejsze, a jeżeli będzie trzeba, możemy zmniejszyć racje. Odżywiamy się bardzo dobrze.

Myślałem, że to ironia, ale myliłem się.

Czterdziestego dnia i przez dwa następne byliśmy unieruchomieni przez zawieję. W czasie tych długich godzin bezczynnego leżenia w namiocie Estraven spał prawie bez przerwy i nic nie jadł, pijąc tylko w godzinach posiłków orsz albo wodę z cukrem. Nalegał, żebym ja jadł, chociaż po pół racji. Twierdził, że nie mam praktyki w głodowaniu.

Poczułem się tym dotknięty.

— A ty masz, jako książę i pierwszy minister?

— Genry, my ćwiczymy obywanie się bez jedzenia, póki nie zostaniemy ekspertami. Mnie jako dziecko uczono głodować w domu, w Estre, a później w stanicy Rotherer u handdarata. To prawda, że w Erhenrangu wyszedłem z wprawy, ale zacząłem odrabiać to w Misznory… Proszę, przyjacielu, posłuchaj mnie, ja wiem, co robię.

Posłuchałem go i oczywiście wiedział, co robi.

Przez cztery następne dni wędrowaliśmy w wielkim mrozie, a potem przyszła następna burza śnieżna dmąca nam w twarz ze wschodu z siłą huraganu. Po dwóch minutach od pierwszych podmuchów powietrze było tak gęste od śniegu, że nie widziałem Estravena z odległości dwóch metrów. Odwróciłem się plecami do niego, do sanek i do oślepiającego, duszącego śniegu, żeby złapać oddech, i kiedy po minucie odwróciłem się z powrotem, nie było go. Nie było sanek. Nic nie było. Zrobiłem kilka kroków w kierunku, gdzie przed chwilą znajdował się Estraven, i macałem wokół siebie rękami. Krzyczałem i nie słyszałem własnego głosu. Byłem głuchy i całkiem sam we wszechświecie ciasno wypełnionym małymi, siekącymi smugami szarości. Wpadłem w panikę i zacząłem iść na oślep przed siebie wysyłając w myślomowie gorączkowe wołanie: "Therem!"

Klęcząc tuż pod moją ręką powiedział:

— Choć, pomóż mi przy namiocie.

Pomogłem mu nie wspominając o chwili paniki. Nie było potrzeby.

Ta burza trwała dwa dni. Pięć dni straconych, a będzie takich więcej. Nimmer i anner to miesiące wielkich burz.

— Zaczynamy kroić coraz cieniej, co? — powiedziałem któregoś wieczoru odmierzając porcje giczy-miczy i wkładając je do gorącej wody.

Spojrzał na mnie. Na jego mocnej, szerokiej twarzy widać było oznaki wychudzenia, oczy mu zapadły, pod kośćmi policzkowymi rysowały się głębokie cienie, wargi miał spierzchnięte i popękane. Bóg jeden wie, jak ja musiałem wyglądać, jeżeli on był w takim stanie.

Uśmiechnął się.

— Jeżeli szczęście nam dopisze, to dojdziemy, a jak nie, to nie.

Mówił to od początku. Przy wszystkich moich emocjach, przy poczuciu, że podejmujemy ostatnią, rozpaczliwą próbę, zabrakło mi realizmu, żeby mu uwierzyć. Nawet teraz myślałem sobie: "Przecież tyle wysiłku nie może pójść na marne…"

Ale Lód nie wiedział nic o naszym wysiłku. Po co miałby wiedzieć? Proporcja jest zachowana.

— A jak tam twoje szczęście, Therem? — spytałem. Nie uśmiechnął się. I nie odpowiedział. Dopiero po chwili odezwał się:

— Myślałem o nich wszystkich tam, w dole. — "Dół" oznaczał dla nas południe, świat poniżej pokrywy lodu, region ziemi, ludzi, dróg i miast, tego wszystkiego, co stawało się dla nas coraz mniej realne. — Wiesz, że wysłałem do króla wiadomość o tobie w dniu wyjazdu z Misznory. Przekazałem mu to, czego dowiedziałem się od Szusgisa, że będziesz zesłany do gospodarstwa Pulefen. Wtedy nie miałem jeszcze ścisłego planu, ale kierowałem się impulsem. Jednak od tamtego czasu przemyślałem ten impuls dokładnie. Może się zdarzyć coś takiego: król dostrzeże szansę gry w szifgrethor. Tibe będzie mu to odradzał, ale Argaven powinien mieć już trochę dość Tibe'a i może zignorować jego radę. Zacznie się pytać. Gdzie jest wysłannik, gość Karbidu? Misznory będzie kłamać. Zmarł jesienią na febrę horm, wyrazy współczucia. W takim razie dlaczego nasza własna ambasada informuje nas, że znajduje się w gospodarstwie Pulefen? Nie ma go tam, proszę sprawdzić. Nie, ależ skąd, wierzymy słowu Wspólnoty Orgoreynu… Tymczasem w kilka tygodni po tej wymianie zdań wysłannik pojawia się w północnym Karbidzie po ucieczce z gospodarstwa Pulefen. Konsternacja w Misznory, oburzenie w Erhenrangu. Utrata twarzy przez Wspólnotę przyłapaną na kłamstwie. Staniesz się skarbem, Genry, zaginionym bratem z ogniska króla Argavena. Na jakiś czas. Musisz natychmiast przy pierwszej nadarzającej się okazji wezwać statek. Sprowadź swoich ludzi do Karbidu i załatw swoją sprawę jak, najszybciej, zanim Argaven będzie miał czas dostrzec w tobie potencjalnego wroga, zanim Tibe albo jakiś inny członek rady nastraszy go jeszcze raz, grając na jego szaleństwie. Jeżeli zawrze z tobą umowę, dotrzyma jej, bo łamiąc ją złamałby swój własny szifgrethor. Królowie z dynastii Harge dotrzymują obietnic. Ale musisz działać szybko i jak najszybciej sprowadzić statek.

— Zrobię tak, jak tylko otrzymam najmniejszy znak zaproszenia.

— Nie. Wybacz, że ci daję rady, ale nie wolno ci czekać na zaproszenie. Myślę, że będziesz życzliwie przyjęty. Twój statek też. Karbid w ciągu ubiegłego półrocza przeżył duże upokorzenia. Dasz Argavenowi szansę odegrania się. Myślę, że on skorzysta z tej szansy.

— Bardzo dobrze, ale ty tymczasem…

— Ja jestem Estraven Zdrajca. Nie mam z tobą nic wspólnego.

— Początkowo.

— Początkowo — zgodził się.

— Czy będziesz mógł się ukryć, jeżeli w pierwszym okresie będzie jakieś niebezpieczeństwo?

— O tak, oczywiście.

Kolacja była gotowa i to pochłonęło naszą uwagę. Jedzenie stało się tak ważnym i absorbującym zajęciem, że nigdy nie rozmawialiśmy podczas posiłku; tabu działało teraz w pełnej i zapewne pierwotnej formie, ani słowa, póki nie zostanie zjedzona ostatnia okruszyna.

— Cóż, mam nadzieję, że przewidziałem to trafnie powiedział, kiedy zjedliśmy. — I… że mi przebaczysz.

— To, że mi udzieliłeś rady? — spytałem, bo pewne rzeczy zaczynałem wreszcie rozumieć. — Ależ oczywiście, Therem. Jak możesz w to wątpić. Wiesz przecież, że nie mam szifgrethoru, z którego musiałbym rezygnować. — To go rozbawiło na chwilę, ale zaraz znów się zasępił.

— Dlaczego — spytał po chwili — dlaczego przybyłeś sam, dlaczego wysłano cię samego? Wszystko teraz będzie zależało od tego, czy twój statek przyleci. Dlaczego tak wszystko utrudniono tobie i nam?

— Taki jest zwyczaj w Ekumenie i ma on swoje uzasadnienie. Chociaż, prawdę mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek rozumiałem to uzasadnienie. Myślałem, że to ze względu na was przybyłem sam, tak wyraźnie sam, tak bezbronny, że nie mogłem stanowić żadnego zagrożenia ani wpłynąć na równowagę sił: nie inwazja, ale po prostu posłaniec. Lecz jest w tym coś więcej. Będąc sam nie mogę zmienić waszego świata, ale za to ja mogę być przezeń zmieniony. Będąc sam muszę nie tylko mówić, ale i słuchać. Kontakt, jaki w końcu nawiążę, jeżeli mi się to uda, nie będzie czysto polityczny, bezosobowy. Będzie on indywidualny, osobisty, będzie czymś mniejszym i zarazem większym niż kontakt polityczny. Nie "my" i "oni", nie "ja" i "to", ale "ja" i "ty". Więź nie polityczna i pragmatyczna, ale mistyczna. W pewnym sensie Ekumena nie jest organizmem politycznym, lecz mistycznym. Uważa, że początki są ogromnie ważne. Początki i środki. Jej doktryna jest przeciwieństwem zasady, że cel uświęca środki. Dlatego działa sposobami subtelnymi i powolnymi, a także dziwnymi i ryzykownymi, podobnie jak ewolucja, która w pewnym sensie jest dla niej wzorem… Zostałem więc wysłany sam. Ze względu na was? Czy ze względu na mnie`.' Nie wiem. Tak, to niewątpliwie skomplikowało sprawy. Ale z równym pożytkiem mógłbym cię spytać, dlaczego nigdy nie przyszło wam na myśl, żeby zbudować pojazd latający'? Jeden mały przemycony samolot zaoszczędziłby tobie i mnie wielu trudności!

— Jakiemu zdrowemu na umyśle człowiekowi przyszłoby do głowy. że można latać? powiedział Estraven surowo. Była to sensowna odpowiedź na planecie, gdzie nie ma żadnych istot skrzydlatych i nawet anioły Świętej Hierarchii Jomesz nie latają, tylko opadają bezskrzydłe na ziemię jak płatki śniegu albo jak niesione wiatrem nasiona w tym świecie bez kwiatów.

W połowie miesiąca nimmer, po okresie wiatrów i ostrych mrozów, mieliśmy przez wiele dni dobrą pogodę. Jeżeli były burze, to daleko na południe od nas, tam w dole, a my, w środku zamieci, mieliśmy zachmurzenie przy prawie bezwietrznej pogodzie. Początkowo pokrywa chmur nie była gruba i powietrze przesycało równe. rozproszone światło słoneczne odbite od chmur i od śniegu, z dołu i od góry. Przez noc pogoda się pogorszyła. Wszelkie światło znikło, nie zostało nic. Wyszliśmy z namiotu w nicość. Sanki i namiot były, Estraven stał obok mnie, ale ani on, ani ja nie rzucaliśmy cienia. Przyćmione, matowe światło wypełniało wszystko. Kiedy stąpaliśmy po skrzypiącym śniegu, z braku cienia nie widać było odbicia stopy. Nie zostawialiśmy śladów. Sanki, namiot, on, ja i absolutnie nic więcej. Nie było słońca, nieba, horyzontu, świata. Białawoszara pustka, w której byliśmy jakby zawieszeni. Złudzenie było tak doskonałe, że miałem kłopot z utrzymaniem równowagi. Moje ucho wewnętrzne przywykło do potwierdzania informacji o moim położeniu ze strony wzroku, teraz go nie dostawało, jakbym oślepł. Było to do zniesienia, póki się pakowaliśmy, ale marsz, kiedy ma się przed sobą pustkę, nic, na co można patrzeć, nic, na czym można by oko zatrzymać, był początkowo tylko denerwujący, a potem stał się wyczerpujący. Poruszaliśmy się na nartach po dobrym, firnowym śniegu bez zasp, twardym,, tego byliśmy pewni przez pierwsze dwa kilometry. Powinniśmy mieć dobre tempo. Mimo to posuwaliśmy się coraz wolniej szukając po omacku drogi, mimo że nic jej nie zasłaniało, i trzeba było największego wysiłku woli, żeby iść normalnym tempem. Każda najmniejsza nierówność powierzchni stanowiła szok, jak przy wchodzeniu na schody niespodziewany stopień albo brak spodziewanego stopnia, nie byliśmy na nią przygotowani, bo brakowało cienia, który by ją ujawniał. Z otwartymi oczami poruszaliśmy się jak ślepcy. Trwało to dzień za dniem i zaczęliśmy skracać dzienne przemarsze, ho już wczesnym popołudniem ociekaliśmy potem i drżeliśmy z napięcia i wyczerpania. Zacząłem tęsknić za padającym śniegiem, za zawieją, za czymkolwiek, ale co rano wychodziliśmy z namiotu w pustkę, białą pogodę, w to, co Estraven nazywał "bezcienieni".

W dniu odorny nimmer, sześćdziesiątego pierwszego dnia naszej podróży, koło południa, ta pozbawiona wszelkich cech ślepa pustka wokół nas popłynęła i zafalowała. Uznałem, że zwodzą mnie oczy, jak

się to często zdarzało, i nie zwracałem uwagi na niejasne i niezrozumiałe ruchy powietrza, aż nagle dostrzegłem przebłysk małego, bladego, martwego słońca nad głową. A poniżej, wprost przed nami ujrzałem olbrzymi czarny kształt wypiętrzający się naprzeciw nas z pustki. Czarne macki wiły się i wyciągały w górę. Zatrzymałem się jak wryty obracając przy tym Estravena na jego nartach, bo byliśmy razem wprzęgnięci do sanek.

— Co to jest? — spytałem.

Estraven przyjrzał się czarnym, potwornym kształtom ukrytym we mgle i po chwili powiedział:

— Turnie… To muszą być Turnie Eszerhoth. — I ruszył dalej. Byliśmy oddaleni o całe kilometry od tego, co wydało mi się wznosić tuż-tuż przed nami. Stopniowo biała pogoda zmieniła się w gęstą, nisko ścielącą się mgłę, a potem przejaśniło się i przed zachodem słońca ujrzeliśmy je w całej okazałości: nunataki, wielkie, spękane i zerodowane wierzchołki skał sterczące z lodu, ukazujące nie większą część niż pływające góry lodowe, zatopione w lodzie góry, śpiące od eonów.

Wskazywały one. że znaleźliśmy się nieco na północ od naszej najkrótszej trasy, jeżeli mogliśmy wierzyć po amatorsku sporządzonej mapie, jedynej, jaką mieliśmy. Następnego dnia po raz pierwszy zboczyliśmy nieco na południowy wschód.

19. Powrót

Przy pochmurnej i wietrznej pogodzie parliśmy przed siebie usiłując czerpać zachętę z widoku Turni Eszerhoth, pierwszej od siedmiu tygodni rzeczy, która nie była lodem, śniegiem lub niebem. Na mapie były zaznaczone jako niezbyt odległe od bagien Szenszey na południu i zatoki Guthen na wschodzie. Ale mapa nie była dokładna, a my byliśmy coraz bardziej wyczerpani.

Musieliśmy znajdować się bliżej południowego skraju lodowca gobryńskiego, niż to wynikało z mapy, bo już na drugi dzień, odkąd skręciliśmy w kierunku południowym, zaczęliśmy natykać się na stary lód i szczeliny. Lód nie był tu tak przeorany i pofałdowany jak w okolicy Ognistych Wzgórz, ale za to był rozmokły. Spotykaliśmy rozległe zagłębienia, które pewnie w lecie zmieniały się w jeziora; zdradzieckie miejsca, które mogły zarwać się pod człowiekiem, z głośnym jakby westchnieniem, na głębokość kilkudziesięciu centymetrów; całe strefy pokryte dziurami i rysami. Coraz częściej także zdarzały się wielkie szczeliny; stare kaniony w Lodzie, jedne szerokie jak górskie wąwozy, inne wąskie, ale głębokie. W dniu odyrny ninmmer (według dziennika Estravena, bo ja nie prowadziłem rachuby) świeciło słońce i wiał silny północny wiatr. Przeciągając sanki przez mosty lodowe nad węższymi szczelinami mogliśmy zajrzeć w głąb błękitnych szybów i przepaści z prawa i lewa, w które kawałki lodu strącone przez płozy spadały z donośnym, ale delikatnym dźwiękiem, jakby cienkie kryształowe płatki potrącały o srebrne struny. Pamiętam rześką, nierealną, na granicy zawrotu głowy przyjemność tego porannego marszu w blasku słońca nad przepaściami. Wkrótce jednak niebo zaczęło bieleć, powietrze gęstnieć, cienie znikać. Błękit ulatniał się z nieba i ze śniegu. Nie byliśmy przygotowani na niebezpieczeństwo białej pogody na takiej powierzchni. Ponieważ lód był nierówny, Estraven ciągnął, a ja pchałem. Wzrok miałem utkwiony w sanki i szedłem myśląc tylko o tym, jak najlepiej pchać, kiedy nagle sanki skoczyły do przodu omal nie wyrywając się z mojego uchwytu. Wczepiłem się w nie instynktownie i zawołałem "hej!" do Estravena, żeby tak nie pędził, sądząc, że przyśpieszył na równej drodze. Ale sanki utknęły w miejscu przechylone do przodu, a Estraven znikł.

Omal nie wypuściłem z rąk poręczy, żeby rzucić się na poszukiwanie go. Czysty przypadek zdecydował, że tego nie zrobiłem. Trzymając poręcz rozglądałem się wokół ogłupiały i nagle ujrzałem skraj szczeliny, która uwidoczniła się, kiedy odłamał się i odpadł następny fragment mostu śnieżnego. Estraven spadł nogami w przód i tylko mój ciężar powstrzymywał od pójścia w jego ślady sanki, które

jedną trzecią długości płóz stały jeszcze na twardym lodzie. Ciężar Estravena zwisającego w uprzęży przechylał je powoli coraz bardziej.

Całym ciałem nacisnąłem na tylną poręcz i ciągnąc, kołysząc i wciskając w lód sanki usiłowałem oddalić je od skraju szczeliny. Nie szło mi łatwo, ale wykorzystując wszystkie siły i szarpiąc za poręcz ruszyłem oporne sanki, które nagle gwałtownie odsunęły się od przepaści. Estraven sięgnął rękami skraju szczeliny i teraz mi pomagał. Gramoląc się, ciągnięty przez uprząż, wczołgał się na równy lód i padł twarzą w dół.

Ukląkłem obok niego i starałem się rozpiąć uprząż zaniepokojony tym, jak leżał bezwładnie, tylko spazmatycznym oddechem zdradzając, że żyje. Wargi miał sine, połowę twarzy potłuczoną i otartą do krwi.

Po chwili usiadł niepewnie i świszczącym szeptem powiedział:

— Błękitne… wszystko błękitne… Wieże w otchłani…

— Co ty mówisz?

— Tam, w szczelinie. Wszystko błękitne… rozświetlone.

— Czy nic ci nie jest?

Zaczął z powrotem zapinać uprząż.

— Ty idź przodem… na linie… z kijem — wykrztusił. Wybieraj drogę.

Całymi godzinami jeden z nas ciągnął, podczas gdy drugi prowadził stąpając jak kot po wydmuszkach, sprawdzając grunt kijem przed każdym krokiem. W białej pogodzie nie widać szczeliny, póki się do niej nie zajrzy. Trochę późno. ponieważ na skrajach gromadziły się nawisy, nie zawsze pewne. Każdy krok był niespodzianką, stopniem w górę lub w dół. Żadnego cienia. Równa, biała, bezgłośna sfera, posuwaliśmy się jak wewnątrz wielkiej kuli z mrożonego szkła. W kuli nie było nic i na zewnątrz nie było nic. Ale w szkle były pęknięcia. Próba i krok. Próba i krok. Szukanie niewidocznych pęknięć, przez które można wypaść z białej szklanej kuli i spadać, spadać, spadać… Stopniowo moje mięśnie stężały w nie słabnącym napięciu. Zrobienie choćby jednego następnego kroku stało się wysiłkiem ponad siły.

— Co się stało, Genry?

Stałem pośrodku pustki. Łzy napłynęły mi do oczu i zamarzły zlepiając powieki.

— Boję się, że spadnę — powiedziałem.

— Jesteś przecież na linie — odparł, ale zobaczywszy, że w pobliżu nie ma żadnej szczeliny, zrozumiał, o co chodzi, i dodał: — Rozbijamy obóz.

— Jeszcze nie czas, musimy iść dalej.

Estraven już rozpakowywał namiot.

Później, kiedy zjedliśmy, powiedział:

— To był właściwy czas, żeby się zatrzymać. Chyba nie możemy iść w tę stronę. Lodowiec obniża się tu stopniowo i wszędzie będzie podmokły i popękany. Gdybyśmy mogli widzieć, to co innego, ale nie przy bezcieniu.

— Jak więc dojdziemy do Bagien Szenszey?

— Jeżeli pójdziemy na wschód zamiast na południe, może uda nam się dojść aż do zatoki Guthen po twardym lodzie. Płynąc kiedyś statkiem po zatoce widziałem Lód w środku lata. Dochodzi on tam do Czerwonych Wzgórz i lodowymi rzekami spływa do zatoki. Gdybyśmy zeszli jednym z tych jęzorów, moglibyśmy pójść na południe po zamarzniętym morzu i wejść do Karhidu od strony wybrzeża, a nie przez granicę, co byłoby dla nas lepsze. Wydłużyłoby to naszą drogę o jakieś trzydzieści do siedemdziesięciu kilometrów. Co o tym sądzisz, Genry?

— Sądzę, że nie potrafię zrobić dziesięciu kroków, póki nie ustąpi ta biała pogoda.

— Ale jeżeli wyjdziemy tam, gdzie nie ma szczelin…

— A, jeżeli wyjdziemy tam, gdzie nie ma szczelin, to proszę bardzo. A jeżeli kiedyś jeszcze wyjrzy słońce, to możesz siadać na sanki i dowiozę cię gratis do Karhidu. Była to typowa próbka żartu na tym etapie naszej podróży. Żarty były nieodmiennie kiepskie, ale czasami wywoływały uśmiech współtowarzysza. — Nic mi nie jest — dodałem. — To tylko ostry przypadek chronicznego strachu.

— Strach jest bardzo pożyteczny. Jak ciemność, jak cień. — Uśmiech Estravena był brzydką szczeliną w łuszczącej się, spękanej brązowej masce, w której osadzono dwa czarne kamyki pod strzechą czarnego futra. — To dziwne, że światło dzienne nie wystarcza. Żeby iść, potrzebujemy cienia.

— Daj mi na chwilę swój notes.

Właśnie odnotował nasz dzienny przemarsz i skończył jakieś obliczenia kilometrów i racji żywnościowych. Posunął w moją stronę mały zeszyt i ołówek. Na białej wyklejce tylnej wewnętrznej okładki przedzieliłem koło literą S i zaczerniłem połówkę in, po czym oddałem notes Estravenowi. Czy znasz ten symbol? — spytałem.

Przyglądał mu się dłuższą chwilę z dziwnym wyrazem twarzy.

— Nie — powiedział.

— Spotyka się go na Ziemi, na Hain i na Cziffewar. To in i jang. "Światło jest lewą ręką ciemności…", jak to szło? Światło i ciemność. Strach i odwaga. Zimno i ciepło. Żeńskie i męskie. To jesteś ty, Therem. Oba w jednym. Cień na śniegu.

Następnego dnia wędrowaliśmy tak długo na północny wschód, aż w białej pustce pod nogami nie było już żadnych szczelin — cały jeden dzienny przemarsz. Ograniczyliśmy się do dwóch trzecich racji,

żeby nam starczyło jedzenia na dłuższą trasę. Ja uważałem, że to nie ma sensu, bo różnica między mało a nic wydawała mi się nieistotna, Estraven jednak tropił swoje szczęście, idąc za czymś, co sprawiało wrażenie przeczucia czy intuicji, ale mogło być wykorzystaniem doświadczenia i logiki. Szliśmy na wschód przez cztery dni robiąc cztery najdłuższe przemarsze, od dwudziestu pięciu do trzydziestu kilometrów, i wtedy bezwietrzna mroźna pogoda pękła i rozsypała się, zmieniając się w zawichrowania drobnych śnieżynek przed nami, z tyłu, z boków, w oczach. W gasnącym świetle dnia zaczynała się burza śnieżna. Leżeliśmy w namiocie przez trzy dni, a zawieja wrzeszczała na nas trzydniowym, bezsłownym, pełnym nienawiści rykiem z płuc, które nie muszą nabierać powietrza.

"Doprowadzi mnie do tego, że ja też zacznę na nią wrzeszczeć" — przekazałem Estravenowi w myślomowie, na co on z charakterystyczną, pełną wahania sztywnością odpowiedział: "Nie warto. Nie będzie słuchać".

Spaliśmy ile się dało, jedliśmy bardzo niewiele, opatrywaliśmy odmrożenia. skaleczenia i otarcia, porozumiewaliśmy się myślomową i dalej spaliśmy. Trzydniowy wrzask przeszedł w bełkot, potem w łkanie i wreszcie w ciszę. Wstał dzień. Przez otwartą śluzę zajaśniało niebo. Widok ten dodał nam ducha, chociaż byliśmy zbyt wyczerpani, żeby nasz lepszy nastrój uwidocznił się w żwawości i energii naszych ruchów. Zwinęliśmy obóz, co zajęło nam prawie dwie godziny, bo guzdraliśmy się jak para niedołężnych starców, i wyruszyliśmy. Droga niewątpliwie prowadziła pod lekkim kątem w dół, pokrywa śnieżna była idealna dla nart, świeciło słońce. Termometr pokazywał -23. Mieliśmy uczucie. że z każdym krokiem odzyskujemy siły, szło nam się szybko i lekko. Tego dnia byliśmy w drodze aż do pierwszych gwiazd na niebie.

Na kolację Estraven wydał pełne racje. Przy takich porcjach starczyłoby nam jedzenia zaledwie na siedem dni.

— Koło się kręci — stwierdził pogodnie. — Żeby dobrze iść, musimy dobrze jeść.

— Jedzcie, pijcie i weselcie się powiedziałem. Jedzenie uderzyło mi do głowy. Roześmiałem się jak z czegoś bardzo śmiesznego. — Wszystko razem, jedzenie-picie-wesołość. Nie można mieć wesołości bez jedzenia, dziwne, co? Wydało mi się to tajemnicą na miarę kręgu in-jung, ale nie na długo. Coś w wyrazie twarzy Estravena odwróciło moją uwagę. Potem miałem ochotę wybuchnąć płaczem, ale się pohamowałem. Estraven nie był tak silny jak ja i nie byłoby to uczciwe. mogłoby i jego sprowokować do płaczu. On tymczasem już spał. Zasnął na siedząco, z miską na kolanach. To było do niczego niepodobne, taki nieporządek. Ale pomysł nie był zły: spać.

Obudziliśmy się następnego ranka dość późno, zjedliśmy

podwójne śniadanie. wprzęgliśmy się i pociągnęliśmy nasze lekkie sanki na skraj świata.

Za skrajem świata, który był stromym biało-czerwonym rumowiskiem, w bladym południowym świetle rozciągało się zamarznięte morze: zatoka Guthen skuta lodem od brzegu . do brzegu i od Karbidu aż po biegun północny.

Zejście w dół do morza przez ostre krawędzie, uskoki i rowy lodowca wciśniętego między Czerwone Wzgórza zajęło nam całe popołudnie i cały następny dzień. Tego drugiego dnia porzuciliśmy sanki i spakowaliśmy się w plecaki. Jeden mieścił namiot, reszta rzeczy poszła do drugiego, żywność była podzielona równo, razem wypadało niewiele ponad dziesięć kilo na osobę do niesienia. Dodałem do swojego ciężaru piecyk i jeszcze nie miałem piętnastu kilo. Przyjemnie było uwolnić się od ciągłego pchania, ciągnięcia i wyszarpywania uwięzłych sanek, co powiedziałem Estrawenowi. Obejrzał się na sanki, małe i niepotrzebne wśród bezkresnego rumowiska lodu i czerwonawych kamieni.

Służyły nam dobrze — powiedział. Jego lojalność rozciągała się również na przedmioty, cierpliwe, wytrwałe, wierne przedmioty, których używamy i do których się przyzwyczajamy, które pomagają nam żyć. Żal mu było sanek.

Tego wieczoru, siedemdziesiątego piątego wieczoru naszej podróży, po pięćdziesięciu jeden dniach na lodowym płaskowyżu, w dniu harhahad annen, zeszliśmy z Lodu Gobrin na morski lód zatoki Guthen. Znów szliśmy długo, aż do zmroku. Powietrze było bardzo mroźne, ale czyste i spokojne, a równa powierzchnia lodu i brak sanek zachęcały nasze narty do jazdy. Kiedy rozbiliśmy obóz tego wieczoru, dziwnie było pomyśleć przed zaśnięciem. że nie mamy już pod sobą półtora kilometra lodu, a tylko kilkadziesiąt centymetrów i pod tym słoną wodę. Ale nie trawiliśmy zbyt wiele czasu na rozmyślania. Zjedliśmy i usnęliśmy.

Rano znów pogodny dzień, choć strasznie mroźny, minus czterdzieści stopni o świcie. Zobaczyliśmy na południu brzeg, tu i ówdzie wybrzuszony jęzorami lodowca, biegnący prawie w prostej linii na południe. Poszliśmy początkowo trzymając się tuż przy brzegu. Pomagał nam północny wiatr, póki nie dotarliśmy do wylotu doliny między dwoma wysokimi pomarańczowymi wzgórzami. Z tego wąwozu powiał wiatr, który nas obu zwalił z nóg. Uciekliśmy dalej na wschód, na równy morski lód, aż do miejsca, gdzie wreszcie mogliśmy utrzymać się na nogach.

— Lodowiec Gobrin wypluł nas ze swoich ust powiedziałem.

Następnego dnia stało się widoczne, że linia brzegowa skręca na wschód. Z prawej strony mieliśmy Orgoreyn, ale ta błękitna krzywizna prosto przed nami to był Karhid.

W tym dniu zużyliśmy ostatnie ziarna orszu i resztki kiełków kadiku. Zostało nam po kilogramie gicy-miczy i parę łyżek cukru.

Stwierdzam, że nie potrafię zbyt dobrze opisać tych ostatnich dni naszej podróży, bo ich nie pamiętam. Głód może zaostrzać percepcję, ale nie w połączeniu z krańcowym wyczerpaniem. Myślę, że wszystkie moje zmysły były mocno przytępione. Pamiętam skurcze głodowe, ale nie pamiętam, żeby mi to sprawiało cierpienie. Jeżeli coś czułem, to było to niejasne poczucie wyzwolenia, przekroczenia jakiegoś progu, radości. A także potwornej senności. Dotarliśmy do lądu dwunastego dnia, posthe anner, i po zamarzniętej plaży wdrapaliśmy się na skalistą, śnieżną pustkę wybrzeża Guthen.

Byliśmy w Karhidzie. Osiągnęliśmy nasz cel. Niedużo brakowało, a byłoby to puste osiągnięcie, bo nasze plecaki były puste. Dla uczczenia naszego przybycia napiliśmy się gorącej wody. Następnego dnia rano wstaliśmy i wyruszyliśmy na poszukiwanie jakiejś drogi, jakiegoś osiedla. Jest to region odludny i nie mieliśmy jego mapy. Jeżeli były tam jakieś drogi, to przykrywało je teraz półtora albo i dwa metry śniegu i mogliśmy nie wiedząc o tym przejść kilka. Nie widzieliśmy żadnych oznak uprawy ziemi. Tego dnia szliśmy na chybił trafił w kierunku. południowym i zachodnim, a wieczorem następnego dnia, kiedy zobaczyliśmy światło na zboczu dalekiego wzgórza przebijające się przez mrok i rzadki padający śnieg, żaden z nas nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

Wreszcie mój towarzysz wychrypiał:

— Czy to jest światło?

Było już dawno po zmroku, kiedy chwiejnym krokiem weszliśmy do karhidzkiej wioski. jednej ulicy między ciemnymi domami o wysokich dachach, z ubitym śniegiem sięgającym do zimowych drzwi. Stanęliśmy przed karczmą, skąd przez wąskie okiennice tryskało stożkami, snopami i strużkami żółte światło, które dostrzegliśmy z odległego wzgórza. Otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do środka.

Był to odsordnr anner, osiemdziesiąty pierwszy dzień naszej podróży. Mieliśmy jedenaście dni opóźnienia w stosunku do planu Estravena. Zapasy żywności ocenił dokładnie: na siedemdziesiąt osiem dni w najlepszym przypadku. Przebyliśmy tysiąc trzysta kilometrów według licznika przy sankach plus to, co w ostatnich kilku dniach. Wiele z tego zostało zmarnowane na kluczenie i gdybyśmy rzeczywiście mieli tysiąc trzysta kilometrów do przejścia, to nigdy byśmy nie dotarli na miejsce, bo kiedy dostaliśmy do rąk rzetelną mapę, stwierdziliśmy, że odległość z gospodarstwa Pulefen do tej wioski wynosi niecałe tysiąc sto kilometrów. A wszystkie te kilometry i dni w bezludnej i milczącej pustce, nic tylko skały, lód, niebo i cisza, przez osiemdziesiąt jeden dni nic, tylko my dwaj.

Weszliśmy do wielkiego, gorącego, jasno oświetlonego

pomieszczenia wypełnionego jedzeniem i zapachami jedzenia, ludźmi i głosami ludzi. Chwyciłem Estravena za ramię. Zwróciły się ku nam obce twarze, obce oczy. Zapomniałem, że są na świecie ludzie, którzy nie wyglądają jak Estraven. Byłem przerażony.

W rzeczywistości pomieszczenie było dość małe, a tłum nieznajomych składał się z siedmiu czy ośmiu ludzi, którzy niewątpliwie byli początkowo równie wstrząśnięci jak ja. Nikt nie przychodzi do Kurkurast w środku zimy, po ciemku, od strony północy: Patrzyli, wytrzeszczali oczy i wszystkie głosy ucichły.

— Prosimy o gościnę w domenie — odezwał się Estraven ledwo słyszalnym szeptem.

Hałas, gwar, zamieszanie, poruszenie, powitania.

— Przyszliśmy przez Lód Gobrin.

Znów hałas, głosy, pytania. Otoczono nas.

— Może zajmiecie się moim przyjacielem?

Myślałem, że to ja powiedziałem, ale to był Estraven. Ktoś mnie siłą posadził. Przyniesiono nam jedzenie. Zatroszczono się o nas, przyjęto nas, zaproszono do domu.

Nieokrzesane, kłótliwe, porywcze dusze, wieśniacy z ubogiego kraju. Ich szczodrość stała się szlachetnym końcowym akordem tej morderczej podróży. Dawali nam obiema rękami, nie wydzielając, nie licząc. I Estraven przyjął to, co nam dawali, jak pan wśród panów albo jak żebrak wśród żebraków, człowiek między swymi.

Dla tych rybaków, którzy mieszkają na skraju skrajów, na ostatnim nadającym się do zamieszkania krańcu ledwo nadającego się do zamieszkania kontynentu, uczciwość jest równie niezbędna jak żywność. Muszą być uczciwi względem siebie, bo nie starcza tu na oszustwa. Estraven wiedział o tym i kiedy na drugi czy trzeci dzień zaczęli zadawać nam pytania, dyskretnie i nie wprost, z całym szacunkiem dla szifgrethoru, dlaczego postanowiliśmy spędzić zimę ha wędrówce po Lodzie Gobrin, odpowiedział natychmiast:

— Nie powinienem wybierać milczenia, a jednak wolę to niż kłamstwo.

— Wszystkim wiadomo, że szlachetni ludzie bywają wyjęci spod prawa, ale ich cień od tego się nie kurczy — powiedział karczmarz, druga rangą osoba we wsi po naczelniku, jako że jego lokal służy w zimie całej domenie za rodzaj salonu.

— Jeden człowiek może być wyjęty spod prawa w Karhidzie, a drugi w Orgoreynie — rzekł Estraven.

— To prawda. I jeden przez swój klan, a drugi przez króla w Erhenrangu.

— Król nie skraca niczyjego cienia, choć może próbować — zauważył Estraven i karczmarz wyglądał na usatysfakcjonowanego. Gdyby Estravena wygnał jego własny klan, byłby postacią podejrzaną,

ale zastrzeżenia króla nie miały znaczenia. Co do mnie, to byłem wyraźnie obcokrajowcem, a więc tym wygnanym z Orgoreynu, co mogło tylko przemawiać na moją korzyść.

Do końca nie ujawniliśmy przed naszymi gospodarzami z Kurkurast swoich nazwisk. Estraven bardzo nie chciał używać fałszywych, a do prawdziwych nie mogliśmy się przyznać. Ostatecznie samo odezwanie się do Estravena było zbrodnią, nie mówiąc o karmieniu go, odziewaniu i przyjmowaniu pod swoim dachem, jak to zrobili. Nawet ta odległa wioska na wybrzeżu Guthen miała radio, nie mogliby więc tłumaczyć się nieznajomością aktu wygnania. Jedynie rzeczywista ignorancja co do tożsamości gościa mogła stanowić jakieś usprawiedliwienie. Estraven zadbał o ich bezpieczeństwo, zanim mnie to w ogóle przyszło na myśl. Na trzeci dzień wieczorem przyszedł do mojego pokoju, żeby omówić nasz następny ruch.

Karhidzka wioska jest nieco podobna do pradawnych ziemskich zamków, bo też nie ma w niej oddzielnych, prywatnych domów. Jednak w wysokich, rozległych starych budynkach ogniska, domu handlowego, współdomeny (Kurkurast nie miało pana) i domu zewnętrznego każdy z pięciuset mieszkańców wioski mógł znaleźć spokój, a nawet odosobnienie w pokojach rozmieszczonych wzdłuż starożytnych korytarzy, między metrowej grubości murami. Nam przydzielono osobne pokoje na górnym piętrze ogniska. Siedziałem u siebie przy ogniu, małym, gorącym, bardzo wonnym ogniu, w którym płonął torf z bagien Szenszey, kiedy wszedł Estraven.

— Musimy stąd ruszać, Genry — powiedział. Pamiętam go, jak stał wśród cieni oświetlonego kominkiem pokoju. Był boso i miał na sobie jedynie luźne futrzane spodnie, które dostał od naczelnika. W zaciszu i tym, co uważają za ciepło swoich domów, Karhidyjczycy często chodzą na pół ubrani lub wręcz nadzy. Podczas naszej wyprawy Estraven zatracił całą gładką, przysadzistą solidność typową dla getheńskiej budowy; był wychudzony i pokryty bliznami, a twarz miał tak spaloną mrozem, jakby się poparzył. Był ciemną, twardą, a jednak jakoś ulotną postacią w tym ruchliwym, niespokojnym oświetleniu.

— Dokąd? — spytałem.

— Myślę, że na południe i na zachód. Do granicy. Najważniejszą sprawą jest teraz znalezienie ci silnej stacji nadawczej, która dosięgnie twojego statku. Potem ja muszę znaleźć sobie kryjówkę albo wrócić do Orgoreynu na jakiś czas, żeby nie ściągnąć kary na tych, którzy nam tu pomogli.

— Jak chcesz się dostać do Orgoreynu?

— Tak jak poprzednio: przejdę granicę. Orgotowie nic nie mają przeciwko mnie.

— A gdzie znajdę nadajnik?

— Nie bliżej niż w Sassinoth.

Skrzywiłem się. Odpowiedział uśmiechem.

— Nie ma czegoś bliżej? — spytałem.

— To jest około dwustu trzydziestu kilometrów. Przeszliśmy więcej w gorszych warunkach. Tutaj wszędzie są drogi, ludzie nam pomogą, może nas podwiozą na saniach motorowych.

Zgodziłem się, ale byłem przygnębiony perspektywą jeszcze jednego etapu naszej zimowej podróży, i to tym razem nie ku jakiemuś schronieniu, ale z powrotem do tej przeklętej granicy, gdzie Estraven będzie mógł wrócić na wygnanie, zostawiając mnie samego.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę i w końcu powiedziałem:

— Postawię jeden warunek, który Karhid będzie musiał spełnić, zanim przystąpi do Ekumeny. Argaven musi odwołać twoje wygnanie.

Milcząc patrzył w ogień.

— Mówię poważnie. Trzeba zacząć od rzeczy najważniejszych.

— Dziękuję ci, Genry. — Jego głos, kiedy mówił bardzo cicho tak jak teraz, miał brzmienie kobiece, był matowy i lekko zachrypnięty. Spojrzał na mnie łagodnie, bez uśmiechu. — Ale już dawno porzuciłem nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczę swój dom. Jestem wygnańcem od dwudziestu lat. To wygnanie nie jest znów takie bardzo inne. Ja sobie poradzę, a ty zajmij się sprawami swoimi i twojej Ekumeny. Odtąd jesteś skazany na samego siebie. A w ogóle to za wcześnie o tym mówić. Wpierw wyślij wiadomość na swój statek. Kiedy to zrobimy, zacznę myśleć o dalszych sprawach.

Zostaliśmy w Kurkurast jeszcze dwa dni, jedząc i odpoczywając, w oczekiwaniu na walec śnieżny, który miał przybyć z południa i podwieźć nas w drodze powrotnej. Nasi gospodarze zmusili Estravena, żeby opowiedział im całą historię naszego przejścia przez Lód. Opowiedział ją tak, jak tylko potrafi to zrobić ktoś wychowany w tradycji ustnej literatury, w jego ustach stała się sagą, pełną tradycyjnych zwrotów i nawet epizodów, ale wierną i żywą, od siarkowego ognia i ciemności przy przejściu między Drumnerem a Dremegole do ogłuszających podmuchów z górskich dolin, które szalały na zatoce Guthen, z komiczymi wstawkami, takimi jak jego upadek do szczeliny lodowej, i fragmentami mistycznymi, kiedy mówił o odgłosach i ciszy Lodu, o białej pogodzie bez cienia, o ciemności nocy. Słuchałem równie zafascynowany jak wszyscy, nie spuszczając wzroku z twarzy przyjaciela.

Wyjechaliśmy z Kurkurast stłoczeni jak śledzie w kabinie walca śnieżnego, jednej z tych wielkich maszyn, które ubijają śnieg na karhidyjskich drogach i stanowią główne zabezpieczenie przejezdności dróg w zimie, bo oczyszczenie ich pługami wymagałoby połowy czasu i pieniędzy królestwa. A w zimie i tak cały ruch odbywa się na płozach. Walec wlókł się z prędkością około trzech kilometrów na godzinę i dowiózł nas do następnej wioski na południe od Kurkurast

dawno po zmroku. Tam, jak zawsze, zostaliśmy życzliwie przyjęci, nakarmieni i umieszczeni na noc. Następnego dnia wyruszyliśmy pieszo. Znajdowaliśmy się teraz po lądowej stronie nadbrzeżnych wzgórz, zatrzymujących ataki północnego wiatru z zatoki Guthen, w gęściej zaludnionej okolicy i szliśmy nie od obozu do obozu, lecz od ogniska do ogniska. Dwa razy zostaliśmy podwiezieni saniami mechanicznymi, raz na odcinku — prawie pięćdziesięciu kilometrów. Drogi mimo częstych opadów śniegu były twarde i dobrze oznakowane. W plecakach zawsze mieliśmy żywność włożoną tam przez gospodarzy, zawsze na końcu drogi czekał nas dach i ogień.

A jednak te osiem czy dziewięć dni łatwego marszu i jazdy na nartach przez gościnną okolicę stanowiło najcięższą i najbardziej ponurą część naszej podróży, gorszą niż wspinaczka na lodowiec, gorszą niż dni głodu. Saga dobiegła końca, była nierozerwalnie związana z Lodem. Teraz byliśmy bardzo zmęczeni. Szliśmy nie w tę stronę. Nie było w nas już radości.

— Czasami trzeba iść w przeciwną stronę, niż obraca się koło fortuny — powiedział Estraven. Był tak samo pewny i spokojny jak zawsze, ale w jego chodzie, głosie, postawie energię zastąpiła wytrwałość, jakaś uparta determinacja. Był bardzo milczący i nie zdradzał ochoty do porozumiewania się myślomową.

Przybyliśmy do Sassinoth, miasta liczącego kilka tysięcy mieszkańców, położonego na wzgórzach nad zamarzniętą Ey: dachy białe, ściany szare, wzgórza upstrzone czarnymi plamami lasów i skalnych występów, pola i rzeka białe, za rzeką sporna dolina Sinoth, cała biała…

Doszliśmy tam prawie z pustymi rękami. Większość naszego ekwipunku podróżnego rozdarowaliśmy naszym życzliwym gospodarzom i został nam tylko piecyk, narty i odzież na grzbiecie. Tak uwolnieni od ciężaru szliśmy pytając kilkakrotnie o drogę nie do miasta, ale do pobliskiego gospodarstwa. Było to skromne domostwo, nie należące do domeny; pojedyncze gospodarstwo, które podlegało Zarządowi Doliny Sinoth. Estraven jako młody sekretarz w tym zarządzie przyjaźnił się z właścicielem i właściwie kupił to gospodarstwo dla niego, kiedy pomagał ludziom przesiedlać się na wschodni brzeg Ey w nadziei rozładowania sporu o dolinę. Otworzył nam drzwi sam gospodarz, przysadzisty łagodny osobnik w wieku Estravena. Nazywał się Thessiczer.

Estraven wędrował w tej okolicy z nasuniętym kapturem, żeby ukryć twarz. Obawiał się, że mogą go tu rozpoznać. Chyba niepotrzebnie. Trzeba by bardzo bystrego oka, żeby rozpoznać Hartha rem ir Estravena w tym wychudłym, wysmaganym wiatrami włóczędze. Thessiczer co chwila spoglądał na niego ukradkiem, nie mogąc uwierzyć, że ma przed sobą tego, czyje nazwisko usłyszał.

Thessiczer przyjął nas z należną gościnnością, choć jego środki były mizerne. Ale widać było, że nie jest szczęśliwy, że wolałby się od nas uwolnić. Było to zrozumiałe: udzielając nam schronienia ryzykował konfiskatę majątku. Ponieważ zawdzięczał go Estravenowi i mógłby być nędzarzem takim jak my, gdyby Estraven mu go nie zapewnił, żądanie od niego w zamian pewnego ryzyka nie wydawało się nieuzasadnione. Mój przyjaciel jednak prosił go o pomoc nie w imię wdzięczności, ale w imię przyjaźni, licząc nie na zobowiązania Thessiczera, lecz na jego uczucia. I rzeczywiście po początkowym przestrachu Thessiczer odtajał i z karhidyjską wybuchowością wpadł w nastrój wylewny i nostalgiczny wspominając z Estravenem przy ogniu dawne czasy i starych znajomych. Kiedy Estraven spytał go, czy nie wie o jakiejś kryjówce, opuszczonej lub samotnej farmie, gdzie banita mógłby przeczekać miesiąc albo dwa w nadziei na odwołanie jego wygnania, Thessiczer natychmiast powiedział:

— Proszę zostać u mnie.

Oczy Estravena zabłysły na dźwięk tych słów, ale nie przyjął oferty i Thessiczer, zgodziwszy się, że tak blisko Sassinoth nie byłoby bezpiecznie, obiecał znaleźć mu jakieś schronienie. Nie będzie to trudne, powiedział, jeżeli Estraven przyjmie fałszywe nazwisko i pójdzie do pracy jako kucharz albo parobek, co może nie będzie przyjemne, ale na pewno lepsze niż powrót do Orgoreynu.

— Cóż, u diabła, robiłby pan w tym Orgoreynie? Z czego by pan żył?

— Ze Wspólnoty — odparł mój przyjaciel z cieniem swojego uśmiechu wydry. — Oni tam zapewniają pracę każdej jednostce. Z tym nie ma kłopotu. Ale wolałbym zostać w Karbidzie… jeżeli pan uważa, że to da się zrobić…

Mieliśmy jeszcze piecyk, jedyną wartościową rzecz, jaka nam pozostała. Służył nam tak czy inaczej do samego końca podróży. Następnego ranka po przybyciu do gospodarstwa Thessiczera wziąłem piecyk i pojechałem na nartach do miasta. Estraven oczywiście nie poszedł ze mną, ale wytłumaczył mi, co mam zrobić, i wszystko się udało. Sprzedałem piecyk w Centrum Handlowym, wziąłem niemałą sumkę pieniędzy, jaką za niego dostałem, do Szkoły Rzemiosł na wzgórzu, gdzie mieściła się radiostacja, i zakupiłem dziesięć minut "prywatnej transmisji do osoby prywatnej". Wszystkie stacje mają wydzielony czas na podobne krótkofalowe transmisje. Ponieważ nadają je głównie kupcy do swoich zamorskich przedstawicieli albo kontrahentów na Archipelagu, w Sith albo Perunterze, koszt jest dość wysoki, ale nie jakiś szaleńczy. Niższy w każdym razie od ceny używanego piecyka przenośnego. Moje dziesięć minut wypadało na początku trzeciej godziny, czyli późno po południu. Nie chcąc wędrować przez cały dzień w tę i z powrotem między Thessiczerem a

Sassinoth, zostałem w mieście i zafundowałem sobie obfity, smaczny i tani posiłek w jadłodajni. Bez wątpienia kuchnia karhidzka biła na głowę orgocką. Jedząc przypomniałem sobie komentarz Estravena na ten temat, kiedy go spytałem, czy nienawidzi Orgoreynu. Przypomniałem sobie też jego głos, kiedy poprzedniego wieczoru mówił spokojnie, że wolałby pozostać w Karbidzie. Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, co to jest patriotyzm, na czym rzeczywiście polega miłość do kraju, jak rodzi się ta wierność i tęsknota, które zadrżały w głosie mojego przyjaciela, i jak taka autentyczna miłość często wyradza się w bezmyślny i zaciekły fanatyzm. Od czego się to zaczyna? Po obiedzie przechadzałem się po Sassinoth. Ruch w mieście, sklepy, domy towarowe, ulice, ożywione mimo mrozu i dmących śniegiem podmuchów sprawiały wrażenie teatru, czegoś nierealnego i oszałamiającego. Nie wyleczyłem się jeszcze całkowicie z lodowej samotności. Czułem się niepewnie wśród obcych i stale odczuwałem brak Estravena u boku.

O zmierzchu poszedłem stromą, pokrytą ubitym śniegiem ulicą do szkoły, a tam wpuszczono mnie do radiostacji i pokazano, jak obsługiwać nadajnik. W wyznaczonym mi czasie wysłałem sygnał przebudzenia do satelity przekaźnikowego na orbicie stacjonarnej, jakieś czterysta pięćdziesiąt kilometrów nad południowym Karhidem. Umieściłem go tam jako ubezpieczenie w przypadku takiej właśnie sytuacji, gdybym stracił astrograf i nie mógł prosić Ollul o zawiadomienie statku, a nie rozporządzałbym czasem ani sprzętem potrzebnym do bezpośredniego skontaktowania się ze statkiem na orbicie okołosłonecznej. Nadajnik w Sassinoth był więcej niż wystarczający, ale że satelita nie miał możliwości potwierdzenia odbioru, a tylko przekazywał sygnał na statek, nie miałem innego wyjścia, jak nadać sygnał i na tym poprzestać. Nie mogłem dowiedzieć się, czy moja wiadomość została odebrana i przekazana. Nie byłem też pewien, czy słusznie zrobiłem, że ją nadałem. Nauczyłem się przyjmować takie niepewności ze spokojem.

Ponieważ zaczęła się śnieżyca, a nie znałem dróg tak dobrze, żeby wędrować nimi p~ ciemku i w gęstym śniegu, musiałem przenocować w mieście. Mając jeszcze trochę pieniędzy spytałem o zajazd, na co zatrzymano mnie w szkole. Zjadłem kolację z gromadą wesołych studentów i położono mnie spać w internacie. Zasnąłem w przyjemnym poczuciu bezpieczeństwa, z wiarą w nadzwyczajną i niezawodną karhidzką gościnność. Wylądowałem od początku we właściwym kraju i teraz znów w nim byłem. Z tą myślą zasnąłem, ale obudziłem się wcześnie i bez śniadania wyruszyłem do gospodarstwa Thessiczera, po nocy wypełnionej niespokojnymi snami.

Wschodzące słońce, małe i zimne na jasnym niebie, rzucało ku zachodowi cienie z każdego kopczyka, z każdej nierówności na śniegu.

Droga była cała w plamach cienia i blasku. Na śnieżnych polach nie było żadnego życia, ale daleko na drodze zbliżała się w moją stronę płynnym, lekkim krokiem narciarza jakaś mała postać. Na długo przedtem, zanim mogłem rozpoznać twarz, wiedziałem, że to Estraven.

— Co się dzieje, Therem?

— Muszę dostać się do granicy — powiedział nie zatrzymując się nawet. Był już zdyszany. Odwróciłem się i razem podążyliśmy na zachód, ja ledwo za nim nadążałem. Tam gdzie droga skręcała do Sassinoth, zszedł z niej i pojechaliśmy przez pola. Przeszliśmy zamarzniętą Ey jakąś milę na północ od miasta. Brzegi były strome i pod koniec wspinaczki na drugi brzeg musieliśmy zatrzymać się dla złapania tchu. Nie byliśmy w formie odpowiedniej dla takiego wyścigu.

— Co się stało? Thessiczer?

— Tak. Usłyszałem go, jak nadawał przez krótkofalówkę. O świcie. — Pierś Estravena wznosiła się i opadała spazmatycznie jak wtedy, kiedy leżał na lodzie, na skraju błękitnej przepaści. — Tibe musiał wyznaczyć cenę na moją głowę.

— Przeklęty niewdzięczny zdrajca! — powiedziałem zacinając się. Miałem na myśli nie Tibe'a, lecz Thessiczera, który zdradził przyjaciela.

— To prawda — zgodził się Estraven — ale za dużo od niego wymagałem, za mocno obciążyłem jego małego ducha. Posłuchaj, Genry. Wracaj do Sassinoth.

— Odprowadzę cię przynajmniej do granicy.

— Możemy spotkać orgockich strażników.

— Zostanę po tej stronie. Na litość boską…

Uśmiechnął się. Wciąż jeszcze ciężko dysząc wstał i poszedł dalej, a ja z nim.

Jechaliśmy przez małe, zaśnieżone zagajniki, pagórki i pola spornej doliny. Nie kryliśmy się, nie skradaliśmy. Rozświetlone niebo, biały świat i my, dwie plamy cienia na nim, w ucieczce. Nierówności gruntu kryły przed nami granicę, póki nie zbliżyliśmy się do niej na dwieście metrów; wówczas nagle ujrzeliśmy ją jak na dłoni, wyznaczoną płotem. Jedynie kilkadziesiąt centymetrów słupów wystawało nad śnieg, ich czubki były pomalowane na czerwono. Nie widzieliśmy żadnych strażników po orgockiej stronie. Po naszej stronie widać było ślady nart i na południe od nas kilka małych postaci.

— Są strażnicy po tej stronie. Będziesz musiał zaczekać do zmroku, Therem.

— Inspektorzy Tibe'a — syknął ze złością i skręcił w bok.

Prześlizgnęliśmy się nad małym garbem, z którego przed chwilą

zjechaliśmy, i schroniliśmy się w najbliższym nadającym się do tego miejscu. Tam spędziliśmy cały długi dzień, w dolince wśród gęsto rosnących drzew hemmen, z czerwonawymi gałęziami przygiętymi pod ciężarem śniegu. Rozważaliśmy wiele planów: przesunięcia się na północ albo na południe wzdłuż granicy, żeby wydostać się z tej szczególnie zagrożonej strefy, pójścia przez wzgórza na wschód od Sassinoth, a nawet zawrócenia na północ w bezludne okolice, ale każdy z tych planów musieliśmy odrzucić. Obecność Estravena została zdradzona i nie mogliśmy już podróżować po Karbidzie otwarcie, tak jak dotąd. Nie mogliśmy też odbywać żadnych dłuższych podróży kryjąc się, bo nie mieliśmy ani namiotu, ani żywności, ani zbyt wiele siły. Pozostawał przeskok przez granicę w najprostszej linii, nie było innego wyjścia.

Kuliliśmy się w ciemnym zagłębieniu pod ciemnymi drzewami. Leżeliśmy na śniegu przytuleni, żeby się ogrzać. Koło południa Estraven zapadł w drzemkę, ale ja byłem zbyt głodny i zmarznięty, żeby móc zasnąć. Leżałem obok przyjaciela w jakimś otępieniu, usiłując przypomnieć sobie słowa, które mi kiedyś przytoczył: "Dwoje są jednym, życie i śmierć splecione…" Było tu trochę tak jak w namiocie na Lodzie, tylko bez namiotu, bez jedzenia, bez odpoczynku. Nie zostało nic prócz tego, że byliśmy razem, a i to miało się wkrótce skończyć.

W czasie popołudnia niebo zamgliło się i temperatura zaczęła spadać. Nawet w naszym osłoniętym od wiatru zagłębieniu było za zimno, żeby siedzieć bez ruchu. Musieliśmy ruszać się, ale i tak o zachodzie słońca dostałem dreszczy jak wtedy w więziennej ciężarówce przemierzającej Orgoreyn. Zdawało się, że ta noc nigdy już nie zapadnie. Gdy nastał późny granatowy zmierzch, opuściliśmy swoją kryjówkę i skradając się za drzewami i krzewami przeszliśmy na drugą stronę wzgórza. Stąd mogliśmy dostrzec linię granicy i rząd niewyraźnych kropek na jaśniejącym śniegu. Żadnych świateł, żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Daleko na południowym zachodzie jaśniała złota poświata małego miasteczka, jakiejś osady Wspólnoty Orgoreynu, do której Estraven może dojść ze swoimi nic niewartymi papierami, gdzie ma przynajmniej zapewniony nocleg w więzieniu Wspólnoty albo w najbliższym ochotniczym gospodarstwie Wspólnoty. Dopiero tam, w ostatniej chwili, nie wcześniej, zdałem sobie sprawę, co mój egoizm i milczenie Estravena ukrywały przede mną, dokąd on idzie i na co się naraża.

— Therem — powiedziałem — zaczekaj…

Ale on już był w połowie stoku, znakomity narciarz, który już tym razem nie musiał oglądać się na mnie. Pomknął długim, szybkim łukiem przez cienie na śniegu. Uciekał ode mnie prosto pod lufy straży granicznej. Chyba krzyczeli jakieś ostrzeżenia czy rozkazy, żeby się

zatrzymał, i coś gdzieś błysnęło, ale nie jestem pewien. W każdym razie nie zatrzymał się, tylko pędził ku granicy i zastrzelili go, zanim do niej dotarł. Nie użyli poddźwiękowego paralizatora, tylko garłacza, starożytnej broni, która strzela ładunkiem siekanego metalu. Strzelali, żeby zabić. Kiedy do niego dobiegłem, umierał, z rozszarpaną piersią, odrzucony w bok od swoich nart, które sterczały ze śniegu. Ująłem jego głowę w dłonie i mówiłem do niego, ale on nie reagował. Jedyną odpowiedzią na moją miłość do niego był jeden wyraźny okrzyk w języku bez słów, który przedarł się z chaosu i ruiny jego umysłu: "Arek!" I nic więcej. Klęcząc na śniegu trzymałem jego głowę, kiedy umierał. Pozwolili mi. Potem kazali mi wstać i zabrali mnie w jedną stronę, a jego w drugą. Ja szedłem do więzienia, a on w ciemność.

20. Daremna nadzieja

Gdzieś w notatkach, które robił podczas naszej wędrówki przez Lód Gobrin, Estraven zastanawia się, dlaczego jego towarzysz wstydzi się płakać. Mógłbym mu powiedzieć nawet wtedy, że to sprawa nie tyle wstydu, ile strachu. Teraz szedłem w wieczór jego śmierci przez dolinę Sinoth do zimnego kraju, który leży poza granicą strachu. Tam stwierdziłem, że można płakać, ile się chce, ale nic to nie pomaga.

Zabrano mnie do Sassinoth i zamknięto w więzieniu, bo znajdowałem się w towarzystwie banity i pewnie też dlatego, że nie bardzo wiedziano, co ze mną zrobić. Od początku, nawet zanim jeszcze nadeszły oficjalne rozkazy, traktowano mnie dobrze. Moje karhidyjskie więzienie stanowił umeblowany pokój w Wieży Elektorów w Sassinoth. Miałem kominek, radio i dostawałem pięć obfitych posiłków dziennie. Nie było tu wygód. Łóżko twarde, kołdry cienkie, podłoga goła, powietrze zimne, słowem, typowy pokój w Karhidzie. Ale przysłano mi lekarza, w którego dotyku i głosie była dobroczynna, kojąca pociecha, której na próżno by szukać w całym Orgoreynie. Zdaje się, że po jego wizycie drzwi pozostawiono otwarte. Pamiętam, że chciałem, żeby je zamknięto, z powodu zimnego przeciągu z korytarza, ale nie miałem dość siły ani odwagi, żeby wstać z łóżka i zamknąć drzwi swojego więzienia.

Lekarz, poważny młody człowiek, w którym była jakaś macierzyńska troska, powiedział mi tonem spokojnej pewności:

— Był pan niedożywiony i ,przepracowany w ciągu ostatnich pięciu lub sześciu miesięcy. Jest pan wyczerpany. Dalej nie ma już z czego czerpać. Niech pan leży i odpoczywa. Jak rzeki zamarznięte w zimie. Niech pan leży spokojnie. i czeka.

Ale we śnie zawsze byłem w ciężarówce kuląc się wraz z innymi więźniami, wszyscy cuchnący, drżący, nadzy, zbici w gromadkę dla ciepła, wszyscy prócz jednego. Ten jeden leżał samotnie pod zamkniętymi drzwiami, zimny, z ustami pełnymi zakrzepłej krwi. To był zdrajca. Odszedł sam, zostawiając nas, zostawiając mnie. Budziłem się wściekły, bezsilną drżącą wściekłością, która zmieniała się w bezsilne łzy.

Musiałem być dosyć chory, bo pamiętam niektóre efekty wysokiej gorączki i lekarza, który przesiedział przy mnie jedną, a może więcej nocy. Nie pamiętam tych nocy, ale przypominam sobie, jak mówiłem do niego słysząc zawodzącą, płaczliwą nutę we własnym głosie:

— Mógł się zatrzymać. Widział strażników. Jechał prosto pod lufy.

Młody lekarz milczał przez chwilę.

— Czy chce pan powiedzieć, że to było samobójstwo?

— Może.

— To straszne, powiedzieć coś takiego o przyjacielu. Nie uwierzę, że Harth rem ir Estraven mógł to zrobić.

Zapomniałem o pogardzie, w jakiej ci ludzie mają samobójstwo. Nie jest to dla nich, podobnie jak dla nas, sprawa wyboru. Jest to rezygnacja z wyboru, akt zdrady samego siebie. Dla Karhidyjczyka czytającego nasze księgi zbrodnia Judasza polega nie na zdradzie Chrystusa, ale na czynie, który prowadzi do takiej rozpaczy, że odbiera szansę przebaczenia, zmiany, życia — który prowadzi do samobójstwa.

— Nie nazywa go pan Estravenem Zdrajcą?

— Nigdy go tak nie nazywałem. Wielu jest takich, którzy nigdy nie dali wiary oskarżeniom pod jego adresem, panie Ai.

Ale nie znalazłem w tym żadnego pocieszenia i tylko krzyknąłem w bólu:

— To dlaczego go zastrzelili? Dlaczego on nie żyje? Nic mi nie odpowiedział, bo nie było na to żadnej odpowiedzi.

Nie zostałem ani razu formalnie przesłuchany. Pytano mnie, jak wydostałem się z gospodarstwa Pulefen i jak dotarłem do Karhidu, a także o adresata i treść szyfrowanego komunikatu, jaki nadałem przez ich radio. Powiedziałem i ta informacja poszła prosto do Erhenrangu, do króla. Sprawa statku była, jak się zdaje, trzymana w tajemnicy, ale wiadomości o mojej ucieczce z orgockiego więzienia, o zimowym przejściu przez Lód, o mojej obecności w Sassinoth, były otwarcie rozpowszechniane i komentowane. Nie wspominano w radio o udziale w tym Estravena ani o jego śmierci. Ale i tak wszyscy wiedzieli. Tajemnica w Karhidzie jest w wielkiej mierze kwestią dyskrecji, uzgodnionego i dobrze rozumianego milczenia, brakiem pytań, nie brakiem odpowiedzi. Biuletyny mówiły tylko o wysłanniku, panu Ai, ale wszyscy wiedzieli, że to Harth rem ir Estraven wykradł mnie z rąk Orgotów i przeszedł ze mną przez Lód do Karbidu, żeby zadać kłam opowieściom Wspólnoty o mojej nagłej śmierci na febrę horm w Misznory zeszłej jesieni… Estraven dość dokładnie przepowiedział skutki mojego powrotu, jego jedyny błąd polegał na tym, że ich nie docenił. Z powodu przybysza z innego świata, który leżał chory nic nie robiąc, o nic się nie troszcząc w swoim pokoju w Sassinoth, w ciągu dziesięciu dni upadły dwa rządy.

Upadek rządu w Orgoreynie oznacza oczywiście tylko, że jakaś grupa reprezentantów zastąpiła inną grupę reprezentantów na decydujących stanowiskach. Jedne cienie się skróciły, inne wydłużyły, jak mówią w Karhidzie. Frakcja Sarfu, która posłała mnie do Pulefen, mimo nie pierwszego zresztą przypadku przyłapania jej na kłamstwie utrzymała się przy władzy, dopóki Argaven nie ogłosił publicznie o bliskim przybyciu do Karhidu gwiezdnego statku. Tego dnia wszystkie

najważniejsze stanowiska przeszły w ręce Obsle'a i jego frakcji Wolnego Handlu. W końcu jednak im się przydałem.

W Karhidzie upadek rządu oznacza zazwyczaj dymisję premiera i przetasowania w kyorremie, chociaż zamachy, abdykacje i insurekcje również zdarzają się dość często. Tibe nie czynił żadnych starań, żeby utrzymać się przy władzy. Moja wartość w grze o międzynarodowy szifgrethor plus rehabilitacja (pośrednia) Estravena dały mi nad nim tak miażdżącą przewagę prestiżową, że zrezygnował, zanim jeszcze władze w Frhenrangu dowiedziały się, że wezwałem swój statek. Tibe wykorzystał donos Thessiczera, zaczekał tylko na wiadomość u śmierci Estravena i złożył rezygnację. To była jednocześnie jego klęska i jego zemsta za nią.

Z chwilą kiedy Argaven uzyskał pełną informację, przysłał mi wezwanie, żebym natychmiast przybył do Frhenrangu, a wraz z listem niemałą sumę na wydatki. Miasto Sassinoth z równą hojnością wysłało ze mną swojego młodego lekarza. bo czułem się jeszcze niezbyt dobrze. Odbyliśmy tę podróż na autosaniach. Pamiętam tylko jej fragmenty, była nieśpieszna, bez przygód, z długimi postojami w oczekiwaniu, aż walce ubiją śnieg, z długimi nocami w zajazdach. Mogła zająć najwyżej dwa albo trzy dni, ale wydawała się długa i nie pamiętam z niej wiele aż do chwili, kiedy przez bramę Północną wjechaliśmy w głębokie, pełne śniegu i cienia ulice Erhenrangu.

Poczułem wtedy, że moje serce jakby się uciszyło, a umysł rozjaśnił. Do tego czasu byłem porozbijany, rozkojarzony. Teraz, chociaż zmęczony nawet tą łatwą podróżą, odnalazłem w sobie nieco siły. Była to najprawdopodobniej siła przyzwyczajenia, bo nareszcie znalazłem się w znanym otoczeniu, w mieście, w którym przeszło rok mieszkałem i pracowałem. Znałem tu ulice, wieże, mroczne podwórce, krużganki i fasady Pałacu. Wiedziałem, co mam tu do zrobienia. I dlatego po raz pierwszy uświadomiłem sobie jasno, że po śmierci przyjaciela muszę dokończyć dzieła, za które zginął. Muszę wmurować zwornik łuku.

W bramie Pałacu czekało na mnie polecenie, żebym udał się do jednego z domów dla gości w obrębie murów Pałacu. Była to Okrągła Wieża, co sygnalizowało na dworze mocny szifgrethor: nie tyle królewską przychylność, ile uznanie już istniejącego wysokiego statusu. Umieszczano tu zazwyczaj ambasadorów państw zaprzyjaźnionych. Jednak po drodze musieliśmy przejść obok Czerwonego Narożnego Domu i zobaczyłem przez wąską sklepioną bramę bezlistne drzewo nad sadzawką szarą od lodu i dom, który nadal stał pusty.

W drzwiach Okrągłej Wieży powitała mnie osoba w białym hiebie i szkarłatnej koszuli ze srebrnym łańcuchem na szyi. Był to Faxe, wieszcz ze stanicy Otherhord. Na widok jego dobrej i pięknej twarzy,

pierwszej znajomej twarzy, jaką oglądałem od wielu dni, przypływ ulgi zmiękczył mój nastrój wymuszonej determinacji. Kiedy Faxe ujął moje dłonie w rzadkim karhidyjskim geście powitania zarezerwowanym dla przyjaciół, byłem już w stanie odpowiedzieć na jego serdeczność.

Wczesną jesienią został wybrany do kyorremy ze swojego okręgu, południowego Reru. Wybór na członka rady kogoś z handdarskiej stanicy nie jest czymś niezwykłym, natomiast jest czymś wyjątkowym, żeby Tkacz przyjął taki urząd, i jestem przekonany, że Faxe też by odmówił, gdyby nie głęboka troska, jaką go napawały rządy Tibe'a i kierunek, w jakim spychały kraj. Tylko dlatego zdjął złoty łańcuch Tkacza, a włożył srebrny łańcuch członka rady, i nie trzeba było wiele czasu, żeby uwidocznił się jego wpływ, bo od miesiąca thern został członkiem heskyorremy, czyli Ścisłego Kręgu, stanowiącego przeciwwagę dla urzędu premiera, mianowany przez samego króla. Bardzo możliwe, że czekał go awans na stanowisko, które niecały rok temu utracił Estraven. Kariery polityczne w Karbidzie są gwałtowne i ryzykowne.

W Okrągłej Wieży, zimnym, pretensjonalnym małym domu, miałem okazję porozmawiać z Faxe'em, zanim musiałem spotkać się z kimś innym, składać jakieś oświadczenia czy występować publicznie. Nie spuszczając ze mnie swojego jasnego spojrzenia spytał:

— A więc przybywa tu do nas statek, większy niż ten, w którym spadłeś na wyspę Horden trzy lata temu. Czy to prawda?

— Tak. To jest, wysłałem wiadomość, która powinna przygotować statek do opuszczenia się na planetę.

— Kiedy to będzie?

Uświadomiłem sobie, że nie wiem nawet, jaki mamy dzień miesiąca, i wtedy dopiero dotarło do mnie, jak źle musiało być za mną ostatnimi czasy. Odliczyłem czas od dnia poprzedzającego śmierć Estravena. Kiedy okazało się, że gdyby statek znajdował się w minimalnej odległości, to powinien już być na orbicie planetarnej i oczekiwać na jakiś sygnał ode mnie, przeżyłem następny wstrząs.

— Muszę porozumieć się ze statkiem. Oni tam oczekują instrukcji. Gdzie król sobie życzy, żeby wylądowali? Powinna to być strefa nie zamieszkana, dość duża. Muszę uzyskać dostęp do nadajnika…

Wszystko zostało zorganizowane sprawnie i bez przeszkód. Nieskończone meandry i rozczarowania dotychczasowych moich kontaktów z rządem w Erhenrangu stopniały jak kra podczas wiosennego przyboru. Koło się odwróciło. Następnego dnia miałem audiencję u króla. Estraven poświęcił sześć miesięcy na wyjednanie mi pierwszej audiencji. I całą resztę życia na wyjednanie tej drugiej.

Tym razem byłem zbyt zmęczony, żeby się denerwować, i miałem na głowie ważniejsze sprawy niż to, jak wypadnę na audiencji.

Przeszedłem długą czerwoną salą pod zakurzonymi sztandarami i stanąłem przed podwyższeniem z trzema wielkimi kominkami, na których trzaskały i sypały iskrami trzy wielkie ognie. Król siedział zgarbiony na rzeźbionym zydlu przy stole obok środkowego kominka.

— Niech pan siada, panie Ai.

Usiadłem po drugiej stronie kominka i zobaczyłem jego twarz w świetle płomieni. Wyglądał staro i niezdrowo. Wyglądał jak kobieta, która straciła dziecko, jak mężczyzna, który stracił syna.

— Cóż, panie Ai, wkrótce wyląduje pański statek.

— Wyląduje w Athten Fen, zgodnie z życzeniem Waszej Wysokości. Powinien zostać sprowadzony na powierzchnię dziś wieczorem, na początku trzeciej godziny.

— Co będzie, jeżeli nie trafią w wyznaczone miejsce? Czy wywołają wielki pożar?

— Będą prowadzeni przez cały czas namiarem radiowym, wszystko to zostało uzgodnione. Pomyłki nie będzie.

— I ilu ich tam jest, jedenastu? Czy to prawda?

— Tak, za mało, żeby było się czego obawiać, Wasza Wysokość.

Dłonie Argavena drgnęły w nie dokończonym geście.

— Już się pana nie boję, panie Ai.

— Cieszy mnie to.

Oddał mi pan duże usługi.

— Ale ja nie służę Waszej Wysokości.

— Wiem — powiedział obojętnie i zapatrzył się w ogień gryząc wargę.

— Mój astrograf znajduje się najprawdopodobniej w rękach Sarfu w Misznory, ale na pokładzie statku będzie drugi. Odtąd, jeżeli Wasza Wysokość wyrazi zgodę, będę pełnił funkcję wysłannika pełnomocnego Ekumeny, upoważnionego do omówienia i podpisania traktatu o współpracy z Karhidem. Może to być w każdej chwili potwierdzone przez Hain i różnych stabilów za pomocą astrografu.

— Bardzo dobrze.

Nie mówiłem nic więcej, bo nie poświęcał mi całkowitej uwagi. Popchnął czubkiem buta kłodę na kominku, posyłając w powietrze snop czerwonych iskier.

— Dlaczego, do diabła, on mnie oszukiwał? — spytał wysokim, piskliwym głosem i po raz pierwszy spojrzał wprost na mnie.

— Kto, Wasza Wysokość? — powiedziałem wytrzymując jego spojrzenie.

— Estraven.

— Chodziło mu o to, żeby Wasza Wysokość sam się nie oszukał. Usunął mnie z oczu, kiedy Wasza Wysokość zaczął faworyzować nieprzychylną mi frakcję. Sprowadził mnie z powrotem w momencie, kiedy sam mój przyjazd mógł przekonać Waszą Wysokość do przyjęcia

misji Ekumeny i płynącej z tego sławy.

— Dlaczego nigdy nie wspomniał o tym większym statku?

— Bo o nim nie wiedział. Powiedziałem o tym dopiero w Orgoreynie.

— Ładne sobie wybraliście towarzystwo, wy dwaj, żeby o tym gadać. On chciał namówić Orgotów do przyjęcia pańskiej misji. Współpracował z ich grupą Wolnego Handlu. Może mi pan powie, że to nie była zdrada`?

— Nie. On wiedział, że jeżeli jedno państwo zawrze sojusz z Ekumeną, inne pójdą wkrótce w jego ślady, i tak też będzie. Sith, Perunter i Archipelag zrobią to samo, póki nie dojdziecie do wspólnej reprezentacji. Estraven bardzo kochał swój kraj, Wasza Wysokość, ale mu nie służył, tak jak nie służył Waszej Wysokości. Służył temu samemu panu, któremu i ja służę.

— Ekumenie? — spytał Argaven zdumiony.

— Nie. Ludzkości.

Mówiąc to nie miałem pewności, czy to, co mówię, jest prawdą. Może częścią prawdy, jednym aspektem prawdy. Z równym powodzeniem można by powiedzieć, że jego postępowanie wynikało z czysto osobistej lojalności, z uczucia odpowiedzialności i przyjaźni w stosunku do jednego jedynego człowieka, do mnie. Ale to też nie byłoby pełną prawdą.

Król nie odpowiedział. Jego zasępiona, odęta, pobrużdżona twarz znów była zwrócona do ognia.

— Dlaczego wezwał pan ten swój statek, zanim zawiadomił mnie pan o powrocie do Karhidu?

— Żeby postawić Waszą Wysokość wobec faktu dokonanego. Wiadomość wysłana do Waszej Wysokości doszłaby także do pana Tibe'a, który mógłby mnie wydać z powrotem Orgotom. Albo zastrzelić mnie, tak jak to zrobił z moim przyjacielem.

Król się nie odezwał.

— Moje własne życie nie jest tak ważne, ale mam, tak jak miałem wtedy, obowiązek wobec Gethen i wobec Ekumeny, mam zadanie do spełnienia. Zacząłem od zawiadomienia statku, żeby zapewnić sobie jakąś szansę wykonania tego zadania. Tak mi poradził Estraven i miał rację.

— Cóż, nie pomylił się. Tak czy inaczej oni tu wylądują i my będziemy pierwsi… Czy oni wszyscy są tacy jak pan? Sami zboczeńcy, zawsze w kemmerze? To dziwne, żeby zabiegać o zaszczyt przyjęcia takiej menażerii… Proszę powiedzieć panu Gorczern, szambelanowi, jakiego przyjęcia oni oczekują. Proszę dopilnować, żeby nie było jakichś niedopatrzeń albo obrazy. Zostaną umieszczeni na terenie Pałacu, gdziekolwiek pan uzna za stosowne. Chcę ich podjąć z należnymi honorami. Pan mi się dwukrotnie przysłużył, panie Ai.

Zadał pan kłam tym ze Wspólnoty, a potem wystrychnął ich pan na dudka.

— A potem zrobiłem z nich sojuszników, Wasza Wysokość.

— Wiem — powiedział piskliwie. — Ale Karhid jest pierwszy, Karhid jest pierwszy!

Kiwnąłem głową.

Po chwili milczenia powiedział:

— Jak to było, w czasie tej podróży przez Lód?

— Niełatwo, Wasza Wysokość.

— Estraven musiał być dobrym towarzyszem w takiej szalonej wyprawie. Był twardy jak żelazo. I nigdy nie tracił głowy. Żałuję, że on nie żyje.

Nie znalazłem odpowiedzi.

— Przyjmę pańskich… ziomków na audiencji jutro po południu, o drugiej godzinie. Czy coś jeszcze wymaga omówienia?

— Czy Wasza Wysokość przywróci dobre imię Estravenowi i odwoła rozkaz jego wygnania?

— Jeszcze nie teraz, panie Ai. Nie ma z tym pośpiechu. Coś jeszcze?

— Nic poza tym.

— Jest pan więc wolny.

Nawet ja go zdradziłem. Powiedziałem, że nie sprowadzę statku, póki jego banicja nie zostanie odwołana, a jego imię oczyszczone. Nie mogłem upierać się przy tym warunku i odrzucić tego, za co oddał życie. To by go i tak nie sprowadziło z jego wygnania.

Reszta tego dnia zeszła mi na uzgadnianiu z szambelanem Gorczernem powitania i zakwaterowania załogi statku. O drugiej godzinie wyruszyliśmy saniami motorowymi do Athten Fen, niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Erhenrangu. Miejsce lądowania zostało wybrane na skraju nie zamieszkanego regionu, wielkiego torfowiska zbyt podmokłego, żeby nadawało się pod uprawę i zasiedlenie, a obecnie, w połowie miesiąca irrem, stanowiącego zamarzniętą płaszczyznę pokrytą kilkudziesięciocentymetrową warstwą śniegu. Naprowadzający sygnał radiowy działał od rana i nadeszło już potwierdzenie jego odbioru.

Na swoich ekranach załoga statku musiała widzieć linię dnia i nocy dzielącą Wielki Kontynent od zatoki Guthen do Czarisune, a szczyty Kargavu, jeszcze w słońcu, musiały błyszczeć jak łańcuch gwiazd, bo był już zmierzch, kiedy patrząc w niebo zobaczyliśmy jedną spadającą gwiazdę.

Statek lądował wśród wielkiego huku i ognia. Białe kłęby pary uniosły się z rykiem, kiedy stabilizatory statku zagłębiły się w wielkie jezioro wody i błota utworzone przez ogień z jego dysz. Głębiej pod bagnem była wieczna zmarzlina, twarda jak granit, na której statek

stanął idealnie pionowo i stał stygnąc nad zamarzającym w oczach jeziorem jak balansująca na ogonie wielka, delikatna ryba, ciemnosrebrna w zmierzchu Zimy.

Stojący obok mnie Faxe z Otherhordu odezwał się po raz pierwszy od chwili grzmotu i majestatu tego lądowania. — Cieszę się, że dożyłem chwili, kiedy mogę to zobaczyć — powiedział. Estraven powiedział to samo, kiedy patrzył na Lód, na śmierć. Powinien móc powtórzyć to samo dzisiejszego wieczoru. Chcąc uciec od bolesnego żalu ruszyłem po lodzie w stronę statku. Był już pokryty szronem pod działaniem międzypowłokowych płynów chłodzących i, kiedy podszedłem, otworzyły się wysokie drzwi i wysunięto trap, który wdzięcznym łukiem sięgnął lodu. Pierwsza ukazała się Lang Heo Hew, nic nie zmieniona, oczywiście, dokładnie taka, jaką ją widziałem trzy lata temu w moim życiu i dwa tygodnie temu w jej życiu. Spojrzała na mnie, na Faxe'a i na resztę idącego za mną orszaku, po czym zatrzymała się u stóp pochylni.

— Przybywamy z przyjaźnią — powiedziała uroczyście po karhidyjsku. W jej oczach wszyscy byliśmy ludźmi z obcej planety. Pozwoliłem, żeby Faxe przywitał ją pierwszy.

On wskazał jej mnie, po czym podeszła i ujęła moją prawą rękę na nasz sposób, patrząc mi w oczy.

Och, Genly — powiedziała. — Nie poznałam cię! — Dziwnie było słyszeć kobiecy głos po tak długiej przerwie. Za moją radą wyszli ze statku wszyscy; oznaka jakiegokolwiek braku zaufania na tym etapie byłaby upokarzająca dla orszaku karhidyjskiego, uderzałaby w ich szifgrethor. Wyszli i bardzo pięknie przywitali się z Karhidyjczykami. Ale wszyscy wydawali mi się jacyś dziwni, mężczyźni i kobiety, mimo że ich przecież znałem. Dziwnie brzmiały ich głosy, albo za niskie, albo zbyt piskliwe. Byli jak grupa wielkich, nieznanych zwierząt dwóch różnych gatunków, jak wielkie małpy z rozumnym spojrzeniem i wszystkie w czasie rui, w kemmerze… Brały mnie za rękę, dotykały mnie, obejmowały.

Udało mi się zapanować nad sobą i powiedzieć podczas jazdy saniami do Erhenrangu Heo Hew i Tulierowi to, co najpilniej musieli wiedzieć o sytuacji, w jakiej się znaleźli. Jednak po przyjeździe do Pałacu musiałem natychmiast pójść do swojego pokoju.

Przyszedł do mnie lekarz z Sassinoth. Jego cichy głos i jego twarz, młoda, poważna twarz, ani męska, ani kobieca, ludzka twarz, były dla mnie ulgą, czymś znajomym i prawidłowym… Ale kiedy już zaaplikował mi jakiś łagodny środek uspokajający i kazał mi iść do łóżka, powiedział:

— Widziałem pańskich towarzyszy. To wspaniała rzecz, przybycie ludzi z gwiazd. I to za mojego życia!

Jeszcze jeden przykład optymizmu i odwagi, najbardziej godnych

podziwu cech ducha Karhidu i ducha ludzkiego w ogóle, i chociaż nie mogłem dzielić z nim jego entuzjazmu, to jednak psucie mu go byłoby czynem niegodnym. Powiedziałem nieszczerze, ale absolutnie prawdziwie:

— Dla nich to też jest coś wspaniałego, spotkanie z nowym światem, z nową ludzkością.

Późną wiosną, pod koniec miesiąca tama, kiedy przeszły odwilżowe powodzie i podróżowanie znów stało się możliwe, wziąłem urlop z mojej małej ambasady w Erhenrangu i udałem się na wschód. Moi ludzie byli teraz rozsiani po całej planecie. Ponieważ zostaliśmy upoważnieni do korzystania z pojazdów powietrznych, Heo Hew i jeszcze troje polecieli do Sith i Archipelagu, dwóch państw półkuli morskiej, którymi zupełnie się nie zajmowałem. Inni byli w Orgoreynie, a dwoje, niechętnie, w Perunterze, gdzie odwilż, jak mówią, przychodzi w miesiącu tuwa i po tygodniu wszystko z powrotem zamarza. Tulier i Ke'sta świetnie radzili sobie w Erhenrangu i mogli obyć się beze mnie. Nie było żadnych naglących spraw. Ostatecznie statek, który by wyruszył od najbliższego z nowych partnerów Zimy, nie mógł przybyć przed upływem siedemnastu lat czasu planetarnego. Jest to świat marginalny, leżący na skraju. Dalej za nim w kierunku Południowego Ramienia Oriona nie znaleziono już żadnej zamieszkanej planety. A z Zimy jest bardzo daleka droga do głównych światów Ekumeny, światów-ognisk naszej rasy: pięćdziesiąt lat do Hain-Davenant, całe życie do Ziemi. Nie było pośpiechu. Pokonałem Kargav, tym razem przez niższe przełęcze, drogą wijącą się ponad brzegiem Morza Południowego. Odwiedziłem pierwszą wieś, w jakiej się zatrzymałem, kiedy przed trzema laty rybacy przywieźli mnie z wyspy Horden. Mieszkańcy tego ogniska przyjęli mnie tak wtedy, jak i teraz bez najmniejszego zdziwienia. Spędziłem tydzień w wielkim portowym mieście Thather u ujścia rzeki Encz, a potem wczesnym latem wyruszyłem pieszo do Kermu.

Szedłem na wschód i na południe, przez surowy kraj pełen skał i zielonych wzgórz, wielkich rzek i samotnych domostw, aż doszedłem do jeziora Lodowa Noga. Patrząc z brzegu jeziora w kierunku wzgórz na południu zobaczyłem znajomą poświatę, rozbielenie nieba, odblask dalekiego lodowca. Tam był Lód.

Estre było bardzo starym miejscem. Jego ogniskó i przyległe zabudowania wzniesiono z szarego kamienia wyłamanego ze stromego zbocza, na którym stały. Było ponure, pełne odgłosów wiatru.

Zapukałem i drzwi się otworzyły.

— Proszę o gościnę domeny — powiedziałem. — Byłem przyjacielem Therema z Estre.

Ten, kto mi otworzył, szczupły, poważny osobnik w wieku

dziewiętnastu albo dwudziestu lat, przyjął moje słowa w milczeniu i w milczeniu zaprosił mnie do ogniska. Zaprowadził mnie do łaźni, garderoby i wielkiej kuchni, a kiedy upewnił się, że wędrowiec jest czysty, odziany i nakarmiony, zostawił mnie samego w sypialni, która głębokimi szczelinami okien spoglądała na szare jezioro i na szare lasy thore rozciągające się między Estre a Stok. Był to ponury dom w ponurym krajobrazie. W głębokim kominie trzaskał ogień dając jak zwykle więcej ciepła dla oka i dla ducha niż dla ciała, bo kamienne podłogi i ściany oraz wiatr dmący od strony gór i Lodu pochłaniały większość ciepła z płomieni. Ale nie było mi tak zimno jak kiedyś, podczas pierwszych dwóch lat na Zimie; przywykłem już do życia w zimnym kraju.

Po jakiejś godzinie chłopiec (miał szybkie i delikatne ruchy i wygląd dziewczyny, ale żadna dziewczyna nie potrafiłaby utrzymać tak ponurego milczenia) przyszedł mi powiedzieć, że pan na Estre gotów jest mnie przyjąć, gdybym miał ochotę go zobaczyć. Poszedłem za nim schodami i długimi korytarzami, na których odbywała się właśnie gra w chowanego. Dzieci przemykały koło nas i wokół nas, małe piszczały z podniecenia, podrostki prześlizgiwały się jak cienie od drzwi do drzwi zakrywając dłonią usta, żeby stłumić śmiech. Jeden tłusty maluch, pięcio albo sześciolatek, odbił się od moich nóg i szukając obrony chwycił za rękę mojego przewodnika.

— Sorve! — pisnął, przez cały czas wytrzeszczając oczy na mnie — Sorve, schowam się w browarze! — I pobiegł jak okrągły kamyk wystrzelony z procy. Młody Sorve nie straciwszy ani na chwilę powagi poprowadził mnie dalej, aż doszliśmy do wewnętrznego ogniska, do księcia na Estre.

Esvans Harth rem ir Estraven był starym człowiekiem, po siedemdziesiątce, unieruchomionym przez artretyzm. Siedział wyprostowany w fotelu na kółkach przy ogniu. Jego twarz była szeroka, bardzo stara i poorana przez czas jak skała przez deszcze; spokojna twarz, przerażająco spokojna.

— Pan jest Genry Ai, wysłannik.

— Tak, to ja.

Spojrzał na mnie, a ja na niego. Therem był synem, dzieckiem z łona tego starego pana. Therem był młodszym synem, starszym był Arek, ten, którego głos słyszał, kiedy do niego przemawiałem myślomową. Teraz obaj nie żyli. Nie potrafiłem dostrzec nic z mojego przyjaciela w tej zniszczonej, spokojnej, twardej twarzy starca. Nie znajdowałem w niej nic poza potwierdzeniem faktu śmierci Therema.

Przybyłem do Estre w daremnej nadziei znalezienia pociechy. Nie było tu żadnej pociechy. Dlaczego niby pielgrzymka do miejsca dzieciństwa przyjaciela miałaby robić jakąś różnicę, zapełnić pustkę, ukoić żal? Nic już nie można było zmienić. Moje przybycie do Estre

miało jednak inny jeszcze cel i ten mogłem osiągnąć.

— Byłem z pańskim synem w miesiącach przed jego śmiercią. Byłem z nim, kiedy umarł. Przyniosłem jego dzienniki. I jeżeli jest coś, co mogę opowiedzieć o tych dniach…

Żaden szczególny wyraz nie odmalował się na twarzy starca. Tego spokoju nic już nie mogło naruszyć. Ale młody gwałtownym ruchem wyszedł z cienia w smugę światła między oknem a kominkiem, dziwnego, niewesołego światła, i powiedział szorstko:

— W Erhenrangu nadal nazywają go zdrajcą Stary pan spojrzał na chłopca, potem na mnie.

— To jest Sorve Harth — powiedział — dziedzic Estre, syn moich synów.

Kazirodztwo nie jest tu zabronione, dobrze o tym wiedziałem. Jedynie dziwność tego dla mnie jako dla ziemianina i zdziwienie, gdy ujrzałem odbłysk ducha mojego przyjaciela w tym posępnym, zaciętym, prowincjonalnym chłopcu, sprawiły, że na chwilę oniemiałem. Odpowiedziałem lekko drżącym głosem:

— Król go rehabilituje. Therem nie był zdrajcą. Czy to ważne, jak go nazywają głupcy.

Stary pan skinął powoli głową.

— Ważne — powiedział.

— Czy to prawda, że przeszliście razem przez Lód Gobrin, pan i on? — spytał Sorve.

— To prawda.

— Chciałbym usłyszeć tę opowieść, panie wysłanniku powiedział stary Esvans bardzo spokojnie. Ale chłopiec, syn Therema, zapytał zachłystując się słowami:

— Czy powie nam pan, jak on umarł?… Czy powie nam pan o innych światach wśród gwiazd… o innych ludziach, o innym życiu?

KONIEC